Jack Schaefer

Kanion

Iskry, 1986
Tłumaczenie: Krystyna Tarnowska

Stary Ramon (Old Ramon, 1960)
Mustangi (Mavericks, 1967)
Kanion (The Canyon, 1955)

Stary Ramon

(Old Ramon, 1960)

I

— Żadne inne zwierzę nie jest takie głupie jak owca — powiedział Stary Ramon. — Żadne.

— Są jeszcze kury — podsunął chłopiec.

— Kury? Owszem, kury są głupie — przyznał Stary Ramon. — Ale kura to nie zwierzę, Kura to ptak.

— Ptaki należą do królestwa zwierząt — zaprotestował chłopiec.

— I kto ci pakuje takie głupstwa do tej twojej młodej głowy?

— Czytałem w szkolnej książce.

— W książce. — Stary Ramon zgarbił się i wsunął głębiej w rzadki cień karłowatego jałowca. Opuścił wzrok na zniekształcone pracą ręce. Przyjrzał się spękanym paznokciom starych, sękatych palców. — No to musi tak być Ale takie książkowe gadanie nic nie znaczy dla człowieka w moich latach. Ono jest dla ciebie, bo masz się uczyć z książek. A jak wyrośniesz na mężczyznę i zostaniesz dziadkiem, nie będziesz mówił rzeczy, które nawet chłopiec może wyśmiać.

Wysoko z góry, z czystego błękitnego nieba, słońce wczesnego lata zsyłało złoty blask na rozległą krainę, wyszukiwało każdy cień, przenikało przez skąpe gałęzie jałowców. Stary Ramon siedział nieruchomo, ze spuszczonym wzrokiem, wpatrzony w spracowane dłonie, a chłopiec przyglądał mu się, patrzał na jego dużą starą głowę i zniszczony stożkowały kapelusz z szerokim rondem, umocowany pod brodą rzemykiem, na szeroką, płaską twarz o głęboko osadzonych oczach, spoglądających teraz w dół, na duży nos, skrzywiony od jakiegoś ciosu w dalszej przeszłości, na szerokie płaskie wargi, zniekształcone w jednym kąciku, bo kiedyś, dawno, rozpłatał je nóż.

— Ty jesteś moją książką o owcach — powiedział chłopiec.

Stary Ramon wydłubywał powoli ziarenka piasku spod spękanego paznokcia.

— Jakże to? Jestem tylko starym człowiekiem, co nie umie czytać z książek.

— Jesteś człowiekiem, który opiekuje się owcami mojego ojca lepiej niż każdy inny, Nie gubisz jagniąt. Jak wracasz ze stadem, owce są tłuste i mają piękne runo. Ojciec mówi, że tak było w jego dzieciństwie, kiedy wypasałeś owce jego ojca.

Stary Ramon podniósł głowę. — Mój patron tak mówi?

— Dokładnie tak. Powiedział: „Pójdziesz w tym roku z Ramonem. Za dużo siedziałeś nad drukowanymi książkami. Będziesz mu się przyglądał i będziesz się uczył. A jak zechce z tobą rozmawiać, nauczysz się jeszcze więcej.”

Stary Ramon spojrzał w rozmigotaną słońcem dal, ku zieleniejącym pagórkom u stóp gór. Milczące, pozornie nieruchome stado odpoczywało

tuż obok, podzielone na małe grupki, tłoczyło się w rzadkim cieniu jałowców. Milczące, nieruchome, jeśli nie liczyć ziejących jęzorów, oba psy leżały w innej plamie cienia. Milczący, nieruchomy, jeśli nie liczyć podrygującego od czasu do czasu ogona, drzemał pod innym jałowcem osioł z jukami na grzbiecie.

— A ja słucham — powiedział chłopiec. — Nastawiam uszu.

Stary Ramon spojrzał na chłopca. Twarde linie jego twarzy, twarzy pirata, rozbójnika, nieco złagodniały.

— Żadne inne zwierzę z wyjątkiem kury nie jest takie głupie jak owca — Przechylił się do tyłu, oparł plecami o niskie gałęzie i zamknął oczy, jak gdyby szukał w swoim wnętrzu słów. — Jak owca. Ale nie stado. Stado też jest głupie, tylko że nie w taki sam sposób. Owca, pojedyncza owca, jest jak obcięty ludzki palec. Taki obcięty palec to jest nic. Ale jako część człowieka już jest czymś. Jest częścią tego czegoś, co jest człowiekiem. To samo można powiedzieć o owcy. Jedna owca to jest nic, chyba że jest częścią tego czegoś, co się składa na stado... O owcach zawsze musisz myśleć jako o stadzie... Nie o tej owcy czy o tamtej owcy, tylko o całym stadzie. Nie potrafię tak ci wytłumaczyć, jak by to zrobił człowiek, który pisze książki. Ale to tak jest. Jedna owca nie myśli. Robi to, czy robi tamto, ale nie ma w tym ani ładu, ani składu. Za to jak stado o czymś pomyśli, wie o tym zaraz każda jedna owca i wszystkie razem do kupy. Dziwne to, ale tak jest...

Czas płynął leniwie; Stary Ramon siedział bez ruchu, oparty o gałęzie, i chłopiec siedział bez ruchu ze skrzyżowanymi nogami, w sąsiednim rzadkim cieniu. Nagle Stary Ramon wysunął się spomiędzy gałęzi karłowatego jałowca i wstał.

— Widzisz? Stado się rusza. Nie ta owca czy tamta owca. Nagle i wszystkie naraz. Stado wie, że najgorętsza pora dnia minęła. Stado myśli teraz, że trzeba się ruszyć, poszukać jedzenia. Widzisz, jak się ustawia?... Na samym przedzie jest Teresa i inne za nią idą. Była ze mną w zeszłym roku i jest teraz, bo inne owce za nią idą. Tam z boku jest Juanita, widzisz, jak inne za nią idą? Ale wszystkie w tym samym kierunku. W kierunku stada... Minęło dopiero pół dnia, odkąd wyszliśmy z tymi owcami, a już zrobiło się stado. Każda owca zna teraz swoje miejsce. I już tak zostanie. Zawsze te same będą na przedzie, zawsze te same będą na końcu. I tak jest dobrze. Bo teraz, jak się zaczną zachowywać inaczej, będziemy wiedzieli, że coś jest nie tak i będziemy musieli to coś znaleźć i naprawić.

Stary Ramon podniósł swój sfatygowany kij i oparłszy się na nim przyglądał się powolnemu, płynnemu ruchowi stada. Chłopiec stanął obok niego. Dotarło do nich łagodne, stłumione beczenie, owce nawoływały swoje trzymiesięczne jagnięta, jagnięta pobekiwały cicho, jak gdyby z czystej radości życia i ruchu, a wszystko to stapiało się w jeden gromadny odgłos stada. Oba psy leżały jeszcze w swojej plamie cienia, ale łby miały teraz podniesione. Młody czarny pies obserwował poruszające się owce. Stary brązowy, pies obserwował twarz Ramona.

— Nie rozumiem — powiedział chłopiec. — Skąd wiesz, że ta owca to właśnie Juanita?

Stary Ramon wyprostował się zdziwiony.

— Bo to jest Juanita, a nie żadna inna.

— Kiedy one wszystkie są takie same. Jedna jest podobna do drugiej. Młode, które są jeszcze jagniętami i dopiero zaczynają się wełnić, są mniejsze i bardziej ruchliwe. Ale stare są wszystkie jednakowe.

— Jednakowe? — zdumiał się Stary Ramon. — Przecież tak się od siebie różnią, jak... jak ludzie. Nie. Ludzie bardziej się różnią. Ale między owcami też są różnice. Nigdy o tym nie myślałem, ale tak jest. Rzecz w tym, że dobry pasterz już po kilku dniach zna każdą owcę w stadzie, tak samo jego pies. Głowy bym nie dał, bo dotąd o tym nie myślałem, ale widzi mi się, że to nie idzie o jakąś jedną rzecz w jednej owcy. Idzie o wszystko razem wzięte w tej pojedynczej owcy. Jaką ma budowę, jak obrasta tłuszczem, jak się rusza, jak na niej rośnie runo, jak trzyma uszy, jak jej zwisa ogon, jak się rozgląda, jak skubie trawę, Nie jedna z tych rzeczy, ale wszystkie razem wzięte. Za parę dni Ramon będzie znał każdziutką owcę w stadzie. Dla ciebie to nowość. Ale zanim dojdziemy da wzgórza, poznasz dużą część tego stada.

Stary Ramon oparł się na swoim kiju, a chłopiec stał obok niego i razem obserwowali stado. Młody czarny pies podniósł się z ziemi, przydreptał do chłopca i przytulił łeb do jego nogi. Siary brązowy pies leżał nieruchomo w plamie cienia, z łbem uniesionym, i obserwował Ramona.

— Widzisz? Owce kombinują, że pastwisko będzie lepsze na południu, gdzie teren opada ku Arroyo[1] Hondo. I stado dobrze kombinuje. Ale to jest ziemia prywatna. My powędrujemy na wzgórza, gdzie wypas też jest dobry, ziemia jest niczyja, a trawy starczy na długie tygodnie. Musimy iść na zachód. Ale nie całkiem na zachód. Nawet Stary Ramon i jego Pedro nie zmuszą owiec do wędrówki pod słońce. Będziemy szli na południowy zachód, póki słońce nie schowa się za ścianą gór, a wtedy skręcimy pod czerwonymi skałami w kierunku Ojo Frio, gdzie jest woda i gdzie staniemy na popas.

Stary Ramon spojrzał na brązowego psa i skinął głową. Brązowy pies wstał i podreptał za stadem, a widząc to czarny pies rzucił się naprzód, pełen zapału i gorliwości, i biegł za stadem; to w podskokach wysuwał się na jego czoło, to wracał i znów wysuwał się w podskokach na czoło, i znowu wracał Drepczący tuż za stadem brązowy pies zatrzymał się i obejrzał. Stary Ramon podniósł wyprostowane prawe ramię do wysokości barku szerokim, zamaszystym gestem wskazał kierunek południowo-zachodni. Brązowy pies pobiegł na czoło, z lewej strony, i zrównawszy się z przewodniczkami napierał na nie, chwytał lekko zębami za boki i spychał w prawo, a czarny pies skakał i szczekał, i kłapał zębami.

Stary Ramon oparł się na kiju.

— Delikatnie, delikatnie — mamrotał. — Ach, ten Sancho... jak by się przyglądał Pedrowi, już by się nauczył... No... Wystarczy.

Przytknął dwa palce do ust i zagwizdał. Brązowy pies stanął na miejscu i obejrzał się. Stary Ramon podniósł prawą rękę nad głowę i opuścił ją wskazując kierunek, w którym posuwało się teraz stado. Brązowy pies podreptał naprzód i przeszedł przed stadem na jego prawą stronę, a czarny pobiegł w podskokach za nim. Brązowy pies obrócił się i kłapnął zębami a wtedy czarny, zawstydzony, cofnął się na lewą stronę i teraz

[1] Arroyo – potok o prawie płaskim dnie i stromych ścianach, mający w przekroju kształt litery U, zwykle wyschnięty i wypełniający się wodą tylko po ulewnych deszczach.

owce, między dwoma psami, z wolna wędrowały w kierunku południowo-zachodnim.

Stary Ramon dał chłopcu znak ręką, żeby wziął osła za uzdę.

— Teraz idziemy za nimi Teraz owcom się zdaje, że prowadzimy je w tym kierunku, w którym one same chciały iść Ale idą wolno. I tak jest dobrze, bo trzeba, żeby się pasły i skubały te trochę trawy, co ją znajdą po drodze. Chociaż idą trochę za wolno. Przez cztery dni, może pięć, będziemy szli za nimi i będziemy je popychali. Łagodnie, bardzo łagodnie. Stada nic wolno popędzać, nie wolno zmuszać do pośpiechu, chyba że zajdzie taka potrzeba. To jest inaczej niż ze stadem koni czy krów. Jak się idzie za prędko, owce są niespokojne i przestają skubać trawę, nawet na dobrych pastwiskach, i chudną. Ale można popędzać owce lak łagodnie, że w końcu im się zdaje, że chcą tego, czego my chcemy, żeby chciały. Będziemy tak szli za nimi, dopóki nie przejdziemy Jornada Seca, tej suchej okolicy, gdzie trawa jest skąpa, a wody wcale nie ma i którą idzie się cały długi dzień do późna w nocy. Wtedy wysuniemy się na przód. Stado zrozumie, że dobre pastwiska są już blisko i zacznie się śpieszyć. Może poczuje zapach zielonej trawy na stokach wzgórz. A może Teresa, Maria i Juanita przypomną sobie zeszły sezon, a co one będą wiedziały, stado w lot zrozumie, każda owca. Ale jak pośpiech za duży, nie najedzą się dość po drodze. Będziemy szli przodem i nie pozwolimy im się śpieszyć...

II

Stary Ramon siedział na derce równo rozłożonej na ziemi, tuż obok przygasających głowni niewielkiego ogniska. Opierał się plecami o czerwony głaz, który majaczył za nim, zwalisty i czarny w mętnym mroku, pod rozświetlonym gwiazdami niebem. Stary brązowy pies — niewyraźny ciemny kształt na ziemi — leżał u jego stóp, z pyskiem na wyciągniętych przednich łapach zwróconym w stronę owiec, które poukładał się do snu tworząc nieforemny, szarawy, gruzłowaty krąg na z rzadka porosłej krzakami płaszczyźnie. W odległości trzydziestu stóp tryskało źródełko ze szczeliny na skalnym zboczu; wijąca się struga spływała w dół tworząc małą sadzawkę, i której piły owce. Chłopiec przycupnął nad brzegiem strugi i wyszorowawszy piaskiem cztery cynowe talerze i dwa cynowe kubki płukał je teraz w czystej wodzie. Miody czarny pies był tuż obok i obserwował każdy jego ruch.

Chłopiec zaniósł talerze do ogniska i położył je na ziemi Czarny pies szedł za nim krok w krok.

— Chyba nie gorzej myję naczynia niż ktoś, kto przygotowuje tutaj jedzenie — oznajmił chłopiec.

— Jest jeszcze rondel i garnek po kawie — powiedział Stary Ramon.

Chłopiec rzucił mu szybkie spojrzenie, przeszedł w pośpiechu na drugą stronę ogniska po rondel i garnek, i wrócił z nimi nad strumień. Czarny pies dreptał za nim krok w krok.

Chłopiec zbliżył się znów do ogniska i postawił rondel i garnek na ziemi obok talerzy i kubków.

— Miejsce na takie rzeczy jest w worku — powiedział Stary Ramon.

Chłopiec wyprostował się i spojrzał na niego. — Po co je chować? Przecież rano będą nam potrzebne.

— Zawsze trzeba wszystkie rzeczy kłaść na miejsce — wyjaśnił Stary Ramon. — Bo jak trzeba będzie szybko zwinąć obóz, wszystko jest gotowe.

Chłopiec spuścił wzrok i rozgrzebywał butem ziemię. Schylił się powoli, zebrał naczynia, podszedł do juków leżących na ziemi obok uwiązanego osła i umieścił je w spłowiałym worku po mące. Sięgnął po derkę, wrócił z nią do ogniska i rozłożył na ziemi. Usiadł na derce i skrzyżował nogi, a czarny pies wyciągnął się obok i położył łeb na kolanach chłopca.

— Tak - mruknął Stary Ramon. — Tak. To już załatwione.

— Naczynia? — spytał chłopiec.

— Nie — odparł Stary Ramon. — Jakie tam naczynia. Chodzi o psa. Wczoraj Sancho był moim psem. On jest po Hugonie mojego kuzyna Homera, z suki Nicole, co ją ma jeden Fidel Hernante. Dostałem go od Fidela, bo był mi winien pieniądze za trzy owce, jeszcze od tamtej ostrej śnieżnej zimy, kiedy życie było takie ciężkie i brakowało mięsa. Fidel przyprowadził go do mnie. „Zapomniałem już o tych owcach” — powiedziałem mu. — „Zresztą mam mojego Pedro”. „A ja nie zapomniałem” — on na to. — „Nie mam owiec i nie mam pieniędzy. Mam tylko dużo dzieci. Ale moja suka Nicole też miała dzieci i przyprowadziłem ci jedno”. Co człowiek ma robić, jak drugi człowiek chce spłacić dług dla spokoju sumienia?... Tak, wczoraj ten Sancho należał do mnie. Jeszcze dziś rano należał do mnie. Ale dziś wieczorem to już twój pies.

— Mój pies? — zdziwił się chłopiec.

— Ma się rozumieć. Tak postanowił.

— Chcesz powiedzieć, że jest mój na własność?

Stary Ramon trzepnął dłonią po derce. — Ma się rozumieć. Ramon nie rzuca słów na wiatr. Co dobry pies postanowi, na to mądry człowiek się zgadza...

Żarzące się węgle ogniska bladły i gasły powoli, chłopiec drapał czarnego psa po łbie i delikatnie ciągnął go za uszy. Stary Ramon poruszył się na swojej derce.

— Pedro — powiedział. Brązowy pies podniósł łeb i spojrzał na swego pana. — Pedro. Już czas. Idź do stada. — Brązowy pies wstał i odszedł w ciemność Stary Ramon przeniósł wzrok na chłopca.

— Nie mógłby zostać ze mną? — spytał chłopiec.

— Jego miejsce jest przy owcach.

Chłopiec wstał powoli. — Idź, Sancho. Idź do owiec. — Czarny pies odbiegł, ale zaraz wrócił i zaczął lizać chłopca po ręce.

Stary Ramon uderzył ręką w koc. — Trzeba go zmusić do pójścia!

Chłopiec odsunął się od czarnego, psa. Tupnął. — Sancho! Idź do owiec!

Czarny pies odszedł, ale zaraz przystanął i obejrzał się, i zaskowyczał cichutko, a potem znowu ruszył przed siebie i zniknął w ciemnościach.

Stary Ramon zsunął się powoli i równo wyciągnął na derce. Zarzucił na siebie najpierw jeden jej brzeg, potem drugi. Chłopiec wpatrywał się w ciemność, w której zniknął czarny pies. Położył się niespiesznie i otulił derką.

Chłopiec zmieniał pozycję na ziemi i wiercił się pod swoją derką. Kiedy Stary Ramon przemówił spod grubego okrycia, głos jego miał brzmienie

stłumione. — A jakże, ziemia jest twarda. Ale zobaczysz, że co noc robi się miększa...

Chłopiec wywiercił sobie w miękkim piasku pod derką dwa dołki na kości biodrowe. Leżał teraz bez ruchu. Znowu rozległ się głos Starego Ramona. — Nie wiem jeszcze, czy będzie z niego dobry pies do pilnowania owiec. Ale widzi mi się, że już jest dobrym psem do zabawy dla jednego chłopca...

III

Stado sunęło naprzód w cieple porannego słońca. Owce skubały trawę i ruch ich był przy tym powolny, zmienny, jakby niepewny, a małe gromadki zostawały w tyle i nagle w podskokach doganiały resztę. Z obu stron dreptały psy, od czasu do czasu zatrzymywały się, przysiadały z wywieszonymi ozorami i po chwili znowu ruszały przed siebie. A za stadem szedł Stary Ramon wywijając kijem w rytm długich, niespiesznych kroków, obok zaś chłopiec prowadzący osła.

— Teraz już wiem — rzekł chłopiec — że jak się wypasa stado, trzeba strasznie dużo chodzić po słońcu.

— Ano trzeba, nie inaczej — przyznał Stary Ramon. — Zawsze tak jest w drodze. Ale jak wejdziemy na wzgórza, będziemy mieli cień większych drzew i długie dni popasów na jednym miejscu.

Stary Ramon będzie sobie siedział i przyglądał się owcom, jak nabierają ciała i obrastają dobrym runem, i będzie myślał o długich latach swojego życia. I pewnie będzie się przyglądał jednemu chłopcu, jak baraszkuje z jednym psem...

Owce szły naprzód. Teren opadał teraz stopniowo, aż hen, ku dalekiej, krętej linii czerwonawych skarłowaciałych wierzb i pojedynczo rosnących wysokich topoli.

— Teraz trzeba nam się będzie przeprawić przez tę rzeczkę — powiedział Stary Ramon. I trzeba nam będzie bardzo uważać. Nic tak nie pokazuje głupoty owiec jak woda. Znalem kiedyś stado, co prawie wariowało z pragnienia, a nie chciało pić z sadzawki, jedynej na wiele, wiele mil, i z dobrą wodą, bo przed nim było tam inne stado i zostawiło swój zapach. A przecież to samo stado będzie piło z innej sadzawki i ani się spostrzeże, że dopiero co piły tu inne obce owce. Słyszałem o stadach, co traciły dużo owiec, bo się wyrywały i gnały na łeb, na szyję do wody i nikt ich nie mógł zatrzymać, chociaż każdy wiedział że ta woda nie jest do picia. A jak trzeba się przeprawić przez wodę — strumień czy rzeczkę — o, wtedy nic nie wiadomo! Może stado przejdzie jakby nigdy nic, ot, pochlapie się trochę w wodzie. Może się też uprzeć i zawrócić, i wtedy bieda! Będziemy tu mieli dobry bród, nie za szeroki i dobry, z wodą nie za głęboką i nie za wartką. Ale co tam można wiedzieć...

Stary Ramon zatrzymał się i oparł na swoim kiju. — Już czas. Zawołaj psa.

Chłopiec włożył dwa palce do ust i gwizdnął. Czarny pies zawrócił i przybiegł do niego w podskokach.

— Ładnie — pochwalił Stary Ramon. — Ale musisz go nauczyć, jak to jest z tym gwizdaniem. Na jeden gwizd ma spojrzeć i zobaczyć, co od

niego chcesz. Na dwa ma przybiec do nogi... A teraz przywiąż osła do tych krzaków i czekaj tu. Zobaczysz, jak Stary Ramon i jego Pedro przeprawiają owce przez bród.

Stary Ramon ruszył naprzód wywijając kijem w rytm długich kroków i nagle zagwizdał na palcach, a wtedy brązowy pies zatrzymał się i obejrzał na niego. Teraz Stary Ramon wyciągnął rękę przed siebie szerokim, zamaszystym ruchem i zaraz ją cofnąwszy przyłożył dłoń do piersi. Na ten znak brązowy pies pobiegł na czoło stada, pomiędzy owce, i niski, opadający brzeg potoku odległego może o pięćdziesiąt stóp, zmusił przewodniczki do zatrzymania się, i zaczął obiegać stado trzymając je w miejscu, gdy tymczasem z tyłu nadciągały tłocząc się ostatnie szeregi owiec. Stary Ramon przeszedł na czoło stada i szturchając, dźgając, popędzając kijem oddzielił i wypchnął do przodu sześć owiec i pognał je w kierunku wody. Pozostałe zwierzęta stały w zwanej gromadzie, czujne, nogami mocno wpierały się w ziemię, broniły przed naporem tylnych szeregów, patrzyły przed siebie nieruchomo, obserwowały. Brązowy pies zostawił je tak, stłoczone i zapatrzone w bezmyślnej głupocie, i pognał do Starego Ramona; sześć owiec stało nad brzegiem rzeczułki wąchając płytką, bystrą wodę, która z głośnym pluskiem toczyła się po małych głazach i kamykach. Owce cofnęły się od brzegu i usiłowały zawrócić.

— A jakże — powiedział Stary Ramon. — Będą dzisiaj uparte.

Jedna z owiec nad brzegiem rzeczułki odbiegła i stary pies - brązowa smuga na tle różowopłowej ziemi - dogonił ją i przyprowadził z powrotem, a tymczasem reszta stada przyglądała się, obserwowała. Łagodnie, łagodnie, ale stanowczo stary pasterz z pomocą brązowego psa napierał, popychał i w końcu zmusił sześć owiec, by obróciły się znowu w kierunku wody. I nagle Stary Ramon podniósł prawą rękę i wskazał na jedną z nich, na Juanitę, a wtedy brązowy pies jednym długim susem skoczył jej na zad i zepchnął do wody. Potknęła się, odzyskała równowagę i zaczęła brnąć przez potok, a Stary Ramon znowu dał psu znak i następna owca była w wodzie. Wtedy pozostałe ruszyły za nimi.

Stary Ramon wszedł do wody, która zawirowała mu wokół kolan, i zaczął popędzać owce; zaraz też Juanita ociekając wodą wyszła na drugi, niski, łagodnie wznoszący się brzeg, i jakby zapomniawszy o wodzie dopiero co przebytej i wciąż z niej spływającej, opuściła łeb w poszukiwaniu pożywienia, a inne owce poszły jej śladem.

Stary Ramon wrócił na bliższy brzeg, a tymczasem brązowy pies biegł już do reszty stada i dopadłszy je z boku naparł na owce stojące na przedzie. Nie trzeba było zmuszać ich do ruchu. Stado zobaczyło tamte sześć owiec na przeciwległym brzegu rzeczułki i zapragnęło być z nimi, więc bez namysłu ruszyło przed siebie, przy czym pierwsze szeregi weszły do wody, jakby jej tam w ogóle nie było, a reszta poszła za nimi. Stary Ramon z jednej, a brązowy pies z drugiej strony starali się zwierać szeregi owiec i spychać je w kierunku brodu.

Tymczasem chłopiec stał na wzniesieniu i obserwował, a czarny pies, cały rozdygotany z niecierpliwości, tulił się do jego nogi.

— Musimy tu czekać — powiedział chłopiec. — Tak nam kazano. — Stał wyprostowany i patrzył na trzysta sztuk owiec płynących szerokim strumieniem, który zwężał się w dół ku brodowi, i na starego człowieka i

starego psa pracujących w milczeniu, napięciu i z pewnością, jaką daje wiedza i lata doświadczeń.

Na końcu siada byli maruderzy — owce zawsze spóźniające się, powolne w ruchach, urodzone guzdrały, Stary Ramon dał chłopcu znak ręką, żeby je przyprowadził.

— Teraz nasza kolej, Sancho! — zawołał chłopiec i już biegł do gromadki marudzących owiec, a czarny pies, podniecony i szczęśliwy, wyprzedził go w kilku długich susach i natarł na owce, szczypiąc je lekko zębami, a one podskoczyły przestraszone i pobiegły za stadem.

Ale czarny pies — zbyt przejęty, zbyt gorliwy i podniecony — zaczął szczekać przeraźliwie i chwytać zębami za mocno, i gromadka spóźnionych owiec wpadła na stłoczone ostatnie szeregi stada, które nie przeprawiły się jeszcze przez rzeczkę; te z kolei, przestraszone, rozbiegły się w obu kierunkach wzdłuż brzegu, a niektóre w panice skakały przed siebie i wpadały na owce będące jeszcze w wodzie. W rzece aż się zakotłowało, tyle było przepychania się i potykania na niepewnym kamienistym dnie.

— Hola! — wrzasnął Stary Ramon. Krew napłynęła mu do pokrytej bliznami twarzy, twarzy rozbójnika, Głos trząsł się z gniewu. — Co za głupiec! Przytrzymaj go!

Chłopiec rzucił się za czarnym psem — wołał, wymachiwał rękami i w końcu schwytał go i przypadł z nim do ziemi wczepiwszy palce w gęste futro na karku. Spojrzał w górę i zobaczył Starego Ramona uwijającego się w pośpiechu, skaczącego na starych niezmordowanych nogach, z długim kijem w wyciągniętej ręce i zobaczył starego psa, niczym brązową smugę, tu i tam, i wszędzie. Pasterz i pies dopędzali, zawracali, zgarniali rozpierzchłe owce kierując je do brodu.

— Na Boga miłego! — wrzasnął Stary Ramon. Wśród tej kotłowaniny dwie przewrócone owce zostały w rzece i teraz prąd unosił je, szamocące się bezradnie, ku rozlewisku. Nie wydając głosu, jak to zawsze owce, kiedy im coś zagraża, walczyły młócąc wodę przednimi nogami i wysuwając łby nad powierzchnię, chociaż ciężkie, mokre runo ciągnęło je do dna.

Stary Ramon cisnął precz kij, zrzucił kapelusz, pobiegł do rozlewiska i wszedł w nie stawiając długie kroki. Woda sięgała mu do pasa, nawet do ramion. Schwycił jedną z owiec i rzucił ją przez wodę na bliższy brzeg, i potem podparł od tyłu i owca wydźwignęła się na piach. Wtedy obrócił się ku drugiej. Już tylko jej nos wystawał nad powierzchnią, ale i on znikał powoli Stary Ramon zbliżył się do tonącej owcy, dał nura i po chwili wychynął z wody trzymając zwierzę pod pachą i zaczął brnąć do brzegu. Szedł z bezwładną owcą przewieszoną przez ramię do miejsca, gdzie brzeg był najniższy, a tam pchnął ją na suchą skarpę i sam wyczołgał się z wody. Wciąż na kolanach, położył owcę łbem w dół stoku. Oczy miała zamknięte, woda wyciekała jej z pysk Naciskał ją i ugniatał dużymi, sękatymi, doświadczonymi dłońmi. Jeszcze trochę wody wyciekło jej z pyska, otworzyła oczy, potrząsnęła słabo głową, nogi zaczęły nieznacznie drgać i nagle dźwignęła się z ziemi, zrobiła kilka chwiejnych kroków i odeszła.

Stary Ramon podniósł się z ziemi. Ustami z trudem łapał powietrze. Ociekał wodą, która tworzyła kałużę wokół jego sfatygowanych ciężkich buciorów, Spojrzał na stado. Skubało trawę na łagodnym stoku wznoszącym się od rzeki ku równinnym terenom powyżej, znowu

uformowane jak prawdziwe stado; dwie uratowane owce już się do niego zbliżały, a wierny brązowy pies stal na straży, trzymał je w miejscu, czekał. Stary Ramon obrócił głowę. W odległości piętnastu kroków chłopiec stał wyprostowany, nieruchomy, Nogi miał jeszcze mokre po wyjściu z rzeczułki. W jednej ręce trzymał postronek osła, w drugiej kapelusz i kij Starego Ramona. Czarny pies przywarł do jego nogi, trochę wystraszony i zawstydzony.

— A niech to! — wykrztusił stary Ramon łapiąc ustami powietrze. — Byłem głupi, że wziąłem ze sobą tego głupca!

— Bardzo nam przykro — powiedział chłopiec. Wyprężył się jeszcze bardziej. — Ale z nim jest jak ze mną. Musi się nauczyć.

— Nauczyć się! — wybuchnął stary Ramon. — Pies musi się z tym urodzić... tak samo jak człowiek!

Chłopiec wbił wzrok w ziemię u swoich stóp. Ramiona mu obwisły, wydawało się, że nagle zmalał. Rozgrzebywał nogą ziemię, nie podnosił oczu. — Wrócę z nim — powiedział w końcu. — Wezmę jedzenie i będę szedł tą samą drogą, którą przyszliśmy tułaj. Robimy ci tylko kłopot i przeszkadzamy w pracy.

Stary Ramon stał bez ruchu, podnosiła mu się jedynie i opadała pierś, łaknąca powietrza. Obrócił głowę i spojrzał w dal, tam gdzie rzeczka niosła swe wody ku rozległym pastwiskom i ginęła opływając odległe pasmo niskich wzgórz. Ostatnie krople spłynęły już z niego, ciepłe słońce osuszyło mu twarz, a on wciąż stał ze wzrokiem utkwionym w rozległych pastwiskach. — Tak — przemówił cichym głosem. — Starość robi swoje. Całkiem już zapomniałem, jak to jest, kiedy się jest młodym.

Podszedł do chłopca. Wziął od niego kapelusz i włożył go na bakier. Wziął kij, stuknął kilka razy o ziemię i oparł się na nim. — Dość tego bajdurzenia o kłopotach. Co z tego, że się trochę pochlapałem! To była kąpiel. Niektórzy mówią, że owczarz nigdy się nie kąpie, nie zamoczy porządnie w wodzie, póki mu owca nie wpadnie do rzeki i nie musi jej wyciągać. Wyszło na to, że Ramon wykąpał się wreszcie, jak należy. — Spojrzał na stado, włożył dwa palce do ust i zagwizdał raz i drugi. Brązowy pies okrążył stado i zaczął biec do swego pana. Stary Ramon zwrócił się znów do chłopca wskazując kijem na długi stok, wznoszący się łagodnie nad rzeczką. — Widzisz te płaskie skały o stromych ścianach... tam, na południowym zachodzie?

— Widzę — odparł chłopiec.

— Tam idziemy. Prosto w ich kierunku, a potem okrążymy je od lewej.

Tymczasem brązowy pies zbliżył się, usiadł i spojrzał w górę na starego pasterza.

— Pedro — rzekł Stary Ramon wskazując na chłopca. — Ten tu będzie jakiś czas twoim panem. Masz robić, co ci każe.

Chłopiec wyprostował się, wybałuszył oczy na Starego Ramona.

— Kiedy... kiedy ja nie rozumiem...

Stary Ramon wyciągnął rękę, żeby wziąć postronek, na którym chłopiec prowadził osła. — Po mojemu ten się uczy, kto robi. Poprowadzisz stado, jak powiedziałem. Ty i mój Pedro... i twój Sancho. Ruszysz ze stadem w należytym kierunku i będziesz je poganiał, ale łagodnie, łagodnie. A ja sobie tu usiądę, wyleję wodę z butów, bo mi chlupie między palcami, i może troszkę sobie odpocznę. Potem was dogonię.

Chłopiec stał wyprostowany, nieruchomy. Zobaczył, że brązowy pies patrzy teraz na niego. Zobaczył, że Stary Ramon podaje mu kij. Wziął kij. Nie był dość wysoki, żeby oprzeć się rękami na gładkiej gałce u góry, ale zacisnął dłonie niżej. Spojrzał na brązowego psa, skinął głową i brązowy pies pobiegł w stronę stada, a widząc to czarny pies skoczył za nim, ale nie uprzedzał go, tylko cały czas trzymał się z tyłu Teraz chłopiec ruszył a nimi wywijając kijem w rytm długich, niespiesznych kroków.

Stan Ramon okręcił sobie postronek osła dokoła ręki, usiadł na stoku i zaczął ściągać jeden sfatygowany but. — A jakże — mruczał cicho. — Jestem stary. Zapomniałem.

IV

Słońce stało nisko nad zachodnim horyzontem, dotykało wierzchołków gór. Jego ukośne promienie przecinały rozległy krajobraz, muskały go swawolnie, zsyłały błogosławieństwo na długie, falujące stoki, pozostawiając między nimi świetliste zagłębienia. Ostatnie owce poiły się w sadzawce u osłoniętego od wiatrów podnóża niewysokiej skały. Stary Ramon, wsparty na kiju, przyglądał im się stojąc nieopodal. Teraz zbliżył się do nich i zaczął je popędzać w kierunku stada odpoczywającego w niewielkiej odległości. Wrócił nad sadzawkę, gdzie chłopiec zdjął tymczasem juki, uwiązał osła i zaczął rozpalać małe ognisko.

— Jakiś czas poskubią trawę — rzekł Stary Ramon. — A potem ułożą się do snu. Nie rozbiegną się daleko. Pedro ich dopilnuje. — Przeniósł wzrok na schylone plecy chłopca. — I twój Sancho.

Chłopiec zadarł głowę i rzucił mu szybkie, pełne wdzięczności spojrzenie.

— Sancho dobrze się dzisiaj spisywał. Ale powiedz, dlaczego maszerowaliśmy w takim pośpiechu od wczesnego popołudnia?

— Żeby zdążyć na czas do tego wodopoju — odparł Siary Ramon. — Mam coś do zrobienia, zanim się ściemni zupełnie. — Podszedł do miejsca, gdzie leżały juki, i wziął jeden z postronków, którymi były przymocowane. Wrócił do ogniska. — Nie spostrzegłeś dzisiaj w drodze czegoś dziwnego?

— Spieszyliśmy się. To wszystko.

— A nie widziałeś, co z Marią? Jak podrygiwała, skubała się zębami po boku? Jak się czochrała o krzaki? Jak się próbowała ocierać o kamienie?

Stary Ramon oddalił się w stronę stada. Wrócił po chwili, prowadząc Marię na postronku uwiązanym dokoła szyi. Nagle schylił się, podsunął ramiona pod jej nogi, szarpnął je do siebie i owca zwaliła się na bok z cichym pomrukiem. Błyskawicznie oplótł postronkiem nogi zwierzęcia i mocno go ściągnął. Owca szamotała się jakiś czas, ale potem leżała już spokojnie, z wybałuszonymi oczami, zwyczajem owiec nie wydając z siebie głosu.

Stary Ramon znowu podszedł do juków i zaczął przewracać zawartość worka dotąd nieotwieranego, w którym mieścił się niewielki namiot i trochę jego osobistych rzeczy; przymocowana do tego worka była też jego jednostrzałowa fuzja. Po chwili wrócił niosąc starą fajkę z krótkim cybuchem, mały woreczek tytoniu i mały kawałek pustej w środku trzciny.

— Obiecałem sobie — powiedział — że nie tknę tytoniu, póki nie wejdziemy w góry. Fajka to wierny przyjaciel wieczorami przy ognisku. Ale zawsze taki ze mnie łakomczuch, że zanim się skończy wypas w górach, nie mam już ani źdźbła tytoniu. Obiecałem sobie, że będę czekał. Ale teraz tytoń jest nam potrzebny.

Starannie napełnił fajkę, wyjął z ognia płonącą szczapę, przytknął ją do lulki i ciągnął mocno, póki nie buchnęły gęste kłęby dymu. Rzucił szczapę z powrotem do ognia i z fajką w ustach ukląkł przy Marii Zręcznie, pewnymi ruchami starych, sękatych palców, zaczął przeszukiwać krótkie, gęste runo na boku zwierzęcia.

— A jakże, jest — powiedział Stary Ramon. — Podejdź, to zobaczysz.

Chłopiec zbliżył się, ukląkł obok i przytknąwszy głowę do głowy Starego Ramona wbił wzrok w gęste runo. A tam w maleńkim zagłębieniu, gdzie stare palce rozsunęły kędziorki wełny, zobaczył na gołej skórze małą, ciemną i w jakiś sposób obrzydliwą plamkę, która wcale nie była plamką, bo ruszała się niemrawo na wielu maleńkich nóżkach i odpełzła, znikając w wełnistej gęstwinie.

— Tak — mruknął Stary Ramon. — Kleszcze. Owcze kleszcze, Ten jest młody. Ale gdzieś jest tez stary, który narobił już dużo tych młodych. Musimy się ich pozbyć, zanim przeniosą się na inne owce.

Chłopiec usiadł na ziemi i obserwował, a tymczasem Stary Ramon przesunął fajkę w kącik ust, a w drugi kącik wetknął kawałek trzciny. Pociągnął mocno z fajki, palcami rozwarł w jednym miejscu wełnę, pochylił się niżej i wydmuchał dym przez trzcinę prosto na to zagłębienie. Szybko zsunął z powrotem wełnę i przykrył dłonią. Czekał chwilę, a potem znowu rozsunął wełnę trochę dalej, w odległości może cala, znowu pociągnął z fajki, pochylił się niżej, wydmuchał dym na to drugie miejsce i znowu zsunął wełnę. Uniósł głowę i przemówił do chłopca przez zęby zaciśnięte na cybuchu fajki i na trzcinie.

— W dymie tytoniowym jest takie coś, co zabija kleszcze. Muszę teraz okadzić prawie całą jej wełnę. Może tymczasem zobaczymy, jaki z ciebie kucharz...

Słońce zachodziło za górami i płomieniste smugi strzeliły spoza nich w niebo i ugrzęzły refleksami ognia na kilku obłokach sunących pogodnie po ciemniejącym, fioletowiejącym błękicie nieba. Wieczorny zmierzch spłynął na rozległą krainę. Stary Ramon klęczał przy Marii, przeszukiwał dymem z fajki jej gęstą zmierzwioną wełnę. Chłopiec krzątał się przy ognisku.

Stary Ramon rozsupłał sznur pętający Marię, wstał z klęczek. Chwilę leżała nieruchomo, nagle poderwała się i pobiegła w kierunku stada. Stary Ramon podreptał za nią. Wrócił niebawem w gęstniejącym mroku do miejsca, gdzie jarzył się cudowny mały krąg ogniska; oba psy szły tuż za nim.

— Owce pokładły się do snu — powiedział. — Rade odpocząć po tym całym dniu popędzania. A teraz, co tu dużo gadać, jesteśmy głodni. Ramon i jego Pedro, i twój Sancho. — Podszedł do juków i schował fajkę, tytoń i kawałek pustej trzciny. Sięgnął po strzelbę, wsunął nabój w zamek i oparł ją o juki w miejscu, gdzie w razie potrzeby łatwo było po nią sięgnąć. Następnie wrócił do ogniska.

Chłopiec nakładał duszoną fasolę z suszonym mięsem na cztery cynowe talerze — jeszcze dokładka mięsa i łyżka fasoli. Spojrzał w górę.

— Jestem z siebie średnio zadowolony — powiedział. — Dałem za dużo czerwonego pieprzu.

— Za dużo czerwonego pieprzu? — zdumiał się Stary Ramon. — Nigdy nie jest za dużo czerwonego pieprzu. To jeden z darów, jakie dobry Bóg ofiarował swoim dzieciom. Wypala w człowieku choroby. Powoduje silne pragnienie, przez co człowiek musi pić dużo wody, co w tym kraju powinien robić. I jak żadna inna rzecz oczyszcza gardło z kurzu. Za dużo czerwonego pieprzu! Nie ma o czym mówić...

Czas płynął leniwie. Dwa psy wylizały do czysta talerze i podreptały do sadzawki, a odgłos ich chłeptania niósł się wyraźnie w bezruchu pierwszych chwil nocnej ciszy. Psy wróciły i położyły się, brązowy przy Starym Ramonie, czarny obok chłopca. Stary Ramon i chłopiec siedzieli przy ognisku i jedli milcząc, co jest dowodem dobrego apetytu. Stary Ramon sprzątnął wszystko z talerza i postawił go obok na ziemi, dopił trzeci kubek czarnej kawy i postawił go na talerzu. Chłopiec też już skończył, odłożył talerz na ziemię i umieścił na nim kubek. Stary Ramon sięgnął do kubka, stuknął nim kilka razy o talerz i spojrzał na chłopca.

W blasku płomieni chłopiec wytrzymał śmiało jego wzrok. — Przygotowałem jedzenie.

Stary Ramon trzepnął dłonią o ziemię. — A ja miałem ręce pełne roboty z tymi kleszczami. — Podźwignął się na nogi. — Taką rzecz można rozstrzygnąć tylko w jeden sposób. Rzucimy monetę. — Zaczął grzebać w kieszeni workowatych starych spodni, tak połatanych, że niewiele już pozostało z pierwszego materiału — same łaty na łatach. Wyciągnął mały metalowy krążek, który zalśnił w blasku ogniska, bo metal był wypolerowany od ciągłego ocierania się o sukno kieszeni.

— Moja reszka — powiedział Stary Ramon. Rzucony w górę pieniążek zawirował, Stary Ramon schwycił go prawą ręką w powietrzu i przyklepał na lewym nadgarstku. Spojrzał. — No i reszka. Widzisz? — Wyciągnął rękę, chłopiec też spojrzał na pieniążek.

Powoli chłopiec wstał i zebrał naczynia. Obrócił się w stronę sadzawki, której woda, gładka teraz i niezmącona, połyskiwała w mglistym mroku, kiedy Stary Ramon nagle przemówił, cicho i z chichotem w głosie.

— Panno Święta! Nie mogę tego zrobić. Komuś, kto się uważa za takiego mądralę, jak mój kuzyn Pablo... owszem. Ale synowi mojego patrona... nie. Patrz! — Wyciągnął rękę trzymając pieniążek i obracał go powoli w palcach. Obie strony były jednakowe.

Stary Ramon wsunął monetę z powrotem do kieszeni i wziął naczynia z rąk chłopca. — Wcale nie było za dużo czerwonego pieprzu. Ale było dość. Było dość nawet dla Starego Ramona. Kiedy będziemy już w górach, pokażę ci, jak owczarze pieką chleb. Jest taka sztuczka, żeby się chleb porządnie wypiekł, od góry i od spodu, na patelni nad ogniskiem. — Powędrował do sadzawki.

V

Przed nimi rozpościerała się równina, spieczona i jałowa, pozornie płaska, ale poprzecinana nieregularnymi korytami piaszczystych, płytkich i wyschłych strumieni o brzegach gdzieniegdzie porosłych kępami upartych

krzaków kreozotowych, których nie zmoże nawet pustynna spiekota. W oddali wzbijał się od czasu do czasu słup piasku i natychmiast niknął. Stado odpoczywało, a raczej znosiło cierpliwie nieustanny napór południowego żaru; owce stały w małych gromadkach, jedna wsuwała łeb pod brzuch drugiej chroniąc się przed oślepiającym blaskiem. Osioł stał nieruchomo, z zamkniętymi oczami — cierpliwy dzięki nauce, jakiej życie udzieliło całemu oślemu rodzajowi: że czekać i przetrzymywać to znaczy żyć. A Stary Ramon z chłopcem i dwoma psami siedzieli na ziemi w skąpym cieniu derki rozpiętej na czterech patykach wbitych w ziemię.

Chłopiec przesuwał językiem po spieczonych wargach. Wydawało się, że drży lekko w tym upalnym, nieruchomym powietrzu pod rozpiętą derką.

— Nie wiedziałem, że słońce może być takie. Chyba go się trochę boję.

Stary Ramon przyjrzał mu się uważnie. Zobaczył, że oczy chłopca są rozwarte szerzej niż zwykle i ich spojrzenie jest jakby szkliste. Trzepnął mocno dłonią w piaszczysty grunt obok siebie.

— Że może być takie? Śmiechu warte! Jeden dzień tylko i do wieczora, a będziemy w chłodnym cieniu wzgórz. Dopiero jak jest dzień po dniu bez żadnej zmiany, tylko pustynia i słońce, i ani kropli wody... dopiero wtedy ludzie i owce wiedzą, co znaczy być o krok od wariactwa. Ja to znam. Byłem z ojcem twojego ojca, kiedy przepędzał stado, wielkie stado, na zachód do Kalifornii.

Wzrok chłop nie wydawał się już szklisty i nieruchomy. Zaciekawiły go słowa Starego Ramona. Żar napierający na jego ciało już nie odrętwiał umysłu.

— Opowiedz — poprosił.

— Opowiem ci — zgodził się Ramon. — O, to był mężczyzna na schwał, ten ojciec twojego ojca. Nie był z gruba ciosany i tłusty jak Ramon. Był szczupły i trzymał się prosto jak struna, a czego Ramon nie mógł zrobić siłą. on mógł zrobić rozumem. Obaj byliśmy młodzi i zdawało nam się, że nie ma na świecie takiej rzeczy, której byśmy nie potrafili zrobić. Szliśmy we dwóch i mieliśmy trzy psy. Wypłaciliśmy się kilkoma owcami Indianom, bo przez ich ziemie prowadziła droga, i parę tygodni wszystko szło jak należy, aż wreszcie przeprawiliśmy się przez rzekę, co ją nazywają Colorado, i byliśmy z siebie bardzo dumni. Jednego dnia doszliśmy do pustyni Mojave. Popasała tam gromadka Indian, więc zaczęliśmy z nimi rozmawiać na migi i oni narysowali nam mapę na piasku i zaznaczyli miejsca wodopoju, więc też zaraz ruszyliśmy dalej. Trzeba było mocno poganiać owce, bo czekał nas szmat drogi Po dwóch dniach marszu na sucho dotarliśmy do pierwszego wodopoju, wody nie było dużo, ale starczyło dla wszystkich. Znowu dwa dni marszu i doszliśmy do drugiego wodopoju i tu wody było mało, bardzo mało, ledwie wystarczyło. Mówiliśmy, że może lepiej zawrócić, aleśmy nie zawrócili. A jakże, byliśmy młodzi i odważni, i bardzo durni. Poszliśmy dalej. Przy następnym wodopoju, a droga tam trwała trzy dni, było trochę tylko wilgoci, na dnie, więc musieliśmy kopać doły i powstrzymywać owce, i czekać, aż woda napłynie do dziur, a napływała powoli, bardzo powoli. Znowu mówiliśmy, że może lepiej zawrócić, ale teraz droga za nami była tak samo długa jak przed nami. No to poszliśmy przed siebie. Przy następnym wodopoju, po dwóch dniach marszu, nic było ani kropli wody. Na nic się zdało kopanie. Co mieliśmy robić. Szliśmy dalej. Nie wiem, ile dni. Woda, cośmy ją nieśli,

skończyła się i owce padały po drodze. Szliśmy jak ludzie, co to sami nie wiedzą, że idą we śnie, i jeden pies znikł, a drugi padł, a myśmy się nawet nie zatrzymali, żeby go pogrzebać. Ostatniego dnia, a był to ostatni, bo dłużej iść nie dalibyśmy rady, zobaczyliśmy daleko, daleko u podnóża niskich pagórków, że coś się zieleni, a gdzie zieleń, tam woda. Było przed nami wiele mil, więcej, niż nam się zdawało. Zapomnieliśmy o wszystkim i tylko pozostała w nas myśl o wodzie. Zataczaliśmy się i potykali, i co rusz padali, i to on mnie podnosił, to znowu ja jego i widzi mi się — pewien to ja nie jestem, bo przez to szaleństwo trudno coś pamiętać — że w końcu zarzuciłem go sobie na plecy i pełzłem z nim jak zwierzę. Dotarliśmy do wody, to była struga... jednym krokiem przeszedłbyś na drugi brzeg... wypływająca z pagórków i zaraz niknąca w piachu. Bogu Najwyższemu dzięki! Nie byliśmy jeszcze dość obłąkani, żeby pić szybko, bo wtedy łapią człowieka kurcze i już po nim... Kiedy doszliśmy do siebie, przypomniały się nam owce. Pomyśleliśmy, że wrócimy i uratujemy, co się da. Ale nie musieliśmy wracać. Stado było tuż obok, owce — ile ich tam zostało — tłoczyły się nad brzegiem strumienia. Pies, ten jeden pies, co został, przyprowadził je nad wodę. — Stary Ramon trzepnął ręką o ziemię. — Ach, to był pies jakich mało. Ojciec tego, który był ojcem Pedra.

Słysząc swoje imię stary brązowy pies, leżący u wyciągniętych nóg Starego Ramona, podniósł łeb i spojrzał na niego.

— Ej, Pedro — rzekł Stary Ramon. — Przecież wiesz. To krew jego krwi płynie w twoich żyłach.

Chłopiec spojrzał na brązowego psa i szybko przeniósł wzrok na czarnego psa, który leżał u jego wyciągniętych nóg, i schyliwszy się pogłaskał go.

— I co dalej? — spytał.

— Ano ruszyliśmy w drogę. Poszliśmy do osad górniczych w wysokich górach, w Sierra Nevada, gdzie ludzie mieli dużo złota i mało mięsa. Owce były chude i marne, ale przyniosły kupę pieniędzy. Należały do twojego dziadka, a ja byłem wynajęty tylko do pomocy. Ale jak dostał pieniądze, podzielił je na dwie równe części i kazał mi wziąć jedną. Ach, to był człowiek, jakich mało, ten ojciec twojego ojca. Kiedy wróciliśmy, kupił za swoją część pieniędzy owce, dużo owiec. A jak umierał po upadku z konia, był dziedzicem całą gębą i pracowało u niego wielu pasterzy...

Stary Ramon jedną ręką zdjął z głowy duży i zniszczony stożkowaty kapelusz, a drugą otarł czoło w miejscu, gdzie uciskała je rozprażona wstążka. Włożył znowu kapelusz, ale pod innym kątem.

— Tak, zaschło mi w ustach od tego gadania. — Sięgnął po manierkę wiszącą mu u boku na cienkim rzemieniu przerzuconym przez ramię, umieścił ją na kolanach i odkręcił przykrywkę, która była wielkości małego kubka. Chłopiec obserwując go sięgnął po własną manierkę i zrobił to samo.

— Dwa łyki — rzekł Stary Ramon. — Całkiem dosyć na jeden raz. Pij często i po trochu, a wody starczy ci na długo i pójdzie na zdrowie. Utrzymaj każdy łyk w ustach, zanim go połkniesz. — Dwukrotnie podniósł manierkę do ust i dwukrotnie chłopiec zrobił to samo. Potem Stary Ramon odwrócił nakrętkę dnem na dół, zmieniając ją w kubeczek, i ostrożnie napełnił ją wodą. — Pedro. — Wyciągnął rękę z kubeczkiem i stary brązowy

pies ostrożnie zaczął wychłeptywać wódę. Poruszał językiem delikatnie, bardzo delikatnie, nie uronił ani kropelki.

Chłopiec przyglądał się temu jak urzeczony. Sięgnął po nakrętkę swojej manierki i ostrożnie napełnił ją wodą. — Sancho. — Wyciągnął rękę i czarny młody pies zaczął chłeptać wodę, ale w swojej skwapliwości wylał trochę, trącił dłoń chłopca nosem i wylał więcej. Chłopiec zaczerwienił się i odwrócił głowę. Stary Ramon wydawał się bardzo pochłonięty zamykaniem manierki i umieszczaniem jej u swego boku. Błyskawicznie chłopiec dolał wody do nakrętki kubeczka i podał ją czarnemu psu.

— Picie to też sztuka — rzekł Stary Ramon. — Tego też trzeba się nauczyć. I starczy nam wody. Mamy tylko jeden dzień przez pustynię...

Czas płynął powoli i z nieba buchał żar na rozległą równinę. Ale spojrzenie chłopca nie było już szkliste. Siedział nieruchomo i myślał o dziadku, którego znał tylko ze sztywnego, staroświeckiego portretu, i myślał o Starym Ramonie, którego zbójecka twarz pochylała się nad nim, jeszcze kiedy leżał w kołysce, i myślał o nich dwóch na pustyni zwanej Mojave — w porównaniu z nią ta mała pustynia była niczym — o nich, takich młodych, takich odważnych, takich zuchwałych...

— A co ty zrobiłeś ze swoją częścią pieniędzy? — spytał chłopiec.

Spojrzenie Starego Ramona powędrowało w rozmigotaną od żaru dal. — Zrobiłem to, co zawsze robiłem, kiedy pieniądze brzęczały mi w kieszeni i wypalały dziury w spodniach, Wydałem je... na wino... tak, i na kobiety... i na karty.

Stary Ramon wysunął się nagle spod derki, wstał, ściągnął derkę z palików i zaczął ją składać. — Nie ma co czekać, aż stado samo pomyśli, że czas ruszyć w drogę. Te głupie owce będą tak godzinami stały na słońcu. Pedro! Zrób, co trzeba, żeby się ruszyły. Musimy je popędzać przez resztę dnia...

VI

Stado posuwało się z trudem, lecz miarowo, pod ukośnymi, bezlitosnymi promieniami popołudniowego słońca. Szło ciasno zbite, wydawało się, że jest jednym rozlazłym falującym cielskiem, które z wolna pokonuje przestrzeń. Wewnątrz stada niewiele było ruchu. Czasem któraś owca zatrzymała się na krótką chwilę, żeby skubnąć maleńki, ciemny, sztywny liść krzaka kreozotowego i sprawdzić, czy w jego skąpym cieniu nie wyrosły karłowate źdźbła szorstkiej trawy. Zdawało się, że oprócz stada i dwóch psów na jego skrzydłach, prócz Starego Ramona i chłopca, i osła drepczącego za nimi niezmordowanie, wszystko inne na tej szerokiej ziemi zastygło w bezruchu. Żadne wyraźne odgłosy nie płynęły od strony stada, nie słychać było cichego pobekiwania — nic, tylko czasem kaszel i parskanie w duszącym kurzu i szelest wielu małych rozszczepionych kopytek przesuwających się po miękkiej piaszczystej ziemi.

Niespodziewany dreszcz przebiegi stado. Owce idące na przedzie zatrzymały się, a te z tyłu tłoczyły się za nimi, otaczając półkolem niewielką otwartą przestrzeń. Zwrócone były ku środkowi, w coś się wpatrywały, wyciągając nieznacznie łby i nagle przypłynęło od nich dziwne, jakby piskliwe beczenie.

Chłopiec przejechał językiem po spieczonych wargach. — Co to?

— Wąż — odparł Stary Ramon. — Nazywają go grzechotnikiem. Tylko na jego widok owce beczą w ten sposób, Kapuściane łby, za nic go nic obejdą. Będą tak stały i beczały głupio po swojemu, przez cały boży dzień. Chodź, tylko żebyś mi się za bardzo nie zbliżał.

Stary Ramon wszedł w środek stada, torując sobie drogę między stłoczonymi owcami. Chłopiec puścił postronek osła i ruszył za nim. Dotarli do skraju kolistej przestrzeni i chłopiec zobaczył pośrodku węża — grube cielsko w zwojach, uniesiony mały płaski łeb i koniec ogona wystający spomiędzy zwojów i wprawiający w ruch grzechotki, których warkot zagłuszało przeraźliwe beczenie owiec.

Stary Ramon gestem nakazał chłopcu, żeby się cofnął, a sam ruszył przed siebie z sękatym kijem w uniesionej ręce. Ale czarny pies przybiegł w podskokach za chłopcem i teraz go wyprzedził, wyprzedził także Starego Ramona i wściekle ujadając pognał w kierunku węża. Stary Ramon skoczył, zamachnął się trzymanym oburącz kijem, zdzielił z całej siły psa i odrzucił go na bok. Pies zawył i cofnął się do chłopca, a Staro Ramon kroczył znów przed siebie trzymając kij w wyciągniętej ręce. Nagle wąż zaatakował koniec kija śmigającego mu tuż nad łbem, a kiedy rozprostował trochę, cielsko i zdążył je znów zwinąć stary pasterz ciął go kijem tuż u nasady łba; teraz wąż wił się na ziemi z przetrąconym kręgosłupem. Stary Ramon szybko przerzucił kij przez jego cielsko, tuż przy łbie, jeden bucior postawił na kiju, żeby gada unieruchomić, obcasem długiego zaś wdeptał drgający łeb głęboko w piasek. Wyciągnął ze skórzanej pochwy u pasa swój długi, morderczy nóż, zawsze ostry jak brzytwa, schylił się i odciął grzechotki od wciąż podrygującego ogona. Schował nóż do pochwy, podniósł z ziemi kij i zbliżył się do chłopca. Wyciągnął do niego otwartą dłoń, na której leżały grzechotki.

Owce nie wydawały teraz z siebie głosu; stłoczone ciasnym kręgiem, wybałuszały wciąż ślepia, ale były ciche. W rozprażonej ciszy chłopiec podniósł wzrok na Starego Ramona. Był bardzo blady. Spuścił głowę.

— Nie chcę tego — powiedział.

Stary Ramon trzymał małą, stożkowatą grzechotkę między palcem wskazującym i kciukiem, i oglądał ją.

— Kiedy jest calutka — powiedział. — Nie brak nawet gałki. Nieczęsto zdarza się znaleźć taki piękny okaz. Węże je łamią. Nie wiem jak... może kiedy walą ogonem o kamienie. Ale je łamią.

Chłopiec milczał, patrzył na czarnego psa, który leżał u jego stóp przypłaszczony do ziemi Stary Ramon wzruszył ramionami i wepchnął grzechotkę do strzępu czegoś, co kiedyś było kieszenią spłowiałej koszuli. Odwrócił się, by spojrzeć na stado, które poruszało się nerwowo, rozsypywało.

— Nie trzeba było go tak mocno bić — powiedział chłopiec.

— Hę? — spytał Stary Ramon obracając się znów do niego. — Mówisz o psie? A jakże, mocno go uderzyłem. Ale dla jego własnego dobra. Wąż jest szybszy od psa. Co za korzyść z nieżywego węża, jak się ma też nieżywego psa?

Chłopiec rozgrzebywał butem ziemię, tuż obok leżącego psa, który kulił się u jego nóg. — Może masz rację. Ale uderzyłeś go za mocno.

— A niech to wszyscy diabli! — wybuchnął Stary Ramon w najwyższej irytacji. — To człowiek ma uważać, jak mocno bije, kiedy musi się ruszać szybko niczym wąż? Miałem czas do niego zagadać? Nie! Miałem czas mu wytłumaczyć, żeby się nic zachowywał jak kto głupi? Nie! Miałem czas się namyślać, czy go walnąć trochę mocniej, czy trochę słabiej? Nie! Po stokroć nie! W twoich słowach jest coś, co mi się nie podoba. Ramon zrobił w życiu niejedną rzecz, której nie powinien był robić. Ale jak długo żyje, nie uderzył psa dla samego bicia!

Z nieba bił żar, owce poruszały się nerwowo w rozpalonym nieruchomym powietrzu, a Stary Ramon spoglądał na chłopca, który stał sztywno, z głową spuszczoną. Zdjął swój duży, wiekowy kapelusz, otarł głowę i wsadził kapelusz pod innym kątem. Wciągnął powietrze głęboko w płuca i wypuścił je powoli. — Słuchaj, pogadam z nim. A jeżeli jest psem, jakim powinien być, zrozumie.

Stary Ramon przykucnął naprzeciwko psa, który jeszcze bardziej przywarł do ziemi i nie chciał na niego spojrzeć, a nawet zaczął się nieznacznie od niego odsuwać. — Sancho — przemówił Stary Ramon. Jego głos brzmiał cicho i łagodnie, jakby się wydobywał gdzieś głęboko z piersi i czarny pies przestał się cofać, podniósł łeb i spojrzał na niego. — Tak, Sancho, młodzik z ciebie i nasamprzód coś robisz, a potem myślisz. To prawda, uderzyłem cię. Ale nie uderzyłem ciebie w gniewie, tylko żeby cię ochronić przed jadem. Ramon całe życie żył z psami i psy są dla niego jak dzieci, których nie ma. Gdyby się nie urodził człowiekiem, chciałby, żeby dobry Bóg zrobił go psem. Myślisz, że uderzyłbym cię bez powodu?

Czarny pies zaczął się teraz do niego przysuwać, kawałeczek po kawałeczku, i chłopiec patrzał jak urzeczony i wsłuchiwał się w miękki łagodny głos starego pasterza. — Tak, Sancho. Chciałeś bronić nas i bronić stada, bardzo odważny z ciebie pies. Ale z wężem tak nie można. Z wężem to głupie. Węża musi zabić człowiek. Kijem, któremu jad nie zrobi krzywdy. Może zapamiętasz to sobie na następny raz?

Czarny pies był teraz tuż obok Starego Ramona; podniósł łeb i polizał go po ręce, a pasterz przejechał kilka razy ręką po kudłatym łbie i jak tylko pies poczuł to uspokajające dotknięcie, zerwał się i zaczął skakać, i śmigać, i ocierać się o Starego Ramona, aż w końcu jednym susem przypadł do chłopca i wparł się w niego.

Chłopiec pochylił się, objął psa za szyję i mocował się z nim przez chwilę. — Chyba będziesz pamiętał. Chyba się czegoś nauczyłeś.

Stary Ramon wyprostował grzbiet, spojrzał na stado. Owce trochę się rozpierzchły, dreptały tu i tam. Stary brązowy pies i wywieszonym językiem gnał już przez rozprażony piach, żeby je spędzić do kupy i skierować we właściwą stronę.

— Pedro nie musiał się uczyć — rzucił krótko Stary Ramon. Odszedł, żeby pomóc brązowemu psu. Owce, znowu zbite w stado, brnęły z trudem przez piach.

Chłopiec stał bez ruchu, obserwując oddalające się stado. Nagle przypomniał sobie o czarnym psie siedzącym przy nodze.

— Sancho. Nie jesteśmy im potrzebni. Ale postarajmy się chociaż robić, co umiemy, Biegnij za stadem. — Czarny pies pognał za owcami, ale zaraz przystanął i obejrzał się, a wtedy chłopiec dał mu ręką znak, żeby biegi dalej. Chłopiec wolno zawrócił i wziął osła za linkę. Powoli zaczął się

posuwać śladem owiec i Starego Ramona, który szedł na końcu i zagarniał opieszale sztuki.

Chłopiec szedł niespiesznie w kłębach kurzu unoszącego się za stadem, ale potem przyśpieszył kroku szarpiąc postronek osła i po chwili zrównał się ze Starym Ramonem. Szli obok siebie w ciszy przerywanej tylko od czasu do czasu kaszlem owiec i szmerem wielu małych kopyt przesuwanych po piasku.

— Pomyślałem sobie — rzekł chłopiec — że chciałbym to mieć.

Stary Ramon nic spojrzał na niego, tylko sięgnął do postrzępionej kieszeni i wyciągnął z niej grzechotkę. Podał ją chłopcu. Miała kształt stożkowaty i składała się z sześciu pierścieni, zrogowaciałych i twardych w dotyku, ruchomych, dzięki czemu wydobywał się z niej ów warkotliwy dźwięk, i zmniejszających się aż do gałki na końcu stożka.

— Słońce jest dzisiaj gorące — powiedział Stary Ramon. — Takie gorące jak na pustyni Mojave. Od tego gorąca człowiekowi aż się w głowie gotuje, przez co mówi rzeczy, których inaczej by nie powiedział...

Trzymając linkę osła w jednej ręce, a drugą zaciskając na stożku grzechotki, chłopiec szedł równym krokiem. Głowę miał podniesioną, a jego oczy nie były teraz nieruchome i szkliste. Myślał o tym, że kiedyś ojciec jego ojca szedł tak ze Starym Ramonem.

VII

Rozprażone i nieruchome powietrze wisiało nad otwartą równiną. Żar nagromadzony w ciągu całego dnia zdawał się dodatkowym ciężarem przytłaczającym stado w jego trudnej wędrówce. Słońce zeszło już nisko nad zachodni horyzont, ale nie złagodniał jego oślepiający blask nad suchymi piachami Nie czuło się też najlżejszego powiewu wiatru. Kurz wzbijany wieloma małymi kopytami otulał stado i wisiał za nim nieruchomo w powietrzu. Stary Ramon szedł przez kłęby kurzu raz po raz używając kija, popędzając niemrawe owce, Z boku, gdzie kurz nie sięgał, szedł chłopiec prowadząc osła, Jego ciało jakby się zapadało przy każdym trudnym kroku, a jeśli w ogóle myślał o czymkolwiek, to o tym nużącym i nie kończącym się wysiłku wysuwania jednej stopy przed drugą.

Stary Ramon zbliżył się do niego, był teraz poza chmurą kurzu. Przystanął i chłopiec też się zatrzymał. Stary Ramon zsunął kapelusz nisko na czoło, osłaniając się od ukośnych promieni słońca, i przejechał wzrokiem dokoła, po dalekim, rozmigotanym horyzoncie.

— Czuję ją — powiedział. — Gdzie są popołudniowe wiatry, które napędza upał i które przynoszą ochłodę człowiekowi i zwierzęciu? Nie ma ich. Czuję ją w środku, w kościach. Wiatry się chowają. Wlazły w jakąś kryjówkę i zbierają siły, żeby nas zaskoczyć nagle i niespodziewanie.

Chłopiec przesunął językiem po spieczonych wargach. — Nie rozumiem.

— Idzie chorro — rzekł Stary Ramon. — Burza piaskowa. — Jego spojrzenie znowu badało horyzont. — A jakże, widzisz? — Daleko na południu linia horyzontu załamywała się. Ziemia i niebo zlewały się w jedną mroczną brązowość, chłonącą odblask ukośnych promieni słońca i

migocącą barwnymi lśnieniami. Z oddali był to widok piękny, ale zawierała się w nim narastająca groza.

Stary Ramon podszedł do osła i pochyliwszy się naciskał na jego grzbiet całym ciężarem ciała. Osioł rozkraczył nogi i napiął mięśnie, by podołać ciężarowi. Chłopiec patrzał zdumiony, a tymczasem Stary Ramon podciągnął się na rękach i kolanach na grzbiet osła i na dwa juki umocowane po bokach. Osioł mocniej napiął mięśnie nóg, które zadygotały lekko, ale się nie ugięły. Stary Ramon odzyskawszy równowagę podniósł się i wyprostował Rozglądał się teraz dokoła, przeszukując wzrokiem, równinę. Zeskoczył, a osioł, uwolniony od ciężaru, otrząsnął się, aż w ciszy zagrzechotały juki.

Stary Ramon wyciągnął gdzieś z zakamarków połatanego odzienia spłowiałą bawełnianą chustkę i podał ją chłopcu. — Obwiąż sobie nos i usta. Mocno. — Rzucił na ziemię kij, wziął do ręki nóż i zaczął wyciągać koszulę ze spodni, a kiedy jedna poszarpana poła ukazała się spod paska, odciął ją mocnym chlaśnięciem noża. W chwilę później nóż był z powrotem w pochwie, a poła koszuli, obwiązana ciasno dokoła głowy, zakrywała mu nos i usta, Głos wydobywający się spod szmaty miał przytłumione brzmienie. — Masz iść tuż za mną! I żebyś nie stracił z oczu mnie i stada! — Porwał kij z ziemi i ruszył za stadem, które oddalało się powoli. W biegu podciągnął szmatę i wsadziwszy dwa palce do ust zagwizdał przeraźliwie. — Pedro! Ty też to czujesz w kościach! Widziałeś już burzę! Pedro, mądry Pedro, zawróć je! I to szybko!

Biegnąc z tyłu chłopiec zauważył, że Stary Ramon wskazuje zamaszystymi ruchami ręki na zachód i dalej, szerokim łukiem, na północny zachód. Stary pies, brązowa smuga w jaskrawym blasku, pędził wzdłuż stada i zaganiał owce, ale tym razem nie ze zwykłą łagodnością, tylko brutalnie, spychając przewodniczki kolistą linią na zachód i północny zachód. Chłopiec uniósł lekko głowę, kiedy zobaczył, że czarny pies, jak gdyby rozumiejąc, pognał na tę samą stronę stada i zaczął pomagać brązowemu.

Stado rozciągnęło się długim sznurem, szło pośpiesznie, a co szybsze przewodniczki wysforowały się do przodu — wyciągnięty łuk podskakujących, przepychających się, biegnących kłusem owiec przecinał równinę. Potem nagle Stary Ramon znowu zaczął gwizdać i wrzeszczeć, i wymachiwać rękami, a wtedy brązowy pies pognał na drugą stronę prostując łuk i stado zdążało teraz, szybko jak na stado, w kierunku północno-zachodnim. Psy uganiały się z obu stron utrzymując owce w długiej wyciągniętej linii, a Stary Ramon, z tyłu za owcami, wymachiwał kijem raz z jednej, raz z drugiej strony i skakał z miejsca na miejsce dźgając opieszale maruderki; chłopiec biegł szarpiąc linkę osła i to zwalniał dla nabrania tchu, to znów przyśpieszał kroku.

Nagle oślepiający blask zmatowiał i zniknął. Wysoko nad głową ogromne chmury piaskowej barwy zasłoniły słońce niczym kurtyna. Światło dnia przygasło w dziwnym, brązowawym mroku i pierwsze podmuchy wiatru, skłębione, wzbijające słupy piachu, przemknęły obok. Chłopiec biegł z dłonią mocno zaciśniętą na lince, mrugając szybko oczami, bo piach był teraz wszędzie w powietrzu, i wpijając wzrok w postać Starego Ramona, o kilka kroków przed nim. Widział niewiele, czuł jednak, że teren

obniża się trochę, a potem, że lekko skręcają. Piach pod nogami był teraz bardziej sypki, zalegał grubszą warstwą, jak w łożysku arroyo.

Wiatr uderzył — ściana pędzącego powietrza runęła w dół stoku. Spod przeraźliwych świstów w górze przebijało ciężkie, głuche dudnienie wściekłych podmuchów, niczym szybki warkot bębna. Pędzące drobiny kurzu i piasku zasłoniły cały krajobraz. Chłopiec mógł stać tylko dzięki temu, że opierał się o pęd powietrza, jakby to było coś solidnego, a oddychać mógł tylko wtedy, kiedy odwracał głowę od wiatru. Piach kłuł jak igły nawet przez ubranie, wdzierał się przez wszystkie szczeliny, ocierał skórę. Chłopiec słaniał się i potykał przy każdym gwałtownym podmuchu, jego oczy z trudem wypatrywały zamazaną postać Starego Ramona, a potem i ona rozpłynęła się i nic już nie było widać. Szedł chwiejnie naprzód i miał przed sobą pustkę. Wiatr był zimny, napastliwy, przejmujący po upale słonecznego dnia sprzed kilku zaledwie chwil. Chłopiec drżał i dygotał, wiatr targał nim na boki; był teraz sam z osłem, cala reszta świata zniknęła i został tylko pędzący piach i smagające uderzenia wichury. Potknął się i osunął na kolana, ale nawet nie próbował wstać. Przycupnął skulony, plecami do wiatru, i ukrył głowę w ramionach. Nagle poczuł, że osioł szarpie postronek, więc mocniej zacisnął dłoń i jeszcze niżej przypadł do ziemi.

Wiatr wył nad głową i walił w swoje bębny, i ciął piachem Chłopcu wydawało się, że wiatr i piach pospołu usiłują zerwać z niego odzienie. Plecy dygotały mu nie tylko dlatego, że wstrząsało nimi zimno i wiatr, ale z przerywanego łkaniem wysiłku, by zaczerpnąć choć łyk powietrza.

Usłyszał nikły głos. Zdawał się płynąć z daleka i błyskawicznie mijać go w locie, zanim mógł owe dźwięki pochwycić. Głos odzywał się z tyłu, gdzieś po lewej. Chłopiec uniósł trochę lewe ramię i spojrzał spod tej osłony. Szedł ku niemu jakiś niewyraźny kształt. Zbliżył się i chłopiec rozpoznał Starego Ramona; wydawał się wysoki i potężny w omiatającej go zawierusze, szedł przez nią, jak gdyby podpierając się wiatrem. Zniszczony szerokoskrzydły kapelusz miał zsunięty aż na uszy, a że szmata owinięta dokoła głowy zakrywała mu nos i usta, jego twarzy prawie nie było widać i tylko oczy połyskiwały pod krzaczastymi brwiami, na których osiadła gruba warstwa piachu. Przykucnął obok chłopca. Jego głos był stłumionym krzykiem unoszonym przez wiatr.

— Coś ty... borsuk... żeby się tak zagrzebywać w ziemię? Przecież to tylko wietrzyk trochę sobie hasa po swojemu. — Wziął od chłopca linkę i ciągnął ją, dopóki osioł, zwróciwszy zad do wiatru, nie znalazł się tuż obok. — Słuchaj uważnie. Chorro to dla osła tyle co nic. Ma oczy i nos, i twardą skórę jakby do tego stworzone. Uczepisz się sznurów na jukach, po drugiej stronie, pochylisz się i pójdziesz z nim. Będzie cię osłaniał od wiatru. Zresztą to niedaleko.

Stary Ramon wstał, szarpnął chłopca zmuszając go do wstania i podprowadził do juków. Odszedł schylając się pod uderzeniami wichury, a gdy naprężyła się linka, osioł podreptał za nim. Ruszył też chłopiec, uczepiony postronków przy jukach, z głową pochyloną, oczami zamkniętymi, ni to szedł, ni to był wleczony przez osła.

Nagle zorientował się, że wiatr nie jest już tak gwałtowny. Wył i huczał w górze jeszcze głośniej, jeszcze przeraźliwiej, ale nie miotał się już tak dokoła osła, nie wdzierał się pod niego, nie grzmocił po grzbiecie, jak

gdyby chciał powalić zwierzę, zmiażdżyć je, rozszarpać. Chłopiec otworzył oczy i uniósł ostrożnie głowę. Powietrze było gęste od wirującego piachu i kurzu, ale wichura — ten przerażający, bezlitosny, duszący powiew, który ani na moment nie ustawał, a tylko przybierał na sile lub na krótko przycichał — już nie mogła go dopaść. Pędziła górą. Wyschłe koryto strumienia pogłębiło się, jego brzegi sięgały powyżej głowy.

Osioł stanął. Chłopiec wyprostował się, rozejrzał. W widmowym, mętnym świetle, które sprawiało wrażenie zmroku, ale zmrokiem nie było, dojrzał kilka owiec. Kuliły się zbite w ciasną gromadę pod wysoką skarpą, a za nimi były inne, słabo widoczne w gęstej kurzawie.

— Wszystkie są tutaj. — Stary Ramon stał z drugiej strony osła, mocował się z derką usiłując wyciągnąć ją spod zaciśniętych sznurów. — Pedro strzeże ich od góry. I Sancho. My będziemy tu na dole, trzeba przypilnować, żeby żadna nie poszła sobie w ten wiatr. — Klepnął osła po zadzie i zwierzę podreptało do owiec. Objął chłopca ramieniem i poprowadził do zagłębienia w osłoniętej od wiatru skarpie, gdzie kilka dużych głazów i nasyp tworzyły płytką pieczarę. Usiadł, przyciągnął chłopca i owinął jego i siebie derką, jednym brzegiem osłaniając plecy i przykrywając głowy. Zsunął na szyję szmatę okręconą dokoła ust i splunął. — Przyszliśmy tu na czas. Teraz dopiero zacznie dąć.

Chłopiec spojrzał na niego, wyraźnie zaskoczony i jeszcze bardziej skulił się pod derką. Mały kapelusz miał zsunięty nisko na uszy, chustka zakrywała mu twarz, a z wąskiej szpary między jednym i drugim patrzyły jego oczy — rozszerzone, nieruchome, błyszczące. Wiatr w górze cienko, świdrująco skowyczał, a od pobrzmiewających w nim łomotów ziemia zdawała się dygotać i gęstniał mrok, dziwny i obcy, niepodobny do zwykłej ciemności Chłopiec zadrżał i przysunął się bliżej do Starego Ramona. To nie wiatr pędził w górze. Mogło to być tysiąc demonów szukających ich z wyciem.

Stary Ramon poczuł, że chłopiec drży.

— Przecież to tylko wiatr — powiedział. — Tutaj nie może nam zrobić najmniejszej krzywdy. Myślę, że jest rad, żeśmy znaleźli bezpieczne miejsce. Wiatr się nigdy nie złości. Ot, zwyczajnie... jest duży i mocny. Najczęściej jest łagodny i dobrotliwy. Ale od czasu do czasu przypomina sobie, że niby taki jest wielki i mocny, i chce to pokazać. Próbuje wymieść całą ziemię do czysta... Myślę, że on gada teraz do nas, a wiatr nie umie gadać cicho, tylko musi wrzeszczeć... Mówi, że mu przykro, żeśmy wybrali ten dzień na przejście przez Jornada Seca, bo to jest właśnie ten dzień, kiedy mu się zachciało pokazać swoją siłę.

Chłopiec milczał Mogło się zdawać, że nie słyszy kierowanych do niego słów. Wciąż drżał, kulił się. Stary Ramon szybkim ruchem odrzucił derkę znad głowy, szarpnął zsunięty na uszy, sflaczały kapelusz i włożył go teraz zawadiacko na bakier. Zarzucił znowu derkę.

— Czy jak byłeś mały, tyciusi, opowiadałem ci historię o bizonie? — spytał.

Chłopiec nie odpowiedział, potrząsnął tylko nieznacznie głową.

— Było to dużo, dużo lat temu — zaczął Siary Ramon. — Kiedy byłem młody i mogłem bardzo szybko biegać. Jednego dnia zobaczyłem mały okrągły pagórek, taki stożkowaty... jak główka mojego kapelusza. Słyszysz mnie? Zrozumiałeś jaki był ten pagórek?

Chłopiec podciągnął do góry swój kapelusz, żeby lepiej słyszeć. Był podobny do twojego kapelusza.

— Dobra. To ważne, Przyszło mi do głowy, żeby się wdrapać na niego, no i wlazłem na górę. Siedziałem sobie tam i długo rozglądałem się dokoła, i mówiłem sobie, że jestem królem małej góry. W końcu zacząłem złazić i chyba w połowie drogi zobaczyłem śpiącego bizona. Duży był, Wielka sztuka. Pomyślałem, że jest chyba dziadkiem wszystkich bizonów.

Chłopiec podniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy. — Gdzie to było? Przecież w naszych stronach nie ma bizonów

— Było, gdzie było — odparł Stary Ramon. — A czy to ważne? Przyszło mi do głowy, żeby się trochę z tym bizonem zabawić. Wziąłem duży okrągły kamień i spuściłem go na niego ze stoku, a jak kamień zaczął się toczyć, drapnąłem za skałę. Bum-bum-bum — kamień się turlał, odbił i rąbnął zwierzaka w łeb, w samiutki środek między rogami a te rogi były długie i grube, i ostre. Bizon podskoczył, parsknął i zaczął bić kopytami w ziemię, i zaraz i nozdrzy buchnął mu dym, a z pyska płomienie...

— To głupie — powiedział chłopiec. — Bizon nie może ziać ogniem.

— Co ty powiesz — obruszył się Stary Ramon. — A kto ci opowiada tę historię? Do kogo ona należy? Mówię ci, że płomienie wylatywały mu z pyska, i dym, i dużo iskier. Tę ta jego złość zapaliła się w nim i buchnęła ogniem. Aż sczerniała trawa na ziemi. Pociągnął raz i drugi nozdrzami i zwietrzył mnie, aż w końcu mnie zobaczył. Skała nie była duża i nie zasłaniała mnie całego. Zaczął się do mnie drapać rycząc i buchając ogniem, i potrząsając tymi wielkimi rogami.

Stary Ramon umilkł i splunął w bok.

— I co potem? — spytał chłopiec.

— Potem coś mi się przypomniało. Człowiek nie biega tak szybko jak bizon, gdzie tam. W każdym razie nie po zboczu, w górę i w dół. Ale bokiem dookoła stoku to całkiem inna sprawa. Wtedy sam ciężar tego wielkiego cielska ściąga je w dół, toteż bizon biegnie skosem i ciągle musi drapać się na powrót pod górę. No więc ganiałem dookoła po zboczu tego pagórka i bizon ani rusz nie mógł mnie dogonić. Ciągle ukosem zsuwał się kawałek w dół i musiał znowu drapać się pod górę. Ale złość nim trzęsła! Galopował i parskał, i galopował, i ogień buchał mu z pyska, więc niedługo z tej przypalonej trawy zrobił się czarny krąg wokół pagórka, a z nozdrzy buchał mu dym i dym robił się też z tego naszego szybkiego biegania. Na drugi dzień słyszałem od ludzi, co widzieli całą tę hecę z daleka, że to był wybuch wulkanu. Tak to wyglądało. No więc biegaliśmy w kółko i on w żaden sposób nie mógł mnie złapać Ale raptem zobaczyłem, że się do mnie zbliża i już nie osuwa się w dół. Ganialiśmy tak dookoła cały czas w lewą stronę. I przez to bieganie po stoku, prawe nogi coraz bardziej mu się wyciągały, aż się zrobiły dłuższe od lewych i teraz mógł gnać prosto, bez osuwania się po stoku. Doganiał mnie i czułem na plecach żar ognia buchający z pyska...

Stary Ramon podciągnął szmatę wiszącą mu na szyi i energicznie wydmuchał w nią nos.

— Dlaczego przerywasz? — spytał chłopiec. — Co było dalej?

— Poszło jak z płatka — odparł Stary Ramon. — Zawróciłem i zbiegłem ze zbocza, na płaski grunt. A bizon w żaden sposób nie mógł mnie gonić w linii prostej. Prawe nogi miał dłuższe i jak próbował biec przed siebie,

zaczynał kręcić się w kółko, w lewą stronę. Próbował i próbował, ale gdzie tam! Calutki czas robił kółka w lewo, aż w końcu zakręciło mu się w głowie i upadł zamroczony.

Chłopiec już nie dygotał. Siedział teraz wyprostowany pod derką.

— Nic wierzę w tę historię. Nie wierzę w ani jedno słowo.

— Coś takiego! — rzekł Stary Ramon. — A czy kto cię prosi, żebyś uwierzył.. Swoją drogą, jak wyjrzysz, to zobaczysz, że wichura przycichła.

W arroyo było teraz jaśniej, powietrze oczyszczało się z kurza i piachu. Wiatr nad głową nie dął już w gwałtownych porywach, z diabelskim skowytem. Szumiał łagodnymi, długimi tchnieniami, jak dobrze znany wieczorny wiatr po upalnym dniu. Owce poruszały się, rozchodziły, otrząsały runo.

— No pewnie — przemówił Stary Ramon. — Przez jakiś czas nie będą się chciały śpieszyć Są ciężkie od tego piachu w wełnie. Ale w drodze piasek się osypie. — Wstał, podszedł do pochyłości w skarpie i wdrapał się na górę. Czekał tam wyprostowany, zwrócony twarzą do arroyo, i gwizdał wymachując rękami Z górnej części arroyo owce zaczęły iść stłoczoną gromadą ku tym, które stały bliżej, a po chwili i te ruszyły korytem ku otwartej przestrzeni. Stary Ramon obserwował je stojąc na skarpie. Reszta stada przeszła w dole pod nim. popędzana przez brązowego psa i stary pasterz zszedł z pochyłości.

— Trzech brak — powiedział. — A gdzie się ten Sancho podziewa?

W górze arroyo dało się słyszeć szczekanie i zaraz pokazały się trzy owce biegnące ciężkim truchtem, a za nimi pędził czarny pies, podskakując i poszczypując je lekko zębami. Chłopiec zobaczył czarnego psa i podbiegi do Starego Ramona ciągnąc za sobą derkę.

— Widzisz?

— Widzę — odparł Stary Ramon. — Musiało tak być, że Pedro go za nimi posłał. A on je przyprowadził. Dobra robota.

Stary Ramon sięgnął po derkę, otrząsnął ją z piasku, złożył i wsunął z powrotem pod sznury juków.

— Ale jakim cudem mogłeś je policzyć? — spytał chłopiec. — Jest ich tyle i cały czas się ruszają.

— Ech, to cię dziwi? — zaśmiał się Stary Ramon. — Na wszystko jest sposób. Każdy pasterz robi to po swojemu. Ja liczę piątkami. Widzę owce po pięć naraz i liczę te piątki na palcach. Jak użyję palców obu rąk, wypada mi pięćdziesiąt. Dwa razy i mamy setkę. Mój kuzyn Pablo… ten co to mu się zdaje, że jest taki mądry... liczy trójkami. Odliczanie trójek na palcach idzie mu całkiem nieźle. Ale potem zaczyna się drapać w tę swoją kapuścianą głowę i zastanawia się, ile te wszystkie trójki razem wzięte dają. Chodźmy. Straciliśmy dużo czasu, a jest jeszcze przed nami szmat drogi.

Owce, znów uformowane w stado, po wyjściu na równinę posuwały się z trudem. Daleko w północnej części nieba chmury piaskowe wlekły się nad horyzontem, ale tutaj wiatr był orzeźwiający, a powietrze świeże i aromatyczne; na zachodzie blask przedwieczornego słońca roztaczał przepych barw.

— Ach — westchnął Stary Ramon, wciągając głęboko w płuca rześkie, chłodne powietrze — chorro znów wymiótł świat do czysta.

Stado parło naprzód, a chłopiec szedł przy Starym Ramonie prowadząc za sobą osła.

— Jak wrócisz do szkoły — rzekł Stary Ramon — będziesz mógł powiedzieć chłopcom, żeś poznał burzę, jakich mało.

Chłopiec spojrzał na niego z ukosa. — Taka była groźna?

— Ma się rozumieć — odparł Stary Ramon. — Była groźna. Nie trwała długo. Ale była bardzo groźna. A koniec jest taki, że mamy jeszcze kilka godzin drogi Jesteś zmęczony?

— Jestem zmęczony. Ale to nic. Mam nową siłę w nogach.

Stado dreptało niezmordowanie, dwa psy biegły truchtem po bokach, a tymczasem słońce ukryło się za górami i ziemię ogarnął raptowny zmierzch płaskowyżu.

— Wnet zrobi się ciemno — stwierdził Stary Ramon. — Noc bez księżyca. Nie będziesz się bał?

— Nie będę się bał — odparł chłopiec. — Jesteś ze mną.

Stado szło na spotkanie zbliżającej się nocy, szarawy ruchomy kształt płynący po mroczniejącej równinie.

— Słuchaj, Ramon — przemówił chłopiec. — Czegoś w tej historii nie pojmuję. Kiedy bizon ganiał dookoła wzgórza, prawa noga zrobiła mu się dłuższa. Dlaczego twoja prawa noga też się nie wydłużyła?

— Hę? — mruknął Stary Ramon. — Próbujesz przyłapać Ramona na kłamstwie? Zaraz ci wytłumaczę. Prosta sprawa, Biegłem w jedną stronę, póki prawa noga troszeczkę mi się nie wydłużyła, a potem się odwróciłem twarzą do bawołu i zacząłem biec w drugą stronę, póki mi się lewa noga nie wydłużyła do długości prawej, i w ten sposób mam je teraz równe...

VIII

W mroku nocy wzgórza majaczyły ciemne i faliste, łącząc się z łańcuchami dalekich gór za nimi. U ich podnóża, gdzie z rzadka zieleniła się trawa i wąski strumień zasilał niewielką sadzawkę, owce zatrzymały się na nocleg. Ostatnie żarzące się polana małego ogniska były mikroskopijną iskrą życia w ogromie tego krajobrazu. Otulony derką Stary Ramon siedział blisko i obserwował ciemniejący z wolna żar. Kilka stóp dalej leżał wyciągnięty na ziemi chłopiec — jak bezkształtne zawiniątko w swojej derce.

Chłopiec poruszył się i usiadł przytrzymując derkę.

— Jest bardzo późno, a ja nie mogę zasnąć — powiedział. — Dlaczego?

— Często tak się dzieje po długim dniu, co się wlecze do późna w noc — odparł Stary Ramon. — Człowiek jest za bardzo zmęczony i nie może zasnąć. W głowie aż mu huczy od tego nic kończącego się wędrowania, a mięśnie ma napięte. Trzeba, żeby siedział spokojnie, póki mu się mięśnie nie rozluźnią, a wtedy ziewnie raz i drugi, i już go chwyta sen.

Czas płynął powoli i nagle gdzieś daleko za stadem rozległo się przeciągłe, głębokie wycie, które zdawało się częścią mrocznego bezmiaru równiny, i wzmagało się, i potężniało, aż przerwało je krótkie, wrzaskliwe szczekanie. Chłopiec wyprostował się i obejrzał na juki i opartą o nie naładowaną strzelbę.

— Strzelba nie będzie potrzebna — rzekł stary pasterz. — To tylko kojot. Według mnie mówi różne rzeczy o nas i o tym, żeśmy mu zajęli miejsce przy wodopoju. Według mnie nie są to miłe rzeczy. Ale owiec nie tknie. Jest tam Pedro.

Kojot znów zaczął wyć, długo i przeciągle, a zaraz potem rozległo się, gdzieś blisko owiec, gniewne i wyzywające szczekanie.

— To Sancho — stwierdzi! Stary Ramon. — Jest młody. Odgryza się. Ale nie warto, Kojot tego chce, obraża psy, żeby je rozeźlić, To na dzisiaj taka jego zabawa. Jakby uważał, że może chapnąć owce, nie robiłby hałasu. Według mnie próbował już i teraz wie, Przecież jest tam Pedro.

Znowu wycie przerwało ciszę i zaraz przeszło w skowyt i poszczekiwanie. Jakby różne głosy odezwały się jednocześnie w różnych miejscach.

Chłopiec znowu poderwał się z ziemi. — Jest ich więcej!

Stary Ramon zachichotał, co w głębokim mroku zabrzmiało uspokajająco.

— Jest tylko ten jeden. Ale spryciarz z niego, Prawdziwy Don Coyote. To jedna z tych jego chytrych sztuczek. Zmienia głos i człowiekowi się zdaje, że jest ich więcej. Myślę, że jest o nim tyle historyjek, ile włosów w tym jego ogonie... Jak rozbijemy obóz w górach, opowiem ci niektóre... Szkoda gadać, to łajdak i złodziej, ubliża porządnym psom. Ale prawdziwy z niego Don Coyote. Ramonowi byłoby bez niego nijako, jakby tak zniknął, jakby ludzie wybili cały jego rodzaj: Można powiedzieć, że on jest głosem tej ziemi i nocy nadętą ziemią. A jakże, mądra z niego sztuka. Duży nie jest, ale rozumu ma dużo. Bywało już, że podkradał się do stada w biały dzień, wybierał sobie owcę, co z głupoty nie wiedziała, że to nie pies, łapał ją za kudły i tarmosił, i odciągał na bok dość daleko, żeby nikt nie słyszał, jak ją zagryza. I to wszystko przy leniwym psie, który spał tuż obok. I poznaje broń, nawet pistolet, który jest przecież taki mały i wisi przy pasku. Człowiek maszeruje sobie ze strzelbą i kojot go widzi Ale on nie widzi kojota. Człowiek idzie bez strzelby i Don Coyote ruszy się tylko tyle, żeby mu ustąpić z drogi... chyba że jest pies, który go przegna. Tak, mądrala z niego i łeb ma nabity chytrymi sztuczkami. Ale mój Pedro zna je wszystkie...

Znowu dało się słyszeć szczekanie, ale dalsze teraz i powoli milknące, a potem była już tylko łagodna, rześka cisza nocy. Chłopiec poruszył się w zwojach swojej derki.

— Powiedz, Ramon. Czy nie jest tak, że na wypasie owiec człowiek czuje się samotny?

— Z niektórymi ludźmi pewnie tak jest — odparł z namysłem Stary Ramon. — Z tymi, co przywykli do miast, do ludzkiego hałasu i jazgotu. Ale nie z Ramonem, nigdy w życiu. I nigdy z prawdziwym owczarzem, co się urodził z wyczuciem stada... Dużo o tym myślałem, Według mnie to zależy od tego, czym człowiek jest jako człowiek, w swoim środku. Według mnie to całkiem inna rzecz, jak człowiek jest sam, a całkiem inna, jak jest samotny. Bywało, że czułem samotność w mieście, gdzie naokoło miałem ludzi. Pewnie dlatego, że nie znałem tego miasta i nie znałem tych ludzi. Ale nigdy nie czułem samotności, jak byłem sam ze swoim stadem, nawet w najdalszych górach i dolinach, bez żywej duszy na wiele mil dookoła. Może jest tak dlatego, że znam tę ziemię i jej mieszkańców, te dzikie

stworzenia na niej żyjące, i że nic tutaj nie jest dla mnie obce... Nie bardzo wiem, jak człowiek może się czuć samotny, kiedy ma cały boży świat jak na dłoni, kiedy jest słońce, które mu przyświeca za dnia i gwiazdy, co patrzą na niego w nocy, kiedy jest wiatr, co go chłodzi, i są góry, które strzegą wszystkiego i trawa, co rośnie, kiedy są owce, których musi doglądać, i psy, co mu pomagają, kiedy jest Don Coyote, który mu urąga, i sowa, co mu zadaje pytania ze swoich kryjówek...

— Myślę — rzekł chłopiec — że mój ojciec słusznie mówi. Jest dużo rzeczy, o których nie piszą w książkach. — Położył się, uniósł ramiona i z łokciami rozłożonymi na boki splótł dłonie pod głową jak poduszkę. — Tak sobie myślę, Ramon. Zawsze chodziłeś z owcami na wypas?

— Nie zawsze — odparł Stary Ramon. — Był czas, kiedy nie chodziłem. Niedobry czas.

— Opowiedz mi — poprosił chłopiec.

— Twój ojciec nie we wszystkim ma rację — rzekł Stary Ramon. — Zdarzyło mi się stracić jagnięta... — Utkwił wzrok w małej kupce popiołu, gdzie tlił się jeszcze żar, i umilkł.

— Jesteś moją książką. Nie możesz mi powiedzieć? — spytał chłopiec.

— To wszystko przez wino — odparł Stary Ramon. — A jakże, przez wino... Kiedy pieniądze się skończyły i wróciłem z Kalifornii, twój dziadek miał owce, wielkie stada owiec Pracowałem u niego. Pracowałem dobrze, nie można powiedzieć Zawsze miałem smykałkę do owiec. Znaliśmy się od młodości i jeden drugiego ratował, wtedy na pustyni Mojave, kiedy paliło słońce i prawie marliśmy z pragnienia i wiał wściekły chorro. A teraz on był moim patron, a ja tylko jednym z jego owczarzy... i to było w porządku. Był człowiekiem jakich mało. A ja pracowałem dobrze. To musisz pamiętać. Ale jak mi płacił i miałem pieniądze w kieszeni, nie mogłem pracować. Zawsze je wydawałem. A jak się pieniądze kończyły, szedłem znowu do niego. Za każdym razem powtarzał to samo: „Ramon, póki mam owce, ty będziesz miał stado”. I tak się ciągnęło przez ileś tam lat. Aż kiedyś, w miesiącu kocenia się owiec, zanim popędziliśmy stada na wypasy, miałem strzec owiec nocą, przechodził obok mój kuzyn Pablo. Niósł do domu dwie butelki wina Coś mnie podkusiło i namówiłem go, żeby mi zostawił jedną. Nie ma potrzeby mówić, co było dalej. Pewnie wiesz, jak się owce obchodzą ze swymi małymi. Są takie, co nie poznają własnego jagnięcia po urodzeniu i dopiero człowiek zmusza je, żeby nakarmiły pierwszy raz i wtedy już wiedzą, że to ich nowo narodzone jagnię. Są inne, co wydają na świat parę, dwa naraz, i zdarza się, że dopuszczają do siebie jedno i człowiek musi się postarać, żeby dopuściły też to drugie. No i te, co się okociły, trzeba oddzielić od reszty, bo jak się owce czymś przestraszą i zaczną się przepychać i tłoczyć, ani chybi stratują na śmierć ten drobiazg na miękkich nóżkach...

— Co tu dużo mówić, leżałem po tym winie pijany jak bela, a kiedym się obudził wcześnie rano, z głową jak ołów, naliczyłem siedem martwych jagniąt. Taki wstyd. Tego dnia nie mogłem spojrzeć w oczy twojemu dziadkowi. Powiedziałem sobie, że już tak długo żyję między owcami, żem się zrobił głupi jak one. Uciekłem i poszedłem daleko, i nie wróciłem. Włóczyłem się z miejsca na miejsce i pracowałem u różnych ludzi, i robiłem dużo rozmaitych rzeczy. Nie ma co, w tamtych czasach Ramon umiał robić niejedno. Umiał siedzieć na koniu i wypasać stado bydła. Umiał

prowadzić zaprzęg mułów ciągnących wielkie wozy z towarami. Umiał pracować cały dzień bez najmniejszego zmęczenia, w gorącym słońcu, przy budowie domów. Umiał pić wino i walczyć z innymi mężczyznami, i używać noża jak lew górski używa pazurów. Ale jednego nie umiał, nie umiał myśleć o sobie bez wstydu. Zawsze pamiętał o tych siedmiu jagniętach... i o tym, jak uciekł, żeby nie spojrzeć w twarz swojemu przyjacielowi.

Stary Ramon umilkł wpatrzony w kupkę popiołu.

— I co było potem? — spytał cicho chłopiec.

— Potem jednego dnia pracowałem z innymi przy budowie drogi dla dyliżansów. I nagle usłyszałem. Usłyszałem pobekiwanie przechodzącego stada. Zobaczyłem owce i zobaczyłem pasterza i jego psa, i poczułem zapach owiec, i poczciwy zapach kurzu, co się wzbijał w powietrze spod ich kopyt. Trzymałem w ręku łopatę. Położyłem łopatę na ziemi i odszedłem. Cztery dni byłem w drodze, aż zaszedłem na hacjendę twojego dziadka. Między budynkami i zagrodami kręciła się kupa ludzi. Przygotowywali stada do wyjścia w góry. I był zarządca, którego nigdy nie widziałem, wydawał tamtym rozkazy. Powiedział mi, że to już dwa miesiące, jak mój patron, ojciec twojego ojca, spadł z konia i koń się na niego zwalił, i mój patron umarł w trzy dni później... Tak... tak. Stałem zdjęty żałością i myślałem o moim wstydzie, i ten człowiek rozeźlił się na mnie. Powiedział, żebym poszedł precz, bo nie ma dla mnie roboty. Wtedy zobaczyłem wychodzącego z domu młodego mężczyznę, bardzo jeszcze młodego, nieledwie chłopca, ale był wysoki i miał prostą postać, jak twój dziadek. Minęły cztery lata, nawet więcej, alem go poznał. I on też mnie poznał. Objął mnie ramieniem i stał przy mnie, taki smukły i prosty, i powiedział do zarządcy: „To jest Ramon, który przeprowadził mojego ojca przez pustynię Mojave, kiedy nie było jeszcze szlaków, w roku wielkiej suszy”. A zarządca na to: „Co z tego? Słyszałem o nim. Pije za dużo wina i za często chwyta za nóż, a na dodatek traci jagnięta”. Wtedy młody chłopiec, co jest teraz twoim ojcem, powiedział z dumą, jak prawdziwy patron, którym miał zostać; „Dość! Czym są jagnięta? Niczym. W naszym domu jest pismo, które zostawił mój ojciec. I to pismo mówi, że póki nasza rodzina będzie miała owce, Ramon będzie miał stado”.

— Nie inaczej — ciągnął Stan Ramon. — Twój ojciec jest teraz człowiekiem bardzo zajętym. Najczęściej przebywa w mieście. Ale jest też bardzo ludzkim człowiekiem. I co Ramon może zrobić dla takiego patron jak on? Może nie tracić więcej jagniąt i wracać z owcami tłustymi i o pięknym runie. I może wspominać...

IX

Osioł skubał wytrwale świeżą zieloną trawę tuż obok leżącej na ziemi linki i czekał, jak zawsze cierpliwie, na zdjęcie juków. Kilka stóp dalej Stary Ramon wspierał się jedną ręką na kiju, a drugą osłaniał oczy od czerwonozłotych promieni zachodzącego słońca. Brązowy pies leżał u jego stóp. Razem pies i człowiek spoglądali na szeroką zieloną kotlinę między

pagórkami gdzie owce poiły się nad brzegiem małego strumienia. Chłopiec z czarnym psem przy nodze stał obok Ramona.

Ostatnie owce ugasiły pragnienie i przyłączyły się do reszty stada. Chłopiec wykonał ramieniem kolisty ruch i czarny pies skoczył naprzód, ale zaraz się pohamował, zwolnił i pobiegł na jedną stronę stada, gdy tymczasem chłopiec przeszedł na drugą. Pracując razem, z dwóch stron, chłopiec i pies spychali stado, łagodnie, bardzo łagodnie, aż odsunęło się od wody i skupiło w ciaśniejszą gromadę, a wtedy chłopiec i pies wysunęli się naprzód i zatrzymali je, po czym chłopiec przechadzał się przed czołem stada, a pies obiegał je zaganiając opieszałe sztuki Tu i ówdzie owce zginały przednie nogi i kładły się, potem coraz więcej szło za ich przykładem, aż w końcu położyły się wszystkie prócz pięciu, które stały w różnych miejscach, wyprostowane i uparte. Chłopiec wziął się pod boki i spoglądał na nie kolejno, potrząsając zirytowany głową.

Stary Ramon włożył dwa palce do ust i zagwizdał. Chłopiec obejrzał się na niego. Stary Ramon przywołał go ruchem ręki. Chłopiec ruszył w jego stronę i zaczął biec, a czarny pies pognał za nim i wyprzedzał go wielkimi susami, i skakał dokoła niego, aż chłopiec potknął się o psa i obaj turlali się teraz po ziemi, i mocowali wśród śmiechu zmieszanego ze szczekaniem. W końcu wstali z ziemi i podbiegli do Starego Ramona i do brązowego psa, i do osła.

— To całkiem łatwe — powiedział chłopiec. — Trzeba je spychać łagodnie, bardzo łagodnie, i zaraz głupim owcom się zdaje, że chcą tego, czego człowiek chce, żeby chciały. Ale chociaż wszystkie są głupie, kilka jest jeszcze głupszych, Ani myślą się położyć.

— Nie — rzekł, Stary Ramon. — Zawsze, jak stado się kładzie, kilka sztuk stoi na straży. Stoją i pilnują przez jakiś czas i potem się kładą, a znowu inne wstają. Ludzie mówią, że może to jest wspomnienie tych czasów, kiedy nie strzegli ich jeszcze ludzie i psy. Ale czy takie czasy były, tego ci nie powiem. I to wszystko jest głupie, bo owce zapomniały, jeżeli w ogóle kiedyś wiedziały, co robić, jak przyjdzie niebezpieczeństwo. Swoją drogą pewnie byś zauważył, że niektóre stoją, jakbyś patrzał uważnie przez wszystkie te dni aż do dzisiejszego.

Chłopiec odwrócił prędko wzrok, a potem spojrzał na czarnego psa stojącego przy nodze i schylił się, żeby podrapać go za uchem.

— Nie ma co, ten Sancho się uczy — stwierdził Stary Ramon.

Chłopiec rzucił mu szybkie spojrzenie. — Myślisz, że będzie kiedyś taki dobry jak Pedro?

Stary Ramon oparł się mocniej na kiju. — A bo to człowiek może powiedzieć z całą pewnością, co przyniesie jutro? Miałem w życiu dużo psów i pamiętam każdego za taką rzecz albo inną. która była w nim dobra. Ale przez te wszystkie długie lata miałem tylko jednego Pedra. Opowiadałem ci o jego pradziadku, co to przeprowadził stado przez pustynię Mojave. Pedro jest taki jak on. Ale jest czymś więcej. To jest mój Pedro. Patrz uważnie, a on ci coś pokaże. — Stary Ramon spojrzał na wiekowego brązowego psa. — Pedro. Coś mi się zdaje, że Maria dzisiaj w drodze kulała. Maria. Przyprowadź ją do mnie.

Brązowy pies wstał i podreptał w kierunku stada, a potem obchodził je wypatrując właściwej sztuki, przedarł się do niej, tarmosząc zmusił ją do wstania, chociaż się opierała, i wypchnął poza stado. Na otwartej

przestrzeni owca uskakiwała na boki próbując zawrócić, ale brązowy pies — szybki niczym błyskawica — jednym susem odciął jej drogę i zaganiając to z jednej, to z drugiej strony, popędził ją w stronę Starego Ramona.

— Teraz ją trzymaj — rozkazał Stary Ramon.

Brązowy pies przyskoczył, wbił zęby w gęste runo na karku owcy, wparł mocno łapy w ziemię i trzymał. Stary Ramon odłożył kij, zbliżył się do. Marii i przejechał rękami po jej ciele. Jedna ręka jakby zbłądziła czochrając przez chwilę kędzierzawą sierść na łbie i karku brązowego psa. — Ej, ty, Pedro. Czemuś mi nie powiedział? Omyliłem się i już. Jest zdrowa jak ryba. W porządku. Teraz ją odprowadź.

Brązowy pies puścił owcę, raz czy dwa skubnął ją po nogach a ona, protestując z oburzeniem, pobiegła ku bezpiecznemu schronieniu wśród stada. Pies podreptał za nią.

Stary Ramon podniósł z ziemi kij.

— Robi się ciemno. Trzeba nam jak najśpieszniej rozbić obóz. Ustawimy namiot, bo będziemy w tej dolinie kilka dni.

Stary Ramon i chłopiec spali smacznie w szerokim, niskim namiocie, tak niskim, że jak człowiek siadał, dotykał głową płótna. W środku było ciemniej niż na dworze, gdzie łagodny, falisty teren wznoszący się ku dalekim górom połyskiwał leciutko w skąpym blasku ubywającego księżyca, gotowego lada chwila schować się za wysokim wzgórzem na zachodzie.

Nagle chłopiec z trudem ocknął się ze snu. Ciszę rozdzierało głośne szczekanie, coraz bliższe. Chłopiec usłyszał, jak Stary Ramon przesuwa się obok niego w ciemności i gramoli z namiotu. Wygrzebał się za nim i w mrocznym świetle na zewnątrz zobaczył wysoką postać Starego Ramona; jednocześnie nadbiegł w podskokach brązowy pies. Już nie szczekał, a tylko z gardła wydobywało mu się głębokie warczenie.

— Co się stało? — zawołał chłopiec.

— Wilk! — odparł Stary Ramon. — Pedro mówi, że tu jest wilk.

Chłopiec przykucnął na ziemi w otworze namiotu i patrzał, jak stary chwyta jednostrzałową strzelbę, która naładowana stała na swoim miejscu przy jukach, i odchodzi; brązowy pies wyminął go i pomknął w mrok.

Stary Ramon zatrzymał się, obejrzał.

— Zostajesz tutaj. Rozpalisz większe ognisko i przyniesiesz mi dużą głownię. — I w chwilę później Stary Ramon był już tylko ciemnym kształtem znikającym w mroku nocy.

Chłopiec otrząsnął się, żeby opanować drżenie, i zaczął układać drwa na dogasającym żarze ogniska. Ukląkł i rozdmuchiwał iskry tlące się w popiele. Daleko w ciemności huknął strzał i zapadła cisza, którą po chwili przerwał donośny glos Starego Ramona.

— Pedro! Do stada! Do stada!

Płomienie zaczęły już błyskać między świeżymi polanami, a tymczasem chłopiec stał i wpatrywał się w ciemność. Stado było szarawą, zwartą plamą na dnie kotlinki Wszystkie owce były na nogach, stłoczona, ciasno zbita masa, a dwa ciemne kształty biegły ku nim, stary człowiek i stary pies. Człowiek wszedł w tę gęstwinę pochylając się, rozgarniał ją szerokimi,

mocnymi mchami rąk i ramion, a pies skoczył na stłoczone grzbiety i biegł po nich ku środkowi stada.

Chłopiec patrzał oszołomiony i zdumiony, i nagle sobie przypomniał. Obrócił się, wziął gałąź z dużym sękiem na jednym końcu i wsunął ją tym końcem w ogień. Zajęła się, żywica podsycała płomienie. Chłopiec chwycił za drugi koniec polana i trzymając je wysoko nad głową, jak pochodnię, pobiegł w kierunku stada.

Owce rozproszyły się, stały teraz w małych, oddzielnych gromadkach. Brązowy pies obiegał je szerokim kołem pilnując, żeby żadna nic odłączyła się i nie uciekła w mrok. Stary Ramon stał na obrzeżu stada i powoli, głęboko wciągał powietrze do płuc. Chłopiec przyglądał mu się w migotliwym świetle pochodni.

— Ja nic... nic nie rozumiem — powiedział chłopiec.

— Żadne inne zwierzę... nawet kura... nie jest takie głupie jak owca... Nocą przychodzi niebezpieczeństwo i kto je tam wie... może zaczną uciekać, od razu i wszystkie jednocześnie... tu, tam, wszędzie. To niedobrze, czasem trzeba całego dnia, albo i więcej, żeby je zebrać do kupy. Może nie zaczną uciekać... zaczną się tłoczyć jak dziś... zbijać w jedną ciasną masę... to jeszcze gorzej. W środku robi się ścisk, mniejsze przewracają się, inne je przygniatają, tamte nie mają czym oddychać i niektóre giną...

Stary Ramon wziął głownię, skinął na chłopca i ruszył przed siebie. Teraz schylony trzymał pochodnię nisko, oświetlał nią ziemię, szedł wolno, szukał czegoś. Schylił się jeszcze niżej i badał wzrokiem ziemię tuż obok swoich stóp. — Widzisz? Siady. Duże, bardzo duże. A tu krew. O, dostało się temu wilkowi! Nie wróci. O tej porze roku powinien siedzieć w górach, w gęstym lesie. Już tam zmyka.

Stary Ramon ruszył znowu, bardzo wolno, przeszukując dokładnie ziemię. — Dobrze. Dobrze. Była tylko pojedyncza sztuka. To bardzo dobrze. — Wyprostował się i rozejrzał, jakby nasłuchując. Potrząsnął głową, spojrzał na chłopca, zaczął coś mówić, ale zaraz urwał, odwrócił wzrok i zaczął iść z powrotem na drugą stronę stada. Stawiał kilka kroków, wracał, przeszukiwał dokładnie teren. Znowu przystanął i chłopiec zbliżył się do niego. Razem patrzyli na nieruchomy czarny kształt na ziemi, na wyciągnięty pysk z obnażonymi kłami, na migotliwy blask pochodni odbity w nieruchomych, nic nie widzących źrenicach i w kałuży ciemnej krwi wyciekłej z rozszarpanego gardła.

— Ach, ten głupiec — rzekł cicho Siary Ramon. — Ten odważny młody głupiec.

Chłopcu wyrwał się z gardła szloch.

— Płacz — powiedział Stary Ramon łagodnie. — Łzy dobrze ci zrobią. A pies będzie wiedział. Duch psa będzie wiedział... Poczekasz tu z nim i nikt tego nie zobaczy. A za jakiś czas wrócę z łopatą. Pochowamy go głęboko i zaznaczymy to miejsce kamieniami z dna potoku...

IX

Ognisko rozpraszało bezksiężycowy mrok małym, chybotliwym kręgiem światła. Stary Ramon siedział tuz obok; podciągnął nogi, objął je rękami i

oparł brodę na kolanach. Wpatrywał się w małe, migocące płomyki. Nieco dalej w kręgu światła, na lewo od pasterza, siedział chłopiec. Nogi miał skrzyżowane, ciało bezwładnie pochylone i łokcie wsparte na kolanach. On też wpatrywał się w ogień.

— Zawsze tak jest — przemówił Stary Ramon. — W noc, kiedy ginie pies, jego pan nie zmruży oka.

Czas płynął powoli. Niewyraźny kształt przysunął się cicho i zatrzymał w kręgu światła po drugiej stronie ogniska.

— Tak — rzekł Stary Ramon. — Tak, Pedro. Może będziesz z nami jeszcze jakiś czas.

Stary brązowy pies zaczął iść do swego pana, ale zatrzymał się przy chłopcu i łagodnie przytulił do niego łeb.

— Tak — powiedział Stary Ramon. — Pedro wie.

Nagle chłopiec odepchnął psa i zamachnął się na niego. — Tchórz! Idź ode mnie!

Brązowy pies podreptał do Starego Ramona i płożył się przy nim; a Stary Ramon wyprostował trochę plecy i spojrzał na chłopca. — Jakże to?

— Przybiegł do nas i zostawił Sancha, żeby sam walczył z wilkiem!

Stary Ramon znowu utkwił wzrok w płomieniach ogniska. — Słusznie. Tak zrobił, a nie inaczej. A że tak zrobił, nie straciliśmy owiec. Być odważnym to piękna rzecz. Ale to nie wystarcza, Trzeba też być mądrym. A Pedro wie... Ty musisz wiedzieć jedno: dobry pies pasterski zawsze myśli o stadzie. Pies nie jest przeciwnikiem dla wilka. Dla kojota, owszem. Dla dużego wilka leśnego, nie. Wilk jest większy, szybszy, bardziej zajadły. Taki wilk ma w sobie całą siłę dzikiego życia. Ma szczęki jak ogromny potrzask, a jego kły krają głęboko niczym ten nóż, co go noszę przy sobie. Widziałem, jak wilk zabijał jednego po drugim trzy dobre psy, a cała rzecz trwała niewiele dłużej, niż ja ci ją opowiadam. I tak już jest, że jak przyjdzie wilk, dobry pies pasterski biegnie obudzić pana i jego strzelbę. I tak już jest, że wtedy stado może być bezpieczne, i człowiek zrobi, co trzeba zrobić. Pedro wie...

— Nic mnie to nie obchodzi! — Chłopcu glos się załamał. Odwrócił wzrok. — Takie rzeczy wiedzą tchórze! Żeby tylko było bezpiecznie! Żeby uciec! — Chłopiec zwiesił głowę, ukrył ją w ramionach oplatających kolana.

Stary Ramon wpatrywał się w ogień.

— Pedro — przemówi! cicho. — Mój Pedrocito. Jest tu ktoś, komu się zdaje, że jesteś tchórz. Że uciekasz od niebezpieczeństwa. Idź do niego, niech cię pomaca po boku. — Brązowy pies wstał i podreptał do chłopca, a Stary Ramon znowu przemówił głosem ostrym. — Wyciągnij rękę i dotknij jego boku, pod futrem.

Powoli chłopiec wyprostował się, wyciągnął rękę i dotknął psa. Powoli jego palce zagłębiły się w gęstym, kosmatym futrze i wyczuły na skórze długie, stwardniałe bruzdy zabliźnionej tkanki. Wyprostował plecy, cofnął rękę, a stary brązowy pies położył się przy nim na ziemi.

— Wilk? — spytał chłopiec.

— Nie — odparł Stary Ramon. — Nie wilk. Niedźwiedź. Wielki niedźwiedź grizzly.

Chłopiec siedział teraz sztywno wyprostowany. — Opowiedz.

— Opowiem ci. Byłeś wtedy mały i pojechałeś z matką do miasta. To było sześć lat temu. Może siedem. Musiałbym policzyć, ale to nieważne.

Poszliśmy, to znaczy Pedro i ja, w odwiedziny do mojego kuzyna Pabla, na wesele jego córki. Wracaliśmy przez góry, bo tak jest bliżej. Szedłem ze strzelbą, a Pedro biegł za mną i bardzośmy się śpieszyli, bo mój patron, twój ojciec, czekał na nas z dużym stadem. Aż tu nagle, sam nie wiem jak, ścieżka ostro skręciła i on tam stał pod skałą... niedźwiedź, ze dwadzieścia stóp ode mnie. Tak się zląkł, że chciał tylko jednego... walczyć i zabijać, więc zaryczał przeraźliwie i obnażył tę swoje wielkie kły i ruszył na mnie. I wtedy ja, Ramon, com w ciągu moich długich lat widział dość na to, żeby mieć więcej rozumu w głowie, tak się przestraszyłem, że zacząłem się cofać, potknąłem się i upadłem, a strzelba wyleciała mi z ręki.

Stary Ramon umilkł i spojrzał na brązowego psa. Pies podniósł głowę, pysk skierował do niego, w gardle bulgotało mu ciche warczenie.

— Widzisz? Wie, że mówię o nim. I o niedźwiedziu. Pamięta.

Chłopiec też przeniósł spojrzenie na psa.

— I co potem?

— Tak było, nie inaczej. Ja leżałem na ziemi, strzelba dobre kilka stóp ode mnie, a niedźwiedź się zbliżał. I ze ścieżki za mną wypadł mój Pedro... niczym huragan, niczym rozsierdzony byk, co idzie do ataku. Każdziutki włos jego sierści sterczał na nim jak szczotka i on też warczał okropnie i skoczył prosto na niedźwiedzia. Kiedym się gramolił na czworakach i kaleczyłem ręce o kamienie szukając strzelby, zobaczyłem, że Pedro wbija mocno zęby w kark niedźwiedzia, a niedźwiedź podnosi się na tylne łapy i potrząsa łbem z całej siły, przez co Pedro podskakuje i śmiga jak bicz w powietrzu. I nagle jedna wielka łapa z ostrymi pazurami przejechała po boku Pedra i oderwała go, i cisnęła na odległość wielu stóp. Ale to wystarczyło. Miałem strzelbę. Strzeliłem celnie. Nie musiałem używać noża. Jak podbiegłem do Pedra, nie mógł już stać. Część bebechów zwisała mu z rozoranego boku. Ale dalej warczał i kłapał zębami, i próbował przyczołgać się do niedźwiedzia. A kiedy patrzyłem na niego, oczy mu się zamknęły i znieruchomiał.

Chłopiec wyciągnął rękę i znowu, delikatnie, dotknął przez kosmate futro boku psa. — Co potem?

— Potem opatrzyłem go najlepiej, jak umiałem. Podarłem koszulę na bandaże. Przywiązałem sznurek do strzelby i przewiesiłem ją sobie przez plecy, a jego niosłem na rękach. To biegłem, to znów szedłem szybko, i znowu biegiem, a chociaż takie stare ze mnie chłopisko, płakałem w drodze żywymi łzami. Jak dotarłem do obozującego stada owiec, padłem na ziemię i nic już nie wiedziałem. Kiedy przyszedłem do siebie, usłyszałem, że mój patron, twój ojciec, sprowadził doktora i doktor powiedział, że Pedro będzie żył. No i Pedro żyje...

Stary Ramon wpatrywał się w niewielkie ognisko, a chłopiec siedział wyprostowany, z jedną ręką na łbie brązowego psa, i też nie odrywał wzroku od płomieni. Czas płynął powoli, nagle chłopiec przemówił.

— Czy myślisz, że Sancho wiedział, że Pedro nas obudzi i dlatego został, i walczył z wilkiem?

Stary Ramon obrócił głowę i długo przyglądał się chłopcu.

— Kto wie, to możliwe — rzekł z namysłem. — Tak, to możliwe... — Poruszył się nieznacznie. — Pedro. Już czas. — Brązowy pies wstał i oddalił się w mrok nocy.

Ogień przygasał, mężczyzna i chłopiec spoglądali na tlące się głownie.

— Tak — odezwał się chłopiec. — Myślę, że mam rację. Myślę, że Pedro był dla Sancha książką i Sancho przyglądał się, i słuchał, i Sancho...

— Bądź że cicho! — Stary Ramon walnął pięścią w wyschłą ziemię. — Ramon myśli Przypomina sobie, co wie o okolicach na południe od tego miejsca...

Ogień tlił się już tylko, gdy Siary Ramon wyprostował nagle plecy.

— Tak — powiedział. — Tak. To się da zrobić. I bez krzywdy dla owiec. O samym świcie wyjdziemy na przełęcz w górnej części tej doliny. Będziemy mieli wodopój każdego dnia wędrówki i dobrą trawę. Pójdziemy niespiesznie, żeby owce dobrze się spasły. I na piąty dzień zajdziemy do doliny białych skał, gdzie mój kuzyn Vincente ma nieduże gospodarstwo, To już dwa lata, jak mój Pedro pokrył jego sukę Cloe. Widzi mi się, że dla Pedra to był ostatni raz, bo jest stary jak jego pan. Ale słyszałem, że to bardzo dobry miot. Ludzie mówili, że jeden szczeniak jest kropla w kroplę jak mój Pedro, kiedy był młody. Chodzi o to, że za pokrycie suki mam prawo wybrać szczeniaka...

Chłopiec siedział sztywno wyprostowany, wpatrywał się w Starego Ramona, czekał.

— Tak — ciągnął Stary Ramon. — Tak. Dla syna mojego patrona syn mojego psa. Po sprawiedliwości.

— Och... Ramon. — Chłopiec nawet nie próbował powiedzieć więcej i jak stary pasterz utkwił wzrok w ciemniejącym żarze ogniska. Po chwili przeniósł spojrzenie na Starego Ramona. — Czy on ma jakieś imię?

— Imię? — zdziwił się Stary Ramon. — A bo to ja wiem? Mój kuzyn Vincente pewnie jakoś na niego woła. I co z tego? Pies nie ma prawdziwego imienia, dopóki mu go nie nada ten, co ma być jego panem. Swoją drogą, jakbym był chłopcem siedzącym koło tych resztek ogniska, wiedziałbym dobrze, jak go nazwać...

Czas płynął powoli, mężczyzna i chłopiec siedzieli wpatrzeni w dogasający żar.

— Tak — rzekł chłopiec. — Wiem. Myślę, że będzie się nazywał Sancho.

Mustangi

(Maverics, 1967)

I

Stary Jake Hanlon siedzi na brzegu urwistej mesy[1] i spogląda na bezkresną południowo-zachodnią równinę. Mila za milą ciągnie się ona ku zamglonemu horyzontowi, poprzerywana tylko stromymi wzniesieniami kilku wysokich skał, które obroniły się dotąd długiej i powolnej erozji czasu. Podobne są wyspom wznoszącym się na bezmiarze otwartej przestrzeni. Równina zdaje się chlupotać o ich podstawy niczym ocean piasku i skruszonej gliny, poznaczony tylko z rzadka rozrzuconymi kępami traw, niskimi krzakami juki o liściach jak sztylety i zjadliwego, czepiającego się ziemi kaktusa.

Stary Jake Hanlon siedzi tak nieruchomo i spokojnie jak pomarszczona jaszczurka na rozgrzanym od słońca kamieniu. Jest bardzo stary i omszały niczym głaz, jest tak bardzo wyblakły i wysuszony, że stał się chudym kanciastym kształtem, kryjącym kruche kości i resztki łykowatych mięśni. Czas obciosywał jego ostrą twarz pod szerokoskrzydłym miękkim kapeluszem, aż została z niej tylko wysuszona jak pergamin skóra, ciasno obciągnięta na kościach. Jake Hanlon przypomina samotnie stojącą stromą skałę. Jest stary, tak stary, że nie pamięta dokładnie, ile ma lat, wie tylko, że dziewięćdziesiąt z dobrym okładem — ludzie mówią, że głupkowatym dzieciakom turystów w mieście, wspominał coś o dawno przekroczonej setce.

Teraz miasto już go nie zna. Nie był tam od kilku miesięcy i nigdy więcej nie będzie. Ludzie w mieście, wielu z nich, są zadowoleni, że sobie poszedł. Myślą o nim, jeżeli w ogóle o nim myślą, jako o zniedołężniałym starym nudziarzu, zgrzybiałym relikcie przeszłości, gwałcicielu prawa, szubieniczniku, który jest zakałą nowoczesnej postępowej społeczności.

Stary Jake rzucił miasto na dobre i przyszedł tutaj, do opuszczonych budynków zarządu Potrójnego X, do walącego się domu z cegły suszonej na słońcu, do stodoły prawie pozbawionej dachu i pustej zagrody dla bydła, otoczonej połamanym ogrodzeniem, które rozsypują się i zapadają w ziemię, za jego plecami, jakieś ćwierć mili od urwistego brzegu mesy. Przyjechał tu rozmytą deszczami drogą, nienaprawianą przez administrację okręgu, na przednim siedzeniu potężnego, pięknego samochodu, obok Henry'ego W. Harpera, wnuka Hardrocka Harpera, który przed wielu, wielu laty założył Potrójne X.

Jest jeszcze woda w źródle za walącym się domem. To prawda, że cieknie teraz małą strugą, ale jej starczy. Są puszki konserw w jedynym pokoju, gdzie przez sufit nie zagląda niebo. Raz na dwa tygodnie Henry W. Harper przebywa samochodem tę parodię drogi i przywozi więcej puszek. Henry W. Harper jest teraz zażywnym, flegmatycznym mężczyzną w średnim wieku, o miękkich dłoniach i wymanikiurowanych paznokciach, i

[1] Mesa – wysoki, skalisty płaskowyż o urwistych ścianach.

ma piękny duży dom w mieście. Ale wciąż pamięta, że kiedyś był małym chłopcem, na którego wołali Hank, i nosił buty do konnej jazdy w czasie letnich wakacji, i że to Jake Hanlon nauczył go siedzieć w siodle prawdziwie po męsku i zabierał w góry, gdzie łosie miały swoje legowiska, i zawsze przywoził bezpiecznie do domu. Będzie się trząsł po tej zapomnianej przez Boga i ludzi drodze, i przywoził konserwy i tytoń w puszkach tak długo, jak długo będą potrzebne.

A nie będzie to już długo. Stary Jake Hanlon przywędrował tu, gdzie spędził część swoich najlepszych lat w kurzu i pocie ciężkiej pracy, która dawała mu zadowolenie. Przywędrował tu, żeby umrzeć. Jest niczym stary niedźwiedź, który wie, że nadszedł jego czas i zaszywa się w ostępach, żeby umrzeć samotnie i z godnością. Jest niczym stary wilk, który przeżył już swoje lata i wrócił na dawne legowisko, żeby czekać na śmierć. Jest niczym stara obumierająca sosna, od lat nie zasilana sokami powracającej wiosny, czekająca teraz, by ją powalił wiatr i by mogła rozsypać się i zmieszać z ziemią, z której wyrosła.

Stary Jake Hanlon siedzi na brzegu urwistej mesy i pyka ze starej fajki, obrośniętej skorupą zaschłego soku tytoniowego i buchającej smrodem, kiedy dym wzbija się w powietrze. Z kieszeni jego skórzanej kamizelki, całej w łatach, sterczy nowa fajka z wygiętym cybuchem i srebrną obrączką; przyjechała tu do niego trzęsąc się na kamienistej drodze, razem z ostatnią partią tytoniu. Może ją jeszcze dzisiaj wypróbuje. Może nie. Trzeba dużo czasu, żeby fajkę należycie przepalić. A jego czas dobiega końca. Stara fajka jest jak stary przyjaciel. Główkę łatwo mu objąć sztywniejącą prawą dłonią. Cybuch mieści się wygodnie w szparze po złamanym zębie w dolnej szczęce.

Pod nim, na bezmiarze równiny, od bezkresnej dali na wschodzie aż hen, ku zachodowi, wijąc się między samotnymi wysokimi skałami, biegnie nowa szosa. Jest to dwupasmowa autostrada z szerokim pasem środkowym, nowoczesna jak dzień pojutrzejszy. Wydaje się maleńka na ogromie równiny, z wysokości mesy. Ale znaczenie ma wielkie, bo zmniejsza odległość, bo łączy dalekie rojne miasta. Po niej, w obu kierunkach, nie kończącym się falującym strumieniem płynie ruch kołowy, dla którego powstała. Samochody, samochody, samochody. Długie, smukłe, potężne maszyny i mniejsze, i jeszcze mniejsze, zagraniczne. Samochody z pedałem gazu przyciśniętym do deski, zmuszającym rozgrzany silnik do przekraczania dozwolonej szybkości, wiozące turystów do następnego zaznaczonego na mapie wygodnego motelu z klimatyzacją. Autobusy, duże i niezdarne, zdzierające opony, usiłujące trzymać się nierealnego rozkładu jazdy. Olbrzymie ciężarówki z silnikami diesla, buchające spalinami, grzmocące w nawierzchnię w szalonym pośpiechu, by dotrzeć do dalekich składów towarowych.

— Wszyscy się spieszą, jakby ich diabeł gonił — mruczy do siebie Stary Jake. — Chcą gdzieś dojechać. Nie przychodzi im do głowy, że byli już gdzieś, zanim wyruszyli w drogę?

W dole, przez bezkresny zda się obszar równiny, suną pojazdy. Nie wiadomo skąd, nie wiadomo dokąd, niecierpliwe, rozpędzone, płynące nie

kończącym się sznurem. Sfatygowana półciężarówka z dwoma bykami na platformie, zwalnia przed małym wzniesieniem, stary silnik pracuje ciężko, pnie się pod górę, by potem zjechać po pochyłości. Ogromny ciągnik z przyczepą podjeżdża z tyłu, próbuje ją wyprzedzić i też zwalnia przed wzniesieniem. Pojazdy zaczynają się tłoczyć za nimi, słychać zniecierpliwiony, zirytowany jazgot klaksonów. Ich głosy przecinają wybuchem suche powietrze i odpływają, znikają w oddali. Ogromna przyczepa osiąga wzniesienie i zjeżdża w dół z łoskotem, wraca na właściwy pas, a samochody wyprzedzają ją jeden za drugim...

Następuje krótka pauza w tym przepływie, maleńka luka w strumieniu pędzących samochodów, i w poprzek autostrady zaczyna biec królik. Dopada środkowego pasa, waha się i więźnie tam, osaczony z obu stron nowymi sznurami wozów. Oszalały ze strachu przebiega między dwoma nadjeżdżającymi samochodami, ale dosięga go miażdżące przednie koło auta na sąsiednim pasie. Długie tylne łapy drgają i zaraz nieruchomieją, a pozbawiona życia kupka futra, ciała, kości i krwi rozpłaszcza się pod miażdżącymi kołami.

Wysoko na brzegu skalistej mesy Stary Jake widzi to wszystko. Zapadnięte stare oczy są wciąż tak bystre, jak wtedy, gdy jego wzrok biegnący wzdłuż lufy i ręka zaciśnięta na lassie nie miały sobie równych. Widzi to wszystko. Nowe życie dnia dzisiejszego płynie przed nim w dole, zakute w swoją mechaniczną zbroję, obojętne wobec słabszych na drodze, pędzące nieubłaganie naprzód ku swoim wciąż odnawianym nadziejom przyszłości.

— Jak stado gnających w popłochu wołów — mówi.

W milczeniu, nieruchomy, siedzi i obserwuje, Fajka mu zgasła, ale nawet tego nic zauważył. Patrzy na rozpędzone samochody i nie dostrzega ich; jego stare oczy są żywsze niż przed chwilą, patrzą na wielką autostradę, ale jej nie widzą. Rozpłynęła się w mgle dawnej przeszłości i tam, gdzie biegnie zakosami pośród wysokich, samotnie sterczących skał, pozostał tylko ślad starodawnej ścieżki. Mroczna zasłona rozpięta od zachodu nad autostradą to nie bure spaliny buchające z potężnych ciężarówek, które łomocą po twardej nawierzchni. Jest to chmura czystego, przyjaznego kurzu, złocista w promieniach słońca, wzbijająca się spod kopyt, które tętnią po dobrotliwej ziemi w czystym, przyjaznym rytmie wolności.

Pędzą, potrząsając łbami — grzmot kopyt, grzywy powiewające na wietrze, orle spojrzenie w oczach!

Dzikie konie, mustangi!

Idą z zachodu, a liczba ich jest nieprzebrana. Potomkowie dzielnych koni berberyjskich z krwią arabską w żyłach, które przed czterema wiekami przywieźli konkwistadorzy z równin Kordoby w dalekiej Hiszpanii. Znowu u siebie, na ziemi, gdzie przed milionami lat powstały pierwsze konie i skąd rozprzestrzeniły się do Azji przez most lądowy Alaski, zanim podniosły się i rozerwały go fale oceanu. Znowu u siebie, na ziemi, gdzie ich dalecy przodkowie najpierw się pojawili, a potem, z upływem tysiącleci, wymarli po jakimś nieznanym kataklizmie i gwałtownej zmianie warunków.

Znowu u siebie, na ziemi, która je pierwsza wydała, a potem była gotowa ponownie je przyjąć, kiedy konkwistadorzy przywieźli je z Hiszpanii, a one uciekły, by znów hasać na wolności.

Niewielkie, chude i kościste, skarlałe w ciągu lat, w ciągu pokoleń, bo podstawą ich wyżywienia była skąpa a odporna trawa na wpół jałowych prerii południowego zachodu. Zniknęło wiele z piękna berberyjskich koni — szlachetny łeb, łukowate wygięcie karku, prosty grzbiet, mięsista wypukłość zadu. Mało było takich, które stojąc w bezruchu przyciągnęłyby spojrzenie koniarza ze wschodnich wybrzeży, przywykłego do pieczołowicie hodowanych, pieczołowicie odżywianych koni z torów wyścigowych i aren cyrkowych. Ale w ruchu, dzikie i wolne, połykające wiatr i pożerające odległość, były symbolem, samą esencją rozleglej, ogołoconej, jałowej ziemi i bezmiernych otwartych przestrzeni.

Niewielkie i skarlałe, o brzuchu rozdętym trawą i wąskim zadzie. Niemal wszystko, co wspaniałe, zniknęło — wszystko prócz ducha i odwagi. I upartego czepiania się wolności. Zahartowane przez letnią suszę i zimowe zamiecie, przez kły wilków i pazury górskiego lwa aż do krańca ostatecznej wytrzymałości. Potężne płuca w drobnym kościstym ciele, mocne serca i stalowe sprężyny w cienkich nogach, twarde jak krzemień kopyta i zagrzebana gdzieś głęboko w chudych, obciągniętych skórą bokach zdolność galopowania na skraj wieczności — i z powrotem.

Idą z zachodu w tabunach przez siebie uformowanych; mądre, stare, jałowe klacze na przedzie, za nimi młode klacze ze źrebakami, a na końcu władcze ogiery, surowo pilnujące swojego haremu, zapędzające opieszałych maruderów, podrzucające łby na znak pogardy dla zazdrośników z ich plemienia — wszystkie te dzikie konie, które Stary Jake Hanlon widział w dalekiej i mglistej przeszłości, kiedy był chłopcem jadącym na pionierskim wozie ku zachodzącemu słońcu, i kiedy był szaleńczym łowcą i ujeżdżaczem mustangów, jednym z najlepszych wśród najlepszych, i kiedy był beztroskim, niebaczącym na nic kowbojem objeżdżającym najdalsze pastwiska.

Mijają go w pędzie — ruch drogowy z innej epoki — i Stary Jake kiwa głową rozpoznając tę czy inną sztukę, gdy przebiega obok jego posterunku na skraju wysokiej mesy. Daleko, niewyraźna w oddali, widnieje w zagłębieniu równiny smuga zieloności wskazująca wodopój i jeden z tabunów skręca w tamtym kierunku. Stary Jake siedzi w milczeniu, nieruchomy, na skraju wysokiej mesy, ale nie ma go tutaj. Jest tam, blisko wodopoju, czołga się przez kępy wysokiej trawy. I jest teraz chudonogim chłopcem w podartej koszuli i połatanych, za dużych na niego portkach; leży płasko na brzuchu na niewielkim wzniesieniu otaczającym wodopój i patrzy w dół.

Nadciągają od jego lewej, wbiegają na szczyt wzniesienia. Przystają i na czoło wysuwa się ogier, wrony mustang ze śladami stoczonych walk, silny i władczy. Stoi z podniesionym łbem, nozdrzami bada wiatr, rozgląda się uważnie dokoła. Rży cicho i stado rusza z miejsca, schodzi w dół do wodopoju.

Wszystkie konie oprócz jednego. Stara klacz, chuda i wynędzniała, może nic tyle stara, ile chuda i wynędzniała, wlecze się z tyłu, Tamte

mustangi ją zostawiły, zbiegając spiesznie ze zbocza. A ona idzie wolno i sztywno, jakby się bała każdego kroku. Coś jej dolega, coś poważnego, Robi krok i ociera się o sterczący kaktus, odskakuje i stoi rozdygotana. Ślepa, ślepa na oba oczy.

Tamte tłoczą się na brzegu, przepychają zanurzając pyski w wodzie. Nie. Wszystkie prócz ogiera. Wspiął się na zbocze, wrócił do starej klaczy. Spycha ją na bok, odsuwa od kaktusa. Rży do niej cicho, prosi przymilnie, żeby się ruszyła i ona idzie za nim przytulając pysk do jego ciepłego, bezpiecznego, pokrytego bliznami boku. Waha się czując pod nogami spadek, ale on prycha na nią rozkazująco i klacz znowu rusza za nim. Jego potężna pierś otwiera dla niej przejście wśród stłoczonych mustangów i klacz wsuwa się obok niego, zanurza pysk i pije.

Ogier pije w pośpiechu, często podnosząc łeb i badając wiatr nozdrzami. Nagle wdaje z siebie głośny, ostry świst. Powiew zmiennego wiatru przyniósł zapach człowieka. Natychmiast całe stado wykonuje błyskawiczny obrót i rusza galopem za starą, mądrą klaczą-przewodniczką. Ślepa klacz też się obraca i chce biec za tamtymi, ale robi to powoli i z wahaniem. Ogier rzuca się do niej, popycha ją, chwyta lekko zębami, zmusza do pełnego galopu. Klacz wydłuża krok, cwałuje z nim łeb w łeb i ogier podprowadza ją do tamtych. Zapędza klacz między inne mustangi, klacz galopuje teraz pewnie, skręca kiedy one skręcają, ma wokół siebie ich zapach i ciała, i odgłosy stada. Ogier zatrzymuje się i odwraca. Rżeniem rozgłasza na wszystkie strony wyzwanie i pogardę dla tego czegoś, co może je ścigać, staje dęba wysoko wznosząc przednie nogi, obraca się i galopuje za swoim haremem.

— Nikt mi nie uwierzy — powiada Stary Jake Hanlon. — Ale ja to widziałem. Widziałem na własne oczy.

Nie ma ich już teraz, wszystkie tabuny odeszły — z zachodnich połaci równiny odeszły w nicość czasu minionego. Nie galopują już nawet w wyobraźni Starego Jake'a Hanlona. Starodawny szlak jest znowu ogromną, nowoczesną autostradą, po której pędzą potężne mechanizmy. Ale czekajcie! Stary Jake nie patrzy na autostradę, nie jest jej nawet świadomy. Spogląda ponad nią, za nią, w niewyraźną dal. To nie słup piasku porwanego wiatrem widzi na odległym horyzoncie. Widzi złocisty pył wzbijany przez cztery grzmocące ziemię kopyta...

To zbliża się on — sam, zupełnie sam w bezmiarze przestrzeni, roziskrzony w ukośnych promieniach słońca, biały, biały jak śnieg wysokich gór na pustyni zimą, z łbem odrzuconym i długą grzywą rozwianą, i jeszcze dłuższym ogonem powiewającym w wichurze jego własnego niezrównanego galopu. Przemierza równinę długim, płynnym, miarowym krokiem!

Biały Mustang, Biały Ogier równin, Koń-Zjawa prerii!

Nie ma takiego miejsca jak Dziki Zachód długi i szeroki, gdzie by go nie znano. A jeśli nie był to ten, to był to inny, a dla wszystkich zawsze ten sam. Niedościgły wzór dzikiego, wolnego życia. Król mustangów. A gdy król umiera — niech żyje król! Zawsze ktoś go gdzieś wypatrzy na niezmierzonych preriach amerykańskiego Zachodu. Jest nieposkromiony, niepokonany i tak naprawdę nigdy nie umrze, ponieważ jest tworzywem legend i żyje głęboko w myślach ludzi jako symbol ich własnego upartego trwania przy wolności. Każdy człowiek musi mieć swojego Białego

Mustanga, marzenie, za którym podąża, migocące światełko, które go wyprzedza na trudnej, powolnej drodze. Szczęśliwy ten, kto widzi je wyraźnie w dumnych latach młodzieńczych i później, nie zamglone, przez wszystkie długie, długie lata aż do starości.

Ten przebiegł wtedy blisko trzysta mil prawie bez zatrzymywania, bez chwili wytchnienia. Cztery dni i cztery dzielące je noce bez popasu, prócz może odrobiny trawy skubniętej w biegu. Bez wody, prócz kilku łyków wychłeptywanych za każdym razem, gdy przebywał płytkie, prawie wyschnięte koryto rzeki okrążając szerokim, sześćdziesięciomilowym kołem tamto pastwisko, które było jego pastwiskiem i którego, nie myślał opuścić. Był za mądry, żeby pić więcej i zwolnić bieg.

Dwie czarne kropki w odległości jednej trzeciej mili za nim, to dwaj jeźdźcy. Siedzą wyprostowani w siodle na dwóch wypoczętych wierzchowcach, które przebiegły dopiero kilka mil. Rozstawieni co piętnaście mil wzdłuż ogromnego obwodu czekają inni mężczyźni na innych wypoczętych wierzchowcach, czekają na swą kolej w długim pościgu, by galopować, galopować, galopować i w końcu go dopaść.

Wraz z nim biegnie pięć tysięcy dolarów. Taką sumę ofiarował za schwytanie Białego Mustanga słynny właściciel cyrku, P. T. Barnum. Ogromna to suma dla mężczyzny z południowego zachodu, ogromna, nawet kiedy się ją podzieli na wiele części. Dziesięciu mężczyzn połączyło swe siły, by zrobić to, co niektórzy daremnie próbowali uczynić w przeszłości. Dziesięciu mężczyzn i pięćdziesiąt koni ściga Białego Mustanga!

Zbadali jego zwyczaje i znają jego pastwisko. Ścigają go już cztery dni i cztery dzielące je noce, bo podczas tych księżycowych nocy biel mustanga jest widoczna prawie jak za dnia. Klacze z roczniakami z jego stada dawno już odpadły, wyczerpane, i pozostały w tyle. A on wciąż biegnie. Raz po raz wypoczęci jeźdźcy na wypoczętych koniach, startujący z różnych punktów na ogromnym obwodzie kola, próbowali zbliżyć się do niego, z gotowym lassem w ręku. Za każdym razem rytmiczny stukot tych czterech twardych jak krzemień kopyt stawał się szybszy, wydłużał się płynny chód i mustang odrywał się od ścigających, i znowu miał nad nimi bezpieczną przewagę.

Stary Jake Hanlon siedzi na skraju skalistej mesy. Siedzi cicho i bez tchu, jednakże wspomnienia płyną w jego starych zwiotczałych mięśniach. Dziwna rzecz, ale nie jest to ani skała, ani piasek, ani czysty pył cegły wypalanej na słońcu — to, na czym wspierają się jego chude stare pośladki. Jest to szlachetna skóra, nasiąknięta potem wielu, bardzo wielu mil. Stary Jake Hanlon tkwi na swoim miejscu nieruchomo, jakby był drzewem wrośniętym w ziemię, a przecież czuje pęd wiatru owiewający suchą, napiętą skórę twarzy. Nie tkwi już nieruchomo na brzegu skalistej mesy. Jest jedną z dalekich kropek na bezkresnej równinie. Siedzi wyprostowany na mocno zbudowanym dereszu, którego sam ujeździł i okiełznał. Jest Młodym Jake’em Hanlonem. Jest jednym z najlepszych jeźdźców w stajniach Potrójnego X i ściga Białego Mustanga.

Galopowali w południowym słońcu ramię przy ramieniu, Młody Jake Hanlon i Petey Corle pędzili za białym błyskiem Konia-Zjawy. Byli posępni, zawzięci, nie przekomarzali się, jak jeszcze wczoraj. Długi wysiłek dawał im się już we znaki, mimo przerw na odpoczynek, kiedy to inni kowboje podejmowali galop. Nie ścigali teraz Białego Mustanga tylko po to, żeby go trzymać w nieustannym ruchu, bez wytchnienia i prawie bez paszy i wody. Nacierali na niego ostrzej, raz po raz usiłując zmniejszyć dystans. Długi wysiłek jemu też dawał się we znaki. Nie mogło być inaczej. Nic, co składa się z mięśni i kości, nie wytrzyma tego morderczego, niekończącego się krążenia. Tak, wysiłek dawał mu się we znaki. Objawiało się to w ten sposób, że za każdym razem pozwalał im podjeżdżać bliżej, a także w stopniowym zmniejszaniu się przewagi, jaką zyskiwał przy każdym nowym zrywie.

Młody Jake Hanlon czuł, jak wzbiera w nim energia. Galopował z oczami utkwionymi w białym błysku, wciąż go wyprzedzającym. Zdawało mu się, że dostrzega jakby chwiejność w płynnym kroku i to dodało mu jeszcze zapału. Znał temperament swojego konia, siłę i prędkość kościstej budowy, wiedział, że jego deresz potrafi prześcignąć każdego ujeżdżonego wierzchowca w tych stronach. Dźgnął go ostrogami i koń poderwał się do pełnego galopu.

Bliżej. Coraz bliżej. Młody Jake widzi strugi potu ściekające z białych boków. Słyszy łkający świst, z jakim powietrze wchodzi i wychodzi z umęczonych płuc. Trzyma lasso w ręku, wiąże już pętlę.

Biały Mustang podrzucił łeb wyżej i lekko go obrócił, a wtedy Młody Jake zobaczył oko w czerwonej obwódce, które oszacowało odległość od zbliżającego się deresza i jeźdźca na jego grzbiecie. Usłyszał wyzywające prychnięcie zaprawione jakby szyderstwem Tętent tych twardych jak krzemień kopyt, które nie znały podkowy, stał się szybszy, dudnienie głośniejsze, krok się wydłużył — Biały Mustang uciekał coraz szybciej i szybciej, pozostawiając Młodego Jake’a daleko w tyle.

Młody Jake zgarbił się w siodle. Czuł, jak deresz walczy, daje wszystko, co ma w tym swoim chętnym, kościstym ciele. Poklepał go łagodnie po naprężonym karku.

— Mógłbym cię równie dobrze przywiązać do słupa — powiedział. Znowu go poklepał, przyjaźnie, przebaczająco. — Nie przejmuj się, stary — dodał. — Masz na grzbiecie ciężar, a on nie.

Młody Jake ściągnął wodze, żeby zwolnić i poczekać na Peteya. Razem puścili się w drogę. Ścigali, ale nie doganiali.

Przez całe popołudnie, przez wieczór i przez noc z późno wypływającym na niebo rożkiem księżyca, dziesięciu mężczyzn i pięćdziesiąt koni, zmieniających się kolejno parami, ścigało ów widmowy blask bieli na ogromnym obwodzie pastwiska, którego nic chciał opuścić.

Młody Jake Hanlon i Petey Corle, zapomniawszy o śnie, przykucnęli obok małego ogniska. Rozmawiali. Potem Młody Jake osiodłał uwiązanego obok konia i pojechał w mroku nocy do najbliższego punktu za nimi i tam rozmawiał z Ace'em Hogartym i Anselem Rakiem, a oni słuchając go kiwali głowami. Potem ruszył w drogę powrotną do Peteya czekającego przy ognisku i o świcie wszystko było gotowe.

Wyłonił się z brzasku, z brzasku piątego dnia gonitwy — chód miarowy, ale łeb opuszczony i piana z pyska ściekająca w łatach na drogę, krok

coraz wolniejszy. Ace i Ansel nic nacierali zbytnio, ale zajeżdżali mu drogę z prawej, spychając powoli na lewą stronę, ku łańcuchowi skalistych wzgórz. Teraz zbliżał się do wąskiej gardzieli kanionu o prostopadłych ścianach, który wrzynał się w te wzgórza. Za chwilę pozostawi kanion za sobą.

Z kryjówki w kępie jałowców i karłowatej dębiny wyjechał Młody Jake Hanlon i Peteyem Corle'em i z prawej przecięli mu drogę.

Zahamował ślizgając się na kopytach, gwałtownie skręcił i w rozpaczliwym zrywie skoczył w gardziel kanionu.

Był już w środku. Zatrzymał się. Znał każdą milę, każdy jard i każdą stopę tego pastwiska, które było jego pastwiskiem. Wiedział, że przed nim w kanionie jest tylko wąski pas przestrzeni o stromych ścianach, zamknięty pionową skałą. Jakby naturalna zagroda. Pułapka. Obrócił się i stanął przodem do wąskiej, kamiennej gardzieli i dwóch tarasujących ją jeźdźców z lassem gotowym w ręku. Zarżał raz, ostro i przenikliwie, z nutą wyzwania i tryumfu, i rzucił się naprzód.

Petey pierwszy. Petey Corle, mocno osadzony w siodle, na młodym, krzepkim siwku, dumny ze swej zręczności w posługiwaniu się lassem, spiął konia, żeby wykorzystać szansę. Biały Mustang nie miał żadnej szansy. Prosto jak kula wystrzelona z pistoletu, nie zbaczając ani na cal, runął na siwka, bokiem o bok w morderczym zderzeniu, i siwek zachwiał się i padł, a Petey turlał się teraz po trawie i wlókł za sobą lasso wysuwające się z pozbawionych czucia palców.

Młody Jake, następny. Młody Jake Hanlon, pewnie siedzący w głębokim siodle o podwójnych popręgach, pod nim wspaniale umięśniony deresz, a jego rozpiera duma, że tyle już w życiu schwytał mustangów. Obrócił deresza bokiem, żeby zatarasować, ile się da, gardziel kanionu. Pętlę miał już gotową, zarzuci ją, kiedy Koń-Zjawa będzie próbował przedrzeć się przez wąską, niezamkniętą przestrzeń. Ale Biały Mustang nie przegalopował obok niego. Ruszył prosto na Młodego Jake'a i poderwawszy się stanął dęba w groźnej pozie walczących ogierów.

Młody Jake zobaczył, jak unosi się w górę, zaledwie kilka stóp od niego, splamiona potem i smugami kurzu biała pierś. Widział, jak wznoszą się przednie nogi z ostrymi jak nóż kopytami, by runąć w straszliwym, miażdżącym uderzeniu. Widział pokryte pianą wargi, obnażające rząd ogromnych zębów. Wdział spojrzenie orła w otoczonych czerwoną obwódką, przekrwionych oczach. Zapomniał o pętli trzymanej oburącz. Pętla wysunęła się, schwycił obiema rękami wodze, szarpnął deresza w bok. Wtedy Biały Mustang uderzył. Jedno przednie kopyto zawadziło o brzeg kapelusza, spadło na bark i zsunęło się po boku rozorując skórzaną kurtkę, flanelową koszulę, tnąc aż do krwi, łamiąc kilka żeber i wysadzając Jake'a z siodła. Drugie kopyto pozostawiło głębokie cięcie na szyi deresza. Spadając Młody Jake słyszał kłapnięcie ogromnych zębów, jak trzask zamykającej się pułapki na niedźwiedzia, kiedy chwyciły i ześlizgnęły się z zadu deresza, który w obłędnym przerażeniu odskoczył w bok.

Młody Jake leżał na ziemi bezwładny, pokaleczony i krwawiący, ale z głową uniesioną, i patrzył, jak Biały Mustang znika w oddali. Tymczasem zbliżył się Ace Hogarty z Anselem Rakiem.

— No i nie udało się — rzekł Ansel z krzywym, znużonym uśmieszkiem.

— Ano nie — mruknął Młody Jake. Usiadł i zaraz drgnął z bólu szarpiącego mu bok. W odpowiedzi i on zdobył się na krzywy, znużony uśmieszek. — Ale wy dwaj ruszajcie za nim — powiedział. — Niech będzie cały czas w ruchu. Ja i Petey poreperujemy się jakoś nawzajem i skrzykniemy resztę na sam finisz. Mamy go już.

— Łupnął cię w głowę — rzekł Ace. — Będziesz całkiem do niczego. Dobre pięć dni. My i konie jesteśmy zmordowani na trupa. A on dalej ma siłę galopować.

— Nie — odparł Młody Jake. — Nie zauważyłeś. To było pewnie wtedy, kiedy się wpakował na Peteya. Kuleje.

Przez cały ranek aż do popołudnia Biały Mustang galopował, ale jego niedościgły chód był teraz nierówny. Często zwalniał, oglądał się i znowu zrywał do galopu, kiedy pościg znajdował się nie dalej jak o dwie długości lassa. Późnym popołudniem wbiegł na szczyt wysokiego wzniesienia, obejrzał się i nie zobaczył za sobą jeźdźców.

Długo badał wzrokiem równinę, spoglądał we wszystkich kierunkach, z łbem wysoko wzniesionym sprawdzał kierunek wiatru. Nic się nie poruszało, tylko w oddali dojrzał małe stado antylop. Stał i gwałtowne falowanie jego piersi powoli ustępowało. Stał i zmęczenie, które głuszył pełen napięcia i podniecenia galop, nagle rozlało się po jego ciele, a mięśnie spuchniętego barku stwardniały w naprężonej, bolesnej sztywności.

Szarpnął nim głód. więc opuścił łeb i zaczął skubać trawę, Ale nie trwało to długo. Pragnienie było silniejszym nakazem. Powoli, ostrożnie, kulejąc i chroniąc przed gwałtowniejszymi mchami potłuczony bark; stąpał w dół, z wiatrem, i zatoczywszy szeroki łuk zbliżył się do zakola rzeki. Stanął nad małym, płytkim rozlewiskiem pod skalistą półką brzegu. Pił. Woda była chłodna i spływając w dół koiła wyschniętą krtań. Pił.

I nadal wiatr nie przekazywał mu żadnej wieści, nigdzie dokoła nie wyczuwał ruchu wrogiego jego instynktom. Odchodził już z brzuchem napełnionym wodą, kiedy usłyszał przeciągłe rżenie klaczy.

Jednej z jego klaczy.

Głos przypłynął zza rzeki, górą, spoza niskiego pagórka, który w porze deszczowej rzeka opływa lukiem. Biały Mustang stał jak wrośnięty w ziemię, i łbem zadartym, uszami podanymi do przodu i nasłuchiwał. I znowu przypłynął dźwięk, przeciągłe, samotne błaganie. Cicho, bo kopyta nie wydawały odgłosu zagłębiając się w miękkiej ziemi, ruszył w dół rzeki, w lewo, idąc samym brzegiem. Utykał teraz bardzo wyraźnie, mięśnie zesztywniałego barku buntowały się przeciw ruchowi, ale nie zwracał na to uwagi. Przekroczył łożysko rzeki w miejscu, gdzie płaski teren po obu stronach dawał dobrą widoczność, i kuśtykał dalej łukiem u podnóża niskiego skalistego pagórka, Zobaczył ją w kotlince za wzgórzem.

Zarżał cicho i klacz obróciła się. ruszyła ku niemu. Nagle zatrzymała się, z nogami wpartymi w ziemię i łbem dziwacznie wykręconym. Znowu zarżał i znowu zachowała się dziwacznie, oddech zacharczał jej w krtani. Zaczął iść do niej i zbliżywszy się zobaczył pętlę wrzynającą się w szyję i koniec naprężonej linki przywiązanej do kołka w ziemi; jednocześnie usłyszał tętent gdzieś z prawej, a kiedy się obejrzał, dostrzegł dwóch jeźdźców pędzących w jego stronę. Obrócił się gwałtownie i porwał do ostrego galopu, a wtedy zobaczył dwóch innych jeźdźców wjeżdżających

na szczyt wzgórza w prostej linii przed nim. Znowu uskoczył w bok i znowu rzucił się do galopu umykając przed tymi czterema, którzy szli pełnym cwałem, żeby przeciąć mu drogę. I mimo wszystko — chociaż woda ciążyła mu w brzuchu, chociaż był taki wychudły i wycieńczony udręką pięciodniowej gonitwy, chociaż prąd bólu biegł w górę do grzbietu przy każdym uderzeniu w ziemię twardego jak krzemień kopyta, nie dogoniliby go, Ale inni jeźdźcy ukazali się przed nim rozbiegając się na boki i z tymi, co byli za nim, utworzyli zamknięte koło.

Nie zawahał się i nie tracił czasu na zmianę kierunku, nie usiłował kluczyć. Nic zważając na ból pulsujący w barku pędził naprzód tym swoim niezrównanym galopem. Duży Jim Hawkins na ogromnym gniadoszu, potomku koni hodowanych od pokoleń, zatarasował mu drogę, ale w ostatniej chwili odskoczył i jego lasso przecięło powietrze, a pętla zsunęła się po wyciągniętym białym łbie na szyję. Mustang galopował dalej. Lina naprężyła się szarpiąc kulę siodła, gniadosz Dużego Jima runął wleczony po ziemi. Duży Jim turlał się ze zwichniętą nogą i podrapanym do krwi policzkiem, popręgi pękły i Biały Mustang pogalopował dalej, wlokąc za sobą siodło.

Przerwa! krąg ludzi i zostawił ich za sobą, ale siodło zaczepiło się o niski, twardy pień jałowca. Wtedy mustang zaczął szarpać się na boki i lina coraz głębiej wrzynała mu się w szyję. Natychmiast jego potężne szczęki zamknęły się na linie i tarły ją, mełły, aż lina pękła. Tylko kilka sekund, ale to wystarczyło. Lasso Arniego Halla wystrzeliło w powietrze i schwytało go, kiedy się obracał do nowego galopu.

Wiedział już teraz, czym jest lasso i gdy pętla zacisnęła mu się na szyi, nie próbował walczyć. Wykonał obrót, pocwałował prosto na Arniego i przysiadł na zadzie, żeby zaatakować Ale Młody Jake Hanlon na krzepkim kościstym dereszu już był blisko z przygotowaną małą pętlą, która przecięła teraz powietrze i schwytała jedną z uniesionych przednich nóg, a gdy rozpędzony deresz galopował dalej, Biały Mustang, szarpnięty z wielką siłą, stracił równowagę i runął na bok.

Trzymały go teraz dwie liny, za szyję i za przednią nogę, i ciągnęły w przeciwnych kierunkach. Mimo to dźwignął się z ziemi i walczył dalej, rzucając się gwałtownie to w jedną, to w drugą stronę i szarpiąc liny zębami. Ale tymczasem nadjechał Petey Corle, który zręcznie posługiwał się lassem i pragnął pomścić wczorajszą klęskę. Jego lasso śmignęło tuż nad ziemią jak wąż, pętla zacisnęła się na tylnej nodze i Biały Mustang znowu runął na bok.

Podrywał się i walił ciałem o ziemię, ale liny trzymały i nie mógł wstać Wyczuł chyba daremność dalszej walki i znieruchomiał.

Dziewięciu mężczyzn w siodle i dziesiąty stojący na ziemi i utrzymujący ciężar ciała na jednej nodze spoglądało w dół na Konia-Zjawę prerii. Wszyscy znali się na koniach, tak jak się tylko znają ludzie od najmłodszych lat przywykli do siodła. Był chudy i wycieńczony po morderczym galopie, boki miał zapadnięte i żebra rysowały się wyraźnie pod skórą. Był pokryty potem i kurzem, jego biel rozmazywały żółtawe plamy, a grzywa i ogon już dawno straciły połysk. Wyglądał niezdarnie, kiedy tak leżał z przednią i tylną nogą wyciągniętą i szyją wykręconą przez trzeci powróz. Ale oni widzieli go w ruchu, w działaniu. Wiedzieli. Wiedzieli,

że patrzą na konia szlachetniejszego od tych, które wielu z nich miało w życiu okazję oglądać z lak bliska.

— Nie dam głowy — rzekł Duży Jim Hawkins trzymając chustkę przy rozoranym, skrwawionym policzku — czy brałbym się do tego, jakbym wiedział, ile się człowiek namorduje, nim go schwyta.

— Jakby mnie kto pytał — wtrącił Art Hogarty — powiem, że stary Barnum kupuje dobry towar za swoją forsę.

Dziewięciu mężczyzn rozmawiało, dając w słowach upust podnieceniu ostatnich chwil. Młody Jake Hanlon milczał. Siedział przygarbiony w siodle i spoglądał na Białego Mustanga, którego ścigał przez pięć dni płacąc za to dwoma złamanymi żebrami. Widział otoczone czerwoną obwódką przekrwione oczy, utkwione teraz w bezkresnej dali, nie zwracające uwagi na niego i jego towarzyszy, patrzące gdzieś obok nich, poza nimi, w mroczniejącą przestrzeń rozleglej krainy.

Młody Jake otrząsnął się i wyprostował w siodle, krzywiąc się, bo przy zmianie pozycji poczuł w boku nowy prąd bólu. Gdzieś w głębi wzbierał w nim gniew, ale Młody Jake nie umiałby powiedzieć, jaki był powód tego gniewu.

— Ruszajmy — rzucił opryskliwie. — Jeszcześmy go nie zamknęli w zagrodzie.

Zanim zdołali go przeprowadzić — z przednimi nogami spętanymi i trzema powrozami mocno zaciśniętymi na szyi — do przygotowanej uprzednio małej zagrody, zapadł zmierzch. Zagroda była solidna, otoczona palisadą wysoką na siedem stóp. Dźwignięty znów na nogi Biały Mustang walczył niemal przez całą drogę szarpiąc liny, ale za każdym razem zaciskające się i trzech stron pętle dławiły go i obezwładniały słabością — nogi uginały się pod nim, oddech charczał w piersi, oczy zachodziły szkliwem. Mężczyźni ponownie zwalili go na ziemię i spętali mu tylne nogi, a gdy znowu wstał, wepchnęli do zagrody. Kiedy był już w środku, sam, i kiedy zamknęła się za nim wysoka, solidna brama, powiódł oczyma po wysokiej, mocnej palisadzie, a potem zwiesił łeb i znieruchomiał. W kącie było siano, nie zwrócił na nie uwagi. Była woda w wiadrze, na nią też nie zwrócił uwagi. Kiedy tak patrzyli na niego w gęstniejącym mroku, poruszył się tylko raz. Wykrzywienie jednego z pionowych pali, mniej więcej w połowie wysokości, utworzyło czterocalową szparę w palisadzie. Podskakując, bo tylko taki ruch umożliwiały mu pęta, zmieniał pozycję, aż wąski otwór znalazł się na wysokości jego oczu. I stał tam, znów nieruchomy, jeśli nie liczyć powolnego rytmu piersi, i wyglądał przez czterocalową szparę na dalekie przestrzenie tego, co było jego pastwiskiem, póki nie zniknęły w ciemności.

Mężczyźni rozpalili ognisko, grzali jedzenie i kawę. Kiedy już zjedli, Ansel Rak wyjął talię zatłuszczonych kart i potasował je, a potem każdy wyciągał kolejno kartę, aż w końcu dwaj rośli mężczyźni skoczyli na siodła i odjechali w ciemność. Rankiem wrócą z płaskodennym wozem na siano. Ryzyko byłoby zbyt duże, gdyby poprowadzili Białego Mustanga do najbliższej stacji kolejowej w mieście oddalonym o czterdzieści mil. Pojedzie tam z nogami spętanymi, przywiązany do dna wozu.

Ciemność była teraz nieprzejrzana, na niebo wpłynął rożek księżyca znacząc krajobraz wiotkimi smugami widmowego blasku. Siedmiu spośród tych, co pozostali, spało rozciągniętych na ziemi. Młody Jake Hanlon nie spał. Był nie mniej zmęczony od tamtych, ale sen do niego nie przychodził. Czuł ból w boku i żadną miarą nie mógł znaleźć wygodnej pozycji. Usiadł i wbił wzrok w ciemne kontury zagrody. Wstał, podszedł cicho do wysokiej bramy i wspiął się na poprzeczną belkę, żeby zajrzeć do środka. Biały Mustang był na tym samym miejscu — nieruchomy, z łbem spuszczonym.

Młody Jake zagwizdał cicho. Jedno ucho drgnęło, i to wszystko. Młody Jake zagwizdał po raz drugi, ale nie było żadnej odpowiedzi.

— Nie będzie tak źle — rzekł Młody Jake łagodnie. — Będą cię regularnie karmili i postawią w królewskiej stajni. Pewnie nawet nie spróbują cię do niczego przyuczać... najwyżej każą ci kroczyć na jakiejś defiladzie. Kto wie, może przyprowadzą ci jakieś klaczki. Wygodne życie... ot, co cię czeka.

Młody Jake zeskoczył z poprzecznej belki przy bramie i wrócił do miejsca, gdzie rozpostarł derkę. Położył się na niej ostrożnie.

— Wygodne życie — zamruczał. — Kto do cholery chce wygodnego życia?

Leżał bez ruchu i powoli oczy mu się zamknęły. Spał snem, jaki dają zmęczone mięśnie i zmęczone myśli.

Kiedy wczesna różowość świtu rozpełzła się po ogromnej równinie, Ansel Rak pierwszy otworzył oczy. Przeciągał się długo i powoli, a potem wstał, podszedł do bramy i wspiął się na belkę, żeby zajrzeć do środka. Jego wrzask obudził tamtych; natychmiast przybiegli. Koń-Zjawa zniknął.

Nie było w tym nic nadprzyrodzonego. Biała sierść i ślady krwi na balach w odległym końcu zagrody dowodziły, że właśnie tu przysiadł na zadzie, wspiął się przednimi nogami na palisadę i podciągał się, dźwigał gramolił, dopóki nie runął na drugą stronę. Ślady; nieomylne w miękkiej ziemi, były dowodem, że spętany szedł podskakując, często padał, znowu dźwigał się z trudem, i znowu szedł naprzód.

Tak wycieńczony i na dodatek spętany nie mógł zajść daleko. Mężczyźni w pośpiechu okulbaczyli konie i popędzili jego śladem. A ślad prowadził prosto nad rzekę. I tam go znaleźli, na brzegu płytkiego rozlewiska wody i błota. Ciało miał bezwładne, martwe oczy patrzyły nieruchomo, a pysk był zanurzony głęboko w wodnistym szlamie.

— Utopił się! — wrzasnął Ansel Rak. — W dwóch calach wody! Zrobił to naumyślnie!

Ośmiu mężczyzn w siodle spoglądało na to, co zostało z Białego Mustanga, i na stracone pięć tysięcy dolarów. I siedmiu z nich dało wyraz swoim uczuciom przekleństwami i gniewnym wyrzekaniem. Ale nie Młody Jake Hanlon. Górował nad innymi na grzbiecie krzepkiego, kościstego deresza, którego sam okiełznał i ujeździł, plecy miał wyprostowane, głowę uniesioną wysoko i przesuwał ręką po boku, gdzie dwa złamane żebra promieniowały bólem przypomnienia. Spoglądał na tamtych jakby wyzywająco.

— Owszem, przydałaby mi się moja część pieniędzy — powiedział. — A przecież jestem rad, że uciekł.

II

Stary Jake Hanlon, okutany derką, wierci się na składanym łóżku w jedynej izbie walącego się domu, której sufit wciąż jeszcze zasłaniał niebo. Pierwsze promienie wczesnego słońca, wślizgujące się przez pozbawioną okna framugę we wschodniej ścianie, odnalazły go i zbudziły.

— Właściwie to nie bardzo jest po co wstawać — mruczy do siebie Stary Jake Hanlon. — Jakbym tak miał chęć, mógłbym spać calutki dzień.

Ileż to razy w ciągu długich lat, kiedy głos przewodnika na szlaku czy rządcy na rancho budził go o brzasku, Jake oddałby pół życia za taką możliwość. Ale nawyk i dyscyplina i tamtych czasów stały się cząstką jego natury. Odrzuca połowę derki odsłaniając stare kościste ciało w połatanej bieliźnie i zniszczonych skarpetkach.

Leży chwilę bez ruchu, zbiera odwagę. Wreszcie siada, podpierając się z tyłu rękami, i spuszcza chude, stare nogi na podłogę. Sięga do stojącego obok krzesła z połamanym oparciem, bierze sflaczały kapelusz o szerokim rondzie i wkłada go na głowę. Stary zwyczaj kowbojów, który każe się rozbierać od dołu do góry i ubierać od góry do dołu, też zakorzenił się w jego naturze.

Bierze postrzępioną zielonkawą koszulę i walcząc ze sztywnością ramion i pleców wciąga ją na siebie, a potem walczy znowu z trzema ostatnimi guzikami, żeby je wsunąć we właściwe dziurki. Bierze wytłuszczoną starą kurtkę i pomagając sobie najrozmaitszymi pomrukami i pojękiwaniami wpycha ręce w rękawy. Wstaje i przeciąga się, i słyszy — może nie tyle słyszy, co czuje — trzeszczenie w stawach starych, kruchych kości.

Bierze spodnie i o mało się nie przewraca usiłując wsunąć w nie prawą nogę, więc siada znów na składanym łóżku i wciąga najpierw jedną, a potem drugą nogawkę, które fałdują się dokoła jego stóp i chudych łydek, i dopiero teraz może stanąć i podciągnąć spodnie na biodra. Mruczy z zadowoleniem, kiedy zapina powyginaną srebrną klamrę paska, otrzymaną od młodej Indianki przed tak dawnym czasem, że jeśli jeszcze żyje, jest już prababką. Drobne rzeczy, jak zakończona zwycięstwem walka o włożenie spodni, sprawiają mu teraz przyjemność.

— Co tu dużo gadać, nie jestem już taki młody, jak kiedyś — powiada do siebie Stary Jake Hanlon, kiedy mocując się z butami tupie, żeby wepchnąć pietę głęboko, głęboko, aż na właściwe miejsce. — Ale ciągle sobie jakoś radzę.

Na dworze słońce rozrzuca po ogromnej równinie różowozłote serpentyny promieni. Za kilka godzin będzie prażyło promieniami prawie prostopadłymi tworząc pokłady letniego żaru. Ale teraz nocny chłód wyżyny ociąga się z odejściem, świeży i orzeźwiający. Stary Jake oddycha głęboko idąc wolnym krokiem do źródła. Strużka w szczelinie skały napełniła wiadro, które zostawił tam poprzedniego wieczoru. Nadmiar wody ścieka do małego piaszczystego zagłębienia, które jest smutną pozostałością dużej sadzawki, znanej niegdyś jako Dziura Harpera, jeszcze dawniej znanej Hiszpanom jako El Ojo Azul del Cielo, Lazurowe Oko Nieba,

na długo zaś przedtem znanej Indianom pod nazwą, która nawet im wypadła z pamięci.

Stary Jake przysiada na piętach i uważnie bada wzrokiem piaszczysty, brzeg małej sadzawki, Co wieczór wygładza piasek, żeby rankiem odczytać nową opowieść. Niekiedy tropy są tak pogmatwane i tak na siebie zachodzą, że ma kłopoty z ich odcyfrowaniem. Ale czas się nie liczy, a ambicją Starego Jake'a jest, żeby je wszystkie zidentyfikować, prócz może tych prawie niedostrzegalnych zagłębień, pozostawionych przez najmniejszych i najlżejszych jego sąsiadów. Tego ranka prawie wszyscy stali bywalcy pozostawili swoje tropy, Nakrapiany skunks. Królik-samiec. Wiewiórka skalna. Kojot. Nie, dwa kojoty, jeden trochę mniejszy, drugi większy. Jeżozwierz. Borsuk.

Spostrzega coś nowego. Ślady są duże i wyraźne, chociaż ten, co je zostawił, jest chyba najostrożniejszym i najtrudniej uchwytnym członkiem rodziny zwierzęcej południowego zachodu. Ryś.

— No proszę! — mruczy Stary Jake. — Ten rabuś wykombinował sobie, że jestem nieszkodliwy.

Ślady królika przyciągają jego uwagę. Te nad samym brzegiem wody. Są głębokie, głębsze niż zwykle.

— Czmychnął w pośpiechu — mruczy Stary Jake i wolnym krokiem zatacza łuk dokoła małej sadzawki, przeszukuje grunt. Widzi mnóstwo śladów. Są szeroko rozrzucone i mylące, ale jego bystre oczy potrafią je wytropić. Ślady królika i ślady kojota, a w końcu rozdeptane miejsce i kilka kropel krwi, już zaschłej. Ten rozdział jego porannej opowieści znalazł raptowne zakończenie, Kojot przypadł do ziemi za kępą trzcin w odległości dwudziestu stóp od źródła. Skoczył na królika, a królik wziął nogi za pas, spokojny, że zdoła uciec przed każdym wrogiem goniącym go w pojedynkę. Drugi kojot wyskoczył zza tamtej kępy krzaków i przeciął mu drogę, a królik klucząc teraz w panicznym strachu, dostał się w ich pazury.

— Przykra sprawa — powiada Stary Jake. — Ale tak to już jest na świecie. Pewnie dla królika to bez różnicy, ale swoją drogą wydaje się naturalniejsze. Lepiej tak, niż kiedy zwierzaka zmiażdżą koła ciężarówki.

Blask słońca stracił swą różowość. Przez ramę okna we wschodniej ścianie wpływa czyste złoto. Kładzie się smugami na deskach podłogi Stary Jake stoi obok półki na zachodniej ścianie i wiszącego nad nią popękanego lustra. Ostrzy brzytwę na zapasowym pasku przymocowanym do gwoździa, Ostrzy uważnie, długimi pociągnięciami. Zarost na jego twarzy jest twardy i wymaga dobrze wyostrzonej stali.

Bierze teraz płócienną szmatkę, zanurza ją w wiadrze stojącym na rozklekotanym stołku i zwilża twarz. Sięga po luksusowe, pachnące mydło, jakie Henry W. Harper trzyma w swoim pięknym domu i przywozi tutaj, moczy je przez chwilę i pokrywa policzki, podbródek i chudą szyję cienką warstwą mydlin. Sięga znowu po brzytwę i zaczyna się golić — ostrożnie, zerkając w lustro, szczególnie uważając, żeby nie naruszyć gęstych wąsów opadających na górną wargę.

Świeżo ogolony, z wyszorowaną twarzą i szyją, pachnący mydłem, Stary Jake wrzuca garstkę dopiero co zmielonej kawy do obtłuczonego garnka, w którym na dnie jest najmniej cal albo i więcej starych fusów, i napełnia go wodą. Stawia garnek na małym żelaznym piecyku w kącie, otwiera szyber rury, która pnąc się po ścianie wychodzi na zewnątrz, i

rozpala ogień. Najpierw wióry, zestrugane wiekowym scyzorykiem i ostrożnie ułożone w stożek; zapala je zapałką potartą o płytę piecyka i roznieca płomyki delikatnie na nie dmuchając. Na wiórach układa gałązki ze stosu po jednej stronie piecyka, a kiedy te palą się już należycie, dorzuca większe kawałki wysuszonej topoli ze stosu po drugiej stronie.

Postękując, dźwiga się z kolan i wolnym krokiem idzie do półek, które pną się od podłogi aż po sufit przy framudze drzwi w północnej ścianie pokoju. Rząd za rzędem stoją tu puszki rozmaitych kształtów i rozmiarów.

— Nie ma co, Hank przewraca mi w głowie — mówi i spoglądając na szeregi puszek zastanawia się nad porannym jadłospisem. Po dobrym śniadaniu może zapomnieć o obiedzie i wędrować aż do kolacji. Wybiera dużą puszkę duszonej wołowiny i puszeczkę siekanego zielonego pieprzu, który wrzuci do wołowiny, a na deser średnią puszkę kompotu z brzoskwiń. Przygotowanie posiłku wypełni wiele płynących wolno chwil.

Wszystkie te czynności, wykonywane powoli i spokojnie, zajmują mu bardzo dużo czasu. Mają własny urok, którego źródłem jest tkwiąca głęboko w nim świadomość, że niewiele już zostało poranków, kiedy wschodzące słońce zbudzi go i wezwie do działania.

Słońce jest już wysoko na niebie, zbliża się południe. Stary Jake stoi w cieniu kilku ostatnich, spaczonych desek pułapu w zapadającej się stodole. Pochylony, patrzy na wiekowe widlaste siodło o podwójnych popręgach, wysokim tylnym łęku, kuli obitej srebrną blachą i wolno wiszących strzemionach, które spoczywa na skleconym byle jak drewnianym koźle, dość wysokim, by strzemiona zaledwie dotykały ziemi. Wyciąga z kieszeni spłowiałą chustkę i ściera z ciemnej od potu, nadżartej przez muchy, pełnej zadrapań skóry cienką warstewkę kurzu, który zebrał się tam, odkąd ostatni raz je odkurzał przed dwudziestu czterema godzinami.

Wytrzepuje chustkę, składa ją i wsuwa do kieszeni. Wpatruje się w popękane, zniszczone siodło. Powoli siodło znika mu sprzed oczu.

— Jimmie Kasztan — powiada. — Tak go nazwałem. Do dziś nie wiem, jak go Leyba schwytał. — I nagle nie stoi już w cieniu kilku spaczonych desek walącej się stodoły. Jest na bezkresnych obszarach prerii. Jest chudym, muskularnym kowbojem, idzie pieszo prowadząc małego, zmęczonego konika, zbliża się do innego konia o zapadniętych bokach i nisko zwieszonym, dziwnie niekształtnym łbie.

Cztery dni uganiał się za tym mustangiem od owego ranka, kiedy wraz z dwoma innymi kowbojami z Potrójnego X natknął się na Remigia Leybę, bandytę z pogranicza, umierającego obok popiołów ogniska od kuli, którą poprzedniego wieczoru ktoś wystrzelił do niego z ciemności. Zdołał wyłowić kilka słów z przedśmiertnego mamrotania — coś o caballo morral i reata quebrada. Słowa te nie znaczyły nic dla tamtych dwóch, ale dla Młodego Jake'a znaczyły wiele. Pojął przesłanie, prośbę. Gdzieś w okolicy jest koń, ciągnący za sobą zerwaną z kołka linkę, z uwiązaną do pyska torbą obroku. Taki koń, jeśli nie uwolni się od przytroczonej do łba śmiercionośnej torby, skona z głodu pośród obfitości traw.

Teraz puszcza wodze i kowbojski konik staje w miejscu. Młody Jake idzie wolno w kierunku mustanga o zapadniętych bokach, z jego ust wydobywają się przyjazne, uspokajające, bezsłowne dźwięki. Koń cofa się

o kilka kroków, staje niezdecydowany, niepewny, pełen nadziei a jednak przestraszony. Młody Jake powoli obchodzi go dokoła, cały czas wystrzegając się gwałtowniejszych ruchów, i nagle schyla się i już trzyma w ręku postrzępiony koniec linki. Przekłada dłonie wydłuż linki, powoli, ostrożnie, jest teraz tuż obok konia i wyciągniętą ręką gładzi go delikatnie po rozdygotanej szyi. Słyszy cichy, stłumiony, świszczący dźwięk we wnętrzu skórzanego worka okrywającego pysk koński i wtedy jego własny wstrzymywany oddech wydostaje się z płuc westchnieniem ulgi. Teraz szybko wyjmuje z kieszeni scyzoryk, otwiera większe z dwóch ostrzy, przecina sznurek mocno zaciągnięty przez łeb za uszami i torba spada na ziemię. Koń parska wydmuchując kurz z nozdrzy i kołysząc łbem ociera się o Jake'a, przywiera do niego. Łeb opada i koń zaczyna skubać trawę tuż obok butów Jake'a.

Czystej krwi mustang. Przydymiony kasztan z ciemniejszą pręgą biegnącą wzdłuż grzbietu od sztywnej, prawie czarnej grzywy do prawie czarnego, długiego i sztywnego ogona. Drobny, skarłowaciały zaledwie czternaście piędzi wysokości. Brudny i z wyglądu niezdarny, o dużym łbie i krótkiej szyi, połączonych na podobieństwo dwóch części młotka, o bokach zapadniętych teraz z głodu. Nic w nim ciekawego, na pierwszy nut oka, ale przy drugim czy trzecim spojrzeniu rzuca się w oczy dobrze sklepiona szeroka pierś, mocna budowa kości pod brudną skórą i kształtne, zręczne nogi zakończone twardymi jak krzemień kopytami. Pozwolił się okiełznać, owszem, ale zachował dumę, na co wskazuje pulsowanie tej krótkiej szyi utrzymującej prawie za duży łeb. Nie jest to koń piękny, nic w nim wspaniałego czy szlachetnego, jednakże ci, co się znają, dostrzegają siłę i wytrzymałość w krzepkiej, solidnej budowie.

Mustang szczypie żarłocznie trawę. Ale od czasu do czasu podnosi łeb i trąca nim delikatnie Młodego Jake’a.

Jest to koń, który niezliczone razy unosił bandytę Leybę przed pościgiem galopujących ludzi szeryfa, który dźwigał bandytę Leybę dzień po dniu przez niekończące się mile prerii i po niebezpiecznych ścieżkach górskich. A teraz będzie chętnym, ciężko pracującym towarzyszem ciężko pracującego, ostro żyjącego kowboja.

— A jakże — powiada Stary Jake. — Był rad, kiedy przyszedłem.

Poderwany wiatrem mały słup piasku sunie wzdłuż walącej się stodoły, ciska kilkoma kamykami o szczytową ścianę. Stary Jake otrząsa się lekko. Wychodzi niespiesznie z cienia na słońce i rozgląda się dokoła, wpatruje uważnie w dalekie przestrzenie. Nie ma nikogo w zasięgu wzroku, nigdy nie ma nikogo w zasięgu wzroku, chyba że w ten jeden dzień, raz na dwa tygodnie, kiedy Henry W. Harper przyjeżdża podskakując w swoim wielkim samochodzie, ale do następnej wizyty został jeszcze prawie tydzień. Jednakże Stary Jake chce być zupełnie pewien, że nikt go nie przyłapie na jego niemądrej, starczej zabawie. Wraca do stodoły. Pojękując z cicha podnosi nogę i przerzuca ją przez stare siodło. Podciąga ciało, a kiedy jest już pewnie usadowiony, wyszukuje końcami butów strzemiona i wsuwa w nie stopy.

Spokojnie i bez ruchu, zamknięty w sobie, siedzi na zniszczonym, pełnym zadrapań siodle i jego stary umysł pracuje, myśli cofają się przeszukując lata.

I teraz nie jest już komiksową postacią zgrzybiałego starca w siodle, tej smutnej ruinie niegdyś ozdobnego siodła, na byle jak skleconym koźle. Jest Młodym Jake'em Hanlonem, przodownikiem brygady na szlaku, która z polecenia Potrójnego X dostarczyła przed dziesięcioma dniami stado silnych, długonogich ogierów na rancho niedaleko, Deadwood na Czarnych Wzgórzach Dakoty. Siedzi wyprostowany w zwykłym, roboczym siodle na grzbiecie niewielkiego mustanga i posuwa się miarowym truchtem po czymś, co udaje drogę biegnącą przez piaszczyste wzgórza Nebraski.

Wielu uważa, że postąpił jak głupiec strzępiąc ozór w tym samym Barze Numer 10 w Deadwood, w którym Jack McCall wpakował kulkę w plecy, Dzikiemu Billowi Hickokowi. Plótł niestworzone rzeczy o małym mustangu. Powiedział, że ten koń mógłby zająć dobre miejsce w wyścigach z Deadwood do Omaha na trasie 530 mil. które to wyścigi miały się rozpocząć za kilka dni. Co takiego? Ten karłowaty niedojda, ta przynęta na wilki ten chudzielec pewnie już do cna wyniszczony po przejściu tysiąca mil na szlaku, kiedy to przepędzali stada szmat drogi z południowego zachodu do Dakoty? Dorówna silnym i rosłym koniom półkrwi i czystej krwi, wybranym i przywiezionym ze Wschodu przez właścicieli rancho i zawodowych graczy, którzy mają zamiar zgarnąć dużą forsę w zakładach? Przecież ta mała, nędzna, półżywa szkapa nie będzie miała żadnych widoków przy silnych, rosłych koniach, hodowanych jak należy, karmionych jak należy i przygotowywanych do wyścigu przez kilka miesięcy albo i dłużej.

Kupa pieniędzy przegalopuje po tej trasie. Inne konie obstawiono wysoko. Na małego mustanga postawiono tylko tyle, ile kowboje ze znaku Potrójnego X zdołali między sobą zebrać; a jest tego bardzo mało, bo większość zarobku wydali na picie, karty i kobiety — zanim jeszcze było wiadomo, że koń z Potrójnego X staje do wyścigu. Może tylko lojalność zespołowa skłoniła ich do opróżnienia kieszeni. A może nie. Stawiano pięć przeciw jednemu, ale oni swoje wiedzą. Na długim i trudnym północnym szlaku, kiedy stado się przerzedziło, bo konie tonęły podczas przeprawy przez rzekę, widzieli, jak mały mustang pracował za dwa konie i nawet nie mrugnął. Sami dosiadali mustangów i zawsze było ich kilka w stadninie, więc wiedzą, co znaczy mieć takiego konia pod sobą i wiedzą, że kiedy mały mustang z południowego zachodu wydaje się zmordowany, bez sił, wykończony, dopiero wtedy zaczyna walczyć...

Posuwali się naprzód, Miody Jake i Jimmie Kasztan — chudy kowboj i niewielki mustang, dwaj towarzysze pracy z dalekich pustynnych obszarów Nowego Meksyku, zdążając teraz koleinami drogi przez nieznane tereny Nebraski. Jechali nie za szybko i nie za wolno, miarowym kłusem, który pożera milę za milą.

Młody Jake dokładnie zaplanował całą drogę. Wiedział, że wyścigu na długiej trasie nie wygra ten, kto zaczyna od dużej szybkości, spalającej zapasy energii już w pierwszych dniach. Był to ranek piątego dnia i mieli już za sobą prawie trzysta mil, a on wciąż trzymał się ściśle ustalonego porządku: lekki kłus przez godzinę, swobodniejszy trucht przez następną godzinę, potem znowu kłus — i powtórka. Codziennie rano o świcie

wygrzebywał się z derki — i kłus, trucht, kłus aż do południa. Postój przy wodzie, nad strumieniem na rancho albo przy studni na farmie. Zdejmował siodło z Jimmiego Kasztana, poił go, ale z umiarkowaniem, wycierał dokładnie, dawał mu garść obroku z torby przytroczonej za tylnym łękiem siodła, potem sam pożerał łapczywie dwie kanapki wyjęte ze skórzanej torby przy siodle i wreszcie rzucał się na, ziemię w cieniu na kilkugodzinny odpoczynek. Znowu w siodle, i znowu kłus-trucht-kłus przez całe popołudnie aż do zmroku. Potem krótki popas, przygotowany w pośpiechu przez Peteya Corle'a, jadącego przodem na lekkim wozie zaprzężonym w dwa długonogie muły, które ciągnęły do Deadwood wóz z prowiantem dla załogi Potrójnego X. Znowu staranne wytarcie i racja wody i paszy dla Jimmiego Kasztana; a dla niego posiłek ugotowany przez Peteya na ognisku i dla obu godzinny odpoczynek. Znowu w siodle i kłus-trucht-kłus do północy. Wtedy zjeżdżał kawałek z drogi, rozkulbaczał i przewiązywał Jimmiego Kasztana tam, gdzie rosła soczysta trawa, na długiej lince, a sam okręcał się w jedyną cienką derkę, jaką wiózł razem z torbą przy tylnym łęku i spał, póki świt nie budził go znajomymi odgłosami.

Więc posuwają się. tak naprzód, Młody Jake i Jimmie Kasztan, aż tu nagle słyszą tętent, najpierw z tyłu, potem z boku. Mężczyzna o chudej twarzy, na rosłym wronym wierzchowcu pełnej krwi, zwanym Kula Armatnia. Mężczyzna marszczy brwi, wyraźnie zirytowany.

— Ciągle jesteś z nami — mówi.

— No pewnie — odpowiada Młody Jake. — Nie słyszałeś? Jedziemy do Omaha.

Chudogęby, wciąż marszcząc brwi, rzucił z ukosa spojrzenie na Jimmiego.

— Twoja szkapa nie przetrwa nawet dnia.

Pełen pogardy, niecierpliwy, dźgnął konia ostrogami; wrony olbrzym zerwał się do galopu i po chwili zniknął w oddali.

Młody Jake uśmiechnął się pod nosem. Przyjrzał się dokładnie wronemu olbrzymowi. Zauważył smugi potu już teraz występujące na ciemnej sierści mimo chłodu poranka, na długo przed południowym skwarem. Przejechał ręką po szyi Jimmiego Kasztana. Dotknął umięśnionych boków, Ani odrobiny wilgoci. Tylko równomierne ciepło. Jimmie Kasztan będzie robić to, co teraz robi, przez cały dzień i nie spienią mu się boki. Nie ma w sobie nadmiaru bogatej paszy i nie dźwiga nadmiaru wagi rozgrzanego ciała. A za sobą ma wiele, wiele pokoleń upartej pustynnej wytrzymałości. Młody Jake znów się uśmiechnął. A potem potrząsnął głową.

— Swoją drogą — wymamrotał — niełatwa będzie z nim sprawa. Koń pełnej krwi. Kto wie, co taki potrafi z siebie dać, kiedy zobaczy z daleka metę?

Posuwają się naprzód i znowu słyszą tętent z tyłu, a potem z boku. Czarnobrody mężczyzna na rosłym, mocnej budowy karym ogierze półkrwi, zwanym Orzeł. Cwałował szybko, a wyprzedzając Jake’a rzucił mu jedno wściekłe spojrzenie i już po chwili kary ogier niosący go na grzbiecie znikał i rozpływał się w dali.

— To już dwóch — powiedział Młody Jake. — Ciekawe, ilu ich będzie tym razem.

Było tak każdego ranka. Inni doganiali go i wyprzedzali, w obłąkanym pośpiechu, niecierpliwi, gnali zostawiając go z tyłu, jak na starcie

pierwszego dnia. Jechali za ostro, kiedy jechali, i musieli zatrzymywać się często, żeby dać wytchnienie koniom, i za wcześnie zmuszali je do nadmiernego wysiłku, a sami byli za wygodni, zbyt cywilizowani, żądali trzech posiłków dziennie i wielu godzin snu. On dzięki swojej rutynie połykał mile wolniej, ale bardziej równomiernie i przez więcej godzin. Każdego wieczora, kiedy zatrzymywał się na krótki popas, przygotowany pospiesznie przez Peteya Corle'a, był niedaleko za nimi. A gdy znów ruszał w drogę, przez ostatnią godzinę czy dwie przed północą, widział dogasający żar kilku ognisk — tam, gdzie rozbili obóz ich pchnięci przodem pomocnicy. A rano byli zdziwieni, zirytowani, wściekli widząc, jak swobodnie kłusuje drogą minąwszy ich w nocy.

Posuwają się naprzód, Młody Jake i Jimmie Kasztan, nie za wolno, nie za prędko, i znowu słyszą tętent, najpierw z tyłu, potem tuż obok, zwalniający przy nich. Rudzielec o sterczącym podbródku, na grzbiecie ogromnego wierzchowca o potężnie sklepionej piersi, po klaczy pełnej krwi i ogierze ze stadniny Hambleton, zwanego Gniady Piorun.

— Więc znowu ci się udało — mówi Rudzielec stwierdzając fakt. Patrzy w dół na Jimmiego Kasztana, który idzie spokojnym truchtem i oko ma jakby leniwe, a krok swobodny. — Pewnie jest spokrewniony z żółwiem. Wygląda jak półżywy głodomór. Ale to samo myślałem pierwszego dnia. Kto wie, może wytrzyma.

— Jasna rzecz — przytaknął Młody Jake. — Wytrzyma.

— Wytrzymać to nie to samo, co zwyciężyć — rzucił mężczyzna. Dźgnął konia ostrogami, olbrzymi gniadosz przeszedł w galop i już go nie było.

W mózgu Młodego Jake'a odezwał się zegar kontrolny, więc przekazał ów sygnał wodzom. Jimmie Kasztan zwolnił kroku, szedł teraz stępa, owym płaskim chodem, który niemal zastępował mu odpoczynek. I znowu rozbrzmiał z tyłu szybko zbliżający się stuk kopyt. To ten mężczyzna o cienkich wargach i mrugających szybko oczach, na grzbiecie smukłego siwka, po rodzicach ze stadnin Morgan i Standard, zwanego Grom. Cienkie wargi mężczyzny drgnęły, wykrzywiły się, jak gdyby chciał coś powiedzieć, a to, co by powiedział, byłoby z pewnością przykre i kąśliwe, więc się rozmyślił i nie wyrzekł ani słowa, tylko zmusił konia do jeszcze szybszego galopu, Młody Jake zobaczył pianę kapiącą z wędzidła w pysku ogromnego siwka, który tracił niepotrzebnie siły podrzucając gwałtownie łbem przy każdym dźgnięciu ostrogami.

Czas płynął i zegar kontrolny w mózgu Młodego Jake’a znowu się odezwał, a Jimmie Kasztan natychmiast zrozumiał i wysunąwszy pierś do przodu ruszy! kłusem, owym miarowym, swobodnym kłusem, który pożerał milę za milą. Młody Jake obejrzał się, Widział drogę co najmniej na milę. Żadnego jeźdźca.

— Czterech — powiedział.

Pierwszego dnia było ich prócz Jake’a dziewięciu, wszyscy śmiali się i szydzili z Jimmiego Kasztana i galopowali podnieceni startem. Ośmiu wyprzedziło go rankiem drugiego dnia; jeden już odpadł na okulałym koniu — kamień utkwił w podkowie, a jeździec tego nie zauważył i nie wyjął na czas. Siedmiu wyprzedziło go rankiem trzeciego dnia — odpadł drugi jeździec, bo jego konia męczyła całą noc kolka, spowodowana prawdopodobnie zbyt szybkim napojeniem po owsie. Pięciu wyprzedziło go rankiem czwartego dnia — odpadło dwóch, koń jednego ciężko okulał, bo

zwichnął nogę, drugi przyznał uczciwie, że tamci przewyższają go klasą i dobrowolnie wycofał się z wyścigu.

— Dzisiaj było ich czterech — powiedział Młody Jake. — Ze mną i Jimmiem zostało nas pięciu.

Zbliżało się południe, kiedy Jimmie Kasztan podniósł wyżej łeb łowiąc nozdrzami zapach wody i przyśpieszył nieco kroku. W dziesięć minut później wydostali się na szczyt niskiego wzgórza i w odległości może ćwierć mili Miody Jake zobaczył rzekę Niobrara, rozległy obszar piaszczystych łach, płycizn i głębszych kanałów. Zobaczył też cztery konie i jeźdźców, stali razem po tej stronie rzeki, gdzie droga schodziła w dół do brodu.

— Co za durnie! — żachnął się Młody Jake. — Boją się takiej poczciwej strugi.

Konie stały ze zwieszonymi łbami, rade z odpoczynku. Jeźdźcy w siodłach milczeli. Rozmawiali, kiedy się zbliżał, ale teraz umilkli, obserwowali go. Tylko rudzielec na ogromnym gniadoszu miał coś do powiedzenia.

— Tam w górze rzeki były deszcze — zwrócił się do Młodego Jake’a. — Miejscami może być głęboko.

— A pewnie — rzekł Młody Jake. — W tych stronach pada od czasu do czasu, tak mi przynajmniej mówili ludzie. — Wyjął swoje dwie kanapki z torby przytroczonej do siodła i wsunął je za koszulę. Odwiązał derkę i torbę przymocowaną, za tylnym łękiem i zarzucił je sobie na ramiona. Musnął konia ostrogami i Jimmie Kasztan wszedł do płytkiej wody, rozpryskując ją i wyraźnie ciesząc się z tego, ale zaraz potem spoważniał, bo czekał go trud wyszukiwania oparcia dla kopyt w żwirze i wśród kamieni dna.

Podeszli do pierwszej z głębszych odnóg i Jimmie Kasztan zanurzył się w rzece; płynął odważnie i pewnie, i wydźwignął się na piaszczystą łachę po drugiej stronie. Ogólnie biorąc, nie była to taka trudna przeprawa. Były tylko trzy odcinki do przebycia wpław, zresztą wąskie i z łagodnym nurtem.

Jimmie Kasztan wyszedł na suchy grunt na przeciwległym brzegu i otrząsnął się jak duży pies. Młody Jake chwiał się w siodle, przytrzymując derkę i worek. Spojrzał za siebie. Tamci byli na środku rzeki, przeprawiając się jego śladem.

— Miejsce dobre jak każde inne na południowy odpoczynek — stwierdził Młody Jake i podjechawszy do małej kępy drzew zeskoczył na ziemię. Rozłożył siodło, derkę powiesił na gałęzi. Wyschną szybko w cieple południa. Przywiązał Jimmiego Kasztana na krótkiej lince, zdjął mu wędzidło, rozpostarł swoją jedyną derkę i wysypał na nią skąpą zawartość torby. Oparł się plecami o drzewo i ściągnął najpierw jeden but, potem drugi, wylał z nich wodę i z trudem wciągnął na mokre skarpetki. Wiedział z doświadczenia, że będą sztywne i skurczą się, jeżeli nie wyschną na nogach. Usiadł i wciąż oparły plecami o drzewo przyglądał się tamtym. Stali znów razem, zsiedli z koni tam, gdzie bród łączył się z drogą, i teraz wycierali siodła i bardzo przejęci zajmowali się swoimi butami Znowu rozmawiali patrząc na niego.

— Późno siądą do obiadu — powiedział Młody Jake. — Wozy muszą zrobić objazd tamtą drugą stroną. — Wyjął kanapki i zaczął jeść, przyglądając się czterem jeźdźcom dosiadającym koni i odjeżdżającym z niecierpliwym pośpiechem.

W ciszy zmierzchu poprzedzającej ciemność Miody Jake siedział na płaskim kamieniu obok ogniska rozpalonego przez Peteya Corle'a i jadł naprędce przygotowany specjał jego kuchni: przypaloną wołowinę z odgrzaną fasolą. W odległości dwudziestu stóp od nich stał wóz ze skąpymi zapasami — przysadzisty kształt niewyraźnie majaczący w mroku. W odległości czterdziestu stóp Jimmie Kasztan skubał trawę w przyjaznym współzawodnictwie z parą długonogich mułów. W odległości jednej trzeciej mili przed nimi i bliżej drogi kilka innych ognisk tworzyło własne małe kręgi migocącego światła.

— Siedzą tam wszyscy w kupie — powiedział Petey Corle. — Wcześnie się dziś zatrzymali. Zobaczyli mnie i zatrzymywali się jeden po drugim, Aby chcieli być wszyscy razem gdzieś niedaleko.

Młody Jake zamruczał w odpowiedzi. Był zbyt zajęty jedzeniem, żeby otwierać usta do mówienia.

— Wiesz, te muły — podjął Petey Corle. - Są zmęczone jak wszyscy diabli.

Młody Jake wyskrobał cynowy talerz do czysta i na zakończenie wylizał ostatnie ślady fasoli.

— Więcej niż trzysta pięćdziesiąt mil do tego miejsca — powiedział. — Jakieś sto sześćdziesiąt, może sto osiemdziesiąt do przejechania. Te muły, hm... Niechby wytrzymały przez jutrzejszy dzień. Potem my z Jimmiem będziemy na ostatniej prostej.

Mrok gęstniał i Młody Jake siedział teraz na ziemi oparty plecami o płaski kamień, a Petey był przy wozie i odmierzał obrok do worka, kiedy usłyszeli kroki zbliżające się od strony tamtych ognisk. Młody Jake wyprostował plecy i wpatrzył się w ciemność, a Petey sięgnął w głąb wozu po pas z pistoletem, opasał się nim, przeszedł niespiesznie brzegiem ogniska i stanął między płonącymi polanami a Jimmiem Kasztanem.

Było ich trzech, mężczyzna o chudej twarzy, mężczyzna z czarną brodą i mężczyzna mrugający oczami.

— Masz czas na rozmowę? — spytał chudogęby.

— Czemu nie — odparł Młody Jake.

— Byle była krótka i miła — wtrącił Petey Corle.

— Jeszcze tego nie wiesz — zaczął chudogęby — ale Henderson odpadł. Ten jego Gniady Piorun jest chory. Przeprowadzi go do najbliższego miasta. Tak czy siak, odpadł. W ten sposób zostało nas czterech.

— Nie był chory, jakeśmy się przeprawiali przez rzekę — zauważył Młody Jake. — Trochę zmęczony. I niespokojny. Ale to dobry koń. Zostało w nim dużo krzepy.

— Teraz już nie — stwierdził chudogęby. — Zdarzają się wypadki. Jak mówiłem, zostało nas czterech, I są cztery nagrody. Tysiąc dolarów, pięćset, trzysta i dwieście. Dodaj, a wypadnie ci dwa tysiące. Podziel przez cztery, wypadnie pięćset.

— Umiem liczyć — przerwał Młody Jake. — O co chodzi?

— No cóż... — zaczął chudogęby. — Powiedzmy tak: umawiamy się między sobą, byle nikt inny o tym nie wiedział, że obojętnie jak który z nas przyjedzie na metę, składamy te nagrody do kupy. A potem dzielimy się równo, po pięćset dolarów. Jaki sens mordować siebie i konie na tych ostatnich milach? Byle na finiszu wszystko wyglądało cacy. Pociągniemy karty, żeby było wiadomo, kto ma przyjechać pierwszy, ale obojętne, jak wypadnie z tym ciągnieniem, składamy nagrody do kupy i dzielimy równo.

Młody Jake spostrzegł, że ma złamany paznokieć i trzeba go doprowadzić do porządku. Wyjął scyzoryk i zajął się paznokciem, cały czas myśląc szybko i z napięciem. Przypomniał sobie, że postawiono na te inne konie tysiące dolarów w nadziei, że zajmą pierwsze albo drugie miejsce. Przypomniał sobie, że widział tego chudogębego, jak tasował i rozdawał karty w Deadwood i że karty zachowywały się tak, jakby chodziły do szkoły i zdobyły wyższe wykształcenie. Mógłby też dać głowę i jeszcze coś na dodatek, że cokolwiek będzie z tym ciągnięciem kart, jeden jeździec z całą pewnością nie wyciągnie karty wygrywającej i że jeźdźcem tym jest właśnie on. Ale chcąc być uczciwym wobec siebie musiał przyznać, że pomysł z połączeniem nagród ma swoje dobre strony.

W tej chwili pewien mógł być tylko jednego: że na finiszu zajmie czwarte miejsce. Dwieście dolarów. Wszystko, co powyżej tej sumy, było jeszcze wątpliwe. Gwarantowane pięćset dolarów, bez morderczej walki o miejsce na ostatnim odcinku, wydawało się bardzo pociągającą perspektywą. Byłby głupcem, gdyby okazał tym ludziom większe zaufanie niż na odległość splunięcia przy silnym wietrze. Z drugiej strony będą mieli powód, żeby postąpić z nim uczciwie, jeżeli bez zmrużenia powieki zgodzi się na losowanie. Dużo bardziej chodziło im o pieniądze postawione na poszczególne konie niż o pieniądze z nagród. Z jednej strony, rozumował, jest trzysta dolarów dodatkowo, które według wszelkiego prawdopodobieństwa by otrzymał, z drugiej jest świadomość, że wystawiłby do wiatru resztę załogi ze szlaku Potrójnego X. Bzdury, Petey będzie po jego stronie, cokolwiek postanowi, a on bez trudu zwróci tamtym drobne sumki, które stracą, z wygranych pięciuset dolarów. I jeszcze mu sporo zostanie.

Wpatrywał się w swój paznokieć rozpamiętując wiele spraw. Pomyślał, że choć wciąż nazywają go Młodym Jakiem, nie jest już taki młody i po tym ostatnim długim pędzeniu bydła z Nowego Meksyku przesunął sprzączkę paska o jedną dziurkę i czuł w kościach ból zmęczenia, który odezwał się znów po ostatnich pięciu dniach jazdy w siodle. Pomyślał, że w trzydziestym roku życia jest nadal tylko często przepracowanym kowbojem, któremu pięćset dolarów nigdy nie brzęczało w kieszeni. I nagle pomyślał o czymś innym. O małym kasztanowatym mustangu skubiącym trawę w odległości sześćdziesięciu stóp.

Ten koń nigdy nie żądał dla siebie forów, jakkolwiek ciężkie cięgi dostawał od życia. On, Młody Jake, przechwalał się jak kto niemądry, a Jimmie Kasztan jest gotów dać z siebie wszystko do granic zawziętej wytrzymałości, żeby sprawdziły się jego przechwałki. Ten wyścig jest też wyścigiem Jimmiego Kasztana...

Młody Jake podniósł głowę.

— Nie — powiedział. — Rozpocząłem tę jazdę jako wyścig koni i tak ją skończę.

— To ostatnie słowo? — spytał chudogęby.

— Ostatnie — odparł Młody Jake.

— Najostatniejsze — dorzucił Petey Corle.

— Jeszcze pożałujecie — ostrzegł chudogęby. — Jak mówiłem, zdarzają się wypadki. — Odwrócił się i odszedł.

— Nawet nie dojedziesz do mety — oznajmił ten drugi z mrugającymi oczami Odwrócił się i poszedł za chudogębym.

— Pewnie — warknął ten z czarną brodą. — Tak przegnamy jutro tę twoją szkapę z łbem jak gar do gotowania kapusty, że się wykopyrtnie. — I odwróciwszy się poszedł za tamtymi.

Odgłos kroków umilkł. Młody Jake i Petey Corle spojrzeli na siebie.

— Zachorował — mruknął Młody Jake. — Diablo nagle.

— Tak — zgodził się Petey Corle. — I żaden z nas nie będzie się nigdzie ruszał dzisiejszej nocy. Żadnej jazdy po ciemku obok tych typów. Tak czy siak będą tu siedzieli do rana. Tobie też jest potrzebny odpoczynek. Kładź się, a ja popilnuję Jimmiego.

Odgłosy pospiesznej krzątaniny docierały do uszu Młodego Jake'a Hanlona i w końcu przedarły się do jego świadomości. Wynurzył się ze snu, wciąż zmęczony i z uczuciem sztywności w kręgosłupie. Mroczne niebo nad nim było teraz mętnawoszare i kilka gwiazd nadal walczyło z sączącą się powoli jasnością przedświtu. Oparł się na łokciu i rozejrzał. Petey stal przy wozie i zaprzęgał muły.

Młody Jake podniósł się i przeciągnął. Wziął wiadro do połowy napełnione wodą, które Petey postawił obok jego posłania i odszedł na bok, żeby się umyć i wykonać kilka innych porannych czynności. W pięć minut później wrócił do wygasłego ogniska, odstawił puste wiadro i znowu się przeciągnął, a tymczasem Petey biegł już do niego z cynowym kubkiem zimnej kawy w jednej ręce i dużą kanapką w drugiej.

— Jedz — powiedział. — Pospiesz się. I daj mi kopniaka. Mocnego.

— Temu człowiekowi brak piątej klepki — rzekł Młody Jake.

— Widocznie się zdrzemnąłem — wyjaśnił Petey. — Popatrz tam.

Młody Jake spojrzał. Kilkaset jardów dalej, tuż przy drodze, gdzie wczoraj płonęły ogniska, zobaczył tylko pustkę w zamglonej szarości świtu.

— Tak — wybuchnął Petey. — Wymknęli się w ciemności Pewnie mają już i piętnaście-dwadzieścia mil przewagi. Osiodłałbym Jimmiego, ale wiesz, jak on się piekli i nie pozwala, żeby go tknął ktoś inny prócz ciebie. — Petey schwycił wiadro, pobiegł do wozu, cisnął je do środka i skoczył na kozioł. Szarpnął lejcami i wyprowadził wóz na drogę. — Pojadę najszybciej, jak się da. Może się czegoś dowiem.

Młody Jake opróżnił dwoma łykami kubek i rzucił go na ziemię. Oderwał zębami kęs kanapki, żuł w pośpiechu, resztę wepchnął do ust Jedną ręką poderwał z ziemi derkę i mały worek obrok drugą siodło wraz z wlokącym się po ziemi wędzidłem i pobiegł do Jimmiego Kasztana.

Zapinając popręgi usłyszał gdzieś dalej przy drodze stłumiony ostry trzask i grzechotanie. Wahał się przez moment nasłuchując, ale nie usłyszał nic więcej. W pośpiechu dokończył kulbaczenia, skoczył na siodło i Jimmie Kasztan, z łbem opuszczonym i grzbietem wygiętym w łuk, bryknął

raz, bryknął drugi raz, trzeci, żeby pozbyć się sztywności w grzbiecie, i ruszył szybkim kłusem w kierunku drogi.

No i naturalnie Młody Jake zaraz zobaczył Peteya, muły i wóz. Petey stał na drodze trzymając toporek, muły tkwiły nieruchomo i tylko ogony im drgały, a wóz był przechylony - część zawartości wysypana na ziemię, reszta w potwornym bałaganie. Prawe tylne koło uderzyło o kamień i pękły szprychy.

— Należą mi się już dwa kopniaki — powiedział Petey. — Ale o mnie się nie martw. Odrąbię gałąź, podeprę wóz i wciągnę go na drogę. Pójdę do najbliższej osady i postaram się o koło. A potem będę gnał jak wszyscy diabli i dogonię cię przed wieczorem.

Młody Jake spojrzał na drogę biegnącą ku dalekim wzgórzom na horyzoncie, gdzie pierwsza blada różowość świtu wspinała się po niebie. Gdzieś za tymi wzgórzami trzej jeźdźcy na trzech rosłych, silnych wierzchowcach zmniejszają mila za milą odległość dzielącą ich od mety.

— Nie ma się co spieszyć — powiedział. — I nawet nie próbuj nas doganiać. Zobaczysz, jak my z Jimmiem będziemy teraz pędzili.

Jimmie Kasztan szedł równym, miarowym krokiem. Kłus-trucht-kłus, Kłus przez pól godziny — ów gładki, płynny ruch znany każdemu, kto widział kiedykolwiek stado mustangów przemierzających równinę, z grzbietami podnoszącymi się i opadającymi tak lekko jak fale wodne. Trucht przez następne pół godziny, ów kołyszący się, jakby dwutaktowy chód, któremu same mustangi dają pierwszeństwo, kiedy chcą pokonać dużą odległość przy najmniejszym wysiłku. Nie wiedząc, jaka jest sytuacja przed nim na drodze, Miody Jake powstrzymywał się z największym trudem, żeby nie zmusić Jimmiego Kasztana do galopu. Ale czekała ich jeszcze długa droga.

—Niech pomyślę — rzekł farmer naprawiający płot przy drodze. — Gnało ich dwóch razem. Na wronym i na karym. Powiedziałbym, że ciut mniej niż dwie godziny temu. A potem przegalopował siwek. Powiedziałbym, że ciut więcej niż godzinę temu.

Tylko połowa skąpego obroku dla Jimmiego Kasztana w czasie południowej przerwy. Dla niego tylko jedna z dwóch kanapek z przytroczonej do siodła torby.

Ale nie było wody. Na przestrzeni kilku ostatnich mil nie natknęli się na strumień czy farmę ze studnią. Jałowa, piaszczysta, nieprzyjazna okolica i tylko jeden rozklekotany wóz chłopski z dwoma chudymi szkapami w zaprzęgu, a na wozie mężczyzna o wynędzniałej twarzy i kobieta z zaciśniętymi ustami, którzy z nieżyczliwości czy apatii nie raczyli odpowiedzieć na rzucone im przez Młodego Jake'a słowa pozdrowienia.

Tylko półgodzinny odpoczynek.

— Zmniejszone racje dla całej załogi — powiedział Młody Jake przywiązując worek za tylnym łękiem siodła. Jimmie Kasztan odpowiedział mu cichutkim rżeniem i obróciwszy łeb trącił go delikatnie. Stał nieruchomy jak skała, kiedy Młody Jake znów wskakiwał na siodło.

Już z daleka dojrzeli drewniane zabudowania — dom mieszkalny, mała stajnia i szopa. A przed domem pompa i koryto do pojenia.

Kiedy byli już blisko, Młody Jake ściągnął wodze i Jimmie Kasztan przeszedł najpierw w trucht, potem w stęp. Miody Jake zeskoczył na ziemię w odległości dwudziestu stóp od studni, a Jimmie Kasztan stał bez ruchu i czekał. Młody Jake rozejrzał się. Nigdzie śladu życia. Podszedł do studni, poruszył dźwignią i strumień wody trysnął do koryta. Wrócił po Jimmiego Kasztana, podprowadził go do koryta i pozwolił mu pić, ale wstrzemięźliwie.

— Co za dużo, to niezdrowo — powiedział i odprowadziwszy go na to samo miejsce zostawił tam z wodzami spuszczonymi na ziemię. Wrócił do koryta, pochylony nabierał wodę złożonymi dłońmi i pił.

— Witaj, kowboju. Pewnie jesteś jednym z tych, co się ścigają?

Z domu wyszedł mężczyzna i uśmiechnął się przyjaźnie, bardzo przyjaźnie. Trzymał w ręce butelkę w dwóch trzecich napełnioną bursztynowym płynem.

— Woda jest niczego sobie — powiedział. — Ale whisky lepsza. Nic tak nie potrafi człowieka rozkręcić. — Zbliżył się kilka kroków wyciągając rękę z butelką.

Młody Jake uświadomił sobie nagle, że od dobrych pięciu dni nie miał w ustach kropli alkoholu. To właśnie było mu potrzebne, coś mocniejszego od wody, co spłucze z gardła kurz pięciodniowej jazdy.

— Dzięki — rzekł i zbliżywszy się do mężczyzny wziął od niego butelkę.

Podniósł ją wysoko i spory łyk bursztynowego płynu wlał się z bulgotem do gardła. Potrzymał go chwilę w ustach, zanim spłynął, ostry i szczypiący, w dół krtani.

— Jeszcze raz dzięki — powiedział znowu podnosząc butelkę.

Kącikiem oka dostrzegł jakiś ruch w pobliżu Jimmiego Kasztana. Dwaj mężczyźni wysunęli się cicho, bardzo cicho zza drugiego węgła domu. Jeden schwycił wodze Jimmiego Kasztana, drugi podetkał mu pod pysk rękę, dłonią na płask, a na tej rozpłaszczonej dłoni coś leżało.

Młody Jake obrócił się błyskawicznie wypuszczając butelkę.

— Hej! — wrzasnął. — Precz od mo... — Reszta tego okrzyku została w nim zduszona. Pierwszy mężczyzna podskoczył i schwycił go w pół od tyłu.

Wytężał siły, żeby się oswobodzić, ale ramiona mężczyzny trzymały go jak żelazne kleszcze. Próbował zagwizdać, ostro i przenikliwie. Wydobył z siebie tylko rozpaczliwy, świszczący gwizd, jednakże Jimmie Kasztan usłyszał. Jimmie Kasztan stanął dęba i cofnął się od rozpłaszczonej dłoni i tego czegoś, co na niej leżało. Szarpnął wodze, ale mężczyzna trzymał je mocno. Wtedy Jimmie Kasztan po raz drugi stanął dęba i uderzył przednimi kopytami; jedno kopyto grzmotnęło mężczyznę w pierś i odrzuciło go do tyłu. Padł i wypuścił z ręki wodze, a wtedy Jimmie Kasztan obrócił się błyskawicznie, z wysoko podniesionym łbem, i uskoczywszy przed trzecim mężczyzną skierował się do Młodego Jake’a.

— Idę — wycharczał Młody Jake.

Zamachnąwszy się kopnął obcasem w lewą stopę trzymającego go mężczyzny, szarpnął ciałem w górę i w przód, i wyrwał się z uchwytu, Jimmie Kasztan, wierny dawnym naukom, wyminął go i stanął bokiem, a Młody Jake uczepił się rękami łęku i skoczył na siodło. Tylko dzięki dłoniom

zaciśniętym na łęku utrzymał się w siodle, kiedy Jimmie Kasztan ruszył z kopyta ostrym galopem, oddalając się od mężczyzn i domu. Młody Jake odnalazł stopami strzemiona. Siedząc teraz pewnie w siodle, sięgnął po wlokące się po ziemi wodze.

Kiedy wypadli na drogę, spojrzał za siebie. Nikt ich nie ścigał. Jeżeli mężczyźni mieli konie, trzymali je w stajni albo ukryli za domem. Dwaj z nich pochylali się nad trzecim, wciąż rozciągniętym na ziemi.

— Nie ma co, spisałeś się pierwszorzędnie — powiedział Młody Jake klepiąc Jimmiego Kasztana po karku. — A mnie należy się zdrowy kopniak.

Pęd wiatru rozwiewał mu włosy.

— Zgubiłem kapelusz — wymamrotał. Z niewiadomych powodów wydało mu się to szczególnie ciężką i dotkliwą zniewagą. — Od dzisiaj — powiedział — nie będziemy ufać nikomu i niczemu.

Uświadomił sobie nagle, że Jimmie Kasztan mknie pełnym galopem.

— Wolniej — powiedział ściągając wodze. — Wolniej. Oszczędzaj siły na potem, kiedy to będzie ważne.

Nagle poczuł ostry ból w środku, pod żebrami, ból wzrastający i nasilający się, aż wezbrały w nim mdłości. Zachwiał się w siodle, dławiące skurcze zaciskały mu gardło. Czuł, jak ogarnia go słabość, pociemniało mu w oczach.

Ściągnął wodze, Jimmie Kasztan zwolnił, stanął.

— Teraz mnie się należą dwa kopniaki — wymamrotał Miody Jake. Zsunął się, prawie spadł z siodła i wylądował na czworakach nad rowem, a Jimmie Kasztan stał obok z łbem lekko obróconym i patrzał na niego.

Wepchnął dwa palce głęboko do gardła. Plecy mu się trzęsły, kiedy mięśnie gardła zareagowały spazmatycznymi skurczami, a gdy wyszarpnął palce, ohydny płyn trysnął z ust na ziemię. Teraz pragnął tylko jednego — odsunąć się jak najdalej, wyciągnąć na ziemi i spać, ale walcząc rozpaczliwie z tym pragnieniem wstał, wrócił chwiejnym krokiem do Jimmiego Kasztana i podciągnął się na siodło. Niedołężnymi, niepewnymi palcami związał koniec wodzów w byle jaki węzeł i zaczepił je o kule siodła.

— Ruszaj stary — zdołał wymamrotać. — Jakoś się utrzymam w siodle.

Jimmie Kasztan nażył i byli znów w drodze.

Czas płynął, a on o tym nie wiedział. Zgarbiony i pochylony do przodu, z głową nisko zwieszoną, z dłońmi zaciśniętymi na brzegu derki wystającej spod siodła, jechał jakby w omdleniu, nieświadomy niczego — nieświadomy nawet tego, że Jimmie Kasztan podrzuca go biegnąc swoim upartym kłusem, nieświadomy instynktownej reakcji własnych mięśni, dzięki którym trzymał się w siodle. Potem stopniowo świadomość przedarła się przez otaczającą go mgłę i już wiedział, gdzie się znajduje. Siedzi na grzbiecie Jimmiego Kasztana i bierze udział w wyścigu, w wyścigu Jimmiego Kasztana, i jest najgłupszym durniem na całym bożym świecie, bo zdradza Jimmiego Kasztana w tej krytycznej chwili. Usiłował wyprostować się w siodle, żeby nie być tym bezkostnym, bezwładnym ciężarem na grzbiecie swojego przyjaciela — i trochę mu się to udało.

Czuł pod sobą miarowy, pewny bieg mustanga i raptem, nie wiadomo czemu, zapragnął zrobić coś, czego nie robił od wielu lat. Chciał zapłakać, rozszlochać się jak dziecko. A potem, chociaż to dziwne, wydało mu się, że

Jimmie Kasztan mówi coś do niego, że przemawia nieprzerwaną wytrwałością kroku, grą mięśni pod zakurzoną kasztanowatą skórą, niezmordowanym, rytmicznym stukotem kopyt.

— Przestań się trapić — mówił Jimmie Kasztan. — Przecież ja to robię. Ty jak na człowieka jesteś nienajgorszy. Głupi jak wszyscy ludzie. Dobrze o tobie świadczy, że zdjąłeś mi z głowy ten ciasny skórzany worek z obrokiem i że wyczesujesz ze mnie osty po ciężkim dniu pracy. I nawet zgrabnie posługujesz się lassem, kiedy chwytamy młode byczki, żeby je ocechować. Ale w żaden sposób nie potrafiłbyś zrobić tego, co ja robię teraz. A ja potrafię. Teraz ja z kolei jestem głupi i robię to za ciebie.

Czas płynął i Młody Jake czuł się coraz lepiej. Twarda była z niego sztuka. Znowu siedział w siodle wyprostowany — jeździec z krwi i kości pomagający swemu wierzchowcowi instynktownym współdziałaniem i umiejętnością jazdy.

Drogowskaz był przymocowany do przydrożnego drzewa, a napis na nim spłowiały i zatarty. Młody Jake z trudem zdołał go odczytać w gęstniejącym mroku. „Omaha 90 mil”.

W rześkiej ciemności nocy, kilkaset jardów w bok od samotnego odcinka drogi, za gęsta kępą, krzaków i drzew Jimmie Kasztan żuł ostatnie ziarna skąpego obroku, a Młody Jake połykał swoją jedyną kanapkę.

— Akurat tyle, żeby nam się jeszcze bardziej chciało jeść — powiedział Miody Jake. Zjadł ostatnie okruchy i sięgnąwszy po linkę zwisającą luźno i karku Jimmiego Kasztana przywiązał ją sobie do lewej ręki. — Pól godziny — powiedział. — Chwila dłużej, a na pewno zasnę. — Oparł się plecami o siodło lezące na ziemi i myśli o kasztanowatym mustangu i trzech silnych, rosłych koniach, gdzieś przy tej samej drodze, w ciemnościach tej samej nocy, kotłowały mu się w głowie.

W odległości dwudziestu stóp Jimmie Kasztan stał nieruchomo, z łbem spuszczonym. Żebra rysowały mu się pod skórą, boki miał trochę zapadnięte. Był brudną, niezdarną karykaturą konia i kiedy tak stał, wyglądał jak nieżywy. Robił wrażenie wynędzniałego, skończonego; zdawało się, że za chwilę padnie i zostanie z niego tylko kupka skóry i kości. Ale gdzie tam! Odpoczywał. Wszystkie mięśnie miał rozluźnione, zwiotczałe. Wiedział, co robi. Nie marnował energii na podrygiwanie, bicie kopytami w ziemię czy inne ruchy. Starał się wykorzystać jak najlepiej krótki odpoczynek. Był niewielkim południowo-zachodnim mustangiem, już prawie gotowym do rozpoczęcia walki.

Młody Jake otrząsnął się z drzemki i zmusił do wstania,

— W porządku, stary — powiedział. — Następny postój w Omaha.

Była tylko czerń nocy i ślad drogi, widomy w nikłym blasku gwiazd, i podmuch owiewającego ich wiatru, gdy przebywali lekkim kłusem samotne mile. Domy pokazywały się teraz coraz częściej, ale były zaledwie mrocznymi, bezokimi kształtami majaczącymi przy drodze. Pośpiech przemawiał rzemieniami wodzy i wydłużał krok Jimmiego Kasztana.

Zmęczenie, stawało się bólem w ciele Młodego Jake’a, głód drążył pustkę w jego brzuchu. Od czasu do czasu miał zawroty głowy i czuł się

dziwnie oszołomiony. Nie zapamięta reszty tej drogi w wyraźnej kolejności, jedynie w urywkach, jak gdyby pełna świadomość wracała mu tylko w pewnych ustalonych odstępach czasu.

Miał uczucie, że ta rzekomo krótka noc letnia, nigdy się nie skończy, gdy nagle spostrzegł, że kształty przy drodze są wyraźniejsze, ostrzej zarysowane, i gdzieś w pobliżu rozległo się pianie koguta. Zdołał odczytać napis na drogowskazie: „Omaha 40 mil”.

Ta mała osada kipiała życiem w słońcu wczesnego poranka. Pies wypadł na drogę i szczekając — biegł za Jimmiem Kasztanem. Dwa wozy i srokaty koń wierzchowy stały przy plocie, a przed sklepem z towarami mieszanymi zebrało się pół tuzina osób, czterej mężczyźni i dwie kobiety.

— Jeszcze jeden kowboj z Czarnych Wzgórz!

Ściągnął wodze i mijając ich jechał wolnym truchtem, ale był gotów w każdej chwili poderwać Jimmiego Kasztana do galopu. Jechał patrząc prosto przed siebie, nie zwracał uwagi na ludzi. Po tym, co się zdarzyło wczoraj, nie miał ochoty choćby pomachać do nich ręką, nawet do tej ładnej kobiety stojącej przed sklepem.

Usłyszał za sobą tętent, obejrzał się. Srokacz doganiał go szybko. Zrównał się z nim, zwolnił i szedł teraz w tempie Jimmiego Kasztana. Mężczyzna był szczupły i silnej budowy, zdawał się zrośnięty z siodłem i miał twarz ogorzałą od wiatru i słońca, a w kącikach ust zmarszczki, jak u ludzi patrzących w słońce i w dal.

— Co u wszystkich diabłów robisz tu bez kapelusza?

Młody Jake poczuł jeszcze większą ulgę. Znał również ten ton, pobrzmiewało w nim echo szerokich przestrzeni, na których przepędzano bydło.

— Zgubiłem — odparł. — I nie miałem czasu ukraść drugiego.

— Ze słońcem w tych stronach nie ma żartów — powiedział mężczyzna. — Usmaży ci resztkę mózgu, jaka ci została. Bierz mój. Kupię sobie drugi w sklepie.

Podprowadził srokacza bliżej, zdjął wysoki kapelusz z szerokim rondem, który niepogoda i praca tak sponiewierały, że miał teraz należyty, brudno-tłusty wygląd i żałosny kształt, i wyciągnąwszy rękę wsadził go Młodemu Jake’owi na głowę.

— Pewnie tego nie wiesz — powiedział — ale jeden z nich siedzi tam w stodole. Facet z dość paskudną gębą. Jego siwek całkiem się wykończył Może za jakiś czas spróbuje pojechać dalej, ale dużo z tego konia nie wyciśnie. Będzie dobrze, jak mu pójdzie stępa. Jeżeli sam potrafi wleźć na siodło. Zmordowany w trupa.

Młody Jake poprawił kapelusz na głowie. Trochę ciasny, ale było w nim coś swojskiego:

— Nie powiem — ciągnął mężczyzna — żebyś ty sam wyglądał jak świeżo zerwana stokrotka. Ale ci dwaj przed tobą na drodze wyglądają gorzej. Mają przewagę najwyżej dwóch, trzech mil. Goń ich! — Zawrócił i odjechał w kierunku osady.

Mody Jake trzymał się prosto w siodle, jak przystało mężczyźnie. Był teraz jakby mniej zmęczony. Pomachał do farmera, który obrabiał motyką

pole z lewej strony drogi. Schylił się i poklepał Jimmiego Kasztana po karku.

— Wiemy już, stary, że jeden odpadł — powiedział. — Już tylko dwóch. Słyszałeś przecież. Doganiamy ich! — I Jimmie Kasztan, rozgrzany aż do szpiku kości, całym sercem w tym wyścigu, nawet gdyby miał trwać wieczność, wysunął łeb i ruszył szybkim, wyciągniętym kłusem.

Ruch przy drodze był teraz duży. Domy, coraz więcej domów między uprawnymi polami, i ludzie przy drodze, wrzeszczący i machający rękami, a niekiedy jeden czy dwóch mężczyzn na koniach albo jakiś chłopiec, kłusowało przez pewien czas obok, wykrzykując rady i słowa zachęty. Jimmie Kasztan nie zwracał na nich uwagi, Był całkowicie pochłonięty pracą, jaką miał tego dnia wykonać, silny i pewny połykał wiatr, pożerał mile.

— Wygra czy przegra — zawołał mężczyzna na krępym gniadoszu, który wyciskał z siebie wszystko, żeby nie pozostać w tyle — dam ci za tego konia dwieście dolarów!

— Stuknij się w czoło! — wrzasnął Młody Jake. — Na całym bożym świecie nie ma dosyć pieniędzy, żeby go kupić!

Przejechali z głuchym stukotem kopyt po drewnianym moście i trochę zwolnili, bo droga pięła się teraz w górę. Jimmie Kasztan zmienił chód z prawej nogi na lewą, co dowodziło, że wysiłek daje mu się we znaki. Wokół oczu pokazały się czerwone obwódki. Pierś unosiła się i opadała w długim, powolnym rytmie, a boki i wyprężony kark pokryła piana. Ale nadal rozbrzmiewał uspokajającym refrenem stukot jego twardych jak krzemień kopyt, kopyt mustanga z bezkresnych prerii — Przestań się trapić. Przecież to robię. Chcesz, żebym to robił, no to robię,

„Omaha 12 mil” oznajmiała tabliczka, którą mały chłopiec trzymał wysoko nad swoją małą głową.

Na drodze przed nimi zamajaczył ciemny, wolno poruszający się kształt. Podjechali bliżej i zobaczyli ogromnego karego wierzchowca pokrytego pianą, wychudłego, z łbem zwieszonym, powłóczącego nogami w wolnym, nierównym truchcie. Czarnobrody mężczyzna w siodle usłyszał ich, obejrzał się i zaczął jak szalony smagać karosza końcami wodzy i dźgać go ostrogami; nieszczęsne zwierzę zebrało resztkę sił i ruszyło nierównym galopem.

Młody Jake zastanawiał się, czy użyć ostróg, czy wstrzymywać krok i czekać, aż się karosz zmęczy, gdy nagle Jimmie Kasztan podjął za niego decyzję. Zmienił znów chód na prawą przednią nogę i puścił się pełnym galopem — brzuch nisko, nogi walczące i przestrzenią w wydłużającym się kroku. Młody Jake czuł pod sobą siłę, naglące wezwanie płynące tym razem ku niemu po wodzach od poruszającego się niczym młot i przypominającego młot łba Jimmiego Kasztana.

— Hej-ho! — krzyknął pochylając się i przenosząc ciężar ciała na przód siodła. — Goń go, stary! Goń go!

Podjechali bliżej. Jeszcze bliżej. Zrównali się z karoszem. Młody Jake słyszał przekleństwa czarnobrodego mężczyzny, rzucane na niego, na Jimmiego Kasztana, na karosza — i nagle wysunęli się do przodu, a odległość między nimi zaczęła rosnąć z każdą chwilą.

Młody Jake spojrzał za siebie. Karosz potknął się, niewiele brakowało, a byłby upadł. Czarnobrody szarpnął wściekle wodze, karosz zwolnił i szedł teraz stępa, powłócząc nogami.

Na drogę tuż przed nimi wypadł szczeniak i mały chłopiec — niczego nie widzący, na nic nie zważający — wybiegł za nim. Jimmie Kasztan skręcił gwałtownie w bok i zdawało się, że pies i chłopiec, kotłujący się teraz na ziemi, są już pod jego kopytami. Jimmie Kasztan przysiadł na zadzie, z przednimi nogami wyciągniętymi do nieba, i dreptał w miejscu na tylnych nogach, a chłopiec pochwycił psa i wydostał się spod przednich nóg konia. Jimmie Kaszan opadł na cztery kopyta i znów pobiegł kłusem. Młody Jake słyszał wrzaski i wiwaty ludzi stojących przy drodze. Ale wszystko to nic dla niego nie znaczyło, ważny był tylko ostry, donośny okrzyk chudego farmera w kombinezonie.

— Brawo, kowboju! Jeszcze pięć mil!

Nie było pauz w długich, równomiernych susach galopu, ale Młody Jake wyczuwał w nim zmęczenie. Czuł dodatkowe szarpnięcia, kiedy kopyta uderzały o ziemię, naprężone w wysiłku mięśnie nie amortyzowały już wstrząsów natychmiastową sprężystą reakcją. Jimmie Kasztan miał teraz oddech przerywany, jakby szlochający. Kasztanowata skóra była zlana potem, płaty brunatnej piany spadały z bocznych pierścieni wędzidła. Ale nie było przerw, nie było potknięć w miarowym biegu.

— Trzy mile! — wrzasnął ktoś w polu widzenia Młodego Jake'a.

Dziwna rzecz, ale nikt nie kłusował obok niego, nie było konnej eskorty i to już przez ostatnią milę albo i więcej. Domy stały przy drodze jeden obok drugiego i ludzie przed nimi wrzeszczeli w podnieceniu, wymachiwali rękami, podskakiwali, aż sens ich wrzasków tonął w ogólnym harmiderze. Ale nikt nie towarzyszył mu na koniu.

Wziął ostry zakręt — i zobaczył ich. Najmniej dwudziestu konnych, w odległości może pięćdziesięciu jardów przed nim, jadących gromadą. A między nimi ogromny wrony wierzchowiec, zwany Kulą Armatnią. Ale już nie wrony, lecz pokryty kurzem, błotem i pianą. Łeb trzymał nisko zwieszony. Szedł podrygującym truchtem, wlokąc za sobą nogi. Ale szedł. Wciąż posuwał się naprzód.

Jeźdźcy rozproszyli się na boki zostawiając mu wolną drogę i Jimmie Kasztan przemknął między nimi swoim miarowym szybkim kłusem.

— Hej-ho! — wrzasnął Młody Jake zapominając o bólu gardła i zmęczeniu przenikającym mu ciało. — Omaha, zaraz tam będziemy!

I konna eskorta pojechała teraz z nim i Jimmiem Kasztanem, oderwała się od rozwścieczonego, przeklinającego mężczyzny o chudej twarzy i ogromnego karego wierzchowca, który z każdą chwilą zostawał dalej za nimi.

— Dwie mile!

Młody Jake walczył teraz, walczył ze wszystkich sił, żeby trzymać się w siodle prosto, jak przystało mężczyźnie. Wygrał ten wyścig. Teraz ważne było tylko jedno: zakończyć go w należytym stylu.

Wtem spostrzegł, że eskorta znowu się rozprasza, jeźdźcy wrzeszczeli coś do niego, wskazywali rękami na drogę za sobą. Obrócił się w siodle.

Ogromny wrony wierzchowiec, zwany Kulą Armatnią, zbliżał się szybko. Mężczyzna o chudej twarzy okładał go harapem, dźgał ostrogami. Oszalały, pryskający pianą, podrzucając łbem, z szaleństwem w oczach, biegnąc już tylko dzięki sile swej rasy i nerwów, wyszarpując ostatni zryw energii i szybkości z tego swojego rasowego serca, wrony wierzchowiec szybko ich doganiał.

Jimmie Kasztan usłyszał. Wśród splątanego tętentu usłyszał ten stukot kopyt Obrócił łeb, żeby zbadać odległość od zbliżającego się olbrzyma i wtedy Młody Jake widział przez krótką jak błysk chwilę orle spojrzenie w przekrwionym oku obrysowanym czerwoną obwódką. I z dalekiej przeszłości jego przodków, mustangów z niezmierzonych, jałowych obszarów Południowego Zachodu, z upartej wytrzymałości przenoszonej z pokolenia na pokolenie, napłynęła siła do chudych, kościstych boków i twardych jak krzemień, grzmocących ziemię kopyt.

Wrony olbrzym — o nogach dłuższych, przebywający większą odległość każdym szaleńczym susem — zbliżył się, był łbem przy kłębach Jimmiego Kasztana. Zrównał się z nim. Pędzili teraz łeb w łeb, eskorta została daleko w tyle i Młody Jake widział płaty krwistej piany pryskające z pyska ogromnego wierzchowca i słyszał jego oddech świszczący i charczący w krtani. Ogarnęła go fala gniewu, którego nie umiałby wyrazić słowami, gniewu na ludzi, że mogą robić tak potworną krzywdę istotom lepszym i szlachetniejszym niż oni, lecz nagle zapomniał o wszystkim i pochylony stal w strzemionach jak dżokej, wrzeszcząc słowa zachęty wprost do wyciągniętego łba Jimmiego Kasztana.

Teraz Jimmie Kasztan wysuwał się do przodu — cal za calem, stopa za stopą, jard za jardem. Wrony olbrzym zmienił chód, odzyskał równowagę i znów galopował, ale odległość powoli się zwiększała. Młody Jake spojrzał za siebie i zobaczył, że tamten znowu się potyka i pada, a jeździec, wysadzony z siodła, turla się w pyle drogi.

— Zwolnij, stary — powiedział ściągając wodze. — Już po wszystkim, będą jeszcze tylko wrzaski. Spokojnie! Musimy finiszować z godnością.

I Jimmie Kasztan finiszował z godnością. Umęczony, wychudły, zaszargany, ale biegnący krokiem pewnym i miarowym, z łbem podniesionym, , uszami nastawionymi, wsłuchany w wiwaty tłumu po obu stronach drogi przerwał piersią sznur rozciągnięty w poprzek ulicy.

Sam Buffalo Bill Cody, który przebywał w mieście ze swoim widowiskiem o Dzikim Zachodzie, podszedł do Młodego Jake'a, uścisnął mu dłoń i wręczył skrawek papieru — czek na tysiąc dolarów,

Sama śliczna córka właściciela największego zakładu rymarskiego w mieście pocałowała go głośno w zakurzony policzek i wygłosiwszy równie śliczne przemówienie podała mu nowe siodło z podwójnymi popręgami, rozwidlone w kształcie litery A, o wysokim łęku i wolno wiszących strzemionach, którego kula obita srebrną blachą lśniła w słońcu Nebraski

A wieczorem wydano uroczysty bankiet w Sali Hodowców Bydła miejscowego hotelu. Zebrały się tam najrozmaitsze osobistości w paradnych strojach, a Młody Jake, po krótkim odpoczynku, ogolony i jako tako odświeżony, napełniony dobrą whisky fundowaną mu przez natrętnych wielbicieli, był gościem honorowym. Siedział na wyznaczonym miejscu przy głównym stole i speszony pociągał z kieliszka, żeby to speszenie ukryć. Stopniowo towarzystwo okazywało mu coraz więcej serdeczności i było coraz hałaśliwsze, a on pił coraz więcej, odpowiadając na wszystkie toasty wznoszone na jego cześć.

Potem wstał burmistrz miasta Omaha i przemawiał długo i rozwlekle o wspaniałej krzepie i wytrzymałości, ba, o niebywałej odwadze ludzi z Zachodu, czego dowiódł ten porywający wyścig dopiero co zakończony. Zamierzał wznieść jeszcze jeden toast i poprosić o kilka słów tego, który najdobitniej ze wszystkich dowiódł wspomnianych zalet. Obrócił się do Młodego Jake'a, ale jego krzesło było puste.

A Młody Jake szedł potykając się na niepewnych nogach, szedł w ciemności najpierw jedną ulicą, potem drugą. Gmerał przy jakichś drzwiach, wtoczył się do stajni wynajmującej miejsca dla koni i dobrnął do boksu, w którym niewielki kasztan, z członkami jakby obwisłymi w śmiesznie niezdarnym odpoczynku, chrupał powoli i starannie smaczne siano Nebraski.

Młody Jake oparł się o rudawobrązowy bok, objął ramieniem grubą szyję i pociągnął za jedno ucho na tym prawie za dużym łbie w kształcie młota. Zabarwione whisky łzy płynęły mu po twarzy, ale on o tym nie wiedział i tylko powtarzał wciąż te same słowa:

— Ci przeklęci głupcy mówią w kółko, że zrobiłem to i zrobiłem tamto. Nic nie zrobiłem. Trzymałem się tylko w siodle. Tyś to zrobił.

III

Stary Jake Hanlon siedzi przy rozklekotanym stole w walącym się domu na rancho i starannie odmierza skondensowane mleko do trzeciego kubka porannej lawy. Dawnymi czasy pił tylko czarną kawę, tak czarną i mocną, że niemal stała o własnych siłach, bez pomocy kubka, ale w ostatnich latach przywykł łagodzić ją mlekiem. Żeby nie była gorąca, tłumaczy się przed samym sobą, ale prawdę mówiąc bardziej mu taka smakuje. Podnosi do ust stary cynowy kubek.

Czyste złoto południowo-zachodniego słońca pada przez pozbawioną okna framugę na metal kubka, wypolerowany od wielokrotnego szorowania piaskiem zamiast proszkiem, i rzuca złotą plamkę na tynk południowej ściany pokoju. Trzymająca kubek ręka Starego Jake’a zatrzymuje się w pół drogi Porusza ostrożnie kubkiem, zmieniając kąt padania i złota plamka zaczyna tańczyć na południowej ścianie.

— A to heca — powiada Stary Jake. — Nie robiłem tego od szczenięcych lat.

Wypija kawę do dna. odstawia kubek. Wyciąga z kieszeni spłowiała chustkę i wyciera wąsy. Składa chustkę na płask, żeby nie rozpychała kieszeni, lecz nagle nieruchomieje, czujny.

— Śmieszne — mówi. — Zdawało mi się, ze słyszałem konia.

Potrząsa głową na myśl o własnej głupocie. Minęło najmniej piętnaście lat, odkąd ostatnie drobne prace na farmie, utrzymywanej właściwie jako mało ważne hobby Henry’ego W. Harpera, dobiegły końca i odkąd sprzedano kilka ostatnich koni. Minęło już dziesięć lat, odkąd Henry W. Harper namówił Starego Jake'a, który został tu jeszcze jako ktoś w rodzaju dozorcy, żeby przeniósł się do miasta i zamieszkał — czasem płacąc, czasem nie płacąc — w pensjonacie pani Wilson. Mało prawdopodobne, żeby w ciągu tych wszystkich lat choćby jeden koń znalazł się w pobliżu opuszczonego rancho. Owszem, było kilka półciężarówek prowadzonych przez śmieciarzy, zawsze gotowych chapnąć wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, każdą rzecz, którą da się zabrać, nawet okna i drzwi, Ale koń czy konie — ani razu.

Stary Jake wkłada chustkę do kieszeni. Nagle podrywa się tak gwałtownie, że tyłem starych chudych nóg uderza o krzesło.

— Jeżeli to nie był koń — powiada — to ja jestem opos z hakowatym ogonem!

Podchodzi do framugi pozbawionej drzwi i wygląda. Ma się rozumieć, jest koń, stoi nad piaszczystym zbiornikiem, do którego kapie woda ze źródełka. Zanurza pysk i zaczyna pić Nic nadzwyczajnego, ot, mały gniadosz z łabędzią szyją i daszkowatym zadem, ale Stary Jake mamroce do siebie słowa dawnego porzekadła:

— Cztery białe pończochy u gniadosza... dobrze, bardzo dobrze.

Coś zaczyna się poruszać na dnie jego pamięci, nie daje mu spokoju. W tym koniu jest coś znajomego, ale nie potrafi określić co. W końcu nawet nie próbuje. Jego stare oczy zwęziły się trochę. Zauważył kilka szczegółów. Brak jednej wodzy, urwała się o kilka cali od bocznego pierścienia wędzidła, a strzemiona są krótkie, bardzo krótkie.

Cicho wysuwa się z framugi drzwi i kieruje ku ruinie stodoły. Stawia kroki ostrożnie, ale koń słyszy, podnosi łeb i spostrzega go. Stary Jake idzie dalej, patrzy w inną stronę. Koń przywykł do kręcących się w pobliżu ludzi. Uznał, że Stary Jake jest w bezpiecznej odległości, więc nie zwraca na niego uwagi i znowu zanurza pysk.

Stary Jake jest teraz w stodole. Ukryty za jej murem idzie cicho na sam koniec, jak najbliżej konia stojącego na zewnątrz. Odczepia zniszczone stare lasso od bardziej jeszcze zniszczonego i starszego siodła, nasadzonego na drewniany kozioł, i robi pętlę. Cicho, spokojnie, wysuwa się ze stodoły, podnosi kamień i ciska go za koniem. Kiedy koń podrzuca łeb, żeby spojrzeć w kierunku niespodziewanego hałasu. Stary Jake biegnie tak szybko, jak pozwalają mu na to chude nogi, wlokąc po ziemi trzymane w prawej ręce lasso, i teraz jego stare chude ramię zatacza krąg, który jest smutnym echem dawnej, dawnej przeszłości. Pętla wirując przecina powietrze, otwiera się i zsuwa na kark gniadosza.

— Co to można wiedzieć — mruczy Stary Jake potykając się, padając na bok, ale trzymając mocno koniec liny. — Udało mi się!

Wczesne poranne słońce spogląda z uśmiechem na małego gniadosza na czterech białych nogach, idącego równym truchtem. Do bocznych pierścieni wędzidła w jego pysku są przemyślnie umocowane nowe wodze. Nowe tylko w tej uździe, bo tak naprawdę są ze starego, mocnego juchtu, wzięte z jeszcze starszej uzdy, która wisi w zrujnowanej stodole, gdzie

codziennym rozcieraniem nadawały im miękkość i wytrzymałość stare zrogowaciale ręce. W siodle siedzi Stary Jake z chudymi nogami zwisającymi dużo poniżej strzemion, siedzi trochę jak strach na wróble przymocowany do żerdzi. Niemało musiał się natrudzić, zanim tam wlazł, przywiązawszy wpierw gniadosza na krótkiej lince do jednego z pozostałych słupków zagrody na bydło i pokonawszy sprzeciwy starych obolałych kości. Jednakże wlazł. Ma pełne prawo do dumy, że wlazł na grzbiet konia i że tam siedzi ale jest za bardzo zajęty, żeby o tym myśleć Pochylony bada wzrokiem grunt przed sobą. Cofa się po śladach, które zostawił gniadosz w drodze do źródła.

Jest to praca mozolna, dużo w niej przerw i kluczenia. Gniadosz spędził większą część nocy, aż do brzasku, wędrując, to tu, to tam i szczypiąc szorstką trawę, zanim złapał nozdrzami zapach wody i poszedł prosto w jej kierunku. Ale długie, bardzo długie życie uczyniło Starego Jake'a wcieleniem cierpliwości. Pracuje teraz wytrwale, posuwając się to w jedną, to w drugą stronę, trzymając wodze pewnymi dłońmi i panując nad koniem. Odczytuje historię śladów i bystrymi, starymi oczami dostrzega znaki, których młodsi mężczyźni dzisiejszego świata w ogóle by nie zauważyli.

Wreszcie znajduje to miejsce. Historia, jaką ono opowiada, jest stara, starsza od Starego Jake’a, dużo starsza, sięgająca może przez wszystkie minione wieki do tego pierwszego dnia, w którym pierwszy człowiek dosiadł pierwszego konia. Tutaj gniadosz nagle się spłoszył, a to, co go przestraszyło, nie było prawdopodobnie niczym groźniejszym od królika wyskakującego z zarośli tuż przed jego nosem, jak to króliki mają w zwyczaju. No i jeździec, zaskoczony, runął na ziemię. Najwyraźniej ten jeździec miał dość oleju w głowie, żeby trzymać mocno wodze — ale wodze pękły.

Stary Jake spogląda na pasek skóry z poszarpanym końcem.

— Tak to sobie kombinowałem — mówi. — Przygląda się śladom stóp wyraźnie odciśniętym w miękkiej ziemi tuż obok. Buty do konnej jazdy. Tak. Ale małe. Rozmiar jak na chłopca. — Tak sobie myślałem.

Późne poranne słońce spogląda z uśmiechem na małego gniadosza, który stąpa z trudem po nierównym terenie. Gniadosz chętnie puściłby się kłusem i zostawił za sobą tę kamienistą ziemię, tak męczącą dla końskich nóg, zwłaszcza dla kopyt często struganych przy dopasowywaniu podkowy. Strzałka kopyta jest bardzo wrażliwa na ostre, sterczące kamienie, które kłują środek podeszwy, poza ochronną sztabą podkowy. Ale koń zdążył już polubić wór starych kości na swoim grzbiecie, który potrafi przemawiać jego własną mową za pośrednictwem wodzy. Ten wór starych kości rozwiązuje jakąś zagadkę i potrzebna mu współpraca.

Stary Jake jest obolały w kroku od tych zwisających luźno nóg i jego zmęczone kości znowu się buntują, ale właściwie nie zdaje sobie z tego sprawy. Jest pochłonięty próbą odtworzenia — z kilku śladów, prawie niewidocznych i rzadko rozsianych, nawet dla jego doświadczonego oka dostrzegalnych tylko po starannym zbadaniu szlaku, którym szła istota ludzka o małych stopach, zagubiona gdzieś na tej opustoszałej ziemi.

— Całkiem mu się wszystko pokręciło — mruczy do siebie. — Miasto jest w tamtej stronie, Farma Kupperów leży nie tak znowu daleko za tymi małymi pagórkami. A on wybrał akurat tę drogę, która jest całkiem bez sensu.

Stary Jake z pomocą gniadosza odnajduje miejsce, gdzie mała istota ludzka, nagle czymś przestraszona, zaczęła uciekać. Noski butów pozostawiły głęboko odciśnięte ślady na przestrzeni dziesięciu czy kilkunastu jardów, ale ślady znikają na twardym gruncie. Stary Jake odnajduje miejsce, gdzie mała istota ludzka, przypuszczalnie bardziej jeszcze wystraszona i zagubiona, w zapadającym mroku, ukryła się na noc w zagłębieniu między dwoma dużymi głazami. Odnajduje trop podjętej rano wędrówki — kluczącej, nerwowej,

Wyraźnie odciśnięte w piasku pełne ślady widać na niewielkiej przestrzeni, w poprzek arroyo.

— Te buty są chyba nowe — powiada Stary Jake. — A on kuleje. Nie ma co, pęcherze. Nie ujdzie daleko.

Nawołuje tak głośno, jak mu na to pozwalają stare płuca. Żadnej odpowiedzi. Cierpliwie zabiera się do odcyfrowywania nielicznych śladów. W pół godziny później znowu nawołuje. Z daleka, gdzieś po lewej, przypływa niewyraźne wołanie, może nie tyle wołanie, co przerywany szlochem lament. Kieruje gniadosza w tamtą stronę, spina go kolanami i zaczyna podskakiwać w siodle, kiedy koń w odpowiedzi rusza szybkim kłusem.

Jest to mała istota ludzka, a jakże, chłopiec może dziewięcio- może dziesięcioletni, teraz bez kapelusza, z twarzą pełną zadrapań i spaloną od słońca, w koszuli podartej i brudnej, w wymiętych i poplamionych dżinsach, bez butów, które stoją obok na ziemi. Siedzi skulony pod zwisającymi gałęziami jałowca i wygląda z mroku jak przestraszone zwierzątko, gotowe w każdej chwili rzucić się do panicznej ucieczki.

— Dzień dobry, synku — powiada Stary Jake usadowiony na grzbiecie gniadosza. Zatrzymał go w odległości trzydziestu stóp i nie podjeżdża bliżej. — Tak, synku — powiada. — Wlazłem jakoś na tego konia. Zobaczymy, czy potrafię zejść.

Idzie mu to i wielkim trudem, ponieważ jego niewsunięta w strzemię stopa nie ma się na czym oprzeć, i w końcu ląduje na ziemi jak wór obolałych kości, ale wodzy nie wypuszcza z zaciśniętych rąk. Dźwiga się i idzie na sztywnych nogach, świadomy strzykania w stawach i bólu w kroczu, podprowadza gniadosza pod inne drzewko jałowca i mocnym supłem przywiązuje końce wodzy do solidnej gałęzi. Chwieje się i omal nie traci równowagi, kiedy coś wpada na niego z rozpędu. Chłopiec podbiegł i przywarł do Starego Jake'a małym ciałem, objął go ramionami, przytknął twarz do kamizelki tuż powyżej paska. Plecy dygocą mu od szlochu.

— No dość, synku — powiada Stary Jake klepiąc go po zmierzwionych włosach. — Nie przejmuj się. Spokojnie. Już wszystko w porządku. Niewiele ze mnie zostało, to prawda, ale cię odnalazłem.

Odrywa chłopca od siebie i trzyma na odległość wyciągniętej ręki.

— Przestań beczeć — mówi stanowczo, ostrym głosem. — Usta są ci potrzebne do całkiem czegoś innego. — Odczepia zawieszoną na pasku małą manierkę i podaje chłopcu. — Trzy łyki — powiada. — Dostaniesz

więcej, jak zjesz. — Sięga do wypchanej kieszeni zniszczonej kamizelki, grzebie w niej i wyciąga kilka kawałków suszonego mięsa.

Południowe słońce spogląda z uśmiechem na Starego Jake'a w obwisłym kapeluszu o szerokim rondzie i na małego chłopca w starej spłowiałej chustce zawiązanej pod brodą, i na małego gniadosza, który w poszukiwaniu cienia wsunął łeb i szyję między gałęzie jałowca. W odległości czterdziestu stóp płonie kapryśne ognisko, suche gałęzie na spodzie usiłują trzaskać, a ze świeżych gałęzi na wierzchu bucha w górę wysoki słup dymu. Stary Jake siedzi w kucki i, chociaż upłynęło tak wiele lat, jest mu w tej pozycji dość wygodnie. Chłopiec siedzi na ziemi, z nogami skrzyżowanymi. Na nogach ma znów buty. Stary Jake uparł się i kazał mu je włożyć. Rozmawiali ze sobą i chłopiec już się nie boi. Powoli zaczyna być z siebie dumny, że spędził samotnie i przeżył noc w tej niebezpiecznej krainie.

— A wczoraj to mnie gonił niedźwiedź — powiada.

— To nie był żaden niedźwiedź — mówi Stary Jake. — To był mały kojot. Widziałem tropy. Miał większego stracha niż ty. Wziął nogi za pas i pognał w przeciwnym kierunku.

— Robiło się już ciemno — rzuca szybko chłopiec. — Myślałem... no myślałem, że to niedźwiedź.

— Bzdura, synku — powiada Stary Jake. — W tych stronach nie było ani jednego niedźwiedzia, odkąd Petey i ja zabiliśmy ostatnią sztukę dwadzieścia lat przed twoim urodzeniem. Jak ktoś chce je teraz spotkać, musi iść daleko w góry.

Prostuje się, podchodzi na sztywnych nogach do ogniska i rzuca na wierzch kilka świeżo ściętych gałęzi. Wraca i widzi, że chłopiec ma głowę odwróconą i zerka na niego bokiem,

— Zakład, że wiem, kto ty jesteś... — zaczyna chłopiec. — Jesteś... Jesteś...

— Śmiało, synku, gadaj — mówi Stary Jake.

— A nie rozzłościsz się na mnie?

— Oszczędzam moją złość dla dorosłych — powiada Stary Jake. — Wal śmiało.

— No wiec... Jesteś... Głowę dam, że jesteś koniokrad Hanlon!

Stary Jake chichocze.

— Może jestem — powiada. — Widzi mi się, że w jakiś sposób jestem, Widzi mi się, że w jakiś sposób jestem prawie wszystkim tym, za co mnie ludzie w mieście uważają. Może jestem jeszcze czymś, o czym oni nawet nie wiedzą. Ale to bzdura, synku. Posłuchaj, jakbym był uczciwym koniokradem, pracującym jak Pan Bóg przykazał, to czy przyprowadziłbym ci twojego konia?

— Słusznie — mówi chłopiec ze zdziwieniem, zastanawiając się nad słowami Starego Jake'a. — Słusznie. Przecież przyprowadziłeś.

— A ten twój gniady to naprawdę dobry konik — ciągnie Stary Jake. — Może nie wiesz, ale ma w sobie sporo krwi mustanga. I dlatego jest dobry.

— Och, ujdzie, nie jest najgorszy — przyznaje chłopiec. — Ale ja chciałem szybkiego tutejszego konia.

— No i całkiem nie masz racji — powiada Stary Jake głosem trochę podniesionym. — Założę się o mój ostatni guzik, że ten gniadosz pobije na głowę każdego z tych tłustych tutejszych koni, każdego dnia w roku i w

każdy sposób. I będzie ci lepszym przyjacielem. Bo to na pewno można powiedzieć o mustangach. Mają rozum. I mają serce. Jasne, że jak któryś za długo biega na wolności, niewiele da się z nim zrobić. Czasem nic. Ale schwytaj młodego i traktuj go sprawiedliwie, a da się łatwiej okiełznać i nauczy się szybciej, i będzie się zachowywał lepiej, od każdego innego obłaskawionego zwierzaka, co to się urodził i wychował w stajni. Dla chłopca nie ma nic lepszego na świecie, jak chować się razem z małym poczciwym mustangiem.

Stary Jake zdejmuje kapelusz i wkłada go na bakier, a potem kucnąwszy przysiada znów na piętach.

— Jedna sprawa z tym twoim koniem. Musisz dobrze wiedzieć, jak się z nim obchodzić To było głupie, żeś mu tak pozwolił uciec. Trzeba go nauczyć, żeby stał w miejscu z wolno puszczonymi wodzami.

— Nie wiem, jak to się robi — mówi chłopiec. — Ale próbowałem. Próbowałem go złapać.

— A pewnie — powiada Stary Jake. — Zostawiłeś wszędzie dookoła pełno śladów, bo z ciebie niemądry smarkul. Zrobiłeś źle z dwóch powodów. Po pierwsze, nie złapiesz spłoszonego konia, jak będziesz za nim biegł. Tyle tylko, że będzie uciekał dalej. Musisz zbliżać się do niego spokojnie i powoli, jakbyś myślał całkiem o czymś innym. I nie wolno ci robić niczego, co by zwierzaka przestraszyło. A po drugie, przez to twoje bieganie w kółko zabłądziłeś i ani rusz nie mogłeś trafić na koński szlak, który cię tu przyprowadził z miasta. Tylko zupełna barania głowa ugania się po nieznanej okolicy nie zostawiając śladów rozpoznawczych. Jakbyś był moim dzieckiem, spuściłbym ci takie lanie, że prędko byś go nie zapomniał.

Stary Jake prostuje się znów, ostrożnie i powoli. Idzie, krokiem wciąż trochę sztywnym, na niewielkie wzniesienie tuż obok. Chłopiec wstaje i biegnie za nim.

Stary Jake obraca się i wolna, bada oczami horyzont.

— Tak — powiada. — Wiedziałem, że zobaczą dym. — Pokazuje chłopcu. W odległości kilku mil, ponad równiną poprzecinaną krętymi arroyos i niskimi mesami o płaskich szczytach, pnie się na długi grzbiet wzgórza, maleńki, podobny do mrówki jeep. Zjeżdża w dół i znika z oczu, by w chwilę później znów się pojawić. Bierze kierunek możliwie najprostszy na wysoki słup dymu.

— No tak — powiada Stary Jake. — Niedługo może twój własny tata da ci baty, które ci się słusznie należą. — Wraca, z chłopcem drepcącym obok, w dół, do ogniska, i patrzy na nic krytycznym okiem. — Jakby im tak dłużej zeszło, dorzuć kilka świeżych gałęzi — powiada. — Mnie już czas w drogę.

— Ale... — wybucha chłopiec. — Przecież... przecież... czy nie...

— Słuchaj no, synku — mówi Stary Jake. — Ostatnia rzecz, na jaką mam chęć, to żeby mi tu trajkotała nad uchem banda głupawych facetów. — Dostrzega minę chłopca i zaczyna się cicho śmiać. — Jestem koniokrad, pamiętaj. Może mnie zechcą powiesić. — Poważnieje. — O ciebie mogę być spokojny, synku, a ty możesz być spokojny o mnie. Jakeś zabłądził, zrobiłeś takie wielkie koło, że z tego miejsca do mnie jest najwyżej trzy, cztery mile. Wrócę sobie bez żadnego trudu. — Teraz drapie się w brodę, myśli. — I jeszcze jedno. Opowiedz im historyjkę, jaką ci ślina przyniesie na

język. Niech będzie ciekawa. Tylko, żebyś nie mówił, kto cię znalazł. Powiedz im, że nie wiesz. A jak się domyślą, powiedz, że mam w domu nabitą strzelbę i nie lubię, jak mi się tu ktoś szwenda.

Odchodzi, ale zanim uszedł czterdzieści kroków, znowu coś się na niego rzuca z rozpędu. Jest to chłopiec, obejmuje go jedną ręką, a drugą podaje mu chustkę.

— To twoje — powiada. — Ja też nie jestem złodziej.

Stary Jake po raz drugi go od siebie odrywa.

— Zatrzymaj ją — mówi. — Mam w domu inną. — Nagle zmienia ton, mówi teraz ostro, surowo. — I wracaj mi zaraz do tego ogniska, bo jak nie, to chociaż nie jesteś moim dzieckiem, spuszczę ci lanie. — Odprowadza chłopca wzrokiem, gdy ten niechętnie, powłócząc obutymi nogami, idzie do ogniska. Odwraca się i odchodzi tak szybko, jak pozwalają mu na to stare nogi.

Wczesne popołudniowe słońce spogląda z uśmiechem na Starego Jake'a Hanlona, idącego drogą krokiem dość miarowym, ale powoli, bardzo powoli. Nie zauważa trudu, z jakim porusza się jego wychudła stara pierś, ani bólu w wyschłych starych mięśniach. Znowu łamie sobie nad czymś głowę. Wciąż ma przed oczami małego gniadosza o łabędziej szyi i daszkowatym zadzie, w czterech białych pończochach. Stopniowo zwalnia coraz bardziej. Staje. Uderza się dłonią po udzie.

— Ostatni Dolar! — powiada. — Jakim cudem wyleciał mi z pamięci? Jakby Petey był jeszcze na tej ziemi, to byśmy dopiero mieli frajdę!

Znowu rusza. Stare nogi w zniszczonych butach niosą go teraz brzegiem wyschłego arroyo, który po wielu skrętach i zawijasach doprowadzi go w pobliże rozpadającego się domu na rancho. Robią to same. Stary Jake jest myślami daleko, co najmniej o tysiąc mil stąd; idzie ulicą zatłoczonego, ruchliwego, jazgoczącego klaksonami Chicago.

Przyjechał tu pociągiem bydlęcym, posilając się w wagonie brekowego wraz i obsługą pociągu i sypiając tam między jednym a drugim obchodem pięciu wagonów wiozących bydło Potrójnego X. A w tych wagonach, uzbrojony w mocną tyczkę, dźgał i zmuszał do wstawania woły, które zwaliły się z nóg albo zostały przewrócone przy gwałtownym hamowaniu pociągu i z głupią rezygnacją właściwą tym zwierzętom mogły tak leżeć i czekać, aż je zadepczą na śmierć inne, tłoczące się w panicznym strachu. Nic zawiódł ufności pokładanej w nim przez Hardrocka Harpera. W całej długiej drodze stracił tylko jednego wołu, zresztą mamą sztukę, a i to zdołał go sprzedać miejscowemu rzeźnikowi na kiełbasy, kiedy pociąg zatrzymał się na małej stacyjce. Wpłacił pieniądze za sprzedane bydło, razem z tym, co uzyskał za mięso na kiełbasy, na rachunek Hardrocka Harpera w chicagowskim banku, zatrzymując sobie tylko swoją płacę za ostatnie cztery miesiące.

No więc idzie teraz ulicą Chicago i myśli sobie, że powinien wydać pieniądze trzymane w kieszeni na rozrywki wielkiego miasta, o których opowiada się barwne historie przy ognisku na dalekiej prerii, ale jednocześnie nie bardzo ma na to chęć, bo chyba nigdy w życiu nie czuł się tak samotny.

Wszędzie dokoła niego są ludzie, dużo ludzi, za dużo ludzi, wszyscy zajęci, wszyscy się spieszą, są pochłonięci własnymi sprawami. Przebiegają obok, jakby w ogóle nie istniał, a jeżeli go zauważają, to tylko, żeby parsknąć śmiechem na widok jego dziwacznego, znoszonego kowbojskiego odzienia. Nie drażnią go te ich śmiechy, bo człowiek zawsze może się odciąć z zachowaniem reguł gry i gdyby tylko był w humorze, bawiłby go ich widok — kobiety w bluzkach obszytych falbankami i niedorzecznych spódnicach pętających im nogi, z górą komicznych kwiatów i owoców na głowie, i mężczyźni w rurkowatych spodniach jak cybuch fajki, w prawie babskich pantofelkach, w wykrochmalonych kołnierzykach i śmiesznie małych melonikach na głowie.

Policjanci gwiżdżą przeraźliwie, ale ten ich jazgot niewiele się chyba przyczyna do zaprowadzenia ładu na zatłoczonej jezdni. Tramwaje dzwonią, klaksony ryczą, spaliny z dawnych, niezbyt sprawnych silników benzynowych, zanieczyszczają powietrze, a wszędzie dokoła biegają ludzie, którzy dla niego nie są ludźmi, tylko innym rodzajem pozbawionych twarzy maszyn w ludzkiej postaci. Nawet te nieliczne konie, które widzi, są mu obce — ogromne, ciężkie, otępiałe zwierzaki o potężnej budowie, owłosionych pęcinach, powolnym kroku, napinające mięśnie pod uprzężą, kiedy tak ciągną za sobą wozy załadowane wysoko beczkami piwa. Jest tu człowiekiem obcym, z innego świata, innych obyczajów, i czuje się osamotniony zagubiony. I nagle go dostrzega.

Stoi przy krawężniku między dyszlami lichego wozu na przekrzywionych kołach, pełnego najrozmaitszych rupieci. Stoi wpierając nogi mocno w ziemię, smutny i opuszczony, jakby przywalony ciężarem ostatecznego zniechęcenia. Jest wynędzniały, chudy i kościsty, żebra sterczą mu pod brudną skórą, poznaczoną bliznami częstych cięgów. Ale nie może być mowy o pomyłce. To mustang. Gniady mustang o daszkowatym zadzie i łabędziej szyi, w czterech białych pończochach, z białą gwiazdką na czole, ledwie widoczną pod zaschłym błotem i gęstwiną zmatowiałej grzywy.

Zbliża się do niego mamrocąc pod nosem:

— Gniady w czterech białych pończochach i z białą gwiazdką, dobrze, bardzo dobrze.

Staje tuż obok zwieszonego łba i koń porusza się nieznacznie, zerka na niego ostrożnie. Wyciąga rękę, żeby go podrapać za uchem, i natychmiast ją cofa, bo koń podrywa łeb i kłapie zębami Śmieje się cicho.

— Więc została ci jeszcze odrobina dawnego ducha — powiada. Nagle czuje się młodszy, wyższy, bardziej pogodzony ze światem. — Ach, ty nic nie warta kupko marnego końskiego mięsa — dodaje — spróbuj mnie chapnąć, a będę cię młócił od dziś do przyszłego Bożego Narodzenia. Obedrę cię z lej twojej nędznej, zżartej przez mok skóry, wygarbuję ją i zrobię wycieraczkę, a polem przez okrągły rok będę o nią co dzień wycierał nogi.

Koń ożywia się trochę, patrzy śmielej na człowieka. Jakakolwiek była jego przeszłość, poznał w niej gdzieś, kiedyś, ton i melodię tego rodzaju słów. Jake Hanlon wyciąga znów rękę i teraz łeb nie podrywa się, zęby nie klapią. Drapie konia między uszami i pod chropowatym paskiem ogłowia, a koń wydaje z siebie coś w rodzaju westchnienia, jak gdyby upłynęło dużo czasu, odkąd kłoś robił to po raz ostatni. Jake Hanlon przesuwa ręką po

pysku, zaciska palce u samej nasady i szczęki rozwierają się chętnie, koń pozwala mu zajrzeć do środka.

— Niech to diabli! — powiada Jake. — Tylko siedem, może osiem, a wyglądasz, jakbyś miał sto lat.

Cofa się trochę na dźwięk głosu.

— Jazda! Precz od tego konia!

Z pobliskiego budynku wyszedł mężczyzna i dorzucił rupieci na wóz. Wdrapał się na kozioł, w jednej ręce trzymając lejce, w drugiej długi bat. Mężczyzna szarpie lejcami i okłada konia batem. Koń dygoce przy każdym smagnięciu i wytęża wszystkie siły. Wóz rusza ze zgrzytem, ale koło zaczepia o krawężnik i wóz staje. Bat podnosi się, żeby znów uderzyć.

Jake Hanlon reaguje błyskawicznie. Jeden skok i jest przy mężczyźnie, chwyta go za pasek, szarpie i mężczyzna spada z kozła. Jake Hanlon rzuca się na niego, potrząsa nim, okłada pięściami, grzmoci o chodnik. Podbiegają dwaj policjanci, wymachują pałkami. Dźga jednego ramieniem, policjant zatacza się do tyłu. Pałka drugiego, mocna, sprężysta, wali go w głowę i nogi uginają się pod Jakiem Hanlonem; siedzi teraz na krawężniku, oszołomiony, głowa mu się chwieje.

Jeden policjant stoi nad nim z pałką podniesioną. Drugi wyjmuje mały notes i ołówek. Mężczyzna zdołał dźwignąć się na nogi i podnosi kapelusz.

Jake Hanlon otrząsa się z oszołomienia i też próbuje wstać, ale spostrzega podniesioną pałkę i zmienia zamiar.

— Hej tam — powiada. — Chcę kupić tego konia.

— Aaa — mówi mężczyzna. — To całkiem inna para kaloszy. — Odgania policjantów gestem ręki. — Nie wnoszę skargi Zwyczajna mała sprzeczka. — Zbliża się do Jake’a i nawet pomaga mu wstać. — Ile dajesz?

— Dwadzieścia dolarów.

— Coś ty powiedział? — woła mężczyzna. — Za takiego konia? Jest zdrowy jak ryba. Wart dla mnie dziesięć razy tyle.

Czas płynie, policjanci dawno już odeszli, a Jake Hanlon wciąż się targuje z mężczyzną, Wzdycha i znów patrzy na konia, na tego mustanga pokrytego bliznami, katowanego, głodzonego.

— Zgoda — powiada. — Niech będzie sto siedemnaście. Wyżyłowałeś mnie do ostatniego dolara.

Czas płynie i Jake Hanlon jest teraz w jednej z ostatnich w mieście stajni, odgarnia łopatą nawóz, a w boksie, chrupiąc dobry obrok, stoi mały, kościsty mustang, starannie wyczesany zgrzebłem, z wyraźnie widoczną białą gwiazdką na czole.

Czas płynie — mija jeden dzień, drugi, tydzień i Jake Hanlon wkłada popękane, stare wojskowe siodło, które pozszywał z kawałków znalezionych na strychu stajni, na gniadego mustanga o daszkowatym. zadzie i łabędziej szyi, o bokach teraz trochę wypełnionych, i zabiera się do założenia starej połatanej uzdy, co jest zadaniem niełatwym, bo ilekroć się zbliży, mustang zaczyna popychać go nosem i ocierać się o niego.

Rozmawia kilka chwil z właścicielem stajni, po czym wsuwa do kieszeni cienki plik banknotów. Wyprowadza konia na ulicę. Wskakuje na siodło, a koń robi, co może, żeby stać jak najspokojniej, z nogami wpartymi w bruk, i obraca łeb, żeby spojrzeć na niego, gdy tak siedzi wyprostowany, jak przystało mężczyźnie. Ruszają teraz ulicą obok dzwoniących tramwajów, pośród jazgotu klaksonów i przeraźliwego świstu gwizdków policyjnych, w

kierunku południowego zachodu, ku otwartym przestrzeniom Nowego Meksyku.

— Nie inaczej... tak, tak — powiada Stary Jake, uderzając się dłonią po udzie. — Wolnośmy jechali, bo on nie zaraz wrócił do sił. A furaż był kiepskawy. Ale daliśmy sobie radę, ja i Ostatni Dolar!

Późne popołudniowe słońce spogląda z uśmiechem na starego, bardzo starego człowieka siedzącego na spróchniałej kłodzie, który docenia teraz, jak nigdy w przeszłości, uspokajające, niezawodne ciepło promieni słonecznych. W odległości pół mili widać ruinę domu na rancho. Stary Jake musi chwilę odpocząć, zanim zmierzy się z tym ostatnim półmilowym odcinkiem drogi.

W prawym boku czuje szarpiący ból, w lewym udzie przykre strzykanie. Pociera udo lewą ręką i nawet przez grube płótno starych spodni wyczuwa palcami małe zagłębienia w skórze. Wsuwa dłoń za koszulę i nawet przez nierówny materiał połatanej bielizny wyczuwa w prawym boku długą bliznę.

— O mało co nie wyciągnąłem wtedy kopyt — powiada. — Niewiele brakowało.

Wyjmuje siarą cuchnącą fajkę i napełnia ją tytoniem ze starego lnianego kapciucha, z którego zawsze wysypuje się trochę tytoniu do kieszeni, choćby nie wiem jak próbował go zszywać i naprawiać. Pociera zapałkę i pociąga z fajki, dopóki nie uniesie się w powietrze zadowalający kłąb szarego, gryzącego dymu.

Siedzi na kłodzie spokojnie, nieruchomo, i ssie fajkę, a tymczasem jego stare myśli przedzierają się z trudem przez plątaninę wspomnień i dawnych lat. Nie jest już zgarbionym, wiekowym strachem na wróble, który siedzi na próchniejącej kłodzie, wychudłym i pomarszczonym pod zniszczoną, połataną odzieżą. Jest zahartowanym przez życie kowbojem w późniejszych latach męskich, ani Starym Jake'em, ani Młodym Jake’em, po prostu Jake’em, Jake’em Hanlonem. Tak, to on, z przerwami stały pracownik Potrójnego X, człowiek, który przez ostatnie pięć lat pełniłby funkcję nadzorcy u Hardrocka Harpera, gdyby nie był takim kochającym swobodę włóczykijem i łazęgą ze skłonnościami do rozmaitych wariackich wybryków, który od czasu do czasu znika na Bóg wie ile dni, nie pytając o pozwolenie i wędruje do dalekich miejsc, gdzie jeszcze kilka mustangów hasa na wolności. Siedzi wyprostowany na grzbiecie małego gniadego mustanga z czterema białymi pończochami i białą gwiazdką na czole, i jedzie równym truchtem przez dziką okolicę; jedzie tropami bandy koniokradów i skradzionych koni.

Trochę się martwi, że dosiada Ostatniego Dolara. Dobry koń, dobry, jeżeli się zważy, jak go traktowano w jego wczesnych latach. Lepszy od wielu pod względem chęci do pracy i zawsze gotów dać z siebie wszystko. Ale powolny. W tym pełnym blizn, skarłowaciałym ciele niewiele jest szybkości. I chód ma nie tak pewny, jak prawdziwy mustang mieć powinien. Wygasła w nim energia, żywotność, szybkość reakcji, stracił je przed laty między dyszlami często przeładowanego wozu w Chicago i zapewne w gorszych miejscach przedtem. Nie na takim koniu powinien

galopować na tę wyjątkowo szaleńczą wyprawę. Ale nie było innego w stajni.

Wrócił do Potrójnego X z Santa Fe, dokąd wysłał go Hardrock Harper po żelazo do cechowania bydła. Jechał część drogi rozklekotanym autobusem, część dyliżansem, a ostatnie dwie mile od głównej szosy przebył pieszo. Zastał rancho opustoszałe, wszyscy mężczyźni, nie wyłączając meksykańskiego kucharza, poszli na całodzienną długą robotę — mieli wyganiać bydło z gęstych zarośli południowego pastwiska. Już po kilku minutach stało się jasne, dlaczego przez ostatnie ćwierć mili dzielące go od zabudowań rancha podejrzewał, że dzieje się coś złego. Wybieg dla koni był pusty, brama szeroko otwarta. Tam, gdzie powinno stać najmniej dwadzieścia koni czekających na swoją kolej w pracy na rancho, zobaczył tylko plątaninę śladów, które rozchodziły się we wszystkich kierunkach.

Znacznie dłużej trwało odczytanie przebiegu zdarzenia. Przyjechało dwóch, może trzech mężczyzn na podkutych koniach, bo pozostawiły wyraźne ślady, w odróżnieniu od śladów nie podkutych koni miejscowych; zobaczyli, że im się nadarza okazja, wybrali siedem czy osiem najlepszych wierzchowców i wzięli je na linki, resztę wypuścili i pognali na nieużytki leżące na północ od rancha, a sami pogalopowali na zachód razem ze stadkiem skradzionych koni.

Stojąc w pobliżu wybiegu usłyszał znajome ciche rżenie, a gdy podniósł głowę, zobaczył zbliżającego się truchtem Ostatniego Dolara. Ostatni Dolar nie był zamknięty razem z innymi końmi na wybiegu, ponieważ nigdy go tam nie trzymano. Ostatni Dolar mógł się poruszać swobodnie po całym rancho, bo z własnej woli za nic nie oddaliłby się od zabudowań, w których Jake Hanlon wiesza swój kapelusz na kołku.

Jake'owi Hanlonowi wystarczyło kilka minut, żeby wpaść do domu, przypasać pistolet, porwać z kuchennej szalki strzelbę, wrzucić do kieszeni garść naboi, wybiec znowu i osiodłać Ostatniego Dolara.

Posuwali się naprzód dość szybko, niemłody kowboj skory do wariackich wybryków i uparty gniady mustang, zawsze gotowy dać wszystko, co miał w swoim pokrytym bliznami ciele — tyle tylko, że nie miał tak znowu dużo do dania. Jake Hanlon wiedział, że znowu porywa się na wariackie przedsięwzięcie rozpoczynając pościg w pojedynkę i na nieodpowiednim wierzchowcu, ale zawsze tak było, że kiedy wpadał w gniew — jak teraz przy otwartej bramie wybiegu — nie zastanawiał się nad konsekwencjami.

Posuwali się naprzód po śladach koni, podkutych i niepodkutych, i nagle inna myśl zaniepokoiła Jake’a. Zrozumiał, że jest podwójnym głupcem. Zapomniał, a raczej nie tyle zapomniał, ile nie pomyślał o tym, żeby zostawić na rancho wiadomość.

— Bzdura — powiedział sobie. — Kiedy wrócą wieczorem, odgadną to, co ja odgadłem, i rozjadą się na wszystkie strony.

Ochłonął już trochę i nie miał teraz specjalnej ochoty rozprawiać się z tymi koniokradami w pojedynkę, chyba że zmuszą go do tego okoliczności. Zresztą pewnie i tak ich nie dogoni, w każdym razie nie na grzbiecie Ostatniego Dolara, chociaż tamci z gromadą luzaków nie rozwiną dużej szybkości. Postanowił ich tropić i trzymać się możliwie blisko, tym bardziej

że jak tylko odjadą na dobrą odległość od Potrójnego X, będą próbowali zacierać ślady. Odczyta je, póki są świeże, i jak nadjadą ludzie z rancho, będzie na miejscu i poprowadzi ich we właściwym kierunku.

Posuwali się naprzód, Jake Hanlon na grzbiecie Ostatniego Dolara, i nagle Jake zdał sobie sprawę z nowej niepomyślnej okoliczności. Ślad prowadził prosto w góry, czyli teren niełatwy do tropienia, z wieloma krętymi, odosobnionymi kanionami prowadzącymi do głębokich załomów wysoko na skalnych stokach, a co więcej, Jake dostrzegł chmury burzowe gromadzące się po tej stronie pasma górskiego. Jeżeli z tych chmur spadnie ulewa, prawdziwa nawałnica, jak to się zdarza o tej porze roku, strumienie deszczu i rwąca woda zatrą wszystkie ślady — nie tylko te przed nim, ale również te za nim. Ściągnął wodze, stanął, zaczął się zastanawiać. Ostatni Dolar potrząsnął łbem, obejrzał się na niego.

— Co z tobą? — zdawał się pytać. — Czegośmy stanęli? Przecież mamy robotę.

— Bzdury — mruknął Jake. — Wpakowaliśmy się w to wariactwo. Brniemy dalej.

I Ostatni Dolar ruszył znowu najszybszym, miarowym kłusem, na jaki potrafił się zdobyć

Byli już w wyższych partiach podgórza, pozostawiwszy za sobą niebezpieczne i zdradliwe przeprawy przez wyschłe, kamieniste łożyska strumieni i zdążali w kierunku Kanionu Nieboszczyka, gdy Jake poczuł na twarzy pierwsze krople deszczu. Wkrótce mokli w potokach ulewy pędzonych przez wiatr z wielką siłą, więc stanęli i odwrócili się od smagających podmuchów. Zdawać się mogło, że niemal natychmiast woda zaczęła płynąć niezliczonymi małymi strugami wszędzie tam, gdzie jej dotąd nie było, a powolny, kręty strumień na dnie kanionu, tylko przez grzeczność zwany rzeką, zaczął szybko przybierać.

Minęło jeszcze kilka chwil i burza przewalająca się nad nimi odpłynęła nad stokami podgórza ku równinnym terenom poniżej. Jake widział ją, widział ją całą, ponurą ławicę chmur, mrocznych i złowróżbnych, lecz z promieniami słońca już błyskającymi na szczycie, a poniżej ukośne pasma deszczu przesuwały się nad równiną ku rancho, w odległości może dwudziestu mil.

— Potrzebny nam był deszcz — wymruczał Jake. — Dobry dla trawy. Ale nie mogę powiedzieć, żeby był taki znowu dobry dla mnie i Ostatniego Dolara.

Poruszył energicznie ciałem pod warstwą mokrego odzienia, żeby krew zaczęła szybciej krążyć, i puścił się w dalszą drogę.

Jechali teraz przez odświeżony, czysty świat, a późne popołudniowe słońce zapalało iskierki w kroplach deszczu na liściach drzew i krzaków przy drodze. Ślady zniknęły, pozostała wymyta, dziewicza gładkość mokrej ziemi, ale mieli przed sobą tylko jeden szlak — dnem pnącego się w górę kanionu. Ci przed nimi, raz puściwszy się tą drogą, nie mogli zawrócić i wyjechać bez jego wiedzy.

Posuwali się bardzo wolno jadąc zakosami przy bliższym brzegu, jedynym przejezdnym, nagle wskrzeszonej rzeki. Jake Hanlon wpatrywał się w kamienisty grunt szukając świeżych śladów wszędzie tam, gdzie złodzieje mogli je zostawić już po przejściu burzy, Był tym pochłonięty, zbyt pochłonięty, i kiedy usłyszał gdzieś przed sobą rżenie, zdążył tylko wyprostować się w siodle i pochwycić strzelbę zawieszoną na łęku, a już z kępy krzaków odległej o jakieś siedemdziesiąt pięć jardów posypały się kule.

Coś uderzyło go w prawy bok i przeszyło nagłym odrętwiającym bólem, i Jake Hanlon zachwiał się w siodle. Poderwał strzelbę i oddał jeden strzał w kierunku krzaków, zanim tamte strzelby znowu wypaliły. Nie tylko poczuł, ale i usłyszał kulę, która z głuchym odgłosem uderzyła go w lewe udo, i jednocześnie Ostatni Dolar stanął dęba, charcząc, i zwalił się na ziemię, a on, wysadzony z siodła, runął na duży głaz. Półprzytomny, niezdolny do najmniejszego ruchu, usłyszał — czy też zdawało mu się, że słyszy — męskie glosy i tętent koni oddalających się w górę kanionu. Ogarnęła go ciemność.

Oczy miał otwarte, ale nic nie widział. Powoli, stopniowo, wracała mu świadomość, wyostrzona przez ból, i rozumiał teraz, że leży na ziemi, z jednym ramieniem przyciśniętym do czegoś twardego. Cienie wieczoru wypełniały kanion, a wysoko nad nim pojedyncze lekkie chmury płynęły po głębokim błękicie niebios, różowozłote w ostatnich promieniach słońca osuwającego się za wierzchołki gór.

Spróbował się poruszyć, odrobinę, ale zaraz nowe prądy bólu rozdarły mu ciało i czuł pod mokrym od deszczu odzieniem krew sączącą się z prawego boku. Leżał teraz nieruchomo, coraz wyraźniej uświadamiając sobie straszliwe osamotnienie i beznadziejność sytuacji, więc zapragnął, żeby go znów ogarnęły miłosierne ciemności. Usłyszał gdzieś z lewej jakby ciche westchnienie, a gdy obrócił głowę, zobaczył nie dalej niż o piętnaście stóp Ostatniego Dolara, który ubłocony, z przekrzywionym siodłem stał cierpliwie, czekał, obserwował go. Jake Hanlon wiedział już teraz, że nie jest sam. Poczuł się silniejszy, mógł łatwiej sprostać sytuacji. Nie bacząc na ból i krew płynącą z rany, wyszarpnął ciało spomiędzy głazów i podźwignął się do pozycji siedzącej.

Jego lewa noga była bezużyteczna, prawa ręka właściwie też. Ostrożnie, powoli, cal za calem, wyswobodził ramiona i plecy ze skórzanej kamizelki Powoli ostrożnie, znowu cal za calem, zdołał się pozbyć spłowiałej i mokrej od krwi koszuli. Musiał zebrać wszystkie pozostałe mu siły, żeby przedrzeć ją na pół Jedną częścią owinął się w pasie, przykrywając poszarpaną dziurę w podkoszulku i otwartą, krwawiącą ranę pod spodem. Drugą owinął dokoła lewego uda, przykrywając nogawkę i pod nią dwie dziury, suchą, małą i przodu i postrzępioną z tyłu. Związał mocno końce szmaty, wsunął w węzeł mały patyk i okręcał go, póki materiał nie przywarł mocno do ciała.

Niewiele brakowało, a cały ten ogromny wysiłek znowu pozbawiłby go przytomności. Bał się położyć, odpoczywał siedząc, z głową zwieszoną nisko, bezwładnie. Cienie zgęstniały, Jake Hanlon ocknął się, podniósł głowę i cmoknął cicho na konia, który czekał na niego cierpliwie.

— Dolar, staruszku — usiłował powiedzieć, ale słowa wydobyły mu się z krtani ochrypłym szeptem. — Tu. Do mnie.

Ostatni Dolar zarżał cichutko na dźwięk jego głosu i przysunął się bliżej, a wtedy on przewalił się na bok, z ramieniem wyciągniętym, i zamknął lewą dłoń na zwisającej wodzy.

Trzymając mocno wodze, podciągnął się znów do pozycji siedzącej. Teraz szarpał wodze, dopóki Ostatni Dolar nie ustawił się do niego bokiem. Wciąż uczepiony wodzy, sięgnął ręką do bliższego strzemienia i zawisnąwszy na nim całym ciężarem przesunął siodło na grzbiecie konia na właściwe miejsce, Uchwycił znowu strzemię, żeby się podciągnąć i wstać, ale nie zdołał oderwać prawego kolana od ziemi i klęczał teraz, z twarzą przy rzemykach strzemienia. Wyciągnął rękę i sięgnął do łęku. Próbował podźwignąć się na nogi, ale nie mógł.

Przez długą chwilę trwał w bezruchu, z twarzą przyciśniętą do zniszczonej, nasiąkłej potem skóry.

— Przepraszam... stary — wyszeptał. — Nie... dam... rady. Teraz wszystko... zależy... od ciebie.

Nieporadnymi palcami lewej ręki gmerał przy popręgu, dopóki luźny koniec rzemiennego paska nie wysunął się ze sprzączki. Szarpnął siodło i runął na ziemię razem z siodłem i derką. Po chwili znowu się dźwignął i szarpiąc palcami sprzączkę jednej z dwóch toreb zdołał ją wreszcie otworzyć. Wyjął prawie pusty funtowy woreczek soli wytrząsnął na ziemię resztę zawartości. Rozpostarł woreczek płasko na siodle i wyjął ogryzek ołówka z kieszeni leżącej tuż obok kamizelki. Niewiele widział w gęstniejącym mroku, kiedy pochylony zmuszał prawą dłoń do stawiania liter na płótnie woreczka.

ciężko ranny w kan nieboszczyka oni poszli kotlina łosia

Z najwyższym trudem sięgnął po nóż i zębami wyszarpał większe z dwóch ostrzy. Cmokał pieszczotliwie, póki Ostatni Dolar nie opuścił łba, a wtedy mozoląc się przez kilka długich chwil oderżnął wodze tuż obok wędzidła. Zrobił dziurę w woreczku po soli i przeciągnął przez nią oderżnięte wodze. Po kilku nieudanych próbach zdołał przerzucić skórzany pasek przez kark Ostatniego Dolara, tuż poniżej łba, i związał oba końce. Resztka sił uchodziła już z niego, ale walczył rozpaczliwie ze sprzączką na pasku ogłowia i w końcu zdołał ją odpiąć Chwycił uzdę i ściągnął ją padając jednocześnie na plecy. Ostatni Dolar stał bez uprzęży, tylko z kawałkiem skórzanego paska związanego na szyi i przyczepioną do niego zbrudzoną białą szmatką.

— Ruszaj... stary... rancho... dom... gdzie dostajesz... obrok.

Ostatni Dolar odszedł na odległość dziesięciu kroków, dwudziestu. Stanął i obejrzał się.

— W drogę... ruszaj... przecież mnie... słyszysz.

Ostatni Dolar znikał powoli w coraz głębszym mroku, oddalający się, niewyraźny kształt, a Jake'owi Hanlonowi głowa opadła na ziemię i leżał teraz bezwładny i słaby. Chłód nocy spływał z wyższych partii gór. Zmusiwszy się znów do wykonania ruchu, sięgnął po kamizelkę i położył ją sobie na piersiach, sięgnął po derkę i też się nią przykrył. Leżał nieruchomo, walczył bólem; po jakimś czasie ból osłabł trochę, więc leżał

dalej bez ruchu, spoglądając w górę na pierwsze gwiazdy wyłaniające się z głębokiego, poszarzałego błękitu i nagle miłosierna czerń, która nie była czernią nocy, zamknęła go znów w swych objęciach.

Cztery razy w ciągu nocy odzyskiwał przytomność, budził się z wymazaną z pamięci historią ostatnich godzin, świadomy najpierw suchości w gardle i piekącego pragnienia, i rzucał się usiłując wstać, ale zaraz padał, nieruchomiał wyczerpany, z przywróconą świadomością sytuacji. Leżał tak snując ponure myśli i po jakimś czasie zapadł w senne odrętwienie. A potem złota różowość słońca południowego zachodu rozjarzyła się na szczytach gór i spłynęła po stromych zboczach, dotarła do samych głębi kanionu. Błogosławione ciepło odnalazło go i skąpało w swych promieniach.

Poruszył się i spojrzał prosto w niebo. Był znowu sobą, zesztywniały, ranny, poobijany i słaby z utraty krwi, ale myśli miał jasne i mogłoby się zdawać, że jest uwolniony od swego ciała, że może spoglądać na nie i na jego los ze spokojną obojętnością. Zaczął obliczać. Nie da rady ani iść, ani czołgać się. Musi czekać, aż nadejdzie pomoc. Powiedzmy, że do domu na rancho jest dwadzieścia pięć mil. Ostatni Dolar, nawet jeżeli będzie się wlókł krok za krokiem, powinien przebyć tę odległość w siedem, najwyżej osiem godzin. Jeżeli poszedł w tamtym kierunku. Nie. Tej myśli nie wolno mu do siebie dopuszczać Powiedzmy, że ktoś z rancho, a raczej kilku ludzi jadących ostro, dotrze do kanionu w ciągu czterech godzin. Ach, przecież oni już mogą być w drodze.

Nagle przypomniał sobie o pistolecie. Jego strzelba była gdzieś poza zasięgiem ręki, odrzucona, kiedy runął z siodła. Ale stary colt 44 leżał tylko kilka stóp od niego, tam gdzie wypadł z kabury podczas jego wczorajszej nocnej szamotaniny. Jest w nim pięć kul. Siedem dalszych wymacał ręką w pasie z nabojami. Razem dwanaście, Dwa strzały co pół godziny dadzą sześć sygnałów. Ale lepiej poczekać z pierwszym.

Czekanie było niemal ponad jego siły. Kiedy leżał zupełnie spokojnie, bóle przenikające mu ciało słabły i przechodziły w tępe ćmienie. Prawie każdy nich je ożywiał, muchy dokuczały nieznośnie, a impuls, żeby je odpędzać, był trudny do powstrzymania.

Nagle podniósł lewą rękę z rewolwerem, wparł łokieć w ziemię i wystrzelił raz, drugi raz, jeden strzał po drugim. Głupiec. Powinny być oddzielone co najmniej półminutową przerwą. Przysiągł sobie, że będzie teraz czekać pół godziny. W dziesięć minut później, pewien, że upłynęło więcej niż trzydzieści minut, wypalił znowu.

Czas płynął. Jake Hanlon przesuwał ciało powoli, stopniowo, i teraz głowę i plecy miał oparte o siodło i mógł patrzeć w stronę gardzieli kanionu. Dwa ostatnie naboje były w rewolwerze. Próbował liczyć i w ten sposób odmierzać minuty, ale brakło mu cierpliwości Zdawało mu się, że odczekał wieczność, choć może było to zaledwie dziesięć minut, i podniósłszy rękę z rewolwerem nacisnął spust konwulsyjnie, raz po razie. Dwa strzały, a potem iglica uderzyła z brzękiem w puste łuski Odrzucił rewolwer, przyglądał mu się, kiedy spadał na ziemię w odległości może piętnastu stóp.

Leżał bez ruchu, z głową opartą o siodło, wpatrując się w rewolwer i dopiero wtedy spostrzegł — w miejscu, na które spadł colt, na którym stał Ostatni Dolar, cierpliwy, czekający, przyglądający mu się — ogromną ciemną plamę.

Jemu też... dostała się... kula.

W nagłym błysku przypomniał sobie ruchy Ostatniego Dolara, na które nie zwrócił uwagi w mroku wczorajszej nocy, bo myślał wyłącznie o własnym strasznym położeniu. Większa niż zwykle powolność i przenoszenie ciężaru ciała na prawą nogę. Nagłe, nieopanowane ruchy, kiedy mozolił się nad ściągnięciem z niego siodła. Oczyma wyobraźni zobaczył tak jasno, tak wyraźnie, jak nie widział chyba niczego w życiu, poszarpane kulą, wykrwawione zwłoki małego gniadego mustanga, o łbie pełnym blizn po razach bata, leżące nieruchomo gdzieś w niższych partiach kanionu — i gromadzące się nad nim sępy

— Oni tu... nigdy... nie przyjdą... Nie będą wiedzieli... gdzie... szukać

I nagle ogarnęła go fala gniewu, gniewu na siebie i na swój bezmyślny uczynek; na krzywdę, którą wyrządził sobie i pełnemu dobrych chęci gniademu mustangowi, który dawał z siebie wszystko.

— Przynajmniej... ruszył w drogę... próbował... Ja też mogę.

Czołgał się na brzuchu, odpychał prawą nogą, podciągał lewą ręką, sunął ku gardzieli kanionu jak kaleka gąsienica, gdy nagle znów spłynęła na niego ciemność i w ostatnim wysiłku przewrócił się na plecy.

Usiłował się podnieść, gdy dotarły do niego dźwięki, wydobył się z mroku na krótką chwilę rozjarzoną cudownym blaskiem słońca i zobaczył nad sobą spotniałe, swojskie, zatroskane twarze Peteya Corle’a i Ansela Raka.

— Ale z ciebie tępy, jełopowaty, uparty, niedorozwinięty, głupi i niewydarzony syn dzikiego osła — powiedział Petey Corle.

Leżał w łóżku Hardrocka Harpera, w jego własnym pokoju. Minęło już wiele godzin, odkąd doktor się z nim uporał — obejrzał go, oczyścił, rany, załatał je, pozszywał, zabandażował. Nakarmiono go dobrym, mocnym rosołem. Przespał resztę tego popołudnia, przespał całą noc i teraz widział przez otwarte okno nowy poranek, słoneczny i przyjazny. Zobaczył też Peteya Corle’a, który zbliżał się do jego łóżka.

— No i dał radę — rzekł Jake Hanlon.

— Ostatni Dolar? — spytał Peter Corle. — Och, jasne. Ma się rozumieć. Dał radę. Tylko... hm... rozumiesz... Niech to diabli, Jake, mocno musieliśmy wysilać mózgownice, zanimśmy odczytali te twoje bazgrały.

— Przyprowadź go, Petey.

— Posłuchaj — ciągnął Petey. — Wyglądały tak, jakby para karaluchów z ubłoconymi nogami przechadzała się po tej szmacie tam i z powrotem.

— Przyprowadź go — powtórzył Jake. — Weź i przyprowadź. Tu pod okno.

— Mamy czas — przekonywał go Petey. — Po co się tak śpieszyć. Nie jesteś jeszcze w najlepszej formie. Ale może cię zainteresuje, że szef i cała reszta też się kopnęli za nimi. Przyszło im do głowy, że jeżeli ta banda

koniokradów wali prosto na Kotlinę Łosia, jakeś ty to nabazgrolił, muszą zjechać w dół po tamtej stronie gór, najpewniej Kanionem Pacheco. I tak było. Wstąpili po szeryfa i kilku jego pomocników, podjechali ciężarówką i przyłapali drani, jak schodzili w dół. Konie też mają...

— Do diabla z tym — przerwa! mu Jake. — Ostatni Dolar. Chcę go zobaczyć.

— Jak chcesz wiedzieć, będziesz wiedział — rzekł Petey. — Już po nim. Nie żył, jakeśmy go znaleźli. Na drodze między wybiegiem a domem. Jak chcesz wiedzieć, to ci powiem. Kiedyśmy, Ansel i ja, jechali z rancho po ciebie, widzieliśmy co najmniej sześć takich miejsc, gdzie padał, podnosił się jakoś na nogi i dalej.

Leżał na łóżku Hardrocka Harpera i spoglądał przez okno na rozlegle przestrzenie surowej, twardej ziemi i cały czas nurtowało go wspomnienie czegoś, co słyszał dawno, dawno temu. Tak. Czegoś o Danielu Websterze, wielkim człowieku — wielkim nie wzrostem, ale wszystkim, co stanowi o prawdziwej wielkości człowieka. Najwybitniejszy człowiek swoich czasów, który w dodatku znał się na koniach. Hodował na swojej pięknej farmie w Marshfield w stanie Massachusetts dzielne konie rasy Morgan, o długim tułowiu i płynnym kroku, które ciągnęły jego powóz rytmicznym, rączym kłusem po najgorszych nawet drogach. Kiedy któryś z jego ulubieńców padał, był chowany z podkowami i na stojąco.

Zaczął stukać miską, z której jadł rosół, w ramę łóżka. Przybiegł kucharz i Jake rzucił mu kilka szybkich, stanowczych słów. Kucharz przyniósł mu z biurka w sąsiednim pokoju mały brązowy notes Hardrocka Harpera. Jake Hanlon przewracał strony, aż znalazł swoje nazwisko i pod nim wypisane ołówkiem cyfry. Przyjrzał się im, wykonał proste zadanie arytmetyczne.

— Odłóż to — powiedział — i przyślij mi tu Peteya.

— Byliśmy szybsi od ciebie — rzekł Petey Corle. — Pomyśleliśmy, że pewnie byś nie chciał, żeby się do niego dobrały kojoty i sępy. Dopiero co przywieźliśmy go wozem. Pewnie chcesz, żeby go zakopać.

— Jakbyś wiedział, że chcę go zakopać — rzucił Jake Hanlon. — I zrobicie to po mojemu. Zakopiecie go na stojąco. Żeby stał, jakby był żywy i miał zaraz ruszyć w drogę. Macie zrobić to...

— Wolnego! — zawołał Petey. — Dość się narobimy, żeby go położyć stopę czy dwie pod ziemią, może z kilkoma kamieniami na wierzchu dla większego bezpieczeństwa. Wiesz, jaki tu cholerny grunt, im głębiej, tym twardsza ziemia. Słuchaj, człowieku, wykopanie takiej dziury, jakąś sobie umyślił, to cholerna robota.

— Nie ma takiej roboty, której ten koń nie jest wart.

— Posłuchaj, stary — zaczął Petey Corle. — Leżysz tu i pewnie masz gorączkę i robisz z igły widły. Miałeś nieliche szczęście, że zrobił to, co zrobił, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. Prawie każdy koń wróci tam, gdzie mu dają regularnie obrok.

— Z dziurą od kuli i taki słaby, że co chwilę pada?

— Zawracanie głowy! — żachnął się Petey Corle. — Zwyczajnie próbował dowlec się do rancho, bo dobrze wiedział, że ludzie się nim zajmą.

— Nie — rzekł Jake Hanlon. — Wiem, co wiem i nikt mi nie powie, że jest inaczej. Zrobił to dla mnie. Odpłacał mi za to, co ja kiedyś zrobiłem dla niego. Nic mnie nie obchodzi, ile z tym będzie roboty. W książce są zapisane pięćdziesiąt trzy dolary na moje nazwisko, Dostaniesz wszystko, jak zrobisz to po mojemu.

W słonecznym i przyjaznym cieple następnego poranka Jake Hanlon leżał na polowym łóżku tuż za wybiegiem dla koni i przyglądał się tamtym, jak z pomocą sznurów, przywiązanych do dwóch solidnych belek przerzuconych przez głęboki dół, spuszczali Ostatniego Dolara do jego ostatniego schronienia. Dwaj ludzie naprężali mocno sznury, żeby go utrzymać w pozycji stojącej, a tymczasem inni zgarniali łopatami do grobu czystą, sypką glinę Południowego Zachodu i ubijali ją, dopóki nogi i część tułowia nie były mocno osadzone w ziemi, a wtedy wyciągnięto sznury i zdjęto belki. Petey Corle zeskoczył i podtrzymywał biedny łeb, pokryty bliznami po razach bata, póki nie narosło wokół niego i unieruchomiło go dość ziemi. Petey Corle wyszedł z dołu, gdzie ziemi wciąż przybywało, aż poziom się wyrównał i wyrósł prostokątny kopczyk, który zniknie i stopi się niezauważalnie z resztą krajobrazu pod działaniem wichru i palących promieni słońca starego Nowego Meksyku.

— Tak jest dobrze — rzekł Jake Hanlon. — Tak chcę zawsze o nim myśleć. Ze stoi i patrzy prosto przed siebie.

IV

Stary Jake Hanlon leży na łóżku polowym w jedynym pokoju zrujnowanego domu na rancho, gdzie przez sufit nie prześwieca niebo. Tłumaczy sobie, że naprawdę nie śpi. Przed kilku minutami obudził się z głębokiego snu i zapadł w dziwaczny stan pół-snu, pół-marzenia sennego, tylko częściowo uświadamiając sobie, że powinien być rozbudzony, chociaż nie był całkiem pewny, że zbudzi się jeszcze kiedykolwiek. Leży nieruchomo, ale jego oczy poruszają się, wzrok wędruje po dobrze znanych poczerniałych belkach sufitu i Jake Hanlon wie już teraz, że dożył następnego ranka.

Obraca głowę i widzi, że plama słońca padającego przez pozbawioną okna framugę okienną nie połyskuje na zachodniej ścianie nad jego łóżkiem. Ześliznęła się po nim, zsunęła na podłogę. Umknęły mu godziny poranka. Zaspał i stracił te kilka godzin.

Podnosi rękę, żeby odrzucić koc i orientuje się, że nie jest przykryty kocem. Przerzuca cienkie stare nogi przez krawędź łóżka i kiedy słyszy stukot podkutych butów, zdaje sobie sprawę, że jest od stóp do głów ubrany. Prawie od stóp, do głów, Bo nie ma na głowie kapelusza. Kapelusz leży na podłodze.

Czas mu się dziwnie pomieszał, następstwo zdarzeń tworzy chaos w mózgu. Zdobywa się na świadomy wysiłek uporządkowania faktów, skupienia się na chwili obecnej i powiązania jej z tym, co się zdarzyło wcześniej. Tak. Teraz pamięta. Wczorajszy dzień był bardzo męczący. Och,

bardzo męczący dla niego, w jego wieku, bo trząsł się przez dobre kilka godzin w za małym siodle, a potem miał jeszcze szmat drogi do domu. Wrócił na rancho zmordowany i położył się, żeby chwilę odpocząć, zanim przygotuje kolację — i oto znowu jest rano. Późny ranek. Czas wstawania dla wielu ludzi w mieście, ale dla niego późny ranek.

Przynajmniej oszczędzi sobie trudu ubierania się. Wystarczy, że sięgnie do kapelusza, podniesie go i włoży na głowę. To dobrze. Tego szczególnego ranka nie bardzo czuje się na siłach do podjęcia którejkolwiek z porannych czynności, chociażby przyniesienia wiadra z wodą. Prawdę mówiąc, nie postawił wiadra pod strużką, która ciebie ze źródła. Stoi sobie na podłodze — zapomniane i oskarżające — obok koślawego stołu. To też dobrze. Nie będzie musiał go przynosić. Pewnie zostało dość wody na poranną kawę. Już powinien się wziąć do robienia kawy. Należy mu się dobre śniadanie, bo wczoraj nie jadł kolacji.

Siedzi na łóżku i przygląda się plamie słonecznej na podłodze. Przecinają ją dwie pręgi cienia rzucanego przez dwa kawałki drewna, którymi kilka dni temu zaklinował ramę okienną, bo przegniła u góry i zaczęła się rozpadać.

Dlaczego ta plama słoneczna zdaje się do niego przemawiać, przypominać mu o czymś, co dotyczy jego? Jasna rzecz. Każe mu wygrzebać z pamięci coś, co zdarzyło się niecałe dwa miesiące temu, na początku tego lata.

No więc siedzi wpatrzony w złocistą plamę przeciętą pręgami cienia i nie jest już Starym Jake'em Hanlonem siedzącym na polowym łóżku w zrujnowanym wiejskim domu. Owszem, jest Starym Jake’em Hanlonem, ale siedzi na twardym cienkim materacu, pod którym jest twarda deska pryczy, w małym i prawie pustym pomieszczeniu solidnego kamiennego budynku i te pręgi są cieniem żelaznych krat w oknie po lewej stronie.

Podnosi głowę. W pozbawionym drzwi otworze naprzeciwko niego są teraz drzwi, a raczej krata z żelaznych prętów, a za drzwiami słoi mężczyzna i patrzy na niego, mężczyzna w średnim wieku, trochę przygarbiony, z blaszaną gwiazdą przypiętą do koszuli.

— Tym razem za coś mnie kazał wsadzić do ciupy? — pyta Stary Jake. — Nic nie zrobiłem.

— Nie chodzi o to, coś zrobił — odpowiada mężczyzna. Mówi niespiesznie, cierpliwie, przyjaźnie. — Chodzi o to, co byś mógł zrobić.

— A kogo to obchodzi, że wczoraj wieczorem zgrałem się u Fogarty’ego do suchej nitki? — irytuje się Stary Jake. — Zaraz na miejscu zrobiłem awanturę i więcej robić nie będę. Nie jestem włóczęgą. Ani złodziejem kieszonkowym. Nie będę oskubywał pijaków na ulicy. Hank Harper dość mi daje. Wiesz o tym.

— Wiem o tym — odpowiada mężczyzna. — Ale wiem też wiele innych rzeczy. Ktoś od czasu do czasu musi wlać trochę oleju do tego twojego upartego łba. Pierwszy raz miałem cię tutaj pięć lat temu. Pamiętasz, za co?

— Pewnie, że pamiętam — mówi Stary Jake. — Wziąłem się do ciężarówki Joego Simpsona i odwaliłem kawał ładnej roboty. Młotem kowalskim.

— To jedna z tych rzeczy, które miałem na myśli — przytakuje mężczyzna.

— Niech to diabli! — wybucha Stary Jake. — Należało mu się. Gonił ... tą ciężarówką za ostatnimi mustangami, co jeszcze zostały na prerii. Ścigał je, aż ledwie mogły stać na nogach, a wtedy je pętał i przywiązywał do kilku ciężkich starych opon, żeby nie uciekły, i tak je zostawiał przez dwa dni albo dłużej, zanim miał czas po nie przyjechać. Jakby był młodszy, jemu też bym przyłożył.

— To był twój punkt widzenia — mówi mężczyzna. — Sąd zapatrywał się na to całkiem inaczej. Następnym razem miałem cię tu trzy lata temu. Może pa...

— Pewnie, że pamiętam - przerywa mu Stary Jake. — Poczęstowałem dynamitem samolot Hala Freese'a. Latał tym paskudztwem, wypatrywał mustangi na dnie kanionów i przepędzał je na równinę, a tam czekało już dwóch łotrów spod ciemnej gwiazdy, takich, co to za dolara zrobią każde draństwo. Mieli ciężarówkę, do której w żaden sposób nie mogłem się dobrać, i uganiali się za tymi, nieszczęsnymi zwierzakami, póki nie uszła z nich prawie cała siłą. Wtedy je pętali, obwiązywali im chrapy cienkim drutem, tak że ledwie mogły dychać i chybaby padły przy najmniejszym ruchu. Potem Hal Freese przesiadał się do tej ciężarówki, ładował złapane konie za pomocą kołowrotu i odwoził je... sam wiesz gdzie. Należało mu się. Podwójnie.

— Może — odpowiada mężczyzna. — Ale tym razem sąd też się na to inaczej zapatrywał. Harper znowu musiał złożyć za ciebie kaucję. Któregoś pięknego dnia będzie miał dość tego wykupywania ciebie z mamra. I coś się zrobił taki piekielnie wrażliwy na punkcie chwytania mustangów? Kiedyś sam je łapałeś. Ty i rozmaici twoi kumple z dawnych czasów.

— A pewnie, żeśmy je łapali — przytakuje Stary Jake. — Ale robiliśmy to po ludzku i uczciwie. Dawaliśmy im szanse, bośmy je gonili na koniach, a nie na tych przeklętych maszynach. A jakeśmy je schwytali, traktowaliśmy je przyzwoicie. W każdym razie większość z nas. Były naszymi towarzyszami. Zmuszaliśmy je do pracy, to prawda, ale nie pracowały ciężej od nas. A jakeśmy je sprzedawali, to tylko ludziom, którym były naprawdę potrzebne. Nie sprzedawaliśmy ich do jakiegoś...

— Tak, tak — przerywa mężczyzna. Nie mówi już tak spokojnie, tak cierpliwie, ale wciąż jego głos jest przyjazny. — Tak. Wiem. Tylko że czasy się zmieniły i każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, powinien się zmienić razem z nimi. W zeszłym roku miałem cię tutaj dwa razy i za każdym razem pod tym samym zarzutem. Kradzież koni.

— A jakże — przyznaje Stary Jake. — Oba razy całkiem nieźle się sprawiłem. I chętnie zrobiłbym to znowu.

— Teraz widzisz, co miałem na myśli! — wybucha mężczyzna. — Chętnie zrobiłbyś to znowu, Dlatego trzymam cię pod kluczem do jutrzejszego popołudnia. Dla twojego dobra. Zresztą jesteś za stary na takie głupie psie sztuczki. Znowu chodzi o Simpsona. Przysięga, że jak będziesz czegoś próbował, podziurawi cię kulami. Ma dzisiaj przywieźć załadowaną ciężarówkę. Przechwala się, że wyłapał wszystkie, których nie złowił Domingo. Jutro odwiezie cały ładunek do Albuquerque. A ty posiedzisz tutaj, dopóki mustangi nie wyjadą z miasta.

Stary Jake prostuje się na pryczy.

— Gdzie je będzie trzymał? Na wybiegu Martineza?

— Daj spokój — powiada mężczyzna. — Nigdzie się stąd nie ruszysz. Wyjdziesz stąd, jak ich już nie będzie. Jakbyś czegoś potrzebował dla zabicia czasu, wystarczy zawołać. Zawsze jest ktoś na służbie. — Mężczyzna odwraca się i znika z pola widzenia.

Stary Jake wpatruje się w drzwi, które zmieniają się znowu w pozbawioną drzwi framugę w ścianie zrujnowanego domu na rancho, ale siedzi teraz na polowym łóżku wyprostowany i czuje się lepiej, znacznie lepiej. Ma ochotę przygotować sobie solidne śniadanie i wpakować je do swojego starego, zapadniętego brzucha. Sięga po kapelusz i wkłada go zawadiacko na głowę. Wstaje z trudem i podchodzi do wiadra.

— Ten osioł szeryf wyobrażał sobie, że mnie zamknął na cztery spusty — powiada. — Ale mu pokazałem.

Plama słoneczna, na którą cień kładł się dwiema wąskimi pręgami, przesunęła się na środek podłogi, węższa teraz, bo inny był kąt promieni słońca wspinającego się po niebie. Stary Jake skończył późne śniadanie i prawie już skończył po nim zmywać, co się dobrze składało, bo kończył się też jego nagły przypływ energii. W rezultacie nie zjadł tak dużo. I jest zmęczony, bardzo zmęczony. Nie jest to zmęczenie pracą, tak dobrze mu znane, jest to znużenie długimi latami życia i ono podcina jego siły.

— Niech to diabli! — mamrocze. — Teraz to bym tylko spał. Mogę uciąć sobie drzemkę, ale to nie zapełni dnia. Po południu trzeba będzie wstać i zabrać się do roboty.

Kładzie się na polowym łóżku i kiedy przechyla głowę do tylu, kapelusz zsuwa się, obraca raz wokół ronda i z cichym klapnięciem spada na podłogę. Stary Jake wierci się, dopóki nie ułoży we względnie wygodnej pozycji. Leży bez ruchu, wpatrzony w zawiły wzór słoi i sęków starych desek pomiędzy sczerniałymi klocami, które służą za belki powały.

Dziwne, ale jak się tylko położył, senność go opuściła. Sen już nigdy nie będzie lekarstwem na tego rodzaju zmęczenie. Tylko w jego starym mózgu żywotność utrzymuje się z uporem dawnych lat.

Stopniowo deski i belki nad głową znikają sprzed starych oczu. Już ich nie widzi. Zamiast nich widzi szary otynkowany sufit z kilkoma pęknięciami żłobiącymi cieniutkie linie w tynku. Jest znowu w wąskim, prawie pustym pomieszczeniu z okratowanym oknem, w budynku o grubych ścianach z cegły. Leży na twardym, cienkim materacu na drewnianej pryczy i jego stara, wychudła twarz marszczy się w lekkim uśmiechu

— Ratunku! Ratunku! — wrzeszczał Stary Jake Hanlon rzucając się na wąskim łóżku. — Prędzej! Ale mnie wzięło!

— Co się tu dzieje? — zawołał zastępca szeryfa. Podbiegł do zakratowanych drzwi i zajrzał do środka.

— Jestem chory! — wrzeszczał Stary Jake zginając się we dwoje w niewątpliwym ataku potwornego bólu. — Bardzo chory! Coś z moimi bebechami! Sprowadź doktora Horna!

— Może zjadłeś coś, co ci zaszkodziło? — powiedział zastępca szeryfa.

— Uuu! — wrzeszczał przeraźliwie Stary Jake, znowu wijąc się i zginając we dwoje. — Już tego nie wytrzymam! Ten ból mnie zabije! Zawołaj doktora! Chcesz, żebym ci tu zdechł?

— Za bardzo bym się tym nie przejął — warknął zastępca szeryfa. — Ale zgoda. Zawołam.

— Łapie mnie o tu... w dole — powiedział Siary Jake chwytając się za podbrzusze. — Jakby mi ktoś przesuwał w środku rozżarzone żelazo do piętnowania.

— Hmm... hm... — mruknął doktor Horn zwracając się do zastępcy szeryfa. — Łatałem i zszywałem ten stary wrak tyle razy, że powinienem znać każdy cal jego anatomii, od zewnątrz i od wewnątrz. Tak mi się przynajmniej zdawało. Przysiągłbym, że w środku nie ma nic oprócz zniszczonej chrząstki i zardzewiałego starego żelastwa. Ale to może być wyrostek robaczkowy. Muszę go poobserwować. Kto wie, czy nie będzie potrzebna nagła operacja.

Leżał na wykrochmalonym białym prześcieradle łóżka na kółkach w gabinecie doktora Horna, tylko w połatanej bieliźnie i skarpetkach, z termometrem wetkniętym w usta. Doktor Horn pochylał się nad nim, ostrożnie naciskając rozmaite miejsca podbrzusza.

— Uuuu! — jęknął Stary Jake przytrzymując termometr zębami. — Tu boli. Dokładnie w tym miejscu.

— Hmm... hmm — zamruczał doktor Horn. — Jeżeli to jest twoja ślepa kiszka, to jakoś się dziwnie przesunęła.

Gdzieś w głębi domu odezwał się telefon i stare oczy Jake'a rozbłysły żywym światłem. Obserwował doktora, kiedy ten szedł do drzwi gabinetu, otwierał je, przechodził próg i zamykał drzwi za sobą. Natychmiast wypluł termometr, usiadł i spuścił cienkie nogi na podłogę. W szaleńczym pośpiechu włożył koszulę nie tracąc czasu na zapinanie guzików, wsunął nogi w spodnie, podciągnął je i zapiął klamrę paska, nie tracąc czasu na rozporek. Podszedł spiesznie do jedynego w pokoju okna, szarpnął je i otworzył. Schylił się, pował i podłogi buty i wyrzucił je za okno. Trochę pojękując, ale uśmiechając się pod nosem, wspiął się, przelazł przez parapet i zeskoczył na bruk wąskiej alejki za domem. Schwycił buty, pobiegł kawałek alejką, tak szybko, jak mu pozwalały na to stare nogi, a potem przerzucił buty przez ogrodzenie z suszonej cegły, sięgające mu piersi, podciągnął się na rękach i zeskoczył w ślad za butami na drugą stronę ogrodzenia.

— Nie — odparł mężczyzna stojący w szerokich drzwiach stajni wynajmującej konie. — Nie widziałem go na oczy. Pytałeś w pensjonacie?

— Jasne — powiedział szeryf Montoya. — Pierwsza rzecz, tam poszedłem. Pani Wilson mówi, że go nie widziała, odkąd jadł rano śniadanie.

— Hmm — mruknął mężczyzna. — Jeżeli się zadekował, to najpewniej na rancho Harpera.

— Właśnie stamtąd wracam — powiedział szeryf Montoya. — Przeszukałem cały dom, a Harper łaził za mną i tylko się śmiał. Niech mnie drzwi ścisną, jeżeli on nie jest dumny z tego starucha i jego małpich sztuczek.

— W ostatnich czasach takie nastawienie jest ludziom nie w smak — przyznał właściciel stajni. — Ale jestem człowiekiem na tyle starej daty, że sam się do tego skłaniam. Kiedy byłem dzieckiem i mój ojciec zakładał tę stajnię, najlepsze konie kupował od Starego Jake'a. Same mustangi. I ujeżdżone jak należy.

— A czy ja tego nie wiem? — rzucił szeryf Montoya. — Nauczyłem się jeździć konno, zanim umiałem dobrze chodzić, na jednym z jego mustangów. Wiedział, że moi starzy nie mają pieniędzy, jak zresztą nigdy nie mieli, i sprzedał im konia za pół darmo. Muszę go znaleźć, zanim znowu napyta sobie biedy. Tym razem sędzia może mu nie przepuścić tak łatwo. A znajdą się ludzie, którzy skorzystają z okazji, żeby go wywieźć z miasta na taczkach. Jest za stary na takie traktowanie.

— Na wszystko jest za stary — przyznał właściciel stajni. — Mówiłem ci, że go nie widziałem cały dzień. Jakbym go zobaczył, z miejsca bym go przegnał. Odstrasza mi klientów. Często zajeżdża od niego piwskiem, a ta jego fajka cuchnie jeszcze gorzej. I bez przerwy poucza klientów, jak mają traktować konie i gdybym mu pozwolił, zagadałby ich na śmierć, a im się to wszystko nie podoba. Co myślisz o tej szopie, która należała do Peteya Corle'a? Nikt tam teraz nie mieszka. Jest zabita deskami, ale on mógł dostać się jakoś do środka. Chodź, sprawdzimy.

Słońce schowało się za górami i mrok powoli obejmował miasteczko, które było na najlepszej drodze do przekształcenia się w duże miasto, kiedy nowa autostrada międzystanowa pozostawiła je na boku, i które mimo pesymistycznych proroctw przedsiębiorców budowlanych rozrastało się wciąż w tym samym kierunku. Mrok gęstniał, w dzielnicy handlowej i w zamożniejszych dzielnicach mieszkalnych posłusznie zapalały się latarnie uliczne, a wszyscy rozsądni ludzie siedzieli w domu trawiąc zasłużoną kolację.

Mrok gęstniał też na stryszku stajni wynajmującej konie, w kącie za wysokim stosem bel prasowanego siana, przykrytych luźnym sianem, gdy Siary Jake Hanlon obudził się ze snu i zaczął się przeciągać, aż mu zatrzeszczały stare kości. Przeleżał tam cały dzień słysząc wszystko, co działo się na dole tego popołudnia. Wstał rozsypując siano i wytrzepał je z włosów i z koszuli. Idąc po omacku, bo ciemność była tu zupełna, obszedł bele siana i znalazł sterczące końce drabiny. Obrócił się ostrożnie, wymacał stopami szczeble i zszedł na dół.

Zmieszane wonie siana i obroku, a także ciepły zapach koni, mile połechtały jego stare nozdrza. Mdły blask latarni ulicznej, padający przez okna w prawej ścianie budynku, pozwalał mu się poruszać ze względną swobodą. Szedł wzdłuż boksów pod lewą ścianą, klepiąc kolejno każdego konia po zadzie i dotarł do drzwiczek w głębi, zamkniętych na zardzewiały skobel i kawałek drewna. Wyciągnął drewienko, rzucił na podłogę, ostrożnie uchylił drzwi i wyjrzał na wąską uliczkę. Szybko. przekroczył próg, zamknął drzwi i żeby się nie otwierały, przytoczył do nich na wpół pustą puszkę po oleju, używaną jako pojemnik na śmieci Niczym skradający się cień szedł uliczką, cały czas w głębszym mroku budynków, które mijał.

Na skraju przerzedzającego się w kierunku zachodnim podmiejskiego osiedla nie było latarni. Dom Martinezów majaczył w mroku cichy i nie oświetlony, jego ściany z suszonej cegły, różowobrązowe za dnia, w blasku gwiazd wydawały się widmowo szare. Epitacio Martinez wraz z całą swoją liczną rodziną kładł się wcześnie, by wstać przed pianiem koguta. Tuż obok rysowały się niewyraźnie kontury zrujnowanego budynku o dziwacznym kształcie, który służył Martinezowi za kurnik, stajenkę dla kozy i stodołę. Dalej był wybieg dla koni — prostokąt ogrodzony z czterech stron solidnymi słupami i sztachetami z grubych desek. W swoim czasie trzymano tu woły skupywane przez miejscowych rzeźników i oczekujące na swoją kolej w rzeźni. Teraz znajdowały się na wybiegu dwa osiołki Martineza, jego krowa oraz jedenaście udręczonych, kleistych i skarlałych mustangów, które nosiły ślady odparzeń po sznurach i skaleczeń po transporcie ciężarówką.

Przy bramie od strony drogi stała zwalista postać mężczyzny. Joe Simpson opierał się plecami o sztachety i kręcił właśnie papierosa, a robił to powoli, żeby nie stracić ani źdźbła tytoniu.

W odległości pięćdziesięciu jardów, po drugiej stronie drogi, Siary Jake Hanlon leżał płasko na ziemi za gęstą kępą chaszczy, którymi Maclovio Vigil się nie przejmował, pozwalając im rosnąć na czymś, co tylko przez grzeczność można by nazwać podwórzem. Więc Stary Jake Hanlon leżał na ziemi i patrzał przez mały rozstęp między niższymi łodygami chaszczy. Obserwował Joego Simpsona, gdy ten zapalał papierosa.

— Diabli nadali! — wymamrotał. — Wygląda na to, że będzie tu sterczał całą noc.

Czas płynął i Joe Simpson odrzucił ogarek następnego papierosa, a potem schylił się i gmerał przy czymś na ziemi. Trzymał w rękach śpiwór, rozpostarł go, wygładził rękami i wreszcie się na nim położył.

— Chyba mnie krew zaleje — wymamrotał Stary Jake. — Zostanie tu na noc!

Stary Jake leżał nieruchomo, myśląc intensywnie. Po jakimś czasie wyczołgał się tyłem z chaszczy, a potem pełznął na czworakach, dopóki dom Vigila nie znalazł się między nim a wybiegiem dla koni. Wtedy wstał i oddalił się spiesznie. W siedem minut później zastukał cicho do kuchennych drzwi małego domu. Usłyszał szuranie nóg w środku, drzwi otworzyły się i przez szparę wyjrzał niski, tęgi mężczyzna.

— Jake — powiedział mężczyzna. — Jake Hanlon. Myślałem, że zwiałeś z miasta. Szeryf cię szukał.

— Mniejsza o szeryfa — odparł Stary Jake. — Mnie on ani ziębi, ani grzeje. Ale tyś mi nie dopłacił za tego konia, co ci go sprzedałem pięć-sześć lat temu.

Z ust mężczyzny posypała się lawina słów — przepraszał, wyrażał oburzenie, mówił coś o zbyt wielu dzieciach i wnukach, za dużych podatkach... że może w przyszłym miesiącu, czy nawet w przyszłym tygodniu...

— Skończ już! — rzucił Stary Jake. — Chcę tylko wiedzieć, czy masz kilka naboi do strzelby.

Mężczyzna wpatrywał się w niego przez kilka sekund.

— Może mam. Tak, chyba mam — powiedział z namysłem. — Tak, mam cztery.

— Daj mi je — rzucił Stary Jake — i z tym koniem będziemy kwita.

Pięćset jardów za trzema zabudowaniami Martineza, za innymi, z rzadka rozrzuconymi budynkami, stojącymi przy polnych drogach, które może kiedyś staną się ulicami, przycupnęła mała, zrujnowana chałupa, należąca niegdyś do Peteya Corle'a, a teraz stanowiąca własność miasta, które kilka lat temu, wobec braku spadkobierców, przejęło ją za nie opłacone podatki. Na jej tyłach, Jake Hanlon pracowicie zgarniał śmieci usypując z nich pochyły stos, przytykający do spękanych desek ściany. Nie brakło mu odpowiedniego materiału, dokoła na ziemi walały się przywiane wiatrem stare gazety, puste kartony po butelkach, drzazgi drewna rąbanego na opal przed wielu laty, suche gałęzie sękatego drzewa, deszczułki z rozeschniętej beczki.

Kiedy stos był wysoki na mniej więcej trzy stopy, Stary Jake obszedł chałupę i zaczął szarpać jedną z desek, którymi było zabite okno w bocznej ścianie. Oderwała się tak łatwo, że niewiele brakowało, a runąłby do tyłu. Ktoś usłużnie oderwał ją niedawno i potem tylko wstawił na miejsce. Wyjął z kieszeni cztery naboje, wsunął rękę do środka chałupy i wrzucił je w taki sposób, że upadły na podłogę tuż pod tylną ścianą, mniej więcej w miejscu, gdzie na zewnątrz przytykał do niej stos śmieci. Obszedł znów węgieł chałupy, wyjął z kieszeni zapałkę i potarł ją o szorstką podeszwę prawego buta.

W ciemności, obok bramy wybiegu dla koni, wyciągnięty na cienkim śpiworze, który woził zwykle w bagażniku ciężarówki, Joe Simpson zadygotał Było zimniej, niż można się było spodziewać. Leżał zastanawiając się, czy warto wstać, rozsunąć zamek błyskawiczny i wpełznąć do śpiwora. A nuż by się okazało, że jest mu za gorąco?

Po drugiej stronie drogi Stary Jake Hanlon wyglądał przez szparę między dwoma krzakami. Dyszał wciąż po szybkim marszu, kiedy to zatoczywszy szeroki łuk wrócił do swojej kryjówki. Czuł ból w boku, jego zmęczone serce biło nierówno, dawało mu o sobie znać sygnałem ostrzegawczym, rozlegającym się w ostatnich czasach coraz częściej. Spoglądał ponad zabudowaniami Martineza ku innym budynkom w głębi, za nimi. Dostrzegł wreszcie to, na co czekał, początek czerwonej łuny, która rozrastała się błyskawicznie.

Kolejno zapalały się światła w oknach domków w tej części osiedla. Usłyszał czyjeś wołanie, W odległości prawie mili, bliżej centrum miasta, zawyła syrena. Ktoś w jednym z tych domków miał telefon i zrobił z niego użytek.

Po drugiej stronie drogi, przy bramie wybiegu dla koni, Joe Simpson usiadł, sięgnął po kapelusz leżący obok, wstał, rozejrzał się i zobaczył czerwonawą łunę rozświetlającą niebo. Przeszedł kilka kroków, zatrzymał się. I kiedy tak stał niezdecydowany, w okolicy płonącej chałupy huknął jakby strzał, polem dwa, jeden za drugim, i w kilka sekund później jeszcze jeden. Joe Simpson wrócił szybko do bramy, szarpnął ją, żeby sprawdzić skoble, i pognał w kierunku łuny znikając za rogiem wybiegu.

Stary Jake czekał w chaszczach dziesięć sekund, dwadzieścia, trzydzieści, wreszcie zerwał się i pobiegł przez drogę do bramy. Zatoczył się i omal na nią nie runął, a jego obezwładnione pośpiechem stare palce znalazły to, czego nie spodziewały się znaleźć. Na skoblu wisiała kłódka. Wyłowił z kieszeni zapałkę, zapalił ją, przytknął jak najbliżej. Dwa ciężkie skoble, przez które przesunięty był pałąk kłódki, odstawały od drewna bramy i były trochę obluzowane.

W rozpaczy zaczął przeszukiwać ziemię pod sztachetami i znalazł kawałek deseczki o wymiarach cztery na dwa cale, z odłamanym jednym końcem. Wsunął ją tym odłamanym końcem za kłódkę i odciągał drugi koniec całą siłą chudego, starego ciała. Rozległ się cichy trzask i skoble puściły odrobinę. Wparłszy jedną stopę w słup bramy, szarpał deskę raz za razem. Oddech miał przerywany, świszczący, chorobliwy pot spływał mu po twarzy. Ale za każdym razem skoble puszczały. Po raz ostatni szarpnął z całą siłą, jaka mu jeszcze została i skoble odskoczyły, a on runął na plecy wypuszczając deseczkę z rąk.

Dysząc, chwiejąc się, wrócił na czworakach do bramy i uczepiony słupa podźwignął się na nogi. Uniósł sztabę i otworzył szeroko skrzydła bramy.

— Uciekajcie — wycharczał. — Prędzej... uciekajcie... wy małe... biedne mustangi! Gnajcie... na wzgórza.

Wyczuły wiszącą jakby w powietrzu natarczywość tego wezwania. Kręciły się niespokojnie, z łbami podniesionymi wysoko, parskały, węszyły. Jeden z nich zobaczył otwartą bramę i wybiegł galopem, a wtedy inne rzuciły się za nim. Stary Jake podskakiwał na nogach jak z gumy, wymachiwał rękami kierując mustangi na zachód, ku drodze prowadzącej z miasta na rozległe przestrzenie sięgające dalekich gór.

Mijały go pędem, twarde jak krzemień kopyta grzmociły ziemię z rozbudzoną na nowo siłą nadziei w chudych, wyschłych zadach — skarłowaciałe, kościste resztki stad, które hasały ongiś po równinie Domingo. I kiedy jeden i nich obrócił do niego łeb, przez ułamek sekundy Stary Jake Hanlon widział czy też zdawało mu się, że widzi, odbity w blasku gwiazd płomyk, przebłysk orlego spojrzenia w rozgwieżdżonych oczach.

Szeryf Montoya obrócił kierownicę swojego służbowego samochodu i wóz wjechał posłusznie na podjazd i zatrzymał się na tyłach domu z czerwonej cegły, ze spadzistym dachem, który pod koniec ubiegłego stulecia kazał sobie zbudować jakiś przybysz ze wschodnich stanów, i który nadal wyglądał dziwnie nie na miejscu pośród swoich sąsiadów z cegły suszonej na słońcu. Szeryf Montoya zgasił światła, wyłączył silnik, wysiadł, wsunął kluczyki do kieszeni i obszedł dom kierując się do wspartej na białych kolumienkach frontowej werandy. Zatrzymał się. Wytrzeszczył oczy. W mdłym świetle oszczędnej, dwudziestowatowej żarówki, której żona nie zgasiła ze względu na niego, zobaczył Jake’a Hanlona. Siedział na samym brzegu werandy, oparty plecami o kolumienkę, jeszcze podobniejszy do stracha na wróble niż zwykle, zakurzony, brudny, zmęczony, jakby miał za chwilę paść, ale na jego wychudłej, kościstej twarzy błąkał się uśmiech.

— Najwyższy czas — powiedział. — Mój kapelusz jest ciągle w tym twoim mamrze. Moja kurtka jest ciągle u doktora Horna. A ja jestem głodny, jak wszyscy diabli.

Był to urzędowy sędziowski gabinet w czcigodnej siedzibie władz okręgu. Sędzia Alfred Fergusson rozsiadł się wygodnie w swoim nowym fotelu, który bardzo przychylnie traktował jego siedzenie, kołysał się uspokajająco, sprawnie obracał i jeszcze nie zaczął skrzypieć Drzwi do sekretariatu zostały przed chwilą zamknięte, skutecznie tłumiąc pracowity stuk elektrycznej maszyny do pisania. Słońce między rozsuniętymi zasłonami bocznego okna przypominało o jeszcze jednym poranku jeszcze jednego dnia, w którym sędzia będzie się musiał zajmować wiecznymi swarami tych kłótliwych istot zwanych ludźmi.

Żując koniec ołówka sędzia Fergusson przyglądał się znad zarzuconego papierami biurka twarzom czterech mężczyzn siedzących przed nim na zwykłych twardych krzesłach... Oto Henry W. Harper, pulchny, dobrze odżywiony, z wymanikiurowanymi rękami, regularnie zasilający fundusze wyborcze właściwej partii, który w tym momencie miał twardy, zawzięty wyraz na tej swojej pulchnej twarzy o policzkach już jakby lekko obwisłych... Oto szeryf Victorio Montoya, który oczy miał senne, plecy przygarbione i wydawał się — chociaż wcale nie był — znużony błazeństwami swych bliźnich, i który zdobywał większość głosów Amerykanów hiszpańskiego pochodzenia... Oto zastępca prokuratora okręgowego Philip Myers, jeszcze młody, wyelegantowany, czujny, który aż promieniał energią i sprawnością i był pełen nadziei na oczekującą go wspaniałą karierę, a niekiedy tylko z największym trudem ukrywał zniecierpliwienie wobec swoich powolniejszych, starszych współpracowników... Oto ten wychudły strach na wróble o sokolej twarzy, który kiedyś może był mężczyzną — Jake Hanlon.

Sędzia Fergusson położył ostrożnie ołówek na blacie biurka i obserwował, jak toczy się kilka cali i zatrzymuje przy popielniczce. Westchnął.

— Proszę pana — rzekł zwracając się do Harpera — wiem, że zawarł pan z Simpsonem swojego rodzaju ugodę, która go całkowicie zadowala, To samo dotyczy Martineza. W ten sposób mamy załatwioną sprawę odszkodowań. Ale czy pan naprawdę przypuszcza, ze prawo zgodzi się poprzestać na tym, co uczyniono?

— Ten człowiek uczynił tylko jedno — odparł Henry W. Harper. — Zerwał kłódkę i otworzył bramę. Resztę zrobiły same konie.

— Bardzo pomysłowy sposób przedstawienia sprawy — oznajmił sędzia Fergusson. — Prawdziwymi winowajcami są zwierzęta... są jakby współsprawcami przestępstwa. Ale to nie chwyci, proszę pana. Wyłamywanie zamkniętej bramy ma w tej części kraju sporą tradycję. Zresztą podejrzewam, że on doskonale wiedział, jak zachowają się te konie. Prawdopodobnie je do tego zachęcał.

— A żebyś pan wiedział, że to zrobiłem! — zawołał Stary Jake Hanlon.

— A żebyś pan wiedział, że my też coś z tym zrobimy — wtrącił zastępca prokuratora okręgowego. — Panie Hanlon, w moim biurze

znudziło się już wszystkim, że biega pan na swobodzie i wyobraża sobie, że może robić to, na co mu przyjdzie ochota.

Sędzia Fergusson westchnął ponownie.

— To jest problem do rozwiązania, a nie wendeta — oznajmił. Spojrzał na jeden z dokumentów na biurku. — W tamtej okolicy wybuchł wczoraj pożar. O tej samej porze. Czy to ma jakiś związek?

— Z całą pewnością — rzekł zastępca prokuratora. — Głowę dam, że go rozniecił Hanlon, żeby wywabić Simpsona.

— Głowę dam, że jest do tego zdolny — przyznał sędzia Fergusson. — Ale czy są jakieś dowody, że on maczał w tym palce?

Szeryf Montoya poruszył się na krześle. Ledwie dostrzegalny posępny uśmieszek wypłynął mu na wargi.

— Nie — powiedział. Patrzał prosto w oczy zastępcy prokuratora. — Pożar wybuchł tuż za granią miasta, czyli w moim obwodzie. A ja mam za dużo roboty z uganianiem się za młodocianymi półgłówkami w sportowych samochodach, którzy traktują nasze polne drogi jak autostrady szybkiego ruchu, żeby jeszcze szukać jakichś tam dowodów. Moim zdaniem zniknięcie tego obrzydlistwa to duży zysk dla miasta.

— Rozumiem — rzekł sędzia Fergusson. — No cóż, tak to wygląda. Zaprosiłem dzisiaj panów do siebie w nadziei, że może zdołamy uniknąć przykrości, jaką jest sprawa sądowa. Do dziś pamiętam wrzawę, którą podniosły gazety, kiedy kilka lat temu Jenkins usiłował pozwać go przed sąd. Tym razem urządziłyby chyba piknik. Ale co my z nim zrobimy? Nie możemy puścić go wolno, żeby co pewien czas burzył spokój naszej biednej, bezbronnej społeczności. Darzę ogromnym szacunkiem naszego szeryfa, ale wypadki dowiodły, że nie jest to odpowiedni przeciwnik dla tego starego szelmy. A kiedy są z nim jakieś nieprzyjemności, nasza policja zdaje się zawsze patrzeć w inną stronę. Nie możemy go oddać pod nadzór kuratora, bo po prostu zagra mu na nosie. Nie możemy trzymać go w areszcie. W każdym razie nie powinniśmy. Jak będzie zamknięty albo wykończy się po tygodniu, albo przewróci cały budynek do góry nogami.

— Sprawa jest prosta — oznajmił zastępca prokuratora. — Sąd orzeknie jego niepoczytalność, która jest faktem i przekaże go do Las Vegas. Tam zajmą się nim psychiatrzy.

— Niech pan spróbuje — warknął Henry W. Harper prostując się na swoim twardym krześle. — Niech pan tylko spróbuje, a będę z panem walczył za pomocą wszystkich pieniędzy, jakie mam i przez wszystkie instancje, aż do Sądu Najwyższego!

— Skończcie z tymi nerwami — przemówił Stary Jake Hanlon. — Wszyscy. Chcecie się mnie pozbyć, no to się wyniosę i nie będę wracał Chcecie mnie zamknąć, to sam się zamknę. Moje serce nie jest już takie jak kiedyś. Co tam, nic we mnie nie jest już takie. Nie zostało mi dużo czasu i wiem o tym. Wiem z taką pewnością, jak niczego w życiu nie wiedziałem. że nie zobaczę już nigdy śniegu na tych górach. W porządku. Nażyłem się dosyć. Tę resztkę czasu, co mi jeszcze została, chcę przeżyć sam na rancho.

Potężny, piękny samochód podskakiwał na opuszczonej, rozmytej deszczami drodze, nie naprawianej już przez administrację okręgu. Henry

W. Harper, który przy rzadkich okazjach pobytu na wsi, kiedy nie czuł pod nogami gładkiego miejskiego chodnika, lubił myśleć o sobie po prostu „Hank Harper", mógł przynajmniej trzymać się kierownicy i łagodzić wstrząsy. Stary Jake mógł tylko podskakiwać na miejscu obok niego.

— Nie ma co, te wymyślne mechaniczne cuda są wytrzymalsze od dobrego konia.

Hank Harper nacisnął gaz i samochód przebrnął przez piach wyschłego arroyo, ciśnięty na drugi brzeg siłą rozpędu i siłą trzystu koni mechanicznych pod maską.

— Niech to licho, Hank — powiedział Stary Jake. — Nigdy mi nie wychodziło mówienie o rzeczach we właściwy sposób, ale ty naprawdę byłeś dla mnie dobry w tych ostatnich latach. Ujmowałeś się za mną za każdym razem, jak się pakowałem w jakąś kabałę.

Hank Harper szarpnął kierownicą, żeby ominąć kamień.

— A czemuby nie? — spytał. — Pomagałeś mojemu dziadkowi zrobić pieniądze, i których mój ojciec zrobił więcej pieniędzy, a ja spędzam życie na ich wydawaniu. Możesz to nazwać spłacaniem dawno zaległych poborów. Hardrock nie płacił nikomu więcej, niż to było konieczne.

— Płacił mi na rozmaite inne sposoby — stwierdził Stary Jake. — W tamtych czasach było tu u nas pod dostatkiem prawdziwych mężczyzn, a on był jednym z nich.

Z kępy trzcin po prawej wyskoczył królik, skręcił, przebiegł drogę tuż przed maską samochodu i zniknął pod zwisającymi gałęziami jałowca.

— Czasy się zmieniły — rzekł Hank Harper. — Teraz pieniądze są najważniejsze. Jak masz pieniądze, jesteś kimś. Mam pieniądze i dlatego jestem kimś, ale nie zawsze wydaje mi się to takie pewne. Wiem, że z Hardrockiem nie mógłbym się nawet równać, ale przynajmniej chętnie podpisuję czeki.

— Od czego ani myślę cię odmawiać — powiedział Siary Jake.

To, co dotąd było drogą, na tym odcinku zamieniło się w nierówny teren, pożłobiony wąskimi koleinami. Hank Harper nacisnął pedał hamulca samochód stanął. Sięgnął ręką do deski, nacisnął guzik, zdjął nogę z hamulca i samochód ruszył z cichym warkotem, ostrożnie pokonując wyboje.

— Ale w tym jest coś więcej — ciągnął Hank Harper. — Ile razy cię wykupywałem z tej czy innej kabały, to tak jakbym spłacał dług wobec samego siebie. Jestem wytworem pieniędzy i łatwego życia. Tyle jest we mnie twardości, co w puchowej poduszce i kiedy jestem ze sobą szczery, wiem o tym. Ty reprezentujesz coś, czego ja nie mam, a co chciałbym mieć. Stawiasz czoło życiu i plujesz mu w twarz. Wierzysz w kilka rzeczy, które może są niedorzeczne i błazeńskie, ale naprawdę w nie wierzysz i postępujesz zgodnie z tą wiarą i gwiżdżesz na konsekwencje. Robisz to, co ja chciałbym robić, gdybym tylko miał dość odwagi.

— E tam, bzdura — obruszył się Stary Jake. — Zawsze umiałeś zgrabnie mleć ozorem. Kiedyś nagadał temu durniowi Myersowi, to tak, jakby mówił sam Hardrock.

— Niezupełnie — zaprotestował Hank Harper. — Powiedziałem, że do walki z nim użyję pieniędzy. Stary Hardrock wyrzuciłby go za okno.

Teren przed nimi był teraz równiejszy, pokazał się znów ślad dawnej drogi. Hank Harper nacisnął inny guzik i samochód nabrał szybkości.

— Jednej rzeczy nie mogę zrozumieć — powiedział. — Dlaczego tak się upierasz z tymi mustangami. Wszystkie dobre sztuki wyłapano już dawno temu, Zostało kilka skarłowaciałych, które naprawdę nadają się tylko na mięso dla psów, a niedługo ich też już nie będzie. Jak te, któreś wypuścił zeszłej nocy. To tylko kwestia czasu, zanim Simpson znowu je schwyta. Coś ty według ciebie osiągnął?

— Dałem im kilka dni wolności — odparł Stary Jake. — I może nauczyły się czegoś. Może drugi raz nie dadzą się łatwo złapać. Może Simpson nie schwyta ich wszystkich.

— Jak nie on, to ktoś inny — powiedział Hank Harper. — Ta rzecz jest nieunikniona. Nikt tego nie powstrzyma.

— Jakbym był młodszy, tobym dalej próbował.

Hank Harper zacisnął ręce na kierownicy, zacisnął dużo mocniej, niż to było potrzebne.

— Aż by cię postrzelili — wybuchnął. — Albo zamknęli na dobre. Nie, Jake, czasy się zmieniły, jesteś ostatnim z ludzi swojego gatunku. Jak te biedne małe mustangi są chyba ostatnimi sztukami swojego gatunku w całym naszym stanie. Razem z nimi i z tobą odejdzie coś, co na swój sposób było wspaniałe. Ale na to nie ma rady. Zostaną tylko ludzie tacy jak ja. Ale może my też zdołamy czegoś dokonać. Dowiedziałem się właśnie wczoraj o akcji mającej na celu wywarcie nacisku na władze federalne, żeby wyznaczyły coś w rodzaju azylu dla mustangów, stworzyły dla nich rezerwat. W Nevadzie, gdzie żyją jeszcze na wolności zupełnie niezłe sztuki. Wysiałem już do naszego kongresmana z Nowego Meksyku listy popierające tę inicjatywę.

— I co z tego? — spytał Stary Jake, nagle zgorzkniały, zasmucony. — Nawet jak się to uda, niewiele będzie znaczyło. Ileś tam sztuk utrzyma się przy życiu i to wszystko. — Czuł się słaby, stary i pokonany. Wiedział, że człowiek siedzący obok usiłuje go jakoś pocieszyć, że pisał te wszystkie listy z jego powodu i dla niego, że powinien mu być wdzięczny i wyrazić to słowami. Ale inne słowa cisnęły mu się na usta i nie mógł ich powstrzymać.

— Utrzymać się przy życiu to za mało. Nie będą już takie same. Zamknięte w rezerwacie. Ten rezerwat na początku może będzie nawet duży, ale polem go okroją, kiedy ludzie zaczną rozszarpywać ziemię, jak to mają w zwyczaju. Zrobią z nimi to samo, co zrobili z Indianami, a wiesz dobrze, jak z nimi jest. Ścieśnili ich, przenosili z miejsca na miejsce, kazali robić najpierw to, potem co innego. Indianie są w tych naszych czasach tacy wolni i niezależni, jak tresowane pieski na kanapie. Z mustangami będzie to samo, co z jeleniem i niedźwiedziem w parkach narodowych. Przywykną do opieki, jak dokarmianie w zimie i inne takie rzeczy. Tak przywykną do widoku przyjeżdżających i gapiących się na nich ludzi, że zapomną o wszystkim i tylko będą czekały na jałmużnę. Gorzej, będą podchodzić do ludzi i żebrać. Zrobią się takie leniwe i obłaskawione, że jakby je kto zmusił do dziesięciomilowego biegu, padłyby na miejscu.

Droga, znowu nierówna i wyboista, pięła się teraz długim stokiem mesy, na której szczycie znajdowało się rancho. Hank Harper skupił całą uwagę na kierownicy.

— Nie uznajesz kompromisu, Jake, prawda? Właściwie jestem rad, że nie uznajesz. Wszystko albo nic. Sięgać po niemożliwe. To naszą rzeczą, rzeczą ludzi poduszek, ludzi kompromisu, jest godzić się na to, co marne i

możliwe. Ale chciałbym wiedzieć jedno. Co, u wszystkich diabłów, mamy według ciebie robić?

Stary Jake Hanlon podskakiwał na miękkim siedzeniu ogromnego, pięknego samochodu. Patrzał prosto przed siebie. Oczami wyobraźni widział wielką autostradę, która przecinała kraj w odległości zaledwie kilku mil stąd — dla niego symbol bezlitosnego naporu tego, co zwą postępem, naporu nieuchronnej, obojętnej siły, która pędzi naprzód nie patrząc, co jest na jej drodze, wdziera się wszędzie, zwycięża wszystko, podbija świat. Patrzał prosto przed siebie. Zrozumiał w końcu, że przeżył swój czas, że wkroczył w epokę, w której odwieczny towarzysz pracy człowieka, koń, został zepchnięty na boczny tor, że pozwoli się żyć dalej tylko jego specjalnym, rozpieszczanym i trzymanym w niewoli rasom, ze będzie teraz pionkiem na szachownicy torów wyścigowych, zabawką, błaznem w cyrku i oznaką pozycji społecznej ludzi z wszechpotężnymi pieniędzmi. Zrozumiał wreszcie, że nie ma już żyjących na swobodzie dzikich mustangów jego młodości, nie ma ich nigdzie i nigdy już nie będzie, a tylko nieliczne żałosne cienie tego, czym były kiedyś, wiodące nędzny żywot w kilku odległych zakamarkach Zachodu. Ale one też są skazane na zagładę i przetrwają — jeżeli przetrwają — wyłącznie jako okazy muzealne na ogrodzonych skrawkach ziemi zwanych rezerwatami, które staną się dochodową atrakcją turystyczną.

Patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem uświadamiając sobie nagle, że on też w swoim czasie, bezwiednie i bezmyślnie, uczestniczył w tym zbójeckim, zdradliwym podboju zwanym postępem cywilizacji. Tylko dlatego stało się to obecnie tak widoczne, że podbój dokonywał się z wciąż wzrastającą szybkością. Ale rozpoczął się na tych bezmiernych obszarach ziemi za jego czasów i on sam przykładał do niego ręki, a z chwilą, gdy się rozpoczął, jego następstwa — to, co się działo teraz — były nieuniknione. On sam, cokolwiek nim kierowało i jakiekolwiek miał usprawiedliwienie, pomógł przetrzebić te ongiś nieprzeliczone, hasające na swobodzie stada, pomógł przygasić spojrzenie orła w ich dzikich, nieujarzmionych oczach.

— Nie jestem lepszy — wymamrotał. — Jestem unurzany w tym samym paskudztwie. — I nagle schwycił Hanka Harpera za ramię, zacisnął palce aż do bólu, a kiedy przemówił, w jego starym glosie słychać było drżenie. — Powiem ci, co możemy zrobić. Możemy je pamiętać, Pewnie tylko tyle nam zostało. Możemy je pamiętać takimi, jakie były kiedyś.

V

Nie wiadomo skąd, nie wiadomo dokąd, biegnie nowa autostrada przecinająca bezmierną równinę dwiema wstęgami asfaltu. A po niej, w obu kierunkach, płynie niespokojny, nieubłagany, nie kończący się ruch, który jest przyczyną jej istnienia. Płynie po niej dzień dzisiejszy, rozpędzony, ciągle w drodze, śpieszący ku wciąż powracającej tajemnicy jutra.

Nad wysoką, urwistą ścianą skalną, cofnięty o dobre ćwierć mili od krawędzi piaskowcowej mesy, drzemie pogrążony w swojej własnej łagodnej ciszy zrujnowany dom z cegły suszonej na słońcu. Dzień

wczorajszy kołacze się jeszcze w starych ścianach, osypujących się i osiadających w ziemi, z której zostały wzniesione, w prostokątnym kształcie rozpadającej się stodoły, w niewyraźnym już zarysie połamanych sztachet i słupów wybiegu dla koni, w wychudłej, zasuszonej postaci starego, bardzo starego człowieka leżącego na składanym łóżku w jedynym pokoju, przez którego sufit nie zagląda niebo.

Ciszę tego pokoju mąci tylko bzyczenie samotnej muchy, która przywędrowała tu przez pusty otwór okna we wschodniej ścianie i chyba nie może znaleźć drogi powolnej. Mysz polna wychyla łepek z małej szpary między kamieniami podmurówki w ścianie południowej. Szparę tę obrała sobie za dom dla potomstwa, które wyda na świat za kilka dni. Jej brązowo-czarne oczka lustrują pokój. Mysz wychodzi i stąpając delikatnie na maleńkich białych nóżkach zbliża się do ocienionej przestrzeni pod koślawym stołem i rozpoczyna polowanie na okruchy jedzenia. Nieruchomieje, przysiada, strzyże dużymi uszkami. Czmycha z powrotem do bezpiecznego schronienia w szparze. Siary Jake Hanlon drgnął na polowym łóżku.

Leży bez ruchu usiłując przywołać świadomość z nicości, w którą się zapadł. Jest ubrany, nie ma tylko kapelusza i nie narzucił na siebie derki. Tak. Gdzieś koło południa chciał uciąć sobie krótką drzemkę, ale minęło wiele godzin i teraz jest późne popołudnie.

Znowu zmienia pozycję i nagle zdaje sobie sprawę, że usiłuje się podnieść, spuścić stare nogi przez krawędź łóżka i stanąć na podłodze, ale nie może. Zabrakło siły w jego wyschłych mięśniach.

Leży bez ruchu, wsłuchany w powolne, nierówne bicie serca. Serce chce mu coś powiedzieć i Stary Jake wie, co mu chce powiedzieć. Cała reszta jego ciała jest właściwie bezużyteczna, ale mózg działa sprawnie i świadomie. Stanął oto wobec najbardziej nieodwołalnego ze wszystkich faktów życia.

— Ale nie tu... w tym zamknięciu — mamrocze Stary Jake.

Rozpaczliwie zebrawszy siły unosi trochę ciało, przetacza się przez krawędź łóżka i ląduje na rękach i kolanach. Podpierając się jedną ręką, drugą sięga po kapelusz i wkłada go na głowę. Krótkimi zrywami czołga się do pozbawionego drzwi otworu w ścianie i uczepiony framugi wstaje. Jego nogi są dwoma kawałkami drewna, ale posłużą mu za podpórki, jeżeli tylko będzie miał się czego trzymać. Obchodzi framugę i przesuwa się kilka kroków wzdłuż zewnętrznej ściany domu. Nie ma siły iść dalej, ale to wystarczy. Powoli osuwa się przy ścianie domu, siada na ziemi. W wyciągniętych przed siebie chudych starych nogach nie ma czucia. Sięga do kapelusza i wpycha go głębiej na głowę, ale zaraz jego ręce opadają wyczerpane. Jest tak, jak gdyby stare mięśnie same zdecydowały, że przez blisko wiek robienia tego, czego on od nich żądał, napracowały się dość i więcej pracować nie będą.

— Przynajmniej mam buty na nogach — mówi Stary Jake.

Milczący i nieruchomy, jak gdyby był cząstką otaczającej go ciszy, siedzi oparty plecami o ścianę i spogląda na bezmierne obszary równiny.

Na prawo od niego słońce opada ku strzelistym szczytom. Nieliczne obłoki nad nimi jarzą się coraz jaskrawszą czerwienią. Po jego lewej złoto-różowy blask słońca jest niczym królewski płaszcz okrywający ziemię, przenika najgłębszy cień, rozpościera się aż do dalekiego horyzontu i

czystego, jasnego błękitu nieba w dali za nim. Nowa dwupasmowa autostrada jest zapomnianą, przemijającą skazą gdzieś tam w dole, ukrytą za wysokim brzegiem mesy. Jest tylko ziemia, potężna, spokojna, obojętna na nędzne sprawki ludzi, sycąca się własną nieskalaną pięknością w promieniach przedwieczornego słońca.

— Trzeba przyznać, że widok stąd zawsze mi się podobał — mruczy Stary Jake Hanlon.

Dziwne, jak się czas zatrzymał, po prostu go nie ma, a wszystko, co się kiedyś zdarzyło, istnieje jednocześnie i razem. Stary Jake Hanlon najpierw słyszy odgłosy. To rancho mówi do siebie w ponadczasowym blasku słońca. Czysto i wyraźnie Sury Jake słyszy brzęk garnków w kuchni, gdzie meksykański kucharz przygotowuje pożywną strawę, jaka się należy ciężko pracującym mężczyznom, słyszy płynące zza stodoły uderzenia młota rozklepującego kawałek żelaza na kowadle, stuk siekiery rozłupującej drewno, podzwanianie zniszczonych ostróg przy obcasach butów. Ten głos, wprawdzie monotonny, ale z powstrzymywaną nutą wesołości, należy do Peteya Corle’a, opowiadającego jedną ze swych nieprawdopodobnych historyjek, a ta basowa odpowiedź, w której brzmi niedowierzanie, wyszła z ust Ansela Raka. Sprawcą ochrypłego wrzasku, od którego pękają bębenki w uszach, jest Hardrock Harper o gardle jak z żelaza, ryczący na kogoś, żeby ruszył migiem i zamknął bramę wybiegu. Stary Jake słyszy jeszcze jeden głos, swój własny — tak, to on, Jake Hanlon sprzecza się z młodym Stubbym Pringlem o to, jak najlepiej i najszybciej w nagłej potrzebie zrobić ze zwykłego powroza wędzidło do ujeżdżania koni.

Dziwne, że tego dotąd nie zauważył, ale na wybiegu są konie. Widzi wśród nich te, które sam ujeździł i będzie ich dosiadał w czasie tegorocznego jesiennego spędu bydła. Same mustangi. Ten deresz o długiej szyi i potężnych szczękach to Kulawy Galumpus. Przy każdym porannym siodłaniu udaje kulawego, a potem zdradza się zapominając, na którą nogę padł w tym dniu jego wybór. W drodze cały czas jest w złym humorze, ale jak tylko zacznie się robota, wstępuje w niego nowy duch i tak jest nią pochłonięty, tak zawzięty i zdeterminowany, żeby ją wykonać, i to wykonać dobrze, jak jeździec na jego grzbiecie. Ten gniadosz o siodłowato wygiętym grzbiecie i długich nogach to Splątane Nogi. Nigdy nie zrezygnował i dalej próbuje zrzucić na ziemię jeźdźca, który go dosiada wczesnym rankiem, a kiedy stawanie dęba okazywało się daremne, miał głupi zwyczaj zginania nóg i kładzenia się na ziemi. Skończył z tym, kiedy zawieszono mu pod brzuchem przymocowane do popręgów ostrogi o dużych, zębatych kolcach, i odtąd jak się kładł, bardzo prędko wstawał. Wygląd ma niezbyt obiecujący, ale na pastwisku dobrze zarabia na swój obrok, a te jego długie nogi nigdy nie potkną się nawet w najtrudniejszym kamienistym terenie i właśnie dzięki nim depcze po piętach każdej najchytrzejszej, najzdradliwszej krowie, jaka miała kiedykolwiek wypalone na skórze piętno Potrójnego X.

Ten kasztanek o jakby zmiętych uszach, krótkim ogonie i prawie pozbawiony grzywy to Brązowy Dzban, który jest średniej klasy koniem kowbojskim, ale ma jedną niezrównaną zaletę wyrównującą wszystkie wady. Wie, kiedy jego jeździec jest pijany i potrzebuje opieki. Pojedź na

nim do miasta napić się czegoś, co jest akurat w sprzedaży — czy żeby coś uczcić, czy żeby utopić zły humor albo smutek, to bez znaczenia — a jeżeli zdołasz się dowlec na chwiejnych nogach do słupka, przy którym on czeka cierpliwie na ciebie i wdrapiesz się jakoś na jego grzbiet, możesz objąć go za szyję, pochylić się i zasnąć, a on będzie szedł miarowym krokiem, ani razu się nie płosząc i nie zmieniając swobodnego, kołyszącego chodu i zrzuci cię ostrożnie na ziemię przed samym domem na rancho. Jeżeli jesteś za bardzo pijany, żeby odwiązać wodze od słupka, przegryzie rzemyki i też dostawi cię do domu.

Ten kary chudzielec ze szczurzym ogonem, któremu najobfitsza choćby pasza nie przyda ciała i który po najstaranniejszym nawet wyczesaniu zgrzebłem zawsze będzie wyglądał jak kościsty niechluj, to Uśmiechnięty Joe. Ma bliznę na górnej wardze i przez to sprawia takie wrażenie, jakby się śmiał — zresztą może się śmieje. Nikt nie dałby mu specjalnie wysokiej noty — ot, taki sobie dość wszechstronny koń kowbojski, któremu czasem zdarza się szarpnąć w nieodpowiedniej chwili, kiedy lasso szybuje w powietrzu — ale jaka to radość siedzieć na jego grzbiecie w ponury dzień. Uśmiechnięty Joe potrafi zarazić swoją wiarą w to, że warto żyć, choćby życie było najtrudniejsze, i że warto pracować, choćby praca była nie wiem jak ciężka. Jest samą dobrodusznością w końskiej skórze — chyba że jakiś koń próbuje go wypchnąć z jego miejsca przy żłobie. Byłaby to niewczesna dobroć, gdyby ktoś litując się nad jego nędznym wyglądem za mało od niego wymagał. Nawet on sam byłby niezadowolony. Doświadczenie potwierdziło, że jest rzeczą wręcz niemożliwą wyczerpać jego siły, czy też zmącić jego niewzruszoną pogodę.

— Jak ludzie — mruczy Stary Jake. — Każdy jest inny. Każdy jest sobą.

Ale co to za mały cętkowany gniadosz stojący obok Uśmiechniętego Joe i trochę za niego schowany, trzymający pysk na jego grzbiecie? Klacz. Lada dzień się oźrebi. W Potrójnym X prawie nie ma klaczy. Rancho nie prowadzi hodowli. Ma się rozumieć! To przecież zuchwała Minnie! Czasem jest na rancho, a czasem jej nie ma, ale jak jest, stara się trzymać jak najbliżej Uśmiechniętego Joe. Rozumieją się nawzajem. Mogą służyć za przykład pięknej, trwałej przyjaźni. Trzy spośród innych koni na wybiegu to jej synowie, także Brązowy Dzban, ale choć w ich źrebięctwie jest czułą matką, kiedy osiągają rok, nie chce mieć z nimi więcej do czynienia. Może to dlatego, że zawsze następny źrebak jest w drodze. Ogrodzenia nic dla niej nie znaczą. Kiedy poczuje zew, po prostu znika i gdzieś, jakoś, prawdopodobnie w jednym z wysoko położonych kanionów, znajduje sobie ogiera. Ale zawsze wraca na rancho, żeby tu się oźrebić. Hardrock Harper nabył ją właściwie przypadkiem z partią kupionych kiedyś wałachów. Trzy razy ją sprzedawał i widział, jak ją wyprowadzają i rancha, ale ona trzy razy udowadniała, że w nosie ma rygle i płoty, i wracała tu, żeby wydać na świat źrebię, które Uśmiechnięty Joe natychmiast adoptował, tak o nie dbając, jakby było jego własne. Przed kilku miesiącami znowu została sprzedana, wywieziono ją szmal drogi na rancho w Colorado, a przecież jest znowu, wróciła na czas — tym razem wychudzona i zmęczona, i z sierścią poszarpaną przez drut.

— Uparta jak wszystkie baby — mamrocze Stary Jake. Podnosi głowę. Poprzez szmer dźwięków i głosów gwarzącego do siebie starego rancha

słyszy swój własny glos. — Niech to diabli, Hardrock! Nie będziesz jej więcej wyprawiał w świat. Tym razem ja ją kupuję. Płacę gotówką.

Słońce wyzłociło wierzchołki gór i teraz zsuwa się za ich krawędź. Na ziemi kładą się coraz dłuższe cienie. Ale cień, który spływa na Starego Jake'a jest mrokiem innego rodzaju. Głowa opadła mu na pierś. Nie słychać żadnych głosów. Jest tylko cisza tak głęboka, tak wszechogarniająca, jak gdyby już nigdy nie miał jej przeniknąć żaden dźwięk. A przecież przypływa skądś jakiś dźwięk. Może Stary Jake słyszy go tylko w najgłębszych, tlących się jeszcze życiem zakamarkach mózgu, ale słyszy. Odgłos kopyt uderzających o ziemię miarowym, zbliżającym się rytmem.

Skądś, znikąd, zewsząd, z najdalszych krańców rozległej krainy zbliża się ogromny, siwy koń — jest rosły, silny, wspaniały; szlachetny łeb trzyma wysoko na mocnej, pięknie sklepionej szyi, a obcy jeździec w siodle jest wysoki i smukły, i ma na sobie robocze ubranie kowboja. Nie. Bije od tego człowieka, z jego postawy i obejścia, jakaś ledwie dostrzegalna surowość, która nasuwa myśl, że jest on kimś znacznie ważniejszym.

Ogromny siwy koń zatrzymuje się w odległości dziesięciu kroków, spogląda w dół na Starego Jake'a i rży cicho.

— Jak się masz, Jake — powiada obcy. — Przyjechałem, żeby cię wziąć na przejażdżkę.

Siary Jake wytęża wzrok, usiłuje rozróżnić rysy ocienione szerokim rondem kapelusza.

— Już cię chyba kiedyś widziałem — mówi. — Wydajesz mi się znajomy.

— A czemu nie miałbym ci się wydać znajomy? — powiada obcy jeździec. — Nie raz i nie dwa byłem tuż obok ciebie... Tak blisko, że gdybym wyciągnął rękę, mógłbym cię dotknąć.

Stary Jake nie umiałby powiedzieć dlaczego, ale rozmowa z tym surowym, lecz przyjaznym obcym wydaje mu się rzeczą najnaturalniejszą w świecie.

— Konna przejażdżka... — mówi. — Serdeczne dzięki za zaproszenie. Ale nie mam już konia.

— O, tu się mylisz — powiada obcy. — Masz więcej koni, niż mieli ich inni mężczyźni, których zdarzało mi się zapraszać na przejażdżkę. Pozwól że ci przywołam jednego z nich. — Wykonuje ręką osobliwy, jakby przyzywający gest i składa usta do cichego, przenikliwego gwizdu, który zdaje się odpływać w coraz dalsze bezkresne przestrzenie.

Stary Jake Hanlon prostuje plecy. Znowu słyszy stuk kopyt uderzających o ziemię. Dawno, dawno temu słyszał podobnie brzmiący, zachwycająco rytmiczny tętent. Tak. Oto pędzi roziskrzony w ostatnich, ukośnych promieniach słońca, biały, biały jak śniegi zimowe na szczytach najwyższych gór, z łbem uniesionym wysoko, z długą grzywą rozwianą, z dłuższym jeszcze ogonem powiewającym na wichrze niezrównanego pędu. Najdoskonalsze wcielenie nieujarzmionej, dzikiej przyrody. Król mustangów! Zatrzymuje się, hamując kopytami i stoi teraz obok siwka, a zaklęte w nim piękno i siła wydają się wprost nie do pojęcia.

Stary Jake Hanlon wpatruje się w konia swoich marzeń i jego kruchym ciałem wstrząsa jakby szloch.

— Nie — powiada. — Nie. Jestem unurzany w paskudztwie. Nie jestem godny dosiadać takiego konia.

Chyba przelotny uśmiech złagodził surowe rysy pod ocieniającym je rondem kapelusza.

— Niełatwo ci dogodzić — mówi obcy. — Ale spróbujemy jeszcze raz.

Znowu wykonuje ręką ów osobliwy, przyzywający gest i gwiżdże cicho, przenikliwie. Biały Mustang znika tajemniczo, jak tajemniczo się pojawił i znowu inne twarde jak krzemień kopyta uderzają o ziemię. Wybijają swojski rytm, który towarzyszył Staremu Jake’owi przez całe życie. Oto wyłania się z prerii, która go wyhodowała, zwyczajny mustang, niewyrośnięty i kościsty, o brzuchu rozdętym od trawy i wąskim zadzie, ale z potężnymi płucami w drobnym ciele i silnym sercem, ze stalowymi ścięgnami w chudych kłębach i spojrzeniem orła w dumnym oku, ową szczególną cechą wyróżniającą jego gatunek.

On też zatrzymuje się obok siwka, patrzy w dół i przygląda się Jake’owi Hanlonowi, a jego oczy łagodnieją jak gdyby na widok starego przyjaciela. Dziwna rzecz, ale wydaje się nie jednym koniem, tylko wieloma, koniem ukształtowanym ze wszystkich mustangów, jakich Stary Jake kiedykolwiek dosiadał.

— Nie chcę cię przynaglać — rzecze obcy. — Ale czy ten ci się nada?

— Nada się — mówi Stary Jake. — A co więcej, przeżyje w dobrym zdrowiu tego olbrzyma, na którym siedzisz.

— O to bym się nie zakładał — powiada obcy. — Ale skoro jesteś zadowolony, czas w drogę. — Znowu wyciąga rękę owym osobliwym, przyzywającym gestem i mimo dzielącej ich odległości Stary Jake czuje na ramieniu surowy, choć przyjazny, dotyk jego dłoni.

Stary Jako podnosi się. Nadal siedzi skulony pod ścianą domu, a jednocześnie wstaje i zbliża się do konia, który czeka na niego ze zwykłym solidnym, kowbojskim siodłem na grzbiecie. Stary Jake wsuwa lewą nogę w strzemię, podciąga się i usadawia mocno w siodle.

Czuje pod sobą miarowy, pewny galop konia. Dziwne i jednocześnie niedziwne, że siwek ze swoim jeźdźcem na grzbiecie zniknął. Są tylko skąpane w słońcu nie kończące się przestrzenie złocistej ziemi. Jest tylko Jake Hanlon — nie Młody Jake ani nie Stary Jake — po prostu Jake Hanlon, kowboj, wyprostowany w siodle, na grzbiecie małego mustanga z prerii Południowego Zachodu, galopujący; galopujący, niezmordowanie galopujący w wieczność.

Kanion

(The Canyon, 1955)

PRZEDMOWA

Znajdź na mapie wyżynną krainę z wysokimi płaskowyżami i potężnymi górami na północno-zachodnim pograniczu Stanów Zjednoczonych. Nie ma tu dokładnie zaznaczonych granic, prócz tego zadziwiającego odcinka na północy, gdzie długa i nie umocniona linia demarkacyjna między Stanami Zjednoczonymi i Kanadą prowadzi wzdłuż górnego krańca Północnej Dakoty i Montany. Przedłuż tę linię dalej na zachód, aż do płaskiego wierzchołka podłużnej enklawy stanu Idaho. Posuwaj się teraz na południe i na wschód nieregularnym łukiem, mniej więcej równolegle do granicy stanów Idaho i Montana, dalej wzdłuż głównego łańcucha Gór Skalistych i jeszcze dalej aż do stanu Wyoming. Zakreśl szeroki łuk w poprzek Wyoming po pasma Absaroka przez południowe stoki Wielkich Rogów i omijając Czarne Wzgórza, dotrzyj do Południowej Dakoty. Skręć tutaj na północ i znowu posuwaj się po łuku tuż obok wschodniego pobrzeża Południowej Dakoty i dalej prosto w górę przez Północną Dakotę z powrotem do granicy kanadyjskiej. Kto chce, niech kwestionuje ten dokładny bieg ostatnich zakreślonych linii. Terytorium w ten sposób powstałe jest sercem północnego pogranicza — rozległy obszar Montany ze skrawkiem Idaho i północną części Wyoming, który ciągnie się ku wschodowi przez obie Dakoty i dalej na drugi brzeg szerokiej Missouri, by znaleźć kres na nizinach schodzących faliście w dół do stanu Minnesota.

Są to nazwy widniejące dzisiaj na naszych mapach. Wtedy żadne nazwy nie istniały. Na starszych mapach cały ten obszar nie był zaznaczony, a kiedy później się na nich pojawił, określano go mylnie jako część Wielkiej Pustyni Amerykańskiej. Siuksowie, którzy mieli objąć w posiadanie większość tych ziem i uczynić z nich ostatnią warownię przed inwazją białego człowieka, wciąż jeszcze wędrowali pieszo przez obszary na wchód od Missouri. Tylko pierwsze niewielkie grupy migrującego na zachód plemienia przeprawiły się na drugi brzeg rzeki, by stawić czoło plemionom, które dotarły tam przed nimi, i poznać czworonożne dobrodziejstwo konia. Byli tam już bowiem Krukowie i Paunisi, Komancze i Arapahowie. I byli Czejenowie, którzy opuścili swoje siedliska nad zachodnim brzegiem rzeki i parli na zachód, wdzierając się w pościgu za bizonami na coraz dalsze pastwiska wyżynnego pogranicza. Tymczasem daleko na wschodzie, tak odlegle, jak gdyby leżały zagubione na jakimś innym kontynencie, dwanaście kolonii, których liczba miała wzrosnąć do trzynastu, siało niepokój na wybrzeżu Atlantyku swoją zwycięską cywilizacją, a myśl o niepodległości była wciąż mętnym, na pół uświadamianym sobie płomykiem w kilku zaledwie umysłach.

Odszukaj teraz na południowym obrzeżu tego wyżynnego pogranicza, w połowie drogi między rzeką Missouri a półksiężycem Wysokich Rogów, niemal kolisty masyw Czarnych Wzgórz. Usadowiły się na mapie między

zataczającą łuk południową odnogą rzeki Czejenów a piękną i długą odnogą zwaną La Belle Fourche. Strumienie zasilające obie rzeki wrzynają się głęboko w te wzgórza, które nie są wzgórzami tylko górami, o szczytach nie tak strzelistych i rozświetlonych dniem i nocą jak Wielkie Rogi, ale imponują zwalistą potęgą wznoszących się stromo, poszarpanych skalnych ścian. Jeśli pójdziesz między wzgórza wzdłuż prawego z tych dopływów La Belle Fourche i będziesz się posuwał dalej prawą jego odnogą, wdzierając się na coraz wyższe, nierówne płaszczyzny, trafisz w końcu na skalną ścianę wznoszącą się spiętrzonymi kondygnacjami na wysokość większą niż sto stóp. Ze szczeliny u podnóża skały wypływa strumień. Wokół i na lewo rozpościera się na łagodnym stoku górskie pastwisko, wspinające się powoli aż na wysokość skalnej ściany i w tym właśnie miejscu wylania się przed tobą płaskowyż, który na przestrzeni mili lub więcej wydaje się gładki i nie pocięty rozpadlinami. Teraz stąpaj ostrożnie. Nagle pośród wysokich traw i z rzadka rosnących krzewów, ziemia otwiera się przed tobą; widzisz ogromną wyrwę w podstawowej formacji skalnej, o ścianach opadających pionowo do niemal płaskiego dna osiemdziesiąt stóp poniżej i na drugim krańcu wznoszących się znów do poziomu płaskowyżu, tak że wprowadzone w błąd oko nie dostrzega jej nawet z niewielkiej odległości. Spoglądasz teraz na zagubiony Kanion Niedźwiadka...

Przed milionami lat, kiedy wybrzuszała się skorupa ziemska, by uformować zachodnie łańcuchy gór, jakiś uskok w warstwach skalnych stworzył ten kanion. Ma kształt długiego trójkąta o spłaszczonym wierzchołku. Jest stosunkowo wąski w górnej części, gdzie strumień płynący płaskowyżem spada w dół przez krawędź kanionu i tworzy na jego wyżłobionym dnie rozlewisko, Kanion poszerza się stopniowo do mniej więcej pięciuset jardów w dolnej części, gdzie strumień znika w skalnej szczelinie. Ściany są strome, prawie pionowe, wygładzone deszczami. Tylko na kilku wąskich półkach rosną z rzadka kępy traw i samotny krzak wczepia się korzeniami w skały. Szaleńcem byłby ten, kto próbowałby bez pomocy drugiego człowieka przebyć owe stromizny, czy to w górę, czy w dół. Ale w jednym miejscu, gdzie kamienne półki wznoszą się jedna nad drugą co piętnaście, dwadzieścia stóp, widać między nimi nisze w skale. Są podobne w kształcie. Są regularnie rozmieszczone. Noszą nieomylne piętno myśli i ręki człowieka.

Wtedy nie było nisz w ścianie skalnej. Był tylko spłaszczony trójkąt kanionu o ostrych krawędziach, przecinający swą ukrytą głębią płaskowyż wysoko wśród Czarnych Wzgórz, które nie są wzgórzami, tylko zwalistymi górami. Trafiały na jego brzeg bizony, obwąchiwały krawędź i odchodziły parskając gniewnie, że ziemia usuwa im się spod nóg. Niezliczoną ilość razy w niezliczonych stadach jakieś mało roztropne zwierzę, przestraszone w ciemności i uciekające przed urojonym niebezpieczeństwem, skakało przez krawędź i roztrzaskiwało się na dnie, znajdując natychmiastową śmierć albo konało w powolnych męczarniach zgruchotanych kości. A jednej bezksiężycowej nocy przed wielu, wielu laty, których nikt wtedy nie liczył, kiedy dziwaczny odblask dalekich błyskawic rozjaśniał ciemność, a na rogach bizonów wisiały kule ogniste, całe ich stado gnało w popłochu przez otwartą przestrzeń i te na przedzie runęły w dół, a te za nimi usiłowały zawrócić, ale spychały je zwarte szeregi tych na samym końcu.

Strumień żywych ciał popłynął przez krawędź kanionu tworząc na dnie krwawy stos, na który padły ostatnie sztuki. O pierwszym brzasku było w kanionie siedem żywych bizonów i przerażającą masę skrwawionych cielsk. Z tych siedmiu cztery, z pogruchotanymi kośćmi, konały powolną śmiercią. Zostały trzy — dwie krowy i mały byk — i to wystarczyło. Miały w kanionie obfitość soczystej trawy i strumień. Miały drzewa dające cień, kiedy latem słońce wspinało się wysoko na niebo. Miały urwiste ściany skalne, chroniące przed zimowymi wiatrami i zajadłością burz śnieżnych. A potem walki byków podczas rykowiska i bezlitosna, bezstronna srogość zimy eliminowała słabsze sztuki i utrzymywała ich liczbę na prawie stałym poziomie — było to małe stado nie przekraczające nigdy piętnastu sztuk i nie liczące nigdy mniej niż osiem...

Nie było wtedy na gładkiej skale wykutych ręką ludzką nisz, był tylko kanion i bizonami, soczysta trawa, kępy drzew i strumień. Daleko na zachodzie, pośród wzgórz, gdzie płynąca na północ Mała Missouri bierze swój początek i jeszcze dalej, gdzie Dolina Pyłu rozpościera się ku Wielkim Rogom, Komancze i Paunisi zwijali swe obozy i posuwali się za prącymi na wschód stadami bizonów. Bliżej na północnym wschodzie Czejenowie szli tropem innych stad i kiedy jesienne wiatry ostrzegały ich przed zimą, zapuszczali się na wzgórza, by ścinać w niższych lasach żerdzie na wigwamy. Nie pytajcie o dokładny rok czy też lata. Dopiero kiedy biały człowiek zjawia się na jakiejś, ziemi, przychodzą drastyczne zmiany wymagające datowania. Biali byli daleko tu wschodzie, zaczynali dopiero wysypywać się zza bariery Appalachów. Nieliczni tylko, w większości Indianie i tylko garstka białych, docierali do zachodnich Wielkich Jezior i górnej Missisipi — traperzy, kupcy handlujący skórami, którzy nie wycisnęli na tej ziemi żadnego piętna, wędrujący samotnie albo w małych grupkach w górę, poczynając od doliny Ohio lub w dół z okolic Zatoki Hudsona. Ich obecność była co najwyżej legendą wśród plemion zachodnich, którą w rozmaitych wersjach starcy opowiadali dzieciom, łatwo myloną z opowieściami o wędrownych meksykańskich kupcach, docierających na północ w pobliże Wielkich Rogów. Zagubiony Kanion Niedźwiadka, ani nie zagubiony, ani nie nazwany, bo nikt go jeszcze nie odkrył, drzemał spokojnie pod przewalającymi się nad nim porami roku —głęboko wśród Czarnych Wzgórz wyżynnego pogranicza; krainy płaskowyżów i wysokich gór, które wznoszą się pod niebo w sercu kontynentu

Takie to było miejsce i taki to był czas.

Wigwamy Czejenów twórcą duży krąg — dziesięć sektorów na obwodzie koła dla dziesięciu grup plemiennych, z szerszym odstępem na wschodzie, który służył jako wejście do wioski. Wewnątrz kręgu, na południowym łuku, stoją dwa wigwamy ze znakami podwójnego krzyża, Święte Wigwamy Czarodziejskich Strzał i Kapelusza ze Skóry Bizona. W jednym z wigwamów po stronie zachodniej kobiety przygotowały jadło i małe, raźno płonące ognisko, po czym wyszły, ponieważ miał się tu odbyć ceremoniał palenia fajki. Do wigwamu wchodzą mężczyźni. Wchodzą kolejno, każdy robi krok w prawo i czeka, a właściciel wigwamu, siedzący w głębi na posłaniu, wita go i wskazuje mu miejsce — czasem szczególnie zaszczytne po swojej lewej, czasem zaszczytne po prawej. Każdy kieruje

się do wskazanego miejsca, bacząc pilnie, żeby nie przejść między właścicielem wigwamu a ogniskiem. Najuprzejmiejsi z mężczyzn uważają, żeby nie przejść między którymkolwiek ze zgromadzonych a ogniskiem, przy czym, jeśli jest to konieczne, przesuwają się za plecami siedzących, podczas gdy oni pochylają się do przodu, żeby zrobić im miejsce.

Wszyscy jedzą. Jedzą nawet ci, co już się pożywiali we własnych wigwamach, bo inaczej obraziliby gospodarza, który jest ich przyjacielem. On kończy i wyciera ręce. Czeka, aż skończą wszyscy i wytrą ręce. Wtedy sięga po ceremonialną fajkę i napełnia ją tytoniem zmieszanym z roztartą na proszek korą czerwonej wierzby. Teraz trzyma fajkę przed sobą w pozycji pionowej, cybuchem do góry. Przemawia:

— Przyjaciele, sześć dni drogi stąd, rozbili obóz nasi nieprzyjaciele. Zima zwraca ku nam srogie oblicze. Jest teraz miesiąc bizona przybierającego na wadze. Nasi nieprzyjaciele mają pełne ręce roboty. Nie spodziewają się nas. Jest moim pragnieniem poprowadzić wyprawę wojenną i zabrać im konie. Pytam, czy pójdziecie ze mną?

Właściciel wigwamu jest człowiekiem, który wielokrotnie prowadził wyprawy wojenne, Nie musiał się radzić doświadczanego starca ani składać ofiary w Wigwamie Czarodziejskich Strzał, ani dowieść własnej dzielności wisząc, na przykład cały dzień uczepiony żerdzi, jakby to musiał zrobić młody mężczyzna pragnący poprowadzić swoją pierwszą wyprawę wojenną. Mógł zwołać swoich przyjaciół bez uprzedzenia, bez specjalnych przygotowań. Prowadził już zwycięskie wyprawy, więc nie miał wątpliwości, że pójdzie z nim wielu. Teraz wskazuje cybuchem fajki na niebo w górze, w ziemię w dole i na cztery strony świata — północ i południe, wschód i zachód — modląc się do duchów zamieszkujących te strony o zwycięstwo i zaszczyt pierwszej celnej strzały. Zapala fajkę, wciąga dym. Przekazuje fajkę mężczyźnie siedzącemu po lewej.

Mężczyzna siedzący po jego lewej trzyma fajkę pionowo, cybuchem w górę. Czeka. Może rozważa w myślach decyzje. Może lubi wywoływać nastrój niepewności. Siedzi na pierwszym miejscu, tym najbardziej zaszczytnym, i to, co zrobi, będzie miało wpływ na innych. Podnosi fajkę do ust. Zaciąga się. Pójdzie na wyprawę.

Fajka przechodzi z rąk do rąk. Każdy z mężczyzn podaje następnemu i każdy trzyma ją pionowo, cybuchem do góry. Każdy postępuje zgodnie z obyczajami plemienia, ale z pewnymi różnicami zależnymi od grup plemiennych. Wszyscy palą kolejno. Wszyscy pójdą na wyprawę wojenną. Będzie to udana wyprawa. W końcu fajka trafia do mężczyzny drugiego od wejścia po prawej. Jest jak inni zebrani tu mężczyźni, a przecież różni się od nich, Uszy ma przekłute, ale nie nosi ozdób. Jego włosy ani nie są zebrane do tyłu i sklejone żywicą, ani nie są splecione w warkoczyki. Zwisają prosto. Odzienie ma skromne. Nie nosi opończy ze skóry bizona. Znalazł się tu, bo jest mężczyzną i mieszka w tym wigwamie, więc jego nieobecność byłaby mu poczytana za obrazę. Jest to mężczyzna młody, ale już nie młodzieniaszek. Młodsi od niego chodzili na wyprawy wojenne i opowiadali o bohaterskich czynach. On tego nie robił. Zawsze oddawał fajkę nie dotknąwszy cybucha ustami. Właścicielowi wigwamu jest przykro, ale nie powie ani słowa, nie zdradzi też najmniejszym gestem, co się dzieje w jego sercu. Pozostali mężczyźni wiedzą i zachowują się jak ich gospodarz. Czekają cierpliwi i beznamiętni Zastanawiają się, co

mężczyzna, który jest taki jak oni a przecież inny, zrobi z fajką trzymaną w rękach. Siedzi bez ruchu, wpatrzony w ziemię. Odkąd właściciel wigwamu sięgnął po fajkę, ani razu nie podniósł oczu. Nie podnosi ich teraz. Nagle słychać jego głęboki oddech brzmiący jak westchnienie. Trzyma fajkę pionowo, jak nakazuje obyczaj. Oddaje ją nie dotknąwszy ustami cybucha.

I to właśnie jest on.

I

Nazywano go Niedźwiadkiem. Nie było jego prawdziwe imię, jakie nadaje stryj czy dziadek wraz i ofiarowanym w podarku malowanym konikiem. Nazywał go tak jego ojciec z plemienia Suhtai i jego matka z plemienia Tsistsista, kiedy był malutkim dzieckiem — ot, pieszczotliwa nazwa, czułe przezwisko. Był tłusty, a rączki i nóżki miał krótkie, krótsze niż inne dzieci, bo Czejenowie z plemienia Suhtai i Tsistsista, które połączyły się tworząc jedno wielkie plemię, są wysocy i foremnie zbudowani. „Mały tłuścioszek", „okrąglutka kulka", tak go nazywali rodzice, a kiedy zaczął pełzać po ziemi i usiłował stanąć na tych krótkich nóżkach, został ich Niedźwiadkiem. I to było jego jedyne imię. Kiedy miał lat sześć, czyli był w wieku, w którym chłopiec otrzymuje prawdziwe imię, jego ojciec już nie żył, nie żyli również wszyscy bliscy krewni ojca. Nie żyła też jego matka i wszyscy jej bliscy krewni. Zabrała ich choroba. Ta choroba zakradła się do letniego obozowiska dzielnych łowców i ich rodzin, którzy opuścili wioskę podążając za stadem bizonów, a kiedy choroba w końcu odeszła, został tylko jeden starzec, dwie kobiety i czworo dzieci. I tylko oni powrócili do wioski.

Żaden Czejen nie głodował, dopóki inny Czejen miał mięso. Żadnemu Czejenowi nie brakowało schronienia, póki inny Czejen miał gdzie się schronić. Niedźwiadka wziął do swojego wigwamu człowiek imieniem Silna Lewa Ręka. Niedźwiadek miał schronienie i miał pożywienie, a jego przybrani rodzice traktowali go dokładnie tak, jak traktowali rodzone dzieci. A przecież Niedźwiadek był świadomy różnicy. Kiedy skończył dwanaście lat, Silna Lewa Ręka obdarował go koniem, pomalowanym koniem o chyżych nogach, jak przed dwoma laty obdarował swego starszego syna i jak za rok miał obdarować swego młodszego syna. A mimo to Niedźwiadek był świadomy różnicy. Ta różnica istniała w jego myślach. Był sierotą w wigwamie, który nie należał do jego ojca i jego matki. Kazano mu biegać z rozmaitymi poleceniami, krajać tytoń i pilnować koni Silnej Lewej Ręki, kiedy je wypuszczano na pastwisko. Prawda to, że rodzeni synowie Silnej Lewej Ręki wykonywali w równych częściach te same prace, bo ich ojciec był człowiekiem sprawiedliwym i sprawiedliwie oceniał tych, co mieszkali w jego wigwamie, a żona ich ojca była sprawiedliwa we wszystkim, co się składało na pracę kobiety. Ale synowie Silnej Lewej Ręki byli jego synami i wykonywali te prace z obowiązku, jako członkowie rodziny. Niedźwiadek wykonywał je, bo tego

po nim oczekiwano w zamian za strawę, którą jadł, za miejsce w wigwamie, za odzienie, które nosił. A przecież pamiętał, że dawniej było inaczej.

Pamiętał śmiech ojca i łagodny głos matki, pamiętał ciepło ich wigwamu, które było czymś więcej niż ciepłem ogniska. Pamiętał jak ojciec wywijał z nim koziołki w wysokiej trawie i tłumaczył, że musi sobie wyrobić w rękach siłę niedźwiedzia, bo to wynagrodzi krótkość nóg. Pamiętał matkę śpiewającą łagodnym głosem piosenki, kiedy wyrósł już z wieku, w którym śpiewa się dzieciom do snu, i robiącą mu wciąż nowe maleńkie mokasyny i nagolenniki ozdobione skórzanymi frędzlami, ponieważ był jej jedynym dzieckiem, a ona wiedziała, że nie będzie ich mieć więcej. Pamiętał też jej słowa, że nie jest jak inni chłopcy, bo sam Stojący Całą Noc przekłuł mu uszy. Zawsze opowiadała o tym w taki sam sposób i używała tych samych słów.

Działo się to w pobliżu Wigwamu Czarowników, podczas letnich uroczystości tańca i wtajemniczenia, na które przybyły wszystkie wioski z najdalszych nawet stron i rozłożyły się na prerii wielkim obozowiskiem. Był to trzeci wieczór czterodniowych świąt i skończyły się już tańce wyznaczone na ten dzień, a także uroczystość czyszczenia fajek, więc matki z małymi dziećmi na ręku śpieszyły na główne miejsce spotkań, ojcowie zaś zwracali się do starego obwoływacza, żeby wezwał tę czy inną osobę i poprosił o przekłucie uszu ich dzieciom. Właśnie wtedy matka Niedźwiadka ujęła jego ojca za rękę i wyszeptała mu do ucha, by poprosił o wezwanie Stojącego Całą Noc. Była to śmiała myśl.

Stojący Całą Noc nie urodził się Czejenem. Należał do plemienia Arikara. Nie wziął za żonę kobiety z plemienia Czejenów. Wziął za żonę kobietę z plemienia Mandan i zamieszkał w jej rodzinnej wiosce, która znajdowała się w pobliżu wioski Czejenów. Był jeszcze młody, kiedy opuścił tę wioskę i zamieszkał z Czejenami, ponieważ lubił tych ludzi i podobały mu się ich obyczaje. Byli radzi, że do nich przyszedł, bo lubili go i podobały im się jego obyczaje. Przyjęli go do swego plemienia i stał się jednym z nich. Teraz był już stary. Słynął wśród ludzi najodleglejszych nawet wiosek z odwagi, mądrości i godności, które towarzyszyły mu przez wszystkie dni życia. Wiedział więcej o obyczajach i starodawnej wierze plemienia Czejenów, niż wiedzieli starcy, którzy się urodzili Czejenami i spędzili cale życie wśród swoich współplemieńców. Otaczano go czcią, jak niewielu ludzi przed nim. Nie był kimś, kogo można było prosić o przekłucie uszu małemu tłustemu dzieciakowi z zapadłej wioski w pobliżu wzgórz. Ojciec Niedźwiadka usłyszał wyszeptane mu do ucha słowa i roześmiał się, jakby to był żart. A potem spojrzał na matkę Niedźwiadka i na grubaska w jej ramionach. Już się nie śmiał. Wziął od niej dziecko i poszedł szukać starego obwoływacza.

Czcigodny starzec odpoczywał po całodziennych obrzędach we wnętrzu wigwamu i tam usłyszał wzywający go głos. Wyszedł na plac przed główne ognisko. Był wysoki, chociaż idąc opierał się na kiju. Był człowiekiem bardzo starym i biła od niego odwaga, mądrość i godność wszystkich przeżytych lat. Spojrzał na Niedźwiadka w ramionach tak skorego do śmiechu ojca-myśliwego, który teraz się nie śmiał. Mógł odwrócić się i odejść i na pewno nie odezwałby się żaden głos usiłujący go zatrzymać.

Był przecież Stojącym Całą Noc. Spojrzał na Niedźwiadka i zobaczył coś, czego inni nie widzieli. Mimo starości głos jego brzmiał mocno.

— Ten malec ma księżyc w oczach — oznajmił.

I wyprostowawszy się opowiedział dla uczczenia chłopca historię, jak powinien to uczynić człowiek przygotowujący się do obrzędu przekłucia uszu. Była to opowieść, której nikt nigdy nie słyszał z jego ust w ciągu długich lat spędzonych wśród Czejenów.

— Kiedyś, dawno temu, kiedy mieszkałem w wigwamie mego ojca, chciałem stać się wojownikiem, zanim doszedłem wieku męskiego. Wymknąłem się z wigwamu ojca i poszedłem za wojownikami idącymi na wyprawę. Nie mogłem ich znaleźć. Trzy dni błąkałem się bez jedzenia. Byłem słaby i wystraszony. Spotkałem mężczyznę z plemienia Kruków, który mnie nakarmił i pokazał drogę. Trzy wiosny później szedłem z innymi na wyprawę wojenną. Zakradliśmy się nocą do wioski Kruków, żeby zabrać ich konie. Jakiś człowiek obudził się, wybiegł z wigwamu i skoczył do mnie. Walczyliśmy. Uderzyłem go maczugą, upadł na ziemię. Krew rzuciła mu się z nosa, skonał. Księżyc wyszedł zza chmur. Zobaczyłem, że jest to ten sam człowiek, który mnie nakarmił.

Stojący Całą Noc wyjął nóż, ów nóż ze stalową klingą, który przed wielu laty nabył od białoskórego kupca, daleko na wschodzie, za wielką rzeką. Przekłuł nim uszy Niedźwiadka, jak nakazywał obyczaj, dziurawiąc długim cięciem zewnętrzny brzeg. Niedźwiadek jęknął cichutko dwa razy, ale ani nie zapłakał, ani też się nie wyrywał.

Te sprawy żyły w myślach Niedźwiadka. To one nie pozwalały mu zapomnieć o różnicy. Ale nie tylko one. Krótkość nóg była jątrzącą raną w jego duszy, a chociaż w końcu rana się zagoiła, pozostał po niej ślad blizny. W bieganiu nie dorównywał nawet najpowolniejszemu ze swoich rówieśników. Chłopcy nie dopuszczali go do gier wymagających szybkiego biegu. Kiedy bawi się w polowanie na bizony i on był myśliwym jadącym na patyku, który udawał konia, nigdy nie mógł dogonić chłopców udających bizony. Skutek był podobny, kiedy podczas zabawy trzymał długą tyczkę i przymocowanym na końcu płaskim liściem kolczastej gruszki, którego ciernie udawały rogi bizona. A przecież wkładał całe serce w tę zabawę. Potrząsał kijem i dźgał powietrze cierniami usiłując dosięgnąć myśliwych. Kiedy strzała wypuszczona z dziecinnego łuku trafiła w plamkę błota na liściu, która była niby to sercem bizona, padał i turlał się po ziemi, i wzbijał nogami kurz, i umierał, jak powinien umierać trafiony bizon. Ale upolowanie takiego bizona nie przynosiło małym myśliwym zaszczytu. Zbyt prędko go doganiali, zbyt łatwo unikali jego ataków. Podczas zabawy w chwytanie koni Niedźwiadek w ogóle do niczego się nie nadawał. Rezygnował z tych gier i siedząc ze skrzyżowanymi nogami gdzieś na stoku przyglądał się zabawie chłopców, a po ich odejściu siedział tak dalej, spoglądał na falistą, rozległą ziemię dokoła i w głowie aż huczało mu od myśli.

Kiedy podrósł i dostał pomalowanego konia, wszystko zmieniło się na lepsze. Koń był dzielny i biegał jak inne konie, a on dosiadał go jak prawdziwy Czejen — był żywą cząstką żywego zwierzęcia poruszającą się, jak on się poruszał, gdy w pędzie wyładowywał nagromadzoną siłę. Niedźwiadek wyrósł na dobrego myśliwego, takiego, jakim był kiedyś jego ojciec. Na grzbiecie konia dorównywał innym. W zaciekłym pościgu

uśmiech pojawiał się na jego wargach, miał też dość odwagi, żeby podjeżdżać blisko i walczyć dzidą. Nie wbijał dzidy w okolicę nerek, jak to robili inni, żeby okaleczyć zwierza i czekać, aż skona powoli w bezpiecznej odległości. Uderzał prosto w serce, a gdy bizon usiłował się odwrócić i walczyć, trzymał dzidę mocno i wpychał ją, aż dzięki sile jego mięśni, sile konia i sile bizona — walczącym przeciw sobie — grot dziurawił serce i zadawał śmierć. Dopiero kiedy zeskakiwał z konia, żeby oprawić swoją zdobycz i podzielić mięso, które miał potem zanieść do obozu, przypominał sobie o krótkości nóg i jaką to stanowiło dla niego różnicę. I z powodu tej różnicy, która była czymś więcej niż tylko krótkością nóg, wydawało mu się niewłaściwe zdobić uszy kółkami i obrączkami z paciorków, czy leż przycinać włosy wedle mody, czy wreszcie siedzieć w kręgu ogniska w wigwamie w pięknie haftowanej opończy ze skóry bizona. Uznał, że musi we wszystkim zachować prostotę i powściągliwość...

Był dobrym myśliwym. Pomagał, zgodnie z obowiązkami mężczyzny, zaopatrywać wigwam w mięso i świeże skóry, z których kobiety szyły odzież na dzień i do spania. Silna Lewa Ręka wraz z rodzonymi synami miał więcej czasu na wyprawy wojenne. Kiedy synowie osiągnęli wiek męski i ojciec dawał znak skinieniem głowy, palili fajkę w odpowiedzi na zadane pytanie, zarówno w wigwamie ojca, jak w innych wigwamach, i stali się dobrymi wojownikami. Byli niezmordowani w swoich wyprawach i zdobywali dużo koni, więcej niż tracili, a wracając z łupem zawsze dawali jednego z najlepszych Niedźwiadkowi, żeby on też miał konie i w specjalne dni świąteczne mógł obdarowywać innych, jak to było w zwyczaju. Szanowali go za odwagę na łowach i pełną spokoju godność obejścia przy ognisku domowym. Silna Lewa Ręka był dumny i przyjaźni łączącej jego rodzonych synów z przybranym synem, którego wziął pod swój dach. Ale nie mógł zrozumieć i jego synowie nie mogli zrozumieć, czemu ich przybrany syn i brat nie chce palić fajki wojennej. Niedźwiadek sam nie mógł tego zrozumieć. Cieszył się, że jego przybrani bracia wyrośli na dobrych wojowników i dzięki temu zdobywają bogactwo, sławę i szacunek u mieszkańców wioski. Ilekroć jednak krążąca fajka trafiała do jego rąk i Niedźwiadek pytał własnego serca, co robić, nie dochodziło w nim do głosu pragnienie zdobycia sławy w taki sposób. Byk tylko świadomość różnicy, której nie umiał wytłumaczyć.

W odległości trzech mil od wioski, w zagłębieniu falistej prerii, powracająca zwycięsko wyprawa zatrzymała się, żeby przygotować niespodziankę i zaskoczyć mieszkańców tryumfalnym wjazdem. Zabili bizona i ściągnęli z niego duży płat skóry. Wbili patyki w ziemię i rozpięli na nich skórę w taki sposób, że w środku powstało zagłębienie, coś w rodzaju kociołka do gotowania. Spuścili krew zabitego zwierzęcia do kociołka. Zerwali pęki rajgrasu. skręcili je mocno, nadpalili końce i wsypali popiół do bizoniej krwi. Po wymieszaniu powstała z tego ciemna i gęsta masa. Wtedy wojownicy zdjęli odzienie i rozłożyli je na ziemi. Jeden ze starszych mężczyzn wziął patyk i zaostrzonym końcem i maczając go w farbie zaczął rysować wzory na odzieniu. Pracując pouczał młodszych mężczyzn tłumacząc im, czemu stawia ten czy inny znak i jakimi ruchami ręki należy je rysować. Powiódł równoległe linie w poprzek odzienia, a między nimi narysował tropy wilka i niedźwiedzia, oraz inne znaki, które

nie były tropami zwierząt, ale miały swoją własną wymowę, Po wyschnięciu farba pociemniała i przywarła mocno do odzienia.

Kiedy odzienie było już pokryte rysunkami, wojownicy spalili kilka małych krzewów i poczernili sobie twarze popiołem. Młodsi mężczyźni poprzestali na pasach na czole i policzkach, starsi pokryli nim cale twarze. Teraz ubrali się dokładnie tak, jak byli odziani podczas wyprawy na wroga. Dosiedli swoich koni bojowych, a pozostałe prowadzili na linkach splecionych z niewyprawionej skóry. Wyjechawszy na ostatnie wzniesienie przed wioską, ruszyli pędem w dół ku kręgowi wigwamów wznosząc okrzyki wojenne.

Była to chwila radosnego podniecenia, chwila, którą wojownicy długo pamiętali. Cała wioska — mężczyźni, kobiety, dzieci, psy — wybiegła przywitać bohaterów; wszyscy krzyczeli, psy ujadały. Ponieważ pędzili galopem, nie zatrzymując się na wzniesieniu i nie dając znaków powiewającymi na wietrze opończami, oczekujący wiedzieli, że nie było strat w ludziach. A ponieważ prowadzili dużo koni, cała wioska wiedziała, że zdobyli bogactwo i sławę. Ludzie obejmowali wojowników i pomagali im zsiąść z koni. Obrzędowi śpiewacy wmieszali się w tłum intonując pieśni o bohaterach. Rozradowani i pełni dumy krewni wojowników rozdawali podarki wśród tych, którym się nie poszczęściło, bo członkowie ich rodzin nie uczestniczyli w wyprawie.

Niebawem rozpoczęto przygotowania do uczty. Dzieci biegały od wigwamu do wigwamu z ustnymi zaproszeniami. Wszędzie podsycano ogień i teraz przez otwory dymne strzelały w wieczorny zmierzch snopy iskier. Blask ognia padając przez otwarte wejścia do wigwamów rysował w gęstniejących ciemnościach kolisty kształt wioski. Powietrze wypełniło się odgłosem bębnów — największe bębny dudniły tam, gdzie tańczono obrzędowy taniec, mniejsze terkotały do wtóru pieśni towarzyszących grom hazardowym, przerywany szybki werbel zaznaczał każdą chwilę napięcia w dużym wigwamie, gdzie wojownicy z dwóch współzawodniczących ze sobą grup snuli opowieści o swych walecznych czynach.

Ożywienie panowało w wiosce do późnych godzin nocnych. W końcu przygasły ogniska. Ludzie porozchodzili się do swoich wigwamów i poszli spać. Umilkły bębny i terkot grzechotek, słychać było tylko miłosną pieśń wygrywaną na flecie przez jakiegoś młodzieńca, który krążył w pobliżu wigwamu swojej ukochanej. W końcu piosenka też ucichła. Odpłynęły w mrok ostatnie głosy, ucichło niespokojne siąpanie koni uwiązanych obok wigwamów, psy zwinęły się w kłębek na swoich ulubionych miejscach w piasku. Ostatni żar ognisk zamigotał i zgasł; wieś spała pogrążona w ciszy — nieodłączna cząstka bezmiernej prerii wznoszącej się faliście ku wzgórzom i potężnym, świetlistym szczytom gór wyżynnego pogranicza.

Niedźwiadek nie mógł zasnąć. Leżał na posłaniu z rozpiętych prętów wikliny przykrytych matą z sitowia tuż za otworem wejściowym. Łagodny blask pełni księżyca przyzywał go do siebie. Niedźwiadek wstał, wysunął się cicho z wigwamu i szedł przez wioskę, aż zawędrował na otwartą przestrzeń prerii. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami w wysokiej trawie i słuchał szmeru poruszającego ją nocnego wiatru. Wpatrzył się w księżyc.

Czas płynął, a on siedział nieruchomo. Gdzieś w oddali zawył kojot, odpowiedział mu inny, i jeszcze inny. Przeciągły, żałobny lament zatoczył krąg nad horyzontem i umilkł; zapadła znów cisza. Ale nie była to cisza bez dźwięków, w szumie traw Niedźwiadek słyszał głosy Maijun, duchów mieszkających w ziemi.

— Co go tak nęka, tego śmiertelnika — mówiły duchy — że nie może być jak inni ludzie? Walczy z potężnym bizonem, nie boi się jego potężnych rogów, ale z nieprzyjaciółmi swojego plemienia nie chce walczyć. — Strzęp obłoku przesunął się przez tarczę księżyca, a Niedźwiadek wciąż się w nią wpatrywał i wciąż słyszał głosy ziemnych duchów. — Głowę ma aż ciężką od myśli — mówiły — a te myśli sprzeciwiają się starodawnym obyczajom. Trzeba, żeby ulżył głowie przez ofiarę głodu.

Niedźwiadek długo zastanawiał się nad tymi słowami, aż w końcu wiedział, co ma robić. Wstał i wrócił do wigwamu. Wziął tylko to, co niezbędne — fajkę, kapciuch, pełen tytoniu, mały woreczek suszonego mięsa. Umieścił podwójne płaskie poduszki, które Indianinowi zastępowały siodła, na grzbiecie pomalowanego konika i odjechał ku wschodzącemu słońcu.

Jechał cały dzień i całą następną noc. Zatrzymywał się tylko po to, żeby ugasić pragnienie, chwilę odpocząć i puścić konia na popas. Nazajutrz koło południa dotarł do wioski, której szukał. Rozpoznał wigwam po wymalowanych znakach. Przed wejściem młoda kobieta gotowała polewkę w małym kociołku. Wyminął dziewczynę, wszedł do środka, zrobił krok w prawo i czekał. Z posłania w głębi, podparty na stosie opończy ze skór bizona, starzec spojrzał na niego błyszczącymi oczyma osadzonymi w pomarszczonej, bezzębnej twarzy — starzec czcigodny, którego imię brzmiało Stojący Całą Noc, najstarszy ze wszystkich Czejenów, tak stary, że nikt nie potrafiłby zliczyć jego lat czy sięgnąć pamięcią do dnia jego urodzenia. W swej starości mógł się pożywiać tylko płynnym pokarmem, a poruszać tylko podparty przez swoich dwóch krzepkich prawnuków.

Starzec wskazał miejsce na ziemi u swoich stóp. Niedźwiadek zaczął iść ku niemu pamiętając, ze należy obejść ognisko, a nie wysuwać się między nie i gospodarza. Usiadł na ziemi i podniósł wzrok. Sięgnął po płonący patyk i zapalił fajkę. Kiedy zaczął się z niej wydobywać dym, wyciągnął fajkę przed siebie, cybuchem do góry. Starzec wziął ją od niego. Wsunął cybuch w usta.

Wiele razy Stojący Całą Noc wciągał aromatyczny dym w stare płuca i wypuszczał go w powolnym rytmie. Kiedy tytoń wypalił się, zwrócił fajkę Niedźwiadkowi. Jego głos był stary, był echem dźwięku wydobywającego się ze zwiędłej piersi...

— Mój przyjacielu. Czego chcesz ode mnie?

I Niedźwiadek wyrzucił l siebie słowa, które jadąc tu po wielokroć powtarzał w myślach.

— Pragnę prosić cię, starcze, żebyś poszedł ze mną na wzgórza.

Zaledwie Niedźwiadek wypowiedział te słowa, ogarnął go wstyd. Młodzieniec pragnący dopełnić ofiary powinien uprosić człowieka starszego i doświadczonego, by go pouczył i poszedł z nim, i zaprowadził na

właściwe miejsce, a potem, kiedy dopełni się wyznaczony czas; wrócił po niego i sprowadził go ze wzgórz. A on, tylko przybrany syn z małej, dalekiej wioszczyny, który nigdy nie opowiedział historii o walecznych czynach i nie miał nawet prawdziwego imienia, nadanego mu przez dziadka czy stryja, zwrócił się ze swoją prośbą do tego starca, tego czcigodnego człowieka imieniem Stojący Całą Noc, który nie mógł się już oddalać od swego wigwamu, nawet kiedy podpierały go silne ramiona prawnuków.

Uczucie wstydu było jak kamienie w piersi Niedźwiadka. Spuścił głowę, wzrok utkwił w ziemi. Ale na dźwięk głosu Stojącego Całą Noc podniósł znów głowę.

— Mój przyjacielu, spójrz na mnie. — Spojrzał na Stojącego Całą Noc i starzec dostrzegł w jego twarzy coś, czego inni nie widzieli. — Mój przyjacielu, jesteś tym dzieckiem, które miało księżyc w oczach. Co cię nęka? — I teraz Niedźwiadek mógł już mówić, bo miał przed sobą człowieka, który przekłuł mu uszy, a jego stary glos brzmiał przyjaźnie.

Mówił o różnicy, której wciąż jest świadomy. Mówił o myślach, od których ciąży mu głowa.

— ... bo człowiek ma klacz — mówił — a klacz ma źrebaka. Przez cztery pory roku człowiek musi czekać, aż źrebię się urodzi i trzy razy po cztery pory roku musi czekać, aż źrebię podrośnie i stanie się dobrym koniem. A przecież człowiek jedzie na tym koniu na wojnę i koń może być zabity śmigającą strzałą albo pchnięciem dzidy. Albo jest tak, że człowiek zabiera konia nieprzyjacielowi. A przecież ten nieprzyjaciel też musiał czekać cztery pory roku, aż jego klacz wyda na świat źrebaka, a potem jeszcze dwa albo trzy razy po cztery pory roku, aż ten źrebak urośnie i stanie się dobrym koniem. I traci go w mgnieniu oka. — Po chwili Niedźwiadek ciągnął dalej. — Czasem, jak mężczyźni palą fajkę i wychodzą na ścieżkę wojenną, może się zdawać, że są dziećmi i bawią się w jakąś grę. Ale to jest gra, która może przynieść rany i żałobne zawodzenia w jednej albo w drugiej wiosce. Polowanie też może przynieść rany i żałobne zawodzenia. Ale polowanie to nie jest to samo.

Niedźwiadek mówił. A kiedy zbrakło mu słów, umilkł i cisza wypełniła wigwam, Stojący Całą Noc bardzo długo siedział bez ruchu.

— Przyjacielu — powiedział — jeden człowiek nie zdoła zmienić plemienia. I to dobrze. Inaczej nieustannie coś by się zmieniało w taki czy inny sposób i wielka niedola nękałaby ludzi. Należy się, żeby człowiek postępował tak, jak mu nakazują obyczaje jego plemienia. Należy się też, żeby człowiek nie robił niczego, co mu robić zakazuje serce. Trudna to sprawa. Człowiek musi być pewien, że jego serce mówi prawdę. — Stojący Całą Noc opadł znów na stos opończy ze skór bizona Zamknął oczy, a kiedy je zamknął, zdawać się mogło, że światło życia uszło z jego twarzy, leżał jak skamieniały w bezruchu. Otworzył znów oczy. Teraz była w nim nowa siła. — Mój przyjacielu. Mój dziwny, mały chłopcze, którego przyzywa księżyc. Musisz pójść na wzgórza, żeby złożyć ofiarę głodu. Pójdę z tobą. Te stare kości i strzępy ciała, które się jeszcze na nich trzymają, zostaną tutaj i będą się żywić polewkami gotowanymi przez moją prawnuczkę. A przecież będę z tobą. Uczynisz tak jak mówię, a kiedy wilk zawyje i inny mu nie odpowie, słuchaj uważnie, bo będę z tobą...

Teren wokół Niedźwiadka wznosił się ku górze, ale nie raptownie, tylko faliście. Strumień z lewej płynął wijąc się w dół stoku, który Niedźwiadek zostawił za sobą. Szedł wolno, bo nogi miał krótkie, a jego pomalowany konik znajdował się w odległości dwóch dni drogi na wschód, razem z końmi przybranej rodziny na pastwisku obok wioski. Człowiek, który chce złożyć ofiarę, musi iść pieszo. Starzec zobowiązał Niedźwiadka swymi słowami, więc był posłuszny. Bał się, ale był posłuszny. Himmawihio, Mędrzec na Wysokości, mógł taki właśnie kraj, ze stromymi wąwozami wśród wysokich wzgórz i zawrotnymi zboczami potężnych gór w oddali, objąć swym dalekowidzącym wzrokiem, gdy spoglądał na ziemię i ludzi przez siebie stworzonych, Taki właśnie kraj, z dziwacznie ukształtowanymi skałami, które wnosząc się raptownie w górę zasłaniały żyzne pastwiska, mogły zamieszkiwać złośliwe Maijun, których największą uciechą było sprowadzanie na ludzi chorób i mieszanie im myśli w głowie. Bał się, ale szedł naprzód i nie oglądał się za siebie.

Dotarłszy do miejsca, gdzie strumień się rozwidlał, Niedźwiadek nie wiedział, którą drogę wybrać. Przypomniały mu się słowa starca. Zerwał źdźbło wysokiej trawy i trzymał je w wyciągniętej ręce. Choć powietrze było nieruchome, powiał nagle lekki wietrzyk i wygiął źdźbło wskazując na prawą odnogę. Niedźwiadek usłuchał tej wskazówki i poszedł prawym brzegiem strumienia, jak nakazuje obyczaj.

Dotarł do płaskiej skały wznoszącej się nad prawym brzegiem strumienia. Było to dobre miejsce. Wzgórza rozdzielały się ku wschodowi, więc będzie mógł spoglądać między nimi na daleki horyzont, gdzie co dzień wstaje słońce. Położył rzeczy na jednym brzegu skały — fajkę, kapciuch z tytoniem, patyki do rozniecania ognia i woreczek suszonego mięsa, którego nie wolno będzie mu dotykać przez następne cztery dni i cztery dzielące je noce. Zebrał naręcza trawy i ułożył z niej posłanie na płaskiej skale. Wyjął z kieszeni nóż, ów nóż ze stalową klingą nabyty przed wielu, wielu laty od białoskórego kupca, daleko na wschodzie, za wielką rzeką, nóż, który przekłuł mu uszy, kiedy był dzieckiem na ręku, a w tych jego uszach które miały być przekłute, rozbrzmiewał śmiały śmiech jego ojca i łagodny głos jego matki — nóż, który towarzyszył mu teraz na znak, że starzec jest blisko, Umieścił nóż na płaskiej skale, z ostrzem skierowanym na wschód, ku otwartej przestrzeni między wzgórzami. Położył się na trawiastym posłaniu i zwrócił twarz w kierunku, który wskazywał nóż.

Słońce zapadło za ogromną, jajowatą bryłę góry na zachodzie. Zmierzch rozpościerał się nad wzgórzami. Niedźwiadek wstał i skrzesał ogień za pomocą swoich dwóch patyków. Obracał między płasko złożonymi dłońmi jeden patyk, którego koniec tkwił w małej dziurze wywierconej w drugim spłaszczonym patyku, póki nie zaiskrzyło się sproszkowane łajno bizona, rozsypane dokoła brzegów dziury. Dmuchał na iskry okładając je suchymi gałązkami, aż buchnęły płomienie. Napełnił fajkę i zapalił. Wolno mu było to robić trzy razy w ciągu dnia — kiedy słońce wstawało, kiedy świeciło prosto nad głową i kiedy pochłaniał je horyzont. Ale nie wolno mu było jeść. Ani pić wody ze strumienia przepływającego tuż obok.

Leżał na trawiastym posłaniu na skale. Małe ognisko dopaliło się, zgasło. Ogarnęła go ciemność i teraz Niedźwiadek naprawdę się bał. Nocne wiatry pojękiwały od czasu do czasu w szczelinach dalekich skał i

górskie Maijun gadały, ale od nie rozumiał ich słów. Dygotał w chłodzie nocy i był naprawdę przestraszony. Zawył wilk, drugi mu odpowiedział, i jeszcze inny, wycie wzmagało się i przycichało płynąc przez dalekie kotliny. Niedźwiadek nasłuchiwał, ale była tylko cisza. Leżał nieruchomo i bardzo się bał. Nagle zawył wilk głosem potężniejszym i nie było odpowiedzi. Nasłuchiwał i teraz usłyszał i nie usłyszał, a przecież usłyszał niesiony nocnymi wiatrami starczy głos, jak gdyby echo wydobywające się z wyschłej piersi:

— Mój przyjacielu, wszystko dobrze. Jestem tutaj...

Była to noc bez snów. Spał, budził się, znowu zasypiał i był to dobry sen po zmęczeniu długą, pieszą wędrówką przez wzgórza. Następnego dnia, który był drugim dniem, leżał na posłaniu z trawy i słońce przenikało go swoim ciepłem, a głód jak ziemna wiewiórka szarpał mu wnętrzności. Starał się o tym nie myśleć i jego myśli poszybowały daleko nad wzgórzami i wróciły, ale teraz były spokojne. Leżał bez ruchu, a godziny płynęły nad nim powoli.

Tej nocy, która była drugą nocą, przyszły sny. Spadał w dół przez ciemność, potężny łoskot rozsadzał mu uszy. Krzyknął i zbudził się. Dygotał z zimna i jednocześnie pocił się ze strachu przed tym spadaniem. Zerwał się wietrzyk, owionął mu twarz i starł krople potu. Był jak dłoń, pomarszczona, stara, pocieszająca. Niedźwiadek zasnął i znowu śnił. Był w nieznanym miejscu. Gdziekolwiek spojrzał, wznosiły się dokoła niego ściany skalne. Zaczął iść i przeszedłszy przez skałę kroczył teraz po pięknej ziemi, a przed nim stał ładny, starannie wykonany wigwam i Niedźwiadek wiedział, że to jest jego wigwam, przy wejściu zaś stała kobieta przyzywająca go skinieniem ręki. Szedł ku niej, ale zniknęła, zniknął też wigwam i na ziemi leżał tylko stos żerdzi wigwamowych, a między nimi rosły małe krzewy. Bolesny smutek przepełnił Niedźwiadka, więc padł na ziemię bijąc w nią pięściami i nagle obudził się dygocąc w chłodzie nocnej mgły. Leżał twarzą w dół obok trawiastego posłania, na szorstkiej płaskiej skale, i dłonie go bolały od uderzania w twardy kamień. Wstał i zaczął chuchać w dłonie usiłując złagodzić ból. Położył się znów na posłaniu, z twarzą zwróconą na wschód, ku przełęczy między wzgórzami, Leżał bez ruchu i po jakimś czasie jego głowa uwolniła się od myśli. A wtedy górskie Maijun wypłynęły jak dym ze swoich kryjówek na dalekich skalnych urwiskach i otoczyły go kołem. Przybrały postać bizonów o rogach połyskujących w blasku gwiazd i rozjarzonych ślepiach.

— Czy to ten człowiek — spytał jeden — który nie chce być jak inni ludzie?

A drugi rzekł:

— Jemu się zdaje, że jest pokorny w tej swojej inności, ale w takiej pokorze kryje się wielka pycha.

Jeszcze inny spytał zwracając się do reszty:

— Czy zadamy mu chorobę, która sprowadzi na niego śmierć? — A znów inny odpowiedział: — Niech sobie żyje do końca wyznaczonych dni. To może być gorsze od powolnej śmierci.

Rankiem dnia trzeciego słońce przebijało się z wolna przez rozsnute nad wzgórzami mgły. Odzienie Niedźwiadka było przesiąknięte wilgocią. Tytoń w kapciuchu nie chciał się palić. Na ziemi w pobliżu skaty dojrzał tropy rozszczepionych kopyt bizona, co mu się wydało dziwne, bo Maijun są bezcielesne i nie pozostawiają odciśniętych w ziemi śladów. Leżał na posłaniu z traw i po jakimi czasie słońce zwyciężyło mgły i osuszyło jego odzienie, ale głód był udręką skręcającą mu wnętrzności. Kiedy słońce wspięło się na szczyt nieba, tytoń dalej nie chciał się palić, lecz głód tymczasem ustał. Minął bez śladu i Niedźwiadek czuł się teraz dziwnie lekki; kręciło mu się w głowie, jak gdyby się piął po skale na jakichś zawrotnych wysokościach. Jego ciało leżało na posłaniu, ale umysł hasał swobodnie i Niedźwiadek myślał i myślał o snach; wiedział bowiem, że to, co człowiek śni składając ofiarę głodu, musi się spełnić.

Słońce schodziło w dół ku wierzchołkowi góry o jajowatym kształcie, a powietrze zgęstniało od niewidocznych pogróżek. Słońce zapadło za wierzchołek góry, z nieba spłynęła i zawisła nad wzgórzami nieruchoma cisza, Dusza wróciła do ciała i Niedźwiadek wstał i rozniecił małe ognisko, co było bardzo trudne, bo zaledwie mógł utrzymać duszę w ciele, żeby kierowała jego ruchami. Tytoń wysechł i palił się dobrze, ale kiedy Niedźwiadek wciągnął dym w płuca, poczuł drapanie w wyschłym gardle i zawroty głowy. Położył fajkę obok na skale Siedział skulony nad ogniskiem i nagle cisza się skończyła. Wiatry wionęły z wielu stron, zderzały się ze sobą, wyły w górnych warstwach powietrza. Błyskawice wyskakiwały z czarnego mroku, a w oddali tańczyły kuliste pioruny. Pochylił się niżej nad ogniskiem i czekał na deszcz, ale deszcz nie przyszedł. Były tylko błyskawice przecinające niebo i lamentujący wicher. Gdzieś blisko zawył wilk, głosem głębokim — inny mu nie odpowiedział. Niedźwiadek nasłuchiwał i nagle szum wiatru stał się wołającym głosem.

— Idź za mną! — wołał głos. — Idź za mną!

Niedźwiadek podniósł się i stanął na chwiejnych nogach. Błyskawica rozświetliła mrok i wtedy go zobaczył — wilka z brzuchem tuż nad ziemią, odbiegającego w ciemność, z kulistym piorunem uczepionym ogona. Niedźwiadek bez zastanowienia pochylił się i zebrał swoje rzeczy — nóż, patyki do krzesania ognia, woreczek suszonego mięsa. Bez zastanowienia, bez wahań w mózgu opróżnionym z myśli, Niedźwiadek podążył za wilkiem.

Trudno było iść w ciemności. Tylko w krótkich błyskach piorunów wdział przed sobą drogę. W mięśniach czuł słabość, często padał i za każdym razem wstawał i szedł dalej, potykając się na swych krótkich nogach. I cały czas kulisty piorun wskazywał mu drogę, to znikając, to znów pojawiając się przed nim, Prowadził go brzegiem strumienia. Prowadził go dalej i nagle Niedźwiadek znalazł się przed stromą ścianą skalną, która poszarpanymi występami pięła się w górę i niknęła w ciemności. Teraz nie wiedział, w którą stronę zwrócić kroki, ale kulisty piorun pokazał się i lewej, na drugim brzegu strumienia i Niedźwiadek usłuchał. Z pluskiem przeprawił się przez płytką, wartko płynącą wodę i podążył dalej,

Teren, równiejszy teraz pod zwartą darnią, wznosił się lekko w górę i Niedźwiadkowi szło się łatwiej. Wiatr ucichł trochę i błyskawice ustały. Głowę miał lekką jak piórko, ale nogi ciężkie niczym z kamienia. Brnął dalej i w końcu wyszedł na rozległy płaskowyż. Zatrzymał się. Wycie wiatru było już tylko szeptem, a ciemność ogarnęła go nieprzenikniona Dojrzał gdzieś daleko w trawach migotliwe światełko i zaczął iść ku niemu, Światełko zgasło, ale Niedźwiadek szedł dalej przeszukując wzrokiem dalekie mroczne przestrzenie i nagle jego wysunięta do przodu lewa stopa napotkała próżnię. Runął w dół. Instynktownie obrócił ciało i uczepił się rękami skalnej krawędzi. Jego palce zacisnęły się na kamieniu i trzymały. Zawisł w mroczniejszej ciemności, jego myśli zawrotnie wirowały, bił nogami usiłując podciągnąć je i wczołgać się z powrotem na krawędź skały. Ale głodowanie odebrało siłę mięśniom. Wisiał w gęstym mroku i z wolna bezwład obejmował jego ciało. Palce ześlizgiwały się z kamienia, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Runął w dół, piętnaście stóp poniżej zawadził lewym biodrem o występ skalny i stracił przytomność, a jego ciało, odbiwszy się od ściany, koziołkowało teraz spadając w zupełnej ciszy, aż uderzyło w sam czubek sosny o rozrosłych konarach. Spadający ciężar połamał górne gałęzie i przedzierał się przez gęstwinę poniżej, torując sobie drogę w dół i jednocześnie tracąc szybkość. Gruby kobierzec zeschłego igliwia pod drzewem stłumił odgłos zderzenia się ciała z ziemią...

II

Człowiek wychodzi w blask księżyca na rozległe obszary prerii. Przemierza kilkoma krokami odległość między tym, co małe, znane i bliskie, a tym, co rozpościera się poza zasięgiem umysłu. Wszędzie dokoła otwierają się dale odpływające od niego. Nie ma dróg ani celu, do którego prowadzą drogi. Jest tylko ziemia, bezkresna i żywa, ziemia stękająca poza granice ludzkiego rozumu u do wciąż umykających horyzontów.

Człowiek zgina kolana i krzyżując nogi siada wśród wysokich traw. Krawędź świata podnosi się wokół niego. Poziom jego oczu obniżył się tylko o kilka stóp, ale człowiek jest teraz nieskończenie bliżej serca ziemi. Jest cząstką wielkiej ciszy żyjącej i oddychającej dokoła i w tej ciszy dociera do niego szept wiatrów pośród traw. Kryje się w tym starodawna magia prapoczątków człowieka...

Szepty wiatrów w trawie są glosami duchów mieszkających w ziemi — są nimi dla człowieka, który wie, że takie duchy istnieją. Duch przyjaciela w swej niewidzialnej postaci może przebyć wiele mil i stanąć przy boku człowieka, który mu ufa i wierzy w siłę jego przyjaźni. Nagle zrywający się wiatr, węże błyskawic przecinających niebo, zwierzę dostrzeżone w zygzaku światła rozdzierającego ciemność — wszystko to są znaki dla człowieka, który jest przygotowany na ich przyjęcie i zjednoczył się z otaczającymi go siłami przyrody.

To wszystko zaprowadziło Niedźwiadka do jego kanionu.

Jest tam teraz. Jest kupką połamanych kości i obolałego ciała, na grubym kobiercu zeschłych igieł pod rozłożystą sosną, na dnie małego kanionu daleko wśród wzgórz, które nie są wzgórzami, tylko górami wzdłuż południowego spiętrzenia masywów górskich na dalekim pograniczu. Jest iskierką ludzkiego życia w małej, otoczonej skalnymi ścianami krainie, której nie tknęła stopa ludzka i która należy tylko do niego.

Spadł deszcz. Chłodne krople zbierające się na gałęziach sosny i spadające w dół przywróciły świadomość udręczonemu ciału. Niedźwiadek poruszył się, przepłynęła przez niego fala bólu i zgasiła świadomość. Deszcz ustał. Brzask rozpostarł się nad równiną, przesączył się do kanionu, wstało słońce. Niedźwiadkowi z wolna wracała przytomność. Odzienie miał podarte, poszarpane. W wielu miejscach na ciele miał grudki zakrzepłej krwi. Prawą nogę miał podwiniętą pod tułów. Była złamana trochę powyżej kostki. Ból wzmagał się w jego piersi i ustępował, wzmagał się i ustępował przy każdym trudnym oddechu.

Długo wpatrywał się w gałęzie sosny nad głową. Kiedy się poruszył, słońce było już na szczycie nieba. Promienie bólu rozeszły się po całym ciele, ale życie było ruchem, więc się poruszył. Uniósł głowę i rozejrzał się. Nie pamiętał, co było przedtem. Nie pamiętał, że jest Niedźwiadkiem, przybranym synem Silnej Lewej Ręki, młodzieńcem, który wyszedł na Wzgórza, żeby złożyć ofiarę głodu. Był prostą, żywą istotą poszukującą rzeczy niezbędnych, by się utrzymać przy życiu. Jego wzrok spoczął na woreczku suszonego mięsa — leżał tam, gdzie upadł, kiedy on runął w dół oderwawszy się od skalnej krawędzi. Był niedaleko od niego. Niedźwiadek przeczołgał się na brzuchu. Leżąc próbował jeść, ale w ustach mu zaschło i nie mógł przełykać.

Usiadł. Znowu się rozejrzał. Z tej wysokości jego wzrok sięgał dalej. Zobaczył teraz strumień odległy o jakieś dwieście stóp. Znowu przewrócił się na brzuch. Trzymając zasznurowany woreczek w zębach wczepiał dłonie w ziemię i siłą rąk podciągał ciało do przodu, jednocześnie odpychając się lewą nogą. Jak robak pełznął do strumienia. Leżąc płasko z głową spuszczoną, chłeptał wodę. Powtórzyło się to samo. Nie mógł przełknąć. Zatrzymał wodę w ustach, uniósł głowę i odrobina spłynęła do gardła, a wtedy wyschłe mięśnie nasiąkły wilgocią i mógł już trochę przełknąć. Spuścił głowę i pił łapczywie, chyba zbyt łapczywie, bo zebrało mu się na wymioty, więc szarpnął ciałem i odczołgał się od strumienia. Wsunął rękę do woreczka z suszonym mięsem i znowu spróbował jeść. Szczęki miał obolałe i żucie było udręką. Ale suszone pieczone mięso, utarte na proszek, prawie nic wymaga żucia. Napełnił nim usta i konwulsyjnymi ruchami przełyku wpychał je do żołądka. Kiedy sięgał do woreczka po następną porcję, światło zniknęło mu sprzed oczu i znowu stracił przytomność.

W brzuchu miał wodę. Miał też trochę jadła. Chemia życia zaczęła działać w jego organizmie...

Światło dnia bladło w kanionie. Gęstniejąca ciemność wypełniła go po brzegi. Późny księżyc wypłynął cicho zza wzgórz i pokrył srebrem płaskowyż. Wspiął się wyżej i jego blade światło ześlizgnęło się po przeciwległej ścianie skalnej i wędrowało wolno dnem kanionu. Łagodny blask dotknął nieruchomej postaci ludzkiej nad strumieniem, przepełznął po niej. Człowiek drgnął, otworzył oczy. Stan nieprzytomności przeszedł w sen, po śnie przyszło przebudzenie, Człowiek spojrzał w górę na wędrujący księżyc.

Wiedział już teraz, kim jest. Był Niedźwiadkiem, przybranym synem Silnej Lewej Ręki, leżał na ziemi i tuż obok jego głowy łagodnie szemrał strumień. Upadek naprawdę się wydarzył. Niedźwiadek miał rany w wielu miejscach na ciele, prawa noga była złamana.

Nie wiedział, gdzie się znajduje. Ale księżyc w górze był tym samym księżycem, który przywołał go na prerię za wioską, żeby mógł posłuchać głosów Maijun. Nie zmienił się. Niedźwiadek miał zesztywniałe mięśnie. Poruszać się znaczyło rozbudzać ból. Ale z powrotem był mężczyzną, mógł zacisnąć zęby i walczyć z bólem. Pił wodę ze strumienia długimi, powolnymi łykami, Zjadł trochę suszonego mięsa, ale niedużo, bo woreczek był mały i już prawie pusty. Podpełzł do dużego głazu nad brzegiem strumienia i czepiając się go rękami podźwignął ciało w górę i stanął na lewej nodze. Rozejrzał się. Wszędzie dokoła widział wnoszące się ściany skalne, niektóre blisko, inne dalej, niektóre wysrebrzone księżycowym blaskiem, inne ukryte w mroku, ale wszystkie z litej skały i wszystkie bardzo strome. Było to dziwne i jednocześnie nie było dziwne. Księżyc płynął po niebie, jego łagodny blask przesuwał się dnem kanionu. Był teraz tuż obok najbliższej ściany skalnej. Przywoływał go, wskazywał na coś. Zamigotał na metalu leżącym tuż obok plamy cienia pod sosną o połamanych gałęziach, Niedźwiadek osunął się na ziemię i podpełzł do tego miejsca, wyciągnął rękę i zamknął dłoń na nożu — i dobrze było trzymać nóż w dłoni. Zaczął przeszukiwać ziemię dokoła i znalazł jeden z patyków do krzesania ognia, ten z twardego drzewa o zaostrzonym końcu. Nic mógł znaleźć drugiego, zaczął zbierać małe gałęzie i kawałki suchego drzewa, popychał je przed sobą na ziemi i układał stos. Pełzał jak gąsienica po ziemi i stos z wolna się powiększał. Ból w mięśniach przygasł, chociaż jeszcze mocno dokuczał, ale ból w złamanej nodze był nasilającą się udręką. Niedźwiadek walczył i nim mężnie i zbierał drzewo. Walczył z nim i w końcu poniósł klęskę. Dysząc ciężko przeturlał się na plecy, zadygotał i znieruchomiał...

Słońce spłynęło łukiem ponad obręcz wzgórz i złociste promienie zaczęły się ześlizgiwać po ścianie kanionu. Niedźwiadek, przybrany syn Silnej Lewej Ręki ukląkł obok stosu drzewa. Ciężar ciała oparł na lewym kolanie. Prawe kolano zaledwie dotykało ziemi i nie obciążone pomagało mu utrzymać równowagę. Wsunął między dłonie patyk z twardego drzewa i szybko nim obracał; zaostrzony koniec wirował w otworze, który wyżłobił w spłaszczonym kawałku miękkiej topoli. Maleńki wężyk dymu wydobył się z pokruszonych suchych igieł sosny wokół otworu. Niedźwiadek jeszcze

szybciej obracał patykiem i dym zgęstniał. Odrzucił patyk, pochylił się nisko i zaczął ostrożnie dmuchać na pokruszone igły. Rozżarzyły się czerwienią. Bardzo ostrożnie położył na wierzchu suche gałązki i znowu dmuchnął. Osłonił chwiejne płomyki dłonią i nic przestawał dmuchać. Kiedy płomyki strzeliły wyżej, dorzucił kilka większych gałązek. Ogień palił się teraz dziarsko i Niedźwiadek sycił go drzewem ze swojego stosu.

Słup dymu szedł prosto w niebo. Wzbijał się coraz wyżej i wyżej ponad ściany kanionu. Chybotał nad wzgórzami, kiedy rozwiewały go dzienne wietrzyki, i znów się prostował, gdy powietrze nieruchomiało. Byt to smukły, zwiewny sygnał wzbijający się w niebo.

Niedźwiadek leżał na ziemi i czekał. Kiedy leżał nieruchomo, ból w prawej nodze słabł i nie był już sztyletem dźgającym go przy każdym uderzeniu serca. Ogień przygasi, więc dorzucił drew. Oszczędnie gospodarował swoimi zapasami.

Całe rano aż do popołudnia leżał na ziemi, ale nikt nie przyszedł. Napił się wody ze strumienia, zjadł dwie garście suszonego mięsa. Znalazł obok nad strumieniem pędy dzikiej lukrecji, pokrajał je i zjadł. Leżał na ziemi i czekał. Przez cale popołudnie aż do wieczora czekał. Dym wyblakł i z wolna roztapiał się w mroku, aż w końcu zniknął. Niedźwiadek leżał nieruchomo i czekał, ale nikt nie przychodził...

Nie było komu przyjść.

Nikt w wiosce nie wiedział, że Niedźwiadek poszedł na swoją próbę głodową między dalekie wzgórza. Milczał przedtem jak grób, w obawie, że pójdą za nim złe moce. Nikt nie wiedział, że postąpił inaczej niż większość młodych ludzi składających ofiarę głodu. Idą oni na niewielki pagórek na falistej równinie, nie dalej niż pół dnia drogi od wioski, mając w zasięgu wzroku dymy jej ognisk. Nikt nie wiedział, że Niedźwiadek poszedł dalej, ponieważ jego pragnienie było większe, że poszedł na wysokie wzgórza, w głąb tych wzgórz, na których Maijun są potężniejsze, a sny gwałtowniejsze. I nie towarzyszył mu żaden doświadczony stary człowiek, by wybrać dla niego odpowiednie miejsce i wrócić po niego, gdy dobiegną kresu wyznaczone dni, Towarzyszy! mu tylko duch starca, wielkiego starca imieniem Stojący Całą Noc, którego wiekowe kości z resztką wciąż trzymającego się na nich ciała, znajdowały się gdzieś daleko na wschodzie, pielęgnowane w ostatniej śmiertelnej słabości przez współczującą prawnuczkę.

Nikt nie mógł przyjść. Żadni myśliwi z żadnego plemienia nie uganiali się teraz za bizonami po wzgórzach, nawet po tych niższych, obrzeżnych wzgórzach. Wszyscy byli na otwartej prerii podążając za głównymi stadami, które rozpoczęły już swoje późnowiosenne wędrówki. Dopiero jesienią powrócą znowu między wzgórza, by ścinać drzewo na żerdzie do wigwamów i zbierać kamienie na groty do strzał. Ale nie zapuszczą się tak daleko.

W łagodnym blasku księżyca, który płowiał, żeby zniknąć i znów się odrodzić, Niedźwiadek przystąpi! do opatrywania nogi. Objął dłońmi skręcone ciało i natychmiast poczuł dojmujący ból, Zrozumiał, że musi

mieć wszystko przygotowane, zanim zrobi coś więcej. Wyszukał w stosie drewna i ostrugał nożem pięć krótkich patyków grubości mniej więcej środkowego palca. Odciął strzępy nagolennika z prawej nogi i pokrajał płat zniszczonej skóry na wąskie paski. Ujął prawą nogę w ręce, zaciskając jedną dłoń poniżej, a drugą powyżej miejsca złamania. Było to czyste złamanie, ale końce kości zaszły na siebie. Rozciągał kości rękami, zaciskając zęby na kawałku skóry i dalej rozciągał kości rękami. Usłyszał zgrzyt i w jego mózgu rozbrzmiały bezsłowne okrzyki bólu, aż wreszcie końce kości się zeszły i noga była prosta od stopy do kolana. W pośpiechu, żeby zdążyć, zanim ogarnie go ciemność, przywiązał pięć patyków umocowanych wzdłuż nogi skórzanymi paskami i mocno zacisnął węzły. Ból przepływał falami przez udręczone ciało i każda następna fala była potężniejsza od poprzedniej, aż w końcu jedna powaliła Niedźwiadka. Runął na plecy i znieruchomiał...

Przez cały ranek Niedźwiadek, przybrany syn Silnej Lewej Ręki, podsycał na nowo rozpalone ognisko i czekał z nadzieją w sercu. Ale nie wyczekiwał bezczynnie. Trzymając w rękach gruby kij poruszał się na lewej nodze. Kiedy znalazł to, czego szukał, usiadł i wyciągnął nóż. Pokrajał na kawałki sporo pędów dzikiej lukrecji. Wygrzebał z ziemi korzenie *pomme blanche*, podobne do słodkich kartofli. Były jeszcze niedojrzałe, drobne i bardzo twarde, ale miały w sobie życiodajne soki. Znalazł też kilka krzaków dzikiego agrestu z niewielkimi zielonymi owocami. Usypał ze swojej zdobyczy mały kopczyk tuż obok strumienia i położył przy nim resztkę suszonego mięsa, ale więcej zrobić nie mógł.

Nie mógł zrobić więcej, bo opuchlizna na nodze powiększała się rozpychając patyki i skórzane wiązadła i ból był teraz czymś więcej niż bólem, był udręką mroczącą myśli. Ciało, poszarpane ostrymi brzegami złamanej kości, jątrzyło się pod skórą i rozpychało ją złowrogimi cieczami. Niedźwiadek zapomniał dorzucić drew, więc ognisko dopaliło się i zgasło. Padł na ziemię. Tarzał się i zaciskał dłonie na kępach trawy. Potem leżał na plecach wpatrzony w niebo, a świadomość to go opuszczała, to do niego wracała i czas płynął nad jego głową...

Cienie wieczoru objęły kanion w posiadanie. Wieczorne wiatry wędrowały po płaskowyżu szepcząc między sobą gdzieś wysoko w górze. Niedźwiadek leżał nieruchomo i ból w nodze pulsował w rytmie jego serca, a gorączka rozpalała mu krew. Daleko na wzgórzach zawył wilk głosem niskim, żałobnym, przeciągłym i nie było odpowiedzi. Niedźwiadek nasłuchiwał, ale nic nie przerywało ciszy. Znowu zawył wilk, głosem głębokim, i wycie niesione wiatrem przeszło w lament i odpłynęło w dalekie przestrzenie. Niedźwiadek nasłuchiwał daremnie. Nie było nic prócz cichych westchnień wiatru pod pustym sklepieniem nieba.

Ciemność zawładnęła kanionem. Niedźwiadek leżał nieruchomo i katusze bólu sprawiły, że jego mózg, w otępiającej goryczy, uderzał o czaszkę. Uderzał jak maczugą i spychał go w coraz mroczniejszą ciemność.

Nocne wiatry wędrowały nad płaskowyżem. Nie zapuszczały się w głąb kanionu, a tylko wysyłały zwiadowcze jazgoty przez pęknięcia w skalnym obrzeżu, i one to chichotały gawędząc między sobą głucho brzmiącymi glosami. Skalne Maijun wypłynęły jak mgła ze swoich kryjówek i zaczęły

szukać Niedźwiadka. Szukały przybrawszy postać królików i wreszcie go znalazły. Skakały po trawie i drwiły z niego. Natrząsały się z Niedźwiadka wybuchając dziwacznym, dręczącym śmiechem, który był straszniejszy od wszystkich znanych mu dźwięków. Ich długie uszy sterczały sztywno, śmiech dźwięczał w nocnym powietrzu.

— Spójrzcie na tego tu! — wołały. — Walczy z gniciem w nodze i umiera ze strachu. — Uszy zaczęły im się wyciągać do góry jak słupy dymu bijącego w niebo. — Ale to gnicie jest nie tylko w jego nodze — wołały. — Jest jeszcze strach gnijący w jego duszy.

Ból pulsował. Maijun chichotały i nagle gdzieś w samym wnętrzu Niedźwiadka, gdzie znajdowało się siedlisko życia, zaczął narastać gniew, aż wypełnił go całego. W jego mózgu rozbrzmiał potężny krzyk i z trudem przyoblekł się w słowa.

— Mam na ustach śmiech mojego ojca, dzielnego wojownika. Pluję na was! — i Maijun pierzchły i roztopiły się we mgle, a Niedźwiadek siedział na ziemi i trzymał w ręce nóż — ten sam nóż, który znał dotyk dłoni Stojącego Całą Noc, ten sam nóż, który przedziurawił mu uszy i nie był już obcy jego ciału. Niedźwiadek uniósł rękę, pochylił się i wbił ostrze w opuchliznę na prawej nodze. Ból był niczym strzelający nagle płomień, lecz, mimo to Niedźwiadek obrócił ostrze tkwiące w ciele i poszerzył otwór, a wtedy z rany chlusnęła złowroga ciecz, gęsta i cuchnąca. Przeczołgał się do strumienia i leżał teraz na samym jego brzegu. Zsunął nogę z niewysokiej skarpy; zanurzył ją w chłodnej, wartko płynącej wodzie.

Woda pochodziła z niezliczonych strużek wśród wysokich gór — spuścizna zimowych śniegów na podniebnych szczytach. Strużki te łączyły się i razem spływały ze stoków, inne zasilały je w ich długiej drodze. Woda była przezroczysta i czysta. Odświeżała się nieustannie w czystym powietrzu, przebywając skalne progi i bystrym nurtem wijąc się wśród głazów. Zostawiwszy za sobą zbocza wypływała na płaskowyż. Powolna teraz, płynęła leniwie budując i przebudowując, i wciąż zmieniając małe, pomarszczone ławice piachu między swymi trawiastymi brzegami, aż w końcu ześlizgiwała się gładko z krawędzi kanionu tworząc w dole małe rozlewisko. Z rozlewiska płynęła dnem kanionu łagodnie wijącym się nurtem, by zniknąć w szczelinie skał na jego szerszym i niżej położonym krańcu. Zimna, czysta, krystaliczna obmywała nogę Niedźwiadka, a płynąc dalej unosiła ze sobą gnijące cząsteczki ciała.

Trzy dni leżał Niedźwiadek nad brzegiem strumienia. Był bardzo slaby. Pił czystą wodę. Pożywiał się i małego kopczyka zapasów. Bardzo dużo spał. Często obmywał nogę w świeżej, chłodnej wodzie i w końcu dostrzegł pierwsze oznaki gojenia. Badał wciąż wzrokiem otaczającą go przestrzeń. Wszędzie dokoła widział wznoszące się stromo skalne ściany kanionu.

Wczesnym rankiem pierwszego z tych trzech dni wypatrzył bizony, kilka kosmatych, garbatych kształtów między niskimi krzakami i kępami drzew w najniżej położonej, najszerszej części kanionu, gdzie rosła soczysta trawa. Policzył je. Był stary byk, młody byk, pięć krów i cztery

cielęta, razem jedenaście sztuk. Na ich widok serce radośnie skoczyło mu w piersi. Jak tylko poczuje się silniejszy, pójdzie ich tropem i one wskażą mu drogę wyjścia z kanionu. Ale wieczorem trzeciego z tych dni zaczął go gnębić niepokój. Wciąż tam były, wciąż w tej samej liczbie, wciąż te same bizony. Kręciły się tu i tam na przeciwległym, niżej położonym krańcu kanionu. Wędrując brzegiem strumienia podchodziły blisko niego, a kiedy zaczynał krzyczeć i wymachiwać rękami, parskały i oddalały się. Ale wciąż były na tym samym miejscu.

Rankiem czwartego dnia rozsupłał węzły na prawej nodze, poprawił patyki i znowu je umocował. Wziął kilka wąskich pasków skóry i powiązał je w taki sposób, że powstała cienka linka. Na jednym końcu zrobił niewielką pętlę na kostkę prawej nogi, na drugim dużą pętlę, która obejmowała jego ciało od lewego ramienia do prawej pachy. Kiedy wstał opierając się na grubym kiju, sięgającym czubka głowy, linka utrzymywała prawą nogę tuż nad ziemią. Dzierżąc kij mocno w obu rękach i stawiając go przed sobą, opierał na nim cały ciężar ciała i skakał na lewej nodze. Zostawiał za sobą dziwaczne tropy na brzegu strumienia — najpierw ślad mokasyna, potem okrągła dziurka, i znów ślad mokasyna. Ale nie człapał już zgięty w pałąk. Trzymał się prosto, jak powinien się trzymać mężczyzna.

Pokuśtykał do najbliższej ściany skalnej i u jej podnóża rozpoczął obchód kanionu. Zajęło mu to cały dzień. Szedł wolno i często odpoczywał. Żuł zabrane ze sobą korzonki. Bizony spoglądały na niego, obserwowały go, skubały trawę i trzymały się z daleka. Ani się go nie bały, ani nie były rozzłoszczone, Okazywały tylko pewną nieufność wobec tego nowego, nieznanego stworzenia.

Dotarł do szczeliny w skale, gdzie znikał strumień. Była wąska i strumień niemal ją wypełniał. Krocząc jego dnem człowiek mógł się przecisnąć zaledwie na kilka stóp w głąb i zaraz skała zamykała mu drogę.

Dotarł do sadzawki na przeciwległym krańcu. Woda spadała pionowo w dół z krawędzi wysokiej skały, W powietrzu unosiły się opary, w których jaśniała tęcza. Było to bardzo piękne. Ale skała obok wodospadu i za nim była gładka i stroma jak w innych miejscach.

Skończył obchód. Koło się zamknęło i nigdzie nie natrafił na ślad ścieżki prowadzącej w górę, na płaskowyż. Nigdzie nie znalazł miejsca, w którym człowiek, nawet człowiek na dwóch silnych nogach, mógłby się wspiąć po stromej ścianie i wydostać na jej krawędź. Z kanionu nie było wyjścia.

Niedźwiadek siedział obok wodospadu i sadzawki na płaskim głazie; z tej wysokości mógł obserwować całe dno kanionu. Czuł swędzenie w nodze i to swędzenie go cieszyło. Był to znak, że noga szybko się goi. Nosił tylko opaskę na biodrach i rzemień męskości wokół pasa, do którego była przyczepiona opaska. Ciepłe promienie letniego słońca grzały mu ciało. Miał jedzenie. Agrest już się skończył, a pędy dzikiej lukrecji mniej mu smakowały, odkąd straciły liście. Za to *pomme blanche* były teraz większe, miększe i smaczniejsze niż dotąd. I wszędzie rosło pełno ostów, których łodygi, po ściągnięciu skóry i kolców, były miękkie i słodkie. Miał poza tym ryby ze strumienia, łowione sposobem wszystkich chłopców: wbijał patyki w muł na dnie budując od brzegu do brzegu półkolistą tamę i błyskawicznymi ruchami złożonych dłoni wybierał ich tyle, ile zdążył,

zanim czmychnęły wszystkie w górę strumienia. Miał nawet napój z dzikiej mięty, gotowany nad ogniskiem w kociołku, który sporządził z woreczka po suszonym mięsie. Pożywiał się tym wszystkim, a raz schwytał nawet królika w sidła, ale mimo to jego mięśnie nie odzyskały dotąd siły.

Nie wróciła mu siła, bo nie miał tego, czym powinien się żywić mężczyzna. Nie miał prawdziwego mięsa. Nie miał nagromadzonej siły mocnego zwierzęcia, którą jego ciało przetworzyłoby we własną siłę. A tuż obok, uwięzione jak on na dnie kanionu, to mięso przechadzało się, skubało trawę, patrzyło na niego ciekawie — i było niedostępne.

Przyglądał się temu wędrującemu tam i z powrotem mięsu — stary byk, młody byk, pięć krów i cztery podrastające cielęta. Widział silne nogi, na których bizon mógł prześcignąć każdego człowieka, choćby o najdłuższych nogach. Widział siłę, która rozbudzona gniewem mogła powalić na ziemię człowieka niczym łodygę zielska, a polem stratować na błotnisty krwawy placek. Widział ostre rogi, które mogły wbić się niby dzida w ciało człowieka i cisnąć go martwego na odległość dwudziestu stóp.

Zebrał całą skórę, jaką miał, wszystko, co zostało z jego nagolenników z ich poszerzającymi się ku dołowi klapami, które poruszały się przy każdym kroku; wszystko, co zostało z poszarpanej koszuli, która sięgała do pół uda i miała z tyłu duży, podwójny płat skóry przykrywający plecy i zwisający luźno. Pokrajał to wszystko na wąskie paski. Kiedy je powiąże mocnymi supłami i splecie, powstanie z tego mocna lina, kostropata i nierówna, ale mocna.

Cały dzień poświęcił na sporządzanie liny. Ostatnie paski przeznaczył na inny cel. Przywiązał nimi rączkę noża do końca swojej solidnej laski, ciągając je bardzo mocno i wielokrotnie umacniając węzłami w taki sposób; żeby się nie zsunęły. Kiedy zapadał zmrok, miał gotową linę długości pranie czterdziestu stóp, splecioną z trzech warkoczyków i miał dzidę sięgającą mu wyżej głowy, zakończoną żelaznym spiczastym ostrzem.

Rankiem poszedł w dół strumienia, skacząc na jednej nodze i podpierając się dzidą; wziął ze sobą linę, którą okręcił się w pasie. W połowie kanionu przystanął. Znał to miejsce. Przez kilka dni obserwował bizony z wysokości swojego głazu i znał ich zwyczaje. Noc spędzały pod skalną ścianą w niżej położonej części kanionu. Rankiem pasły się przechodząc z wolna na otwartą, trawiastą przestrzeń. Koło południa zbierały się nad strumieniem, gasząc pragnienie i pławiąc się w wodzie, bo właśnie tutaj, wśród zarośli, znajdowało się rozlewisko dość głębokie, by mogły znaleźć ochłodę. Wydeptały sobie ścieżkę prowadzącą przez gęste krzaki do rozlewiska. Druga ścieżka prowadziła z rozlewiska na trawę i dalej w górę kanionu, Sadzawkę opuszczały zawsze tą drugą ścieżką. W miejscu, gdzie wychodziła na otwartą przestrzeń, krzaki były gęste i u góry sklepione, tworząc jakby wylot tunelu. Obok rosło krzepkie drzewo.

Tutaj zatrzymał się Niedźwiadek. Zrobił bardzo małą pętlę na jednym końcu liny i przeciągnął przez nią drugi koniec. Miał teraz przesuwaną, zaciskającą się pętlę. Bardzo ostrożnie powiesił ją na krzakach tunelu, w taki sposób, że obramowała wylot. Bardzo ostrożnie przeciągnął linę w taki sposób, że u góry i po bokach ukryły ją liście, w miejscu zaś, gdzie biegła dołem w poprzek ścieżki, zgarnął na nią ziemię. Bardzo ostrożnie poprowadził luźny koniec liny przez krzaki i przywiązał ją tuż nad ziemią do

pnia drzewa. Bardzo ostrożnie położył się za drzewem, ale w taki sposób, żeby mu nie zasłaniało widoku. Od strony ścieżki kryły go gęste zarośla. Widział wylot tunelu i mógł sięgnąć wzrokiem kilka kroków w głąb — i było to wszystko, ale zarazem było to dość. Leżał nieruchomo mając u boku dzidę zakończoną stalowym ostrzem.

Był bardzo cierpliwy. Przeczekał cały ranek i teraz słońce świeciło prosto nad jego głową. Usłyszał stąpanie bizonów wyruszających nad wodę. Usłyszał je na pierwszej ścieżce; najpierw szedł jeden, potem drugi, inne za nimi, Usłyszał ich pluskanie w wodzie. Czekał i po jakimś czasie usłyszał je na drugiej ścieżce. Wiedział, że pierwszy idzie stary byk, za nim młody byk, potem cztery krowy z cielakami. Wiedział, że idą pojedynczo ze względu na gęste krzaki. Kolejno przejdą przez pętlę. Krowa bez cielaka będzie ostatnia, będzie się wlokła w pewnej odległości za tamtymi. Poczeka na nią.

Zatrzymały się. Jedno za drugim zatrzymywały się na ścieżce i stały nieruchomo. Nie mógł ich dojrzeć przez krzaki i nie słyszał najlżejszego szmeru. Czekał. Nie usłyszał, ale wyczuł poruszenie, i nagle w wylocie tunelu pokazał się łeb i przednia część tułowia starego byka. Zobaczył potężny łeb z szerokim pyskiem okolonym brodą, która na karku rozrastała się w grzywę, zobaczył, małe ślepia i ostre rogi, i gruby, krótki kark, którego prawie nic było, i zarys zgarbionego grzbietu. Bizon stal nieruchomo, badał wzrokiem otwartą trawiastą przestrzeń. Czuł w nozdrzach zapach człowieka, chociaż dotąd tego zapachu tu nie spotykał, i był zaniepokojony. Nie oznaczało to niebezpieczeństwa, obecności wroga, z którym trzeba walczyć, czy przed którym trzeba uciekać, jeszcze nie, ale bizon był ostrożny i nie chciał ryzykować. Zrobił krok do tyłu. Jeszcze jeden krok, a wycofa się poza pętlę, Jeżeli teraz zawróci, nigdy już nie wyprowadzi swojego małego siada na tę ścieżkę.

Niedźwiadek nie mógł czekać dłużej. Błyskawicznym ruchem sięgnął za pień drzewa, pochwycił linę i szarpnął ją do tyłu i trochę w górę. Pętla, wyrwana spomiędzy krzaków i z ziemi na ścieżce, była teraz luźną obręczą na masywnym łbie, tuż za rogami u góry i pod brodą na dole. Stary byk skoczył w bok łamiąc z trzaskiem krzaki. Chciał zawrócić i uciec, a wtedy lina zsunęła się i zacisnęła na krótkiej szyi. Niedźwiadek chwycił dzidę i zaczął się turlać po ziemi, niebaczny na krzaki kalecząсe mu ciało, byle jak najdalej od drzewa. Usłyszał stukot kopyt pozostałych bizonów pierzchających przez krzaki i rozpryskujących wodę strumienia w ucieczce na przeciwległy kraniec kanionu. Niedźwiadek przestał się turlać i za pomocą kija, który był teraz jego dzidą, podźwignął się i stanął na lewej nodze.

Po drugiej stronie drzewa stary bizon tratował krzaki, wdeptywał je w ziemię. Szamotał się i lina z każdą chwilą mocniej zaciskała się na jego grubej szyi. Podskakiwał i rzucał się na boki, a przy każdym ruchu lina wrzynała się głębiej w sztywną sierść grzywy, pętla mocniej uciskała tchawicę. Byk rozorywał kopytami ziemię żłobiąc w niej głębokie bruzdy i jego ryk brzmiał przerażająco. Lina była napięta niczym cięciwa łuku, a węzeł mocno zaciśnięty na szyi. Ryk ucichł, z gardzieli zwierzęcia wydobywało się tylko ochrypłe bulgotanie. Jego małe. nabiegłe krwią ślepia zaszły szkliwem. Bizon potknął się, osunął na kolana, padł na ziemię. Ale kiedy przesunięty do przodu ciężar zelżał, rozluźniła się też

pętla. Potężne żebra zafalowały, zaświstało powietrze wciągnięte przez nozdrza. Bizon dźwignął się z trudem na nogi i stał kołysząc łbem i oddychając chrapliwie. Szkliwo zniknęło z oczu, bizon przysiadł na zadzie i skoczył do przodu, szarpnął się w tył i znowu zaczął rzucać się na boki, a pętla znowu wpiła się głębiej w jego szyję.

Niedźwiadek obserwował. Ogarnął go lęk. Nie był to lęk, jaki ogarnia czasem myśliwego i każe mu przerwać pościg. Niedźwiadek bał się, że lina nie wytrzyma takiego ponawianego wciąż szarpania. Skacząc na lewej nodze i podpierając się dzidą zatoczył koło i zaszedł byka od tyłu. Czekał, póki zwierzę nie stanęło znów kołysząc łbem i chrapliwie wciągając powietrze przez rozluźnioną nieco pętlę. Skoczył błyskawicznie naprzód. Kiedy znalazł się blisko i oparł ciężar ciała na lewej nodze, przesunął dłonie trzymające dzidę, uniósł ją, skierował ostrzem przed siebie i wbił w bok zwierzęcia tuż za potężną łopatką, napierając na dzidę całym ciężarem ciała. Bizon stanął dęba podrywając się jednym potężnym ruchem i lina trzasnęła, a Niedźwiadek, uczepiony dzidy, wyleciał w powietrze. Nagle rozwarły mu się dłonie, padł i zaczął turlać się po ziemi, a myśl o twardych kopytach i ostrych rogach wypalała mu dziurę pod czaszką.

Nie było tratujących kopyt. Nie było rogów dziurawiących ciało. Usiadł i rozejrzał się. Stary bizon leżał na ziemi i krwawa piana wyciekała mu z nozdrzy. Niedźwiadek umiejętnie wbił dzidę, jak prawdziwy myśliwy, mocno i głęboko. Kiedy lina nagle pękła, bizon, stanąwszy dęba, runął do tyłu i na bok, a wtedy koniec dzidy uderzył w ziemię i bizon własnym ciężarem wbił sobie ostrze głęboko w ciało.

Ognisko było żywą jasnością. Tańczące, radosne płomienie strzelały w górę, rozświetlając mrok. Bizon był nieruchomym, czarnym, zwalistym kształtem na ziemi Niedźwiadek siedział między ogniskiem a nieruchomą czernią bizona i przyglądał się strzelającym w górę płomieniom. Był najedzony, Prawa noga bolała go po nadmiernym wysiłku, ale opatrunek z krótkich patyków trzymał się należycie. Niedźwiadek był bardzo najedzony. Brzuch aż mu sterczał, tak był wypełniony jedzeniem, jakim powinien się żywić mężczyzna. Na jego dzisiejszą ucztę złożyły się najprzedniejsze przysmaki — ozór i chrapy. Siedział w blasku ogniska i głowa mu się kiwała z senności, a ognisko buchało wesołymi płomieniami, bo ono też ucztowało podsycane wyschniętym starym drzewem.

Nocne wiatry wędrowały po płaskowyżu. Wysyłały swoje zwiadowcze jęzory przez pęknięcia w skalnym obrzeżu kanionu i chichotały gawędząc ze sobą głucho brzmiącymi głosami. Skalne Maijun kanionu wypłynęły z kryjówek jak mgła w nocnym powietrzu. Nie przybrały żadnej postaci, tylko śmiejąc się fruwały nad ogniskiem. Wypełniły powietrze w górze swoją obecnością i śmiały się, ale nie szydziły z Niedźwiadka. Ich śmiech był cichym szmerem, przyjemnym dla ucha.

— To jest ten — wołały — który zabił potężnego bizona. Walczył na jednej nodze z drzewa i na jednej nodze z kości. Przebiegłością swoich myśli i odwagą swojego serca zabił przywódcę stada. — Wzbiły się w powietrze i odpłynęły w głąb kanionu, a echo ich głosów wracało coraz cichsze, aż wreszcie umilkło.

III

Dorosły martwy bizon to bez mała dwa tysiące funtów kości, mięsa, skóry i wnętrzności. Wydaje się mniejszy, kiedy tak leży na ziemi i na zawsze uszła z niego siła i zdolność ruchu. Zamarły zmysły. Ustały skomplikowane funkcje żywego organizmu. Już rozpoczął się następujący szybko od momentu śmierci subtelny proces rozkładu w niektórych, tak jeszcze niedawno ważnych dla życia organach. Człowiek może kopnąć martwego bizona, może go poćwiartować, wspiąć się na niego, zrobić z nim, co zechce, a on nie może odpłacić tym samym. Jest górą mięsa, kości i skóry, leżącą na ziemi, która dała mu kiedyś to wszystko, z czego się składa.

Nie. Jest życiem i sposobem życia.

Bizon jest pożywieniem. Jeżeli człowiek wie, jak przyrządzać z niego potrawy, każda cząstka nadaje się do jedzenia, z wyjątkiem kości i kopyt, ale nawet one, pokruszone i ugotowane, w czasie długiej i głodnej zimy dadzą tłuszcz, który utrzyma przy życiu. Wyśmienita jest krew gotowana dopóty, dopóki się nie zetnie w twardą galaretę, Bardzo delikatnym smakiem odznaczają się płuca, wysuszone i upieczone nad ogniem. Za wielki przysmak uważana jest wątroba, zwłaszcza skropiona odrobiną żółci. Z cienkich jelit napełnionych posiekanym mięsem można zrobić doskonałą kiełbasę, do gotowania albo do pieczenia. Skóra, gotowana długo z odpowiednim dodatkiem zielonych liści, jest miękka i smakowita. Świeże mięso i tłuszcz są wyborne. A jeżeli pokroi się je w wąskie paski i uwędzi albo wysuszy na słońcu, można je przechowywać bardzo długo. Cały bizon jest jadalny.

Jest też odzieniem. Skóra oskrobana z sierści i wygarbowana w mieszance sporządzonej z wątroby, mózgu i szpiku, z dodatkiem wszędzie rosnącej mydlnicy, jest mocna i trwała. Można ją pozostawić w naturalnej grubości z przeznaczeniem na ciepłe opończe i mokasyny albo można ją zestrugać i tak wyprawić, żeby była cieńsza i elastyczniejsza, a wtedy nadaje się na przepaski na biodra, nagolenniki i koszule myśliwskie. Można też nie usuwać sierści i nosić w zimie cieplejsze odzienie sierścią do środka.

Jest też domem. Wyprawiona skóra, rozpięta na żerdziach wigwamu, daje schronienie o każdej porze roku. Nie przepuszcza deszczu. Nie przepuszcza wiatru. Chroni przed deszczem, wiatrem i słońcem. W lecie, kiedy klapa wigwamu jest podniesiona, powietrze wpada do środka i uchodzi otworem dymnym w górze, dzięki czemu powstaje chłodny przewiew. W zimie, kiedy klapa jest opuszczona i pali się ogień, pochyłe, koliste ściany wigwamu zatrzymują ciepło.

Ale bizon daje człowiekowi jeszcze wiele innych rzeczy. Z sierści na łbie i grzywy można skręcić bardzo mocny powróz. Długie ścięgna biegnące

wydłuż grzbietu, wysuszone i podzielone na pasma, są doskonałą nicią do zszywania odzieży. Pęcherz i worek sercowy służą jako pojemniki na wodę. Z grubej błony żołądka człowiek wytwarza kubki i garnki. Kości o różnorakich kształtach przerabiane są na noże, motyki do wygrzebywania korzeni, skrobaczki do skóry i szydła do robienia otworów przy szyciu. Rogi zmiękczone nad parą dostarczają materiału na łyżki i chochle. Pojedynczy róg nadaje się doskonale do przenoszenia z miejsca na miejsce ognia przez wiele godzin, a nawet dni pod postacią tlącej się huby; w tym celu należy go wydrążyć, zatkać czopem i zrobić w nim małą dziurkę na dopływ powietrza. Z prostych kawałków rogu, zlepionych i obwiązanych ścięgnami, można zrobić bardzo mocny łuk. Grube ścięgna pod łopatką to gotowe cięciwy, których nie zerwie najsilniejsza męska ręka. W samej łopatce znajduje się naturalny otwór, który jest pomocny przy zmiękczaniu świeżo wyprawionej skóry. Przeciąga się skórę wielokrotnie przez ten otwór i jego ostre brzegi pozbawiają ją sztywności; staje się wtedy gładka i miękka, Na bębny nadaje się skóra nie wyprawiona, zwłaszcza ta z karku, najgrubsza, a grzechotki człowiek robi z woreczków skórzanych napełnionych kamykami, piszczałki zaś z kości szpikowej.

To wszystko — i jeszcze więcej — daje człowiekowi bizon. Bizon jest podstawą pewnego sposobu życia człowieka, szczepu, plemienia.

Oto co Niedźwiadek zdobył.

Jest teraz ze swoim ubitym bizonem w kanionie na płaskowyżu pogranicza. Noga mu się goi. Ma pożywienie. Ma materiał, z którego może zrobić odzież i dach nad głową, narzędzia i broń. Ma dużo czasu na pracę, na myślenie i na marzenia, gdy tymczasem letnie dni i noce przepływają nad wzgórzami.

Odwieczne słońce zalewało swym blaskiem kanion powstrzymując nadejście jesieni. Dotykało ciepłymi promieniami czarnych włosów Niedźwiadka, który siedział ze skrzyżowanymi nogami i robił łuk z kawałków rogu. Sklejał je gorącym, galaretowatym klejem otrzymanym z gotowanych w wodzie kawałków surowej skóry, które po wystygnięciu i stwardnieniu doskonale wszystko spajają. Sklejone kawałki rogu owijał długo moczonymi, wilgotnymi kawałkami ścięgien, które wysychając kurczą się i tym mocniej przylegają. Będzie to lepszy luk od starego, sporządzonego z jałowca, który leżał obok. Skończył i położył nowy łuk na ziemi, żeby wysechł w słońcu.

Wstał i przeciągnął się. Prawa noga zagoiła się. Wyczuwał palcami przez skórę zgrubienie w miejscu złamania. Noga dobrze utrzymywała ciężar jego ciała, a mięśnie, długo krępowane łupkami, odzyskiwały pełną sprawność. Miał na sobie nową koszulę, nowe nagolenniki i nowe mokasyny, podbite podwójną warstwą skóry. Nie potrzebował odzienia dla ochrony przed zimnem, ale było nowe i był z niego bardzo dumny.

Rozejrzał się po swoim kanionie. Było to dobre miejsce. Owoce dojrzały na krzakach, późne maliny i trochę porzeczek, i dużo jagód — dość, żeby się najeść teraz i ususzyć na później. Dzikie winogrona i dzikie śliwki na dwóch drzewach dojrzeją za kilka tygodni. W głębi kanionu pasły się

bizony, młody byk, pięć krów i trzy cielaki. Czwartego cielaka upolował. Jego skóra, miększa i cieńsza od skóry starego byka, dostarczyła materiału na koszulę i nagolenniki. Policzył te, które zostały. Dziewięć sztuk. To jego bizony. Dobrze mieszkać w tym miejscu. Więc czemu jest niespokojny grzejąc się w promieniach południowego słońca?

Powędrował w stronę wyżej położonej części kanionu, tam, gdzie na lewo od wodospadu z ziemi sterczały głazy, a między nimi rosły krzaki malin. Kulał trochę, oszczędzając przy chodzeniu prawą nogę. Szedł powoli i zrywał dojrzałe owoce, najpiękniejsze i największe. Okrążywszy kępę krzaków zobaczył nagle borsuka. Jego krótkonogie, szerokie ciało było rozciągnięte na płaskim kamieniu. Spał w ciepłych promieniach słońca.

Bardzo to dziwne. W kanionie nie było borsuka. Niedźwiadek nie widział nawet borsuczych tropów. Króliki, owszem, a także myszy polne i kilka skalnych wiewiórek. Ale borsuka nie było. Może runął w dół z krawędzi wysokich skał — i jakoś przeżył. Borsuk to najwytrzymalsze z wszystkich zwierząt i nawet, jak się go uderza ciężką maczugą nie wiem ile razy, wciąż żyje i próbuje walczyć z człowiekiem. A może dostał się tu dzięki jakimś swoim własnym czarom, bo wiadomo, że borsuki posiadają tajemną moc i są potężnymi czarownikami. Niedźwiadek zatrzymał się i skłonił głowę z szacunkiem. Borsuki okazują niekiedy szczególną przyjaźń Czejenom. Są mądre i dużo wiedzą. Zdarzało się, że przemawiały do ludzi i pouczały ich, co mają robić i jak żyć. Niedźwiadek ani myślał obrażać śpiącego.

Cicho usiadł i skrzyżował nogi Po jakimś czasie borsuk otworzył oczy. zobaczył Niedźwiadka. Nie uciekał w popłochu. Spoglądał tylko na niego swymi czarnymi błyszczącymi ślepiami.

— Och, borsuku — rzekł błagalnie Niedźwiadek. — Przemów do mnie.

Borsuk poderwał się z kamienia i już go nie było.

Niedźwiadek siedział i długo o tym rozmyślał. Postąpił źle. Człowiek nie powinien zwracać się do borsuka. Borsuk wie bez słów, co jest w jego myślach. Powinien był czekać, aż borsuk przemówi do niego. I ten borsuk wydawał się bardzo chudy. Wydawał się bardzo zmęczony. Może nie podobało mu się w kanionie i wyjdzie tą samą drogą, którą przyszedł. Żywi się susłami, dzikimi psami i innymi małymi zwierzętami, które dopada w norach, wykopując ziemię dużo szybciej niż one, swoimi potężnymi pazurami i silnymi łapami. A w kanionie nie ma ani susłów, ani dzikich psów. Myszy polne nie wystarczą takiemu borsukowi, zresztą jest ich niewiele i mają w szparach skalnych dość kryjówek.

Wstał i wrócił do obozu nad brzegiem strumienia, który wypływał w tym miejscu z sadzawki pod wodospadem. Poszedł do swojej spiżarni, czyli głębokiej szpary w podstawie skalnej ściany, długiej na prawie sześć stóp. Odwalił kamienie zamykające otwór. W worku z grubej niewyprawionej skóry, trzymał suszone mięso. Wyjął kawałek. Wrócił między krzaki malin rosnące wśród sterczących z ziemi głazów. Położył mięso na niskim, płaskim kamieniu

Rano mięsa nie było.

Przez trzy dni kładł kawałek mięsa na tym kamieniu i czekał długo na borsuka. Co dzień rano kamień był pusty. Ale borsuka Niedźwiadek nie zobaczył. Nie dziwiło go to. Borsuki nieczęsto się pokazują, nawet kiedy jest ich dużo w okolicy. Trzymają się na osobności. Borsuk potrafi się ukryć

nawet tam, gdzie inne zwierzę nic widzi żadnej kryjówki. Potrafi wykopać sobie norę w ziemi tak szybko, że znika, zanim go ktokolwiek zobaczy.

Czwartego dnia Niedźwiadek położył mięso na kamieniu i czekał. Usiadł na skrzyżowanych nogach w odległości dwudziestu kroków i obserwował kamień. Czas płynął powoli. Ciemnobrązowy łeb borsuka, z długim białym pasem pośrodku, schodzącym aż na koniec nosa, wysunął się zza głazu. Borsuk zobaczył Niedźwiadka, spoglądał na niego przez kilka długich chwil. Poruszył się i cały szeroki, szarobrązowy korpus ukazał się na kamieniu. Zjadł mięso. Obserwował Niedźwiadka jedząc, a kiedy skończył, rozciągnął się na kamieniu i dalej mu się przyglądał. Niedźwiadek siedział bez ruchu.

Słońce zsyłało ciepłe promienie na Niedźwiadka i na borsuka obserwujących siebie nawzajem. W głowie Niedźwiadka huczało wiele myśli i wiele pytań, ale się nie odzywał. Siedział cicho i po jakimś czasie jego myśli zaczęły płynąć leniwie, a że słońce wciąż grało, ogarnęła go senność i opuścił głowę. Borsuk patrzył na niego i nagle ślepia mu się rozjarzyły.

— Wielki bracie — przemówił borsuk. — Czemu ci się zdaje, że ten kanion jest klatką? — Oczy borsuka zaszły mgłą i zamknęły się, ale po chwili znowu się rozwarły i rozjarzyły. — Wszyscy ludzie mieszkają w klatkach — powiedział. — Są zamknięci ze wszystkich stron kamiennymi ścianami obyczajów i pragnienia, aby zyskać dobrą sławę u sąsiadów. Są związani koniecznością dostarczania jadła swoim rodzinom. — Ślepia borsuka zaszły mgłą, ale gdy uniósł łeb, znów się rozjarzyły. Stał teraz na swoich krótkich, krzywych nogach i gotował się do odejścia. Obrócił łeb, żeby po raz ostatni spojrzeć na Niedźwiadka. — jest jedna droga — powiedział. — Kamienie układane na kamieniach pną się ku górze. Głaz uderzany o głaz rozpryskuje się na małe kawałki.

Niedźwiadek szedł wzdłuż podnóża najbliższej ściany skalnej, cały czas patrząc w górę, Zobaczył miejsce, którego dotąd nie zauważył. Zobaczył miejsce, w którym kolejne występy skalne piętrzyły się jeden nad drugim mniej więcej co piętnaście, dwadzieścia stóp. Były cztery, każdy dość szeroki, żeby człowiek mógł pewnie na nim stanąć, Na ziemi u stóp skał leżało pełno kamieni. Niektóre były bardzo duże, inne w sam raz takie, żeby człowiek mógł je podnieść. Niedźwiadek zaczął układać kamienie jeden na drugim budując solidny stos, oparty o ścianę skalną i wznoszący się pochyło ku górze do pierwszego występu na wysokości dwudziestu stóp…

Słońce zsyłało swoje promienie do wnętrza kanionu. Świeciło wytrwale, ale nie mogło powstrzymać nadejścia jesieni. Powietrze było chłodne, skała zimna pod dotykiem dłoni Niedźwiadka. Przylgnął ciałem do skały powyżej pierwszego występu. Stopy umieścił pewnie w niszy wyżłobionej w skale. Stał wparty w ścianę, lewą ręką trzymał się brzegu innej niszy znajdującej się trochę poniżej jego ramienia. W prawej ręce miał twardy krzemień znaleziony w dole kanionu, tuż obok szczeliny skalnej, w której znikały wody strumienia, w miejscu, gdzie mrozy i odwilże niezliczonych lat odłupały bryłki z żyły biegnącej przez drugą skałę. Spory stos gotowych do użycia krzemieni leżał u jego stóp na wstępie skalnym. Uniósł prawą

rękę i uderzył krzemieniem w skałę ponad głową. Uderzał raz po raz, a maleńkie odpryski tańczyły w powietrzu.

Poczuł w prawej ręce zmęczenie. Mocniej przywarł ciałem do skały i zmienił ręce. Teraz prawa dłoń trzymała się krawędzi niszy na wysokości ramienia. Lewa dłoń, zaciśnięta na krzemieniu, uderzała w skałę nad głową.

Ostrzegawcze prądy spłynęły w dół łydek, pierwsze oznaki skurczów, które mogły go obezwładnić. Rzucił krzemień między inne leżące na skalnym występie. Zszedł na dół i usiadł spokojnie na półce z nogami zwieszonymi przez krawędź, plecami oparty u ścianę. Odpoczywał. Była w nim siła, jaką daje dobre mięso. Wstał i wspiął się na występ. Znowu twardy krzemień uderzał w skalną ścianę.

Burza trwała trzy dni. Przez trzy dni padał śnieg, czasem gęsty i ciężki, czasem lekki i tańczący w powietrzu. Zimowe wiatry hulały po płaskowyżu i nad otwartą przestrzenią kanionu. Nie dotykały jego dna, ale zmiotły śnieg z krawędzi przeciwległych skał i usypały u podnóża ściany zaspę głęboką na dwadzieścia stóp.

Śnieg przestał padać, zabrakło go w niebie. Niebo nagle się oczyściło i słońce wyjrzało spomiędzy pędzących chmur; uśmiechnęło się do białej, lśniącej piękności kanionu.

Niedźwiadek siedział w szałasie zbudowanym na wzór chat wnoszonych przez jego przodków, kiedy mieszkali jeszcze w wioskach nad wielką rzeką. Mówili mu u tym starzy ludzie. Jego szałas był mały, ale zbudowany dokładnie tak samo, z żerdzi wbitych w ziemię jedna obok drugiej i schodzących się w górze. Pustą przestrzeń wypełniały pęki skręconej długiej trawy przeplecione przez żerdzie, a z zewnątrz szałas był obłożony darnią. Przez dziurę u góry wylatywał dym ogniska z drzewa i łajna bizonów, płonącego cały dzień i tlącego się żarem w nocy. Skórzana klapa zamykała mały otwór, przez który Niedźwiadek przepełzał wychodząc i wracając do szałasu. Klapę można było szczelnie przywiązać, kiedy wiał wiatr. Szałas nawet nie dorównywał zgrabnym wigwamom ze skóry bizona, ale było w nim ciepło. Był schronieniem.

Przy takiej pogodzie nie mógł wykuwać niszy w ścianie. Ale to go nie martwiło.

Kończył parę rakiet śnieżnych. Sporządził je z wierzbiny odpowiednio wygiętej. Były wzmocnione i oplecione na krzyż paskami nie wyprawionej skóry. Mógł je przymocować do nóg specjalnymi wiązadłami. Spostrzegł przez otwór dymny, że na dworze jest jaśniej. Nie wpadały już płatki śniegu, którym wychodziło na spotkanie ciepłe powietrze bijące od ognia, żeby je zamienić w parę znów na zewnątrz. Niedźwiadek odsunął klapę otworu, pochylił się i wyjrzał Zobaczył białe piękno śniegu.

Wypełznął przez otwór. Podniósł klapki nowych zimowych mokasynów i mocno przywiązał je do nóg. Rzemykami przymocował rakiety do stóp, wiążąc je na wysokości palców i przez kostkę. Zaczął sunąć po śniegu stawiając długie, koliste kroki i dla rozgrzewki i pobudzenia krwi zabijając ręce. Dobrze było wyjść znów na otwartą przestrzeń, a nie przymykać tylko do strumienia po wodę i do schowka w skale po jedzenie, ale poruszać się swobodnie poł-otwartej przestrzeni kanionu.

Już niektórzy jego sąsiedzi wyszli z ukrycia. Tam gdzie na głazie leżała cienka warstwa śniegu, wylądował i przechadzał się ptak. Każdy maleńki

ślad jego nóżek rysował się czysto i wyraźnie. Ślady pozostawione tuż obok mówiły, że królik upuścił swoje schronienie i odważył się wyjść na nowy biały świat. Niemądry królik. Śnieg był wciąż lekki i nie uleżał się jeszcze. Królik nie miał rakiet. Rakiety Niedźwiadka zapadały się na sześć czy siedem cali. Królik brnął i potykał się nawet tam, gdzie śnieg nie był głęboki. Wyraźnie odcisnął się ślad jego brzucha pokrywający ślady łap. Tropy urywały się nagle na głębszym śniegu. Królik zaszył się w puszystej bieli i będzie czekał w przytulnym schronieniu ogrzanym ciepłem swego ciała, aż śnieg się uleży i powstanie cienka skorupka na wierzchu.

Niemądry królik. Bardzo niemądry. Futro królika jest miękkie i przydatne na wiele rozmaitych sposobów. Można z niego uszyć doskonałe rękawice. Niedźwiadek skoczył, dał nura w śnieg i jego ręce odnalazły miękkie, kosmate i ciało. Podniósł się z trudem, bo zawadzały mu niezdarne rakiety. Trzymając królika za uszy lewą ręką uderzył go w nasadę czaszki brzegiem prawej dłoni i królik zwisał teraz bezwładny i martwy.

— O, króliku — przemówił Niedźwiadek. — Boleję nad tobą, ale twoje futro jest mi potrzebne. — Wytrząsnął śnieg z włosów i zaczął sunąć na swoich nowych rakietach ku miejscu, gdzie wśród sterczących z ziemi głazów zbierał w lecie maliny.

Odszukał pod śniegiem płaski kamień. Odgarnął białą pokrywę i zobaczył kawałek mięsa położony tam przed czterema dniami. Nie było w tym nic niepokojącego. Borsuk przesypia większą część zimy w jakimś tajemnym miejscu, gdzieś w ziemi. Opuszcza kryjówkę dopiero, jak przyjdą ciepłe dni. W czasie takiej pogody na pewno z niej nie wyjdzie.

— O, borsuku — przemówił Niedźwiadek do otaczających go skał. — Masz tu jedzenie. Czeka na ciebie.

Zaczął iść wzdłuż podnóża najbliższej skały, minął miejsce, gdzie nierówna, pochyła ścieżka usypana z kamieni prowadziła do pierwszego występu skalnego i nisz wyżłobionych powyżej. Nie patrzał w górę. Badał wzrokiem niżej położoną część kanionu. Zobaczył bizony. Wychodziły właśnie z wgłębienia pod nawisem skalnym, gdzie z opuszczonymi łbami przeczekały cierpliwie najgorsze ataki burzy. Teraz brnęły przez śnieg na poletka wysokiej, ściętej mrozem trawy, skubiąc po drodze mniejsze pędy osiki rosnącej nad strumieniem. Policzył je; młody byk, trzy podrastające cielaki, cztery krowy. Razem osiem sztuk. Upolował piątą krowę, kiedy odgadł przestrogę pierwszych zimowych wiatrów. Ze skóry uszył śpiwór. Mięso, w części uwędzone, w części ususzone, leżało w schowku. Miał w schowku duże zapasy jedzenia. Zostało nawet jeszcze trochę mięsa starego byka i mięso cielaka. Może źle zrobił, że zabił krowę, ale potrzebna mu była jej skóra.

Kanion był dobrym miejscem dla bizonów. Miały doskonałą paszę w lecie. Miały dosyć pożywienia w zimie. Miały zawsze pod dostatkiem wody. Bystro płynący strumień nie zamarzał do dna. Miały gęstwiny ciernistych krzaków, o które mogły się czochrać, kiedy w lecie napastowały je komary. Miały wgłębienie pod skalnym nawisem z wysokich ścian na końcu kanionu, gdzie mogły się schronić przed zimowymi burzami. Kanion był dobrym miejscem dla bizonów.

Cienie wieczoru wypełzały już spomiędzy skał. Niedźwiadek wrócił do swojego szałasu i oprawił królika. Świeże mięso, nie tak życiodajne jak

mięso bizona, ale delikatne, bardzo mu smakowało. Zjadł wszystko za jednym zamachem. Teraz brzuch mu sterczał nad przepaską na biodrach. Było to bardzo miłe uczucie. Leżał opatulony w skórę piątej krowy i obserwował dym tlącego się ogniska — wężykowały słup wzbijał się w górę i uchodził przez otwór dymny, Dla niego kanion też był dobrym miejscem.

Zimowe wiatry nocne hulały nad płaskowyżem. Nie zapuszczały się w głąb kanionu i nie mąciły jego ciszy. Maijun ścian skalnych frunęły na skrzydłach wiatru i śmiały się, gadały do siebie. Szybując w górze nad kanionem spoglądały w dół.

— Mały bracie. Jest ci ciepło? Masz dość jedzenia?

W puszczy wszystko, co żyje, musi walczyć o życie, To odwieczna i niezmienna zasada.

Na płaskowyżu, ponad przeciwległym krańcem kanionu, ciemne kształty poruszały się w ciemności. Małe stado jeleni zeszło z wysokich grzbietów górskich, był siódmak i sześć łań — istoty zamieszkujące górskie lasy i polany. Wydawały się wyższe od bizonów, bo w ruchu trzymały łby wysoko, ale były mniejsze, lżejsze, o smuklejszych nogach. Zeszły na otwartą przestrzeń płaskowyżu, gdzie wiatry zmiotły śnieg pozostawiając między zaspami prawie nagie połacie trawy. Nieczęsto szukały tu pożywienia, zwłaszcza nocą, kiedy w ciemności mogło się kryć niebezpieczeństwo. Zwykle pożywiały się wczesnym rankiem i późnym popołudniem. Ale burza śnieżna trwała długo. Były bardzo głodne.

Inny mroczny kształt poruszał się w ciemności, prawie pełzł z brzuchem tuż przy ziemi kryjąc się za podłużnymi zaspami: wielki kot, puma, lew górski Był to stary samiec, długi na blisko osiem stóp, od spłaszczonego nosa do czarnej kity na końcu ogona, dwieście funtów wychudłego głodu. Skradał się tuż za jeleniami, szedł pod wiatr, cichy i bezszelestny jak cień w mdłym blasku samotnych gwiazd. Jedna łania pozostała trochę w tyle. Puma śmignęła przez śnieg, skoczyła do szyi, chcąc uderzyć w łeb całą oszałamiającą potęgą swego ciała i zewrzeć miażdżące szczęki na kręgach tuż za czaszką.

Śnieg by! puszysty. Oparcie dla łap niepewne. Puma, chybiwszy o kilka cali, spadla na grzbiet łani. Wczepiona pazurami w skórę wysunęła pysk, by wbić kły w gardło i pulsującą tam arterię. Przerażona łania skoczyła naprzód. Wielkimi susami przesadzała zaspy. Zobaczyła przed sobą czerń otwartej przepaści i skręciła gwałtownie w bok uwalniając się od pumy, która rzucona w śnieg turlała się nad samą krawędzią skalnej ściany. Wielkie pazury przebiły śnieg i wczepiły się w darń, ale warstwa ziemi była tu cienka i pazury ześliznęły się z kamieni. Zwierzę runęło w czarną otchłań spadając pionowo w dół, aż się zaryło w wysokiej na dwadzieścia stóp zaspie na dnie kanionu...

Przeciągły ryk zbudził Niedźwiadka. Zaspał, bo w brzuchu miał pełno świeżego króliczego mięsa. Słońce już od dobrej godziny wisiało nad horyzontem, kiedy wyrwał go ze snu ów przeraźliwy ryk, płynący z niżej położonej części kanionu. Usiadł i nasłuchiwał. Żaden dźwięk nie przerywał ciszy. Potem nagle usłyszał w pobliżu bizony; dysząc chrapliwie brnęły przez śnieg. Podpełzł do otworu, odsunął klapę i wydostał się na zewnątrz. Bizony biegły wzdłuż podnóża najbliższej ściany. Skacząc i wygrzebując się

z głębokiego śniegu parły naprzód. Wbiegły między sterczące z ziemi głazy, gdzie w lecie Niedźwiadek zbierał maliny, dopadły do skały zamykającej z tej strony kanion i zatrzymały się. Ciasno stłoczone spoglądały na drogę, którą przebyły, a ich mięśnie drgały w panicznym strachu. Było to bardzo dziwne,

Niedźwiadek przypiął rakiety i podszedł do nich. Bały się go. Bały się go, odkąd zabił starego byka. Zawsze przed nim uciekały. Ale teraz nawet nie próbowały ucieczki. Cofały się tylko, póki zadami nie wparły się w ścianę, i spoglądały ponad nim w dół kanionu, a mięśnie wciąż im drgały ze strachu.

Niedźwiadek zatrzymał się. Policzył bizony. Jednej sztuki brakowało. Dorastającego cielaka.

Młody byk wysunął się przed resztę siada. Grzebał przednimi kopytami w śniegu. Spuścił ogromny łeb i parskał gniewnie. Mógł go w każdej chwili zaatakować. Niedźwiadek zawrócił i ruszył na swych rakietach w dół kanionu. Nie uszedł daleko, dojrzał ślady.

Były to prawie okrągłe tropy o średnicy ponad czterech cali. W każdym odcisną! się wyraźnie brzusiec i cztery palce; widoczny był nawet w śniegu ślad pazurów.

Niemożliwe! Puma, to poruszające się jak cień, krwiożercze zwierzę, którego żaden myśliwy nie zdoła doścignąć i które w mrokach nocy sieje spustoszenie wśród koni, nie może się znajdować w tym kanionie! Nie było jej tu wczoraj, kiedy schwytał królika. Nie było jej tu żadnego z poprzednich dni. A przecież ślady są wyraźne i jest ich mnóstwo. Jakiś zły duch przybrał posiać krwiożerczego zwierzęcia i zabierze mu jego bizony. Teraz Niedźwiadek poczuł, jak mięśnie drgają mu ze strachu.

Wrócił spiesznie do szałasu. Zawiesił u lewego boku skórzany kołczan przeciągając rzemień przez prawe ramię. Wziął pięć strzał i natarł ich krzemienne groty leżącymi w kącie liśćmi białej szałwii. Zrobił to, żeby je oczyścić i pozbawić mocy wszelkie złe uroki, które mogły do nich przylgnąć. Wyjął nóż z pochwy przymocowanej do prawego nagolennika i też przetarł ostrze liściem białej szałwii. Żałował, że nie sporządził solidnego tomahawka albo ciężkiej kamiennej siekiery, Ruszył ku niżej położonej części kanionu sunąc na rakietach długimi, kolistymi krokami.

Śnieg stwardniał i Niedźwiadek mógłby się poruszać znacznie szybciej, ale tego nie robił. Szedł powoli i cały czas pilnie się rozglądał. Kiedy trafił na tropy, wyjął strzałę z kołczanu, osadził ją na cięciwie i podążył śladami pumy. Tropy wybiegały naprzód i zawracały prowadząc coraz dalej i dalej w głąb kanionu. Niedźwiadek rozpoznał miejsce, w którym puma zwietrzyła bizony i przypadła brzuchem do śniegu, pozostawiając za sobą wężowaty ślad. Zobaczył dalej, że ten wijący się ślad ginie w kępie gęstych krzaków, które zasłaniały widok. Niedźwiadek przystanął. Usiłował sobie przypomnieć, co słyszał od starych myśliwych o obyczajach pumy. Po zabiciu puma nie pożera swojej ofiary na otwartej przestrzeni. Zaciąga zdobycz pod nawisy skalne albo pod zwisające konary drzew. Nie było w pobliżu takich skał. Ale była rozrośnięta sosna na odległość lotu strzały. I jakieś czterdzieści stóp od niej dobra osłona z gęstych krzaków.

Szedł bardzo wolno, uważał, żeby rakiety nie obijały się jedna o drugą i żeby śnieg nie chrzęścił pod nogami, toteż najpierw ostrożnie stawiał nogę, a dopiero potem przenosił na nią ciężar ciała. Zatoczył duże koło

idąc w prawo i upłynęło sporo czasu, zanim znalazł się za osłoną krzaków. Teraz poruszał się jeszcze wolniej. Z największą ostrożnością rozsuwał krzaki i przeciskał się między nimi. W końcu mógł się przebić wzrokiem przez zarośla.

Zobaczył pumę.

Przycupnąwszy pod rozkrzewioną sosną pożywiała się mięsem upolowanego cielaka. Była zwrócona do Niedźwiadka tyłem i trochę bokiem. Widział czarną kitę na końcu jej ogona, którym, jedząc, machała od czasu do czasu na boki. Widział białe wnętrze jej uszu, kiedy podnosiła łeb, żeby soki świeżego mięsa spłynęły do gardła. Oprócz uszu i końca ogona sierść miała czerwonobrązową. Była to duża puma, bardzo duża.

Ostrożnie odciągnął cięciwę, aż grot i krzemienia dotykał prawie łuku. Mierzył w bok zwierzęcia, tam gdzie tuż za żebrami strzała mogła się przebić prosto do serca. Rozwarł zaciśnięte palce i strzała śmignęła śpiewając swoją cichą pieśń śmierci, ale w locie zmieniła kierunek i zamiast trafić w bok, skąd mogła dotrzeć do serca, uderzyła w łopatkę i przebiwszy duży mięsień utkwiła w kości.

Puma podskoczyła okręcając się w powietrzu i wtedy dostrzegła Niedźwiadka. Gruchnęła o ziemię i zaczęła uciekać sadząc wielkimi susami i rozpryskując śnieg, więc druga strzała, wypuszczona z łuku zaraz po pierwszej, poszła za wysoko i utkwiła w zaspie śnieżnej,

Niedźwiadek był niepocieszony. Jego strzały okazały się nędznymi strzałami. Nie leciały do celu. Niedźwiadek nie potrafi robić dobrych strzał. Niewielu ludzi znało się na tym rzemiośle i właśnie oni sporządzali strzały dla wszystkich mężczyzn w wiosce i otrzymywali za to piękne podarki. Tak, Niedźwiadek miał tylko pięć marnych strzał. Jedna tkwiła w ciele pumy, drugą będzie musiał odszukać w głębokim śniegu.

Przez resztę porannych godzin, aż do późnego popołudnia, Niedźwiadek szedł tropami pumy. Przez jakiś czas towarzyszyły im bryzgi krwi, polem znikły. Puma poruszała się jak cień, umykając, nim zdołał się do niej zbliżyć, czy choćby zorientować się, że jest blisko. Trafił na miejsce, gdzie usiłowała wyciągnąć tkwiącą w boku strzałę i w końcu ją przegryzła, pozostawiając na śniegu drzazgi zgruchotanego drewna. Cały prawie dzień tropił pumę i tylko trzy razy ją zobaczył. Raz znalazł się dość blisko, żeby do niej strzelić, ale chybił. Bał się. Narastał w nim strach, od którego już wczesnym rankiem drgały mu mięśnie. Może mimo wszystko jego strzały są dobre. Może nie trafiały do celu, bo zły duch w pumie jest dla nich za potężny. Zmieniał ich lot. Potem nagle zdał sobie sprawę, że to, co robi puma, nie jest tylko ucieczką przed nim i znajdowaniem kryjówki, i znowu ucieczką, kiedy odczytując coraz bardziej splątane tropy zbliżał się do niej, Nie widział zwierzęcia, kiedy przemykało z kryjówki do kryjówki, ale czuł, że go obserwuje. Puma wiedziała, że z kanionu nie ma wyjścia. Obserwowała go i szła tam, gdzie szedł on. Nie zapuszczała się w wyższą i wąską część kanionu. Jego woń była tam zbyt silna, bo właśnie tam znajdowało się jego obozowisko. Krążyła po szerokiej, niższej części cały czas go obserwując i wiedziała już teraz, że on nie może się poruszać tak szybko jak ona i że słabe są czary jego strzał. Przypomniał sobie, co mówili starzy, doświadczeni myśliwi puma nigdy nie atakuje dorosłego człowieka, chyba że znajdzie się w pułapce, z której nie ma wyjścia. Nie bardzo go to pocieszyło. Czy wszystko, co mówią starzy myśliwi, jest prawdą?

Poniechał tropienia pumy. Nie zdoła podejść do niej blisko, póki ona go obserwuje. Wkrótce zapadnie ciemność. Niedźwiadek znajdzie inny sposób walki z pumą. Zabierze jej mięso bizona, którego upolowała. Wrócił na miejsce, gdzie leżało martwe cielę. Spróbował je przeciągnąć po śniegu. Ciężar przesuwał się, ale był ponad jego siły. Przepołowił kadłub, krając tuż pod żebrami i rozłupując kręgosłup. Dwa razy odbywał drogę do swojej kryjówki Kiedy wrócił po resztę mięsa, zobaczył na śniegu świeże tropy. Nie dostrzegł pumy, ale wiedział, że go obserwuje i przeciągnął mięso do obozowiska w największym pośpiechu. Wepchnął obie części do spiżarni w jamie skalnej i przywalił otwór kamieniami. Wygrzebał ze śniegu więcej kamieni, największych, jakie mógł udźwignąć. Zwalił je wszystkie na otwór i mocno zaklinował.

Bizony były nadal między sterczącymi z ziemi głazami, pod ścianą skalną na końcu kanionu. Miały tam mało paszy, ale najwyraźniej bały się przejść na swoje zwykłe miejsce. Niedźwiadek wielokrotnie wędrował od jednej ściany skalnej do drugiej, między bizonami a niżej położoną częścią kanionu, najpierw na rakietach, polem w mokasynach. Miał nadzieję, że jego zapach odstraszy pumę...

Była to długa noc. Niedźwiadek spał snem przerywanym, zasypiał i budził się nagle z twarzą spoconą. Za każdym przebudzeniem dorzucał drew do ogniska. Były godziny zupełnej ciszy. Nie powiał najlżejszy nawet wietrzyk. Nawet Maijun pozostawały w swoich kryjówkach w skałach. Potem nagle przerywał ciszę przerażający wrzask. Pięć razy w ciągu nocy odzywała się puma — przerażający wrzask, który niósł się i odbijał echem od skał, niekiedy jak głos kobiety w udręce bólu, kiedy indziej jak głos złego ducha dręczącego bezradnych ludzi. Za każdym razem Niedźwiadek nasłuchiwał i mięśnie drgały mu w rosnącym strachu...

Rano słońce było już wysoko na niebie, kiedy Niedźwiadek wyczołgał się z szałasu. Dwa razy zbierał się do wyjścia i dwa razy się cofał. Za trzecim razem wyszedł. Nie rozstawał się teraz z łukiem, trzymał go w lewej ręce.

Bizony były nadal między sterczącymi z ziemi głazami Ruszały się trochę, ale nie odchodziły daleko. Niedźwiadek nie znalazł czteropalczastych tropów w wyżej położonej części kanionu. Poczuł się znacznie raźniej. Może jego czary też mają moc.

Skierował się w dół kanionu, szedł powoli rozglądał się dokoła. Zobaczył dużo świeżych śladów pokrywających stare. Zobaczył miejsce, gdzie leżał cielak i gdzie puma wylizała najmniejszą nawet plamkę krwi. Zobaczył miejsce, gdzie puma zabiła królika. Zostało po nim tylko kilka kłaczków futra. Mały skalny królik nie mógł zaspokoić głodu ogromnej pumy. A zwierzę, które ma w sobie złego ducha, jest zawsze bardzo głodne.

Nagle uświadomił sobie, że puma go obserwuje. Obrócił się. Tak, była za nim, w odległości większej niż lot strzały, przyglądała mu się ślepiami rozjarzonymi w blasku słońca. Nie podobało jej się, że zabrał jej mięso. Nic podobało jej się, że zostawił swój zapach między nią a bizonami. Nie

uciekała przed nim Wiedziała, że jej nie dogoni. Rzuciła się do ucieczki dopiero wtedy, kiedy zaczął wrzeszczeć i ruszył w jej stronę. Umknęła cicho jak cień, zniknęła tak szybko, że nie był pewien, w którym kierunku skoczyła. Nie widział jej teraz, ale był pewien, że go obserwuje, Wrócił spiesznie w górę kanionu.

Cały dzień spędził pod gołym niebem, w pobliżu szałasu. Często stawał na dużym głazie i spoglądał w dół kanionu. Z rzadka dostrzegał pumę. Poruszała się nerwowo, przebiegała cały teren w poszukiwaniu żeru. Była wychudzona i bardzo głodna. Chyba nic sobie z tego nie robiła, że on ją widzi.

Bizony wiedziały, że puma jest w kanionie. One też szukały pożywienia, rozgrzebywały śnieg, pod którym rosła nędzna trawa. Często podnosiły łby i spoglądały w dół kanionu, dygocąc i prychając z cicha. Ale nie drżały i nie prychały, kiedy zbliżał się do nich Niedźwiadek. Rozumiały chyba, że są bezpieczne, kiedy on znajduje się między nimi a pumą.

Wszystkie żywe stworzenia wiedziały, że puma jest w kanionie. Ani jeden królik nie wychylił się ze swojej nory, ani jedna skalna wiewiórka, ani jedna mysz polna ukryta pod śniegiem. Były tylko bizony, Niedźwiadek w wyżej położonej części kanionu i puma poszukująca żeru w jego niższej części, zataczająca coraz większe kręgi od jednej ściany skalnej do drugiej i przysuwająca się coraz bliżej i bliżej...

Cienie zmierzchu wypełniły kanion. Niedźwiadek stał na głazie wpatrując się w śnieżną biel, z łukiem gotowym do strzału. Zapadł zmrok i niebo zasnuło się chmurami, śnieg był teraz otaczającą go zewsząd niewyraźną szarością. Czuł, ale nie był pewien, i znowu czuł wyraźnie, że puma na niego patrzy. Była blisko. Nie wiedział, gdzie się znajdowała, z której strony — przed nim czy za nim. Strach był zbyt silny. Niedźwiadek pośpieszył do i szałasu, umocował od środka skórzaną klapę i dorzucił drew do ogniska, aż buchnęło jasnym płomieniem...

Siedział skulony na ziemi, ognisko było między nim a otworem wejściowym. Paliło się słabo, płomienie nie strzelały w górę. Dym wznosił się powoli, jak gdyby nie miał ochoty wypłynąć przez dziurę w mroki nocy na zewnątrz szałasu. Nie było żadnych odgłosów, tylko ogień skwierczał z cicha, a jednak Niedźwiadkowi drżały mięśnie i narastała w nim świadomość niebezpieczeństwa. Nagle hałas zmącił ciszę. Bizony biegły prychając i sapiąc. Brnęły przez śnieg wzdłuż skalnej ściany w dół kanionu. Odgłosy umilkły i wróciła znów cisza, ale Niedźwiadka nie opuściło poczucie niebezpieczeństwa. Puma jest gdzieś blisko. Nie pomknęła za bizonami. Jest w pobliżu szałasu.

Niedźwiadek nasłuchiwał. Krople zimnego potu kapały mu z podbródka. Usłyszał chrobot pazurów o ścianę. Puma usiłowała zwalić kamienie zamykające jego spiżarnię. Wrzasnął. Poruszył ognisko, aż iskry strzeliły w górę przez otwór dymny. Tupał i wydawał z siebie bezsłowne wrzaski i ryki. Porwał głownię z ogniska i podskoczywszy wyrzucił ją przez otwór dymny. Słyszał jak pada z sykiem w śnieg.

Przykucnął na ziemi z łukiem w ręku gotowym do strzału i nasłuchiwał. Żaden dźwięk nie mącił ciszy. Powoli odpłynęło poczucie grożącego niebezpieczeństwa. Niedźwiadek dorzucił drew do ognia, usiadł i drgające

pod skórą mięśnie stopniowo się uspokoiły. Kanion wokół szałasu był ogromną niecką, którą wypełniała mroczna cisza. Niedźwiadek siedział przy ognisku; jego umysł wypełniły ponure cienie.

I nagle zagrzmiał ryk, Głęboki, dudniący. Natężał się i przycichał, i znowu przybierał na sile. Umilkł, znów rozbrzmiał, i znowu umilkł, i znowu rozbrzmiał. Jakiś czas panowała cisza i znowu rozległ się ryk, a w pewnej chwili Niedźwiadek usłyszał wrzask potężnego kota — świdrujący, rosnący wrzask, w którym słychać było przeraźliwą wściekłość i przeraźliwą zawziętość. Godziny płynęły powoli, a Niedźwiadek siedział skulony przy ognisku i jego myśli tonęły w coraz mroczniejszym cieniu...

Był ranek. Mgła unosiła się nad wzgórzami. Promienie słońca przedarły się przez nią, rozproszyły ją i złocisty blask zalał płaskowyż. Ale w kanionie mgła wciąż się snuła między skałami.

Niedźwiadek zbudził się z półsnu przeplatanego otępiającym znużeniem. Na ognisku dogasały resztki żaru. Przez otwór dymny zaglądało światło dnia. Niedźwiadek przeciągnął się rozprostowując obolałe mięśnie i nagle skoczył na równe nogi. Znowu zagrzmiał ryk. Był to ryk ochrypły i udręczony, rozlegał się gdzieś daleko w dole kanionu. Raptem umilkł i Niedźwiadek stal dygocąc ze strachu.

Postąpił kilka kroków. Było to niemal ponad jego siły, ale postąpił kilka kroków. Odsunął klapę szałasu, wyczołgał się na zewnątrz i przypiął rakiety do nóg. Nóż miał w pochwie przymocowanej do prawego uda. U lewego boku zawiesił kołczan z trzema strzałami, w rękach trzymał łuk z czwartą strzałą osadzoną na cięciwie. Spojrzał w dół kanionu, ale niewiele zobaczył, bo tu i ówdzie snuła się jeszcze mgła. Bardzo ostrożnie ruszył swoją ścieżką i dalej między sterczące i ziemi głazy. Zobaczył mnóstwo tropów, czteropalczastych tropów ogromnej pumy. Prowadziły do płaskiego kamienia, na którym wylegiwał się borsuk. Mięso zniknęło. Prowadziły dalej do podnóża skały i w dół kanionu, którędy nocą przebiegły bizony. Poszedł za tropami u podnóża skały.

Szedł powoli. Im dalej się zapuszczał, tym wolniejsze były jego ruchy. Strach chwycił go w kleszcze i trzymał mocno. Oddychał szybko, spazmatycznie. Miał uczucie, że coś ciągnie jego żebra do środka i że za chwilę się udusi. Nic mógł iść dalej.

Stanął. Nie mógł iść dalej i nie mógł się cofnąć. A kiedy tak stał, słońce rozproszyło mgły, powiał wiatr i Niedźwiadek w końcu zobaczył. W najniżej położonej części kanionu, we wgłębieniu pod nawisem skalnym, zobaczył bizony. Stały stłoczone i patrzały przed siebie nieruchomo. Pięćdziesiąt stóp przed nimi przypadła do śniegu ogromna puma. Obserwowała bizony, a czarna kita na jej ogonie poruszała się nieznacznie na boki. Między bizonami a pumą stał młody byk. Oddychał ciężko, łeb miał. nisko opuszczony, rogi wysunięte do przodu. Twardo ubity śnieg wskazywał ścieżkę, którą wydeptał między bizonami a pumą chodząc tam i z powrotem od jednej skalnej ściany do drugiej. Na ścieżce czerwieniły się bryzgi krwi, krew kapała z wielkiego łba przeoranego pazurami pumy. Ale nie wszystka krew należała do bizona. Jeden róg był umazany ciemną krzepnącą posoką.

Niedźwiadek widział. Widział, jak puma obraca łeb, żeby polizać długą, ziejącą ranę w boku. Widział, jak puma wstaje i sunie niczym cień w prawo i jak młody byk obraca się błyskawicznie i staje przed nią. Widział, jak puma przemyka się w lewo i jak młody byk znowu się do niej obraca. Widział, jak puma skacze do przodu, a młody byk rzuca się do niej, wpiera nogi w ziemię i z opuszczonym łbem czeka na jej atak, widział, jak puma uskakuje w bok i próbuje go wyminąć i wpaść między pozostałe bizony, i jak młody byk zrywa się i pędzi z rozpaczliwą szybkością, żeby jej przeciąć drogę.

Niedźwiadek wyprostował się. Strach pękł i spadł z niego jak stary sparciały sznur. Powietrze kanionu wdarło się do płuc i wypełniło przestrzeń między żebrami. Zawołał z mocą:

— Och, bizonie! Walcz! Idę do ciebie!

Kolistymi, energicznymi ruchami krótkich nóg posuwał rakiety po śniegu. Biegł szybko, strzała na napiętej cięciwie grotem dotykała łuku. Ale potężny kot go usłyszał, obrócił łeb z obnażonymi kłami i już go nie było.

Niedźwiadek zatrzymał się tam, gdzie puma szykowała się do skoku. Spojrzał na młodego byka i zobaczył głębokie rany, z których ciekła krew. Młody byk grzebał kopytami ziemię i prychał na niego. Zdawał się mówić:

— Zbliż się. Z tobą też będę walczył.

Niedźwiadek spoglądał na niego i serce rosło mu w pieni.

— Och, bizonie — powiedział. — Zawstydziłeś mnie.

Obrócił się i ruszył nowymi śladami. Sunął szybko po śniegu. Czuł w mięśniach ogromną siłę, Widział krwawe tropy pumy i bardzo go to cieszyło. Skoki były krótsze. Puma wyraźnie traciła siłę. Miała kamienny grot strzały głęboko w mięśniach jednej łopatki. Miała długą ziejącą ranę w boku.

Cały czas szedł po tropach. Prowadziły do rozkrzewionej sosny. I tu się urywały. Rany ogłupiły pumę. Była na drzewie. Będzie ją miał w zasięgu strzału.

Ostrożnie zbliżył się do sosny. Drzewo było bardzo gęste. Dopiero kiedy był prawie pod nim, zobaczył pumę. Leżała płasko na grubej gałęzi, ze dwadzieścia stóp nad ziemią. Warczała i prychała na niego. Napiął cięciwę, strzała pomknęła z cichym świstem. W tym momencie puma wyskoczyła spomiędzy gałęzi. Chciała dać susa daleko nad jego głową i uciec, ale gałąź uginała się pod jej ciężarem, a mięśnie byty zesztywniałe. Nic udało jej się. Runęła przez gałęzie na niego. Zobaczył, jak spada. Zobaczył ziejącą paszczę i wyciągnięte pazury. Upuścił łuk, lewą ręką sięgnął do szyi tuż pod paszczą, prawą wyszarpnął z pochwy nóż o klindze ostrzejszej i twardszej od kamiennych toporków. Runął na plecy pod ciężarem zwierzęcia i chociaż ogromne pazury szarpały mu ciało, wbił nóż głęboko tuż za łopatką. Lewą ręką odpychał od siebie spienioną paszczę, prawą obracał nóż i wbijał go głębiej. Zebrał wszystkie siły, żeby wydostać się spod cielska i uwolnić od szarpiących pazurów. Puścił trzonek noża i obiema rękami podniósł i odrzucił zwierzę na bok — i był wolny. Wstał z trudem; cielsko pumy wiło się na ziemi. Potężne pazury szarpały śnieg i trawę pod nim. Ruchy stawały się coraz wolniejsze, ślepia zachodziły mgłą. Ostatnie drgawki przebiegły ciało i puma znieruchomiała.

Niedźwiadek stał chwiejąc się i ciężko dysząc. Odzienie miał pocięte i poszarpane. Krew spływała mu w dół piersi i po udach. Schylił się, zgarnął

śnieg i zaczął rozcierać nim zranione miejsca. Poczuł pieczenie, ale zatamował upływ krwi. Zresztą pieczenie nie było uczuciem przykrym. Przypominało mu o tym, czego dokonał.

Wyciągnął nóż z cielska i wytarł go. Zdjął cięciwę z łuku, przywiązał do przednich łap pumy i zaczął ją ciągnąć w górę kanionu. Zostawił martwe zwierzę niedaleko szałasu, żeby je potem oprawić. Wszedł do środka, wziął kawałek suszonego mięsa i zaniósł je między sterczące i ziemi głazy, pośród których w lecie rosły krzaki malin. Położył mięso na płaskim kamieniu.

— O, borsuku — zwrócił się do skał. — Zły, który zabrał twoje jedzenie, jest martwy.

Spojrzał w dół kanionu. Zobaczył swoje bizony. Wyszły spod nawisu skalnego i brnęły przez śnieg do kęp suchej trawy, która rosła tam w obfitości. Rany na łbie młodego byka niedługo się zagoją, Dożyje późnej starości i będzie ojcem wielu cieląt. Będą to dobre cielaki, o mężnym sercu i silnych mięśniach swego ojca. Redą pożywieniem Niedźwiadka. Ich siła stanie się jego siłą.

Słońce iskrzyło się na najbliższej skale i na płatach śniegu. Zwyciężyło mgłę. Czteropalczaste tropy niedługo znikną. Roztopią się; świeży śnieg przykryje je nową warstwą, a na wiosnę zazieleni się wszędzie trawa, jakby tych tropów nigdy tu nie było. Niedźwiadek znowu przemówił do otaczających go skał:

— O, borsuku. To jest dobra klatka...

Nowa zieleń odrodzonej trawy była jasna i soczysta. Nowa zieleń młodych liści na drzewach, przez tyle miesięcy nagich, połyskiwała i lśniła na tle ciemniejszej zieleni sosen. Słońce coraz wyżej wspinało się na niebo i coraz dłużej przebywało w kanionie. Zapalało iskry na bryzgach wodospadu i maleńkich falach strumienia. Grzało przyjaznym ciepłem Niedźwiadka, kiedy wypełzał ze swojego szałasu, zdejmował nagolenniki i przepaskę na biodra, i zostawiając sam tylko rzemień męskości przewiązany w pasie biegł do sadzawki, zanurzał się w wodzie i mył się, chlapał, co jest pierwszą czynnością poranną każdego mężczyzny z plemienia Czejenów, jeżeli ma w pobliżu strumień lub rzekę.

A woda szczypała i wciąż była lodowata od śniegów topniejących i zasilających strumień na dalekich wzgórzach, które nie były wzgórzami, tylko górami. Niedźwiadek parskał i sapał. Wyszedł czym prędzej i zaczął skakać i biegać, żeby się szybciej rozgrzała płynąca w nim krew.

Ubrał się i zjadł. Wziął kawałek suszonego mięsa, zaniósł je między sterczące z ziemi głazy i położył na płaskim kamieniu. Mięso położone tam wczoraj zniknęło. Od wielu już dni borsuk nie pokazywał się i nie wygrzewał na słońcu.

Niedźwiadek popatrzył w dół kanionu. Co dzień rano robił obchód. Przeszedł obok stosu usypanych kamieni, prowadzącego ukośnie do pierwszego występu skalnego i nisz, które sięgały już trzeciego występu, i nie spojrzał w górę. Mógł był przy takiej pogodzie wyrąbywać następne nisze, ale nie spojrzał w górę. Było zawsze tyle innej roboty. Nie miał co się śpieszyć z tymi niszami. Nie były potrzebne.

Zobaczył bizony skubiące świeżą zieloną trawę. Policzył je. A więc młody byk, którego powinien nazywać teraz starym bykiem, bo był najstarszym samcem w małym stadku. Blizny na wielkim łbie były odznakami honorowymi, dającymi mu prawo do przewodnictwa nad stadem. Dalej dwa dorastające cielęta, już nie cielęta właściwie, tylko roczniaki, miody byczek i smukła jałówka, Dalej trzy stare krowy z trójką małych cieląt, które chodziły już prawie pewnym krokiem i w zabawie bodły się rogami. Ale gdzie jest czwarta stara krowa, która nie miała dotąd cielaka, chociaż wydawała się taka gruba i ociężała?

Podszedł bliżej, ale nie za blisko, bo mógłby ją przestraszyć. Dwa małe kształty leżały na ziemi i krowa je lizała — najpierw jeden, potem drugi. Były to dwa cielaki, mniejsze od tamtych zaraz po urodzeniu, ale silnie zbudowane. Już próbowały stawać na niepewnych nogach. Ich matka była dobrą matką. Czekała dłużej niż pozostałe krowy — i słusznie. Była najlepszą z matek. Będzie musiała jeść dużo soczystej trawy, żeby starczyło jej mleka dla tych żwawych cielaczków.

Trawa i liście były jasnozielone, słońce było ciepłe, deszcze były łagodne i nie trwały długo, pożywienie było smaczne i urozmaicone. A Niedźwiadek miał zawsze tyle do zrobienia, tyle godzin spędzał na ciepłym słońcu obserwując wciąż zmieniające się życie kanionu, jego kanionu, i tyle godzin spędzał podczas ciepłych nocy leżąc przed szałasem i czekając, aż księżyc wypłynie spoza kamiennej ściany i dotknie łagodnym blaskiem jego oczu...

A potem zaczęły się sny.

Bywał nerwowy, bez najmniejszego powodu. Bywał niespokojny i nie wiedział czemu. Bywał rozdrażniony i unosił się nagłym gniewem, kiedy nie miał się na co gniewać. Jadł mało, bo stracił apetyt, i ciało miał wychudzone. Jadł więcej, zmuszał się do jedzenia, ale nic mu to nie pomagało. Jadło nie przy dawało mu ciała, jak świeża trawa przydawała ciała bizonom. Był to okres, kiedy wszystkie stworzenia tuczyły się na dobrym pożywieniu późnej wiosny, a jemu nie przybywało tłuszczu. Spał mało, a jak zasypiał nawiedzały go sny. Sny były bezkształtne i kiedy się budził, nic z nich nie pamiętał. Czasem budził się bardziej zmęczony, niż kiedy się kładł, i leżał czując w członkach niezrozumiałe znużenie. Kiedy indziej budził się niespokojny, wzburzony, zrywał się i zaczynał chodzić szybkim, nerwowym krokiem, zły na wszystko, co go otaczało. Starał się zapamiętać sny — i nie mógł. Umykały mu; zdawało się, że już je chwyta pamięcią, ale pierzchały bez śladu. I nagle przyśnił mu się sen, który zapamiętał.

Był to ten sam sen, który śnił w kanionie przymierając głodem. Szedł po żyznej ziemi i tym razem wiedział, że to jest jego kanion, i zobaczył przed sobą pięknie pozszywany wigwam ze skór bizona i wiedział, że to jest jego wigwam, a przy wejściu stała kobieta. Była to ta sama kobieta, dostrzegał ją teraz wyraźnie — młoda, chociaż miała w sobie coś

macierzyńskiego, może nie piękna, ale z wyrazem ciepłej mądrości i zrozumienia na twarzy. Przyzywała go ręką. Szedł ku niej, lecz nagle zniknęła i on też zniknął. Zbudził się dygocąc na całym ciele, jak w gorączce...

Siedział na ziemi, z nogami skrzyżowanymi Obserwował płaski kamień leżący na nim kawałek suszonego mięsa. Ciemnobrązowy łeb borsuka z białym pasem pośrodku ukazał się nad kamieniem. Borsuk dostrzegł Niedźwiadka. Małe czarne ślepia z iskierkami światła w głębi najwyraźniej go poznały. Po chwili cały szeroki, brązowoszary tułów był na kamieniu, Borsuk jadł mięso, wydawał się chudy i zmęczony, jakby wędrował gdzieś daleko jadł niewiele. Borsuk nie skończył mięsa. Leżał na kamieniu i przyglądał się Niedźwiadkowi.

Niedźwiadek siedział nieruchomo, a że słońce mocno przygrzewało, ogarnęła go senność i opuścił głowę. Borsuk wpatrywał się w niego i nagle rozjarzyły mu się ślepia. Przemówił głosem cichym i smutnym.

— Masz dużo — powiedział borsuk. — Ale czegoś brak. Brak ciepła, które nocą daje ciało leżące obok ciała...

Ostatnie promienie przedwieczornego słońca odnalazły go wysoko na skale, powyżej trzeciego występu. Stał mocno wsparty stopami w jedną z nisz. Jego lewa ręka trzymała się krawędzi drugiej niszy, nieco poniżej jego ramienia. Prawa dłoń trzymała kawałek krzemienia i uderzała w skalę powyżej głowy, Uderzenia były mocne i małe odłamki tańczyły w słońcu.

IV

Życiu Czejenów z wyżyn pogranicza nadają sens obyczaje i rytuały codziennego bytowania. W tym Czejen i jego plemię nie różnią się od innych ludzi żyjących gdziekolwiek i kiedykolwiek. Różne są tylko obyczaje i rytuały.

Obyczaje i rytuały Czejenów zmieniają się, ale zmieniają się bardzo powoli. Słuszniej będzie powiedzieć, że ich przybywa, że utrwala je tradycja, że zmiana jest stopniową adaptacją starego pod wpływem nowego. Tradycja i rytuały zmieniają się powoli właśnie teraz, tak wolno, że plemię nie wie, że się zmieniają i uważa je za niezmienne. Gwałtowny atak białego człowieka i jego bezlitosna, miażdżąca przewaga to jeszcze sprawa przyszłości.

W niczym te obyczaje i rytuały nie są trwalsze i przestrzegane z większą surowością niż w małżeństwie i wszystkim, co się łączy z zakładaniem rodziny. Bo właśnie od niego zależy przyszłe dobro plemienia. Ono właśnie spaja strukturę społeczną, luźną może, ale niemniej strukturę,

wiążącą zdrowe, jednorodne plemię ludzi dobrze obznajomionych z tradycjami i rytuałami, które nadają sens ich życiu...

Kobiety plemienia grają nie mniej ważną rolę niż mężczyźni One są prawdziwymi władczyniami w obozowisku i wiosce, podczas gdy mężczyźni dzierżą władzę na łowach i wojnie. Ale nawet w sprawach dotyczących łowów i wojny kobiety często udzielają rad mężczyznom i powstrzymują ich przed zbytnią popędliwością i zbytnią gorliwością — a mężczyźni słuchają. Kobiety mają prawo do posiadania własnego dobytku i zachowują to prawo po ślubie. Mają własne stowarzyszenia i związki. Kobieta, która umie zbudować dobry wigwam, jest tak ceniona jak dobry łowca. Nie wydaje się kobiety za mąż bez jej zgody. Rodzice albo brat, albo wuj, który ją „posiada” w tym sensie, że na nim spoczywa odpowiedzialność za wydanie jej za mąż, może dziewczynę przekonywać i namawiać, ale nikt do niczego jej nie zmusi Będzie darzona szacunkiem przez mężczyzn we wszystkich miejscach i okolicznościach dopóty, dopóki sama zachowa dla siebie szacunek. Nic jest popychadłem, przedmiotem, niewolnicą. Jest kobietą z plemienia Czejenów.

Niełatwa będzie sytuacja młodzieńca pragnącego pojąć za żonę dziewczynę z plemienia Czejenów, jeśli nie ofiaruje jej ojcu wielu podarków, które ten rozda między bliższych i dalszych krewnych dziewczyny. Podarki te dowodzą, że młodzieniec jest człowiekiem zdolnym roztoczyć nad nią opiekę, że ma o niej wysokie mniemanie i wreszcie, że pochodzi z dobrego rodu, którego członkowie pomogli mu zgromadzić le podarki Jeśli zostanie przyjęty, podarki ofiarowane mu w zamian do rozdania między jego bliższą i dalszą rodzinę mogą wartością dorównywać albo nawet przewyższać te, które on ofiarował. Ale bez podarków jego położenie jest nad wyraz trudne. Jeśli nie ma podarków, musi być człowiekiem, który nosi głośne imię i dokonał wielu walecznych czynów, bo inaczej ona nie spojrzy na niego przychylnie. A jeśli jest takim właśnie człowiekiem, z pewnością ma wiele podarków do ofiarowania: Tak, trudne jest położenie mężczyzny, który nie ma głośnego imienia, nie dokonał ani jednego walecznego czynu i prawie nie ma podarków do ofiarowania, by za nim przemówiły. Może być dobrym człowiekiem i ona może spoglądać na niego oczami łagodnymi i pełnymi żalu. Ale jest kobietą z plemienia Czejenów. Wychowywano ją i szkolono staranniej niż chłopców, ponieważ, będzie matką i pamięta o swych obowiązkach...

Wszyscy wierni swemu plemieniu i otaczani szacunkiem Czejenowie uważają, że jest to procedura słuszna i właściwa. Dzięki niej kojarzone są dobre małżeństwa, małżeństwa tak trwałe, że niejeden starzec przedkłada ponad wszystko towarzystwo starej żony, która przyjęła go, kiedy był młody i pełen sił, która utrzymywała czystość w jego wigwamie i rodziła mu dzieci i przeżywała z nim dobro i zło, w ciągu odpływających w przeszłość lat. Istnieją wyjątki, małżeństwa zawierane inaczej, bez pieczołowitego stosowania się do obyczajów, a czasem nawet wbrew nim. Ale rzadko są to dobre małżeństwa.

W takim położeniu znajdował się Niedźwiadek.

Oto on. Skończył wyrąbywanie nisz w skale i jest teraz na prerii. Niedźwiadek, kiedyś przybrany syn Silnej Lewej Ręki, a teraz wędrowiec,

dziwak, który nie opowiada nikomu o swojej ofierze głodu ani o czterech długich porach roku swej nieobecności, ani o tym, skąd pochodzą blizny na jego piersiach i udach, i nic zatrzymuje się dłużej w żadnej wiosce, tylko wędruje dalej i dalej na swoim malowanym koniku, ubrany w koszulę ze skóry ogromnego dzikiego kota, z dzidą, która zamiast kamiennego grotu jest zakończona nożem o żelaznej klindze. Poluje z rzadko spotykaną odwagą i przynosi mięso do wigwamu człowieka, u którego spędza w gościnie kilka dni. i wędruje dalej, coraz dalej, w poszukiwaniu czegoś, co jest tak bezcielesne jak obraz kobiety widzianej we śnie.

W wigwamie jest cicho. Cała rodzina śpi. Ale Niedźwiadek nie może zasnąć. Leży na posłaniu wymoszczonym gościnną opończą, którą wyjęto i rozścielono specjalnie dla niego, a on nie śpi. Nie znalazł dziewczyny w wiosce. Może jej nie ma w żadnej wiosce. Szukał jej przez blisko cztery pory roku i nigdzie jej nie znalazł. Był w Chacie Czarowników z zachodnich wiosek, ale jej tam nie znalazł. Był w Chacie Czarowników z południowych wiosek, leżących w pobliżu rzeki Niobrara, ale jej tam nie znalazł. Zostały jeszcze wioski leżące na wschodzie i Niedźwiadek tam się wybiera. Ale niekiedy rodziny przenoszą się z wioski do wioski i jaką może mieć pewność, że dziewczyna nie przebywa w jednej z wiosek, które już odwiedził? Skąd może mieć pewność, że dziewczyna w ogóle jest w jakiejkolwiek wiosce?

Łagodny blask późnowiosennego księżyca przedarł się przez otwór wejściowy wigwamu i zaczął przyzywać Niedźwiadka. Wstał cicho, wyszedł i przebywszy wioskę znalazł się na otwartej prerii. Usiadł na skrzyżowanych nogach pośród długich traw i wsłuchiwał się w otaczające go szmery nocne. Maijun tego miejsca szeptały do siebie w trawach, poznały Niedźwiadka. Maijun wszystkich miejsc, są ze sobą spokrewnione i rozmawiają w głębi ziemi, dzielą się wiadomościami. Więc te Maijun poznały go i przemówiły do niego.

— Mały bracie, czy ją znalazłeś? — spytały.

Opuścił głowę tak nisko, że aż brodą dotknął piersi, i był bardzo smutny. Powiał wiatr i trawy zaszeleściły mocniej, a Maijun przemówiły teraz karcącymi glosami:

— Mały bracie, zapomniałeś o Starcu?

Podniósł głowę i spojrzał na księżyc.

— Starzec umarł — powiedział. — Odszedł ścieżką, na której wszystkie ślady prowadzą w jednym kierunku i przebywa teraz z duchami przyjaciół swojej młodości w wielkim obozowisku pośród dalekich gwiazd.

Niedźwiadek opuścił głowę, bardzo posmutniały. Ale wiatr, powiał mocniej, trawy zaszeleściły głośniej i Maijun przemówiły zagniewanymi głosami.

— Czy Starzec cię zawiódł, kiedy twój roześmiany ojciec, który wtedy się nie śmiał, wywołał jego imię, aby ci przekłuł uszy? Czy Starzec cię zawiódł, kiedy dla twojego dobra walczył o oddech, który utrzymał go przy życiu, i posłał swego ducha w ciemną noc, poprzez mroczną prerię i na dalekie wzgórza, kiedy się bałeś i byłbyś uciekł nie spełniwszy ofiary głodu? — Tak przemawiały Maijun, a były bardzo na niego zagniewane i odleciały szeleszcząc wśród traw. Znowu zapadła cisza.

Niedźwiadek długo nad tym rozmyślał. Wstał i wrócił przez wioskę do wigwamu. Cicho wziął dzidę z żelaznym nożem zamiast grotu, cicho przemknął się przez wioskę i wyszedł na pastwisko, gdzie stały konie w księżycowym blasku. Wskoczył na swego malowanego konika i pocwałował na wschód.

Jechał całą noc i przez większą część dnia. Późnym popołudniem przybył do celu. Wioska była tam, gdzie była. Nie przeniesiono jej na inne miejsce. Ale zniknął wigwam z malowanymi znakami. Znajdował się dwie mile od wioski, zwinięty jak do drogi spoczywał obok ulubionej broni i ulubionych fajek na pogrzebowym wzniesieniu w niewielkim gaju, gdzie stare kości i resztki trzymającego się na nich ciała Starca, wielkiego Starca, którego zwano Stojącym Całą Noc, spały snem wiecznym w opończy ze skór bizona.

Niedźwiadek wiedział, że tak będzie, a przecież ten widok napełnił mu serce smutkiem. Skoro Starzec odszedł w zaświaty, czemu ta wioska miałaby się różnić od innej?

Ruszył naprzód i obok pierwszego wigwamu zaszedł mu drogę mężczyzna, człowiek już niemłody, z uschniętą lewą ręką, ale z jego twarzy biła siła. Mężczyzna podniósł prawą dłoń. Przemówił jak Czejen do Czejena, prosto i z wielką grzecznością.

— Mój przyjacielu. Nazywają mnie Białym Wilkiem.

— Mój przyjacielu. Nazywają mnie Niedźwiadkiem.

— Witaj, Niedźwiadku. W czym mogę ci pomóc?

— Miałbym chęć zatrzymać się w tej wiosce na jakiś czas.

— To dobrze. Znajdziesz gościnę w moim wigwamie.

— To bardzo dobrze. Będę dla ciebie polował. Będę ci przynosił dużo mięsa.

— Niepotrzebne jest mięso. Zaszczycisz swoją obecnością mój wigwam.

Usiedli przed wigwamem na skrzyżowanych nogach. Zapalili fajkę i podawali sobie kolejno, bo tak nakazuje obyczaj. Była między nimi nić, jaka łączy mężczyznę z mężczyzną. Biały Wilk pociągnął z fajki. Wyjął cybuch z ust.

— Przyjacielu — powiedział. — Wieści o twoim wędrowaniu dotarty nawet tutaj. Czemu tak się przenosisz z wioski do wioski?

Niedźwiadek wziął od niego łajkę. Pykał z niej w milczeniu. Szukał słów, które by odpowiedziały nie odpowiadając na pytanie, bo nie mógł wyrazić na głos tego, co się działo w jego sercu. Szukał słów i nagle zapomniał ze ich szuka.

Kobiety szły do pobliskiego strumienia po wodę, bo zbliżała się pora przyrządzania posiłku. Niosły naczynia i gawędziły wesoło, Jedna z nich była młoda, a przecież miała w sobie coś bardzo macierzyńskiego, może nie było piękna, ale miała wyraz ciepłej mądrości i zrozumienia na twarzy. Niedźwiadkowi serce podskoczyło w piersi, a jego oddech siał się szybszy.

— Mój przyjacielu. Kim jest ta dziewczyna?

Oczy Białego Wilka nagle się roziskrzyły. Na pytanie, które zadał, usłyszał w odpowiedzi inne pytanie, które było zarazem odpowiedzią. Wziął od Niedźwiadka fajkę i wciągnął haust dymu. Wypuścił dym przez nozdrza.

— Nazywa się Cętkowana Turkawka.

— Jest zamężna?

— Mieszka w wigwamie Żółtego Księżyca.

Ból przeszył serce Niedźwiadka. Zwiesił głowę tak nisko, że aż dotknął podbródkiem piersi. Ale oczy Białego Wilka jeszcze bardziej się roziskrzyły.

— Mój przyjacielu. Żółty Księżyc jest jej bratem.

W wigwamie Białego Wilka było dużo mięsa. Nawet kiedy miał sprawną lewą rękę, zanim odmroził ją podczas wielkiej śnieżycy, w jego wigwamie nigdy nie było tyle mięsa. Było go dość, żeby rozdawać między tych wszystkich, którzy wracając z łowów dzielili się i nim swoją zdobyczą, ponieważ on sam nie mógł już zdobywać dla siebie pożywienia. Było dość mięsa, żeby wprawiać uczty i zapraszać na nie przyjaciół. Białego Wilka rozpierała duma, że Niedźwiadek, ten dziwny, ten inny niż wszyscy ludzie, jest jego gościem. Tego dnia Niedźwiadek zabił trzy bizony, trzy bizony na jednych łowach i to nie strzałami, tylko dzidą, a ci co wyjechali razem z nim na prerię, mówili, ze kiedy wychylał się z grzbietu malowanego konika i wbijał zwierzęciu dzidę prosto w serce, miał na ustach uśmiech.

Stary obwoływacz wioskowy wywoływał imiona. Przyjaciele Białego Wilka zeszli się na ucztę. Ale kiedy ucztowali wśród głośnych rozmów, Niedźwiadka nie było w wigwamie. Zapadał już zmierzch i Niedźwiadek stał w pobliżu wigwamu Żółtego Księżyca. Czekał, jak czekają inni młodzieńcy, aż dziewczyna, do której pragną się zalecać, wyjdzie po drzewo albo wodę, bo wtedy będą mogli pociągnąć ją za rękaw, żeby zwrócić na siebie jej uwagę i przekonać się, czy zechce do nich przemówić. Bał się: Niedźwiadek, ten dzielny myśliwy, po prostu się bał. Był nieśmiały i wiedział, że jest dziwny, inny niż wszyscy ludzie, i po prostu się bał.

Z wigwamu wyszła kobieta. Była to żona Żółtego Księżyca. Dostrzegła go czekającego w mroku. Może uśmiechnęła się na wspomnienie młodych mężczyzn, którzy kiedyś czekali na nią w mroku. Przeszła obok Niedźwiadka, jak gdyby go nie zauważając, i skierowała się ścieżką do strumienia. Wróciła i zniknęła w wigwamie. Czekał i bał się jeszcze bardziej, inna kobieta wyszła z wigwamu, młodsza, właściwie jeszcze dziewczyna, ale z wyrazem macierzyńskiej dojrzałości na twarzy. Była. to Cętkowana Turkawka. Nie spojrzała na niego. Patrzała w inną stronę. Ale kierując się do strumienia przeszła tuż obok. Pociągnął ją lekko za suknię.

Zatrzymała się i spojrzała na niego. Niedźwiadek z największym trudem wydobył z siebie głos.

— Cętkowana Turkawko — powiedział. — O, Cętkowana Turkawko!

Zobaczyła, że jest przestraszony i uśmiechnęła się do niego.

— Tak, jestem tą, którą nazywają Cętkowana Turkawką...

— A ja jestem tym, którego nazywają Niedźwiadkiem.

— Słyszałam. Widziałam. — Spojrzała na niego uważniej w gęstniejącym mroku, wpatrzyła się w niego i jej oczy aż się rozszerzyły ze zdumienia. — Jesteś tym, który jako małe dziecko miał blask księżyca w oczach,

Nie mógł dobyć głosu, tak był zaskoczony i tak zdziwiły go jej słowa, więc znowu się do niego uśmiechnęła.

— Widziałam cię. Ty mnie widziałeś i nie widziałeś. Twoje oczy patrzyły tylko na Starca. Słyszałam, co mówiłeś i co on mówił Jestem prawnuczką,

która mu gotowała polewki. — Niedźwiadek patrzał na nią osłupiały. Kiedy znowu przemówiła, wielki smutek wyzierał z jej twarzy. — W siedem dni po twoim odejściu umarł. Wstał w nocy z posłania i zaczął coś wołać. Był bardzo zmartwiony. Zawiódł cię. Padł na posłanie i nie było już w nim życia.

Strach opuścił Niedźwiadka. Był mężczyzną, mógł mówić.

— O, Cętkowana Turkawko. Nie zawiódł mnie. W niczym mnie nie zawiódł. — I nagle z jego ust popłynęły słowa. — Widziałem cię. Nie rozumiałem tego, ale cię widziałem. Przez oczy weszłaś do mojego serca. Żyłaś w moich myślach. Przywoływałaś mnie ręką w snach...

Teraz ona się zlękła. Żaden młodzieniec w wiosce, który o zmierzchu czekał na młodą kobietę, nie mówił w taki sposób, nie przemawiał tak nawet po wielu wieczornych rozmowach. Zachowywał stare obyczaje. Gawędzili tylko jak przyjaciele o rzeczach obojętnych, o tym, co się zdarzyło w wiosce czy na polowaniu. Pozwalali, by uczucie rosło powoli, nie wyrażane w słowach, przez wiele tygodni czy nawet miesięcy. Dziewczyna odwróciła się, żeby wrócić do wigwamu. Ale Niedźwiadek chwycił ją za suknię i nie puszczał. Nagle zrozumiał że Starzec już po śmierci dokonał cudu i głęboko to nim wstrząsnęło, a słowa same cisnęły mu się teraz na usta.

— Nie jestem młodzikiem, żeby stać tu co wieczór i czekać, i nie mówić o tym, co mam w sercu. Szukałem cię przez cztery pory roku we wszystkich wioskach naszego plemienia i miejsce, które jest moim miejscem, czeka na nas.

Wyrwała mu się i wróciła do wigwamu. Stanęła w wejściu i obejrzała się. Jej twarz, oświetlona blaskiem ogniska, nie była zagniewana. Była łagodna i macierzyńska, i trochę przestraszona.

Niedźwiadek stał w gęstniejącej ciemności bardzo zawstydzony. Była już późna noc, kiedy wsunął się cicho do wigwamu Białego Wilka...

Istnieją obyczaje. Obyczaje rządzą wszystkim, zawsze i wszędzie. Są obyczaje rządzące jedzeniem, spaniem i odziewaniem się, są takie, które rządzą ścieżką wojenną i łowami i takie, co rządzą rozmową mężczyzny z mężczyzną i mężczyzny z kobietą; są wreszcie obyczaje związane z małżeństwem, łączeniem się dwojga ludzi, zakładaniem nowej rodziny. To dobrze. Obyczaje wzbogacają życie i nadają mu sens. Ale niekiedy człowiek dziwny, różniący się od innych ludzi, uważa, że ją niemądre. A kimże on jest i dlaczego mu się zdaje, że ma prawo rozstrzygać o tym, co mądre, a co niemądre? Kim jest i dlaczego mu się zdaje, że trzeba je odrzucić, by zadowolić jego pragnienia i uspokoić jego sumienie?

— Przyjacielu. Czy pójdziesz do wigwamu Żółtego Księżyca i przemówisz za mną, jak nakazuje obyczaj? Czy powiesz, że pragnę jego siostry za żonę?

— Jakie podarki mam wziąć ze sobą? Żółty Księżyc to dzielny wojownik, a jego siostra jest bliska jego sercu. Było już wielu młodzieńców, którzy czekali na nią o zmierzchu, ale ona na żadnego nie spojrzała przychylnie.

— Nie mam podarków.

— Nie masz rodziny, nie masz krewnych, którzy zebraliby dla ciebie podarki?

Ku zachodowi leży wioska, a w tej wiosce mieszka człowiek zwany Silną Lewą Ręką. Wyzbędzie się wielu koni i wielu dobrych dzid i łuków, a także wielu pięknych opończy, aby je dać przybranemu synowi, jakby to zrobił dla rodzonych synów, bo traktuje sprawiedliwie wszystkich mieszkających w jego wigwamie. Ma dwóch synów, którzy są mężnymi wojownikami. Ci synowie w każdej chwili wyruszą na ścieżkę wojenną, niezmordowani na szlaku, żeby zdobyć konie dla przyrodniego brata, który wzrastał z nimi od maleńkości i dzielił z nimi to samo ciepło, tego samego ogniska, w tym samym wigwamie. Ale Silna Lewa Ręka nie jest rodzonym ojcem Niedźwiadka. Jego synowie nie są rodzonymi braćmi. I dlaczego człowiek miałby zabierać innym to, czym w godzinie potrzeby nie będzie się mógł odwzajemnić?

— To wszystko jedno. Nie mam podarków.

— Musisz mieć podarki. Dam ci, co będę mógł. Porozmawiam z moimi krewnymi.

— Dobry z ciebie człowiek. Ale tak nie może być. Nie jesteś moim ojcem. Mój ojciec nie żyje, Wziąłbym tylko od rodzonego ojca.

— Ale muszą być podarki. Rzeczy, które są znakami.

— Mam malowanego konika. Mam dzidę z żelaznym ostrzem noża zamiast kamiennego grotu, noża, który znał dotyk ręki jej pradziadka, Stojącego Całą Noc.

— Lepiej byłoby w ogóle nie chodzić, niż pójść z jednym koniem i dzidą, nawet taką jak twoja.

— Mój przyjacielu. Proszę cię o to, jak mężczyzna prosi mężczyznę, który dał mu gościnę w swoim wigwamie.

— Czy często opowiadałeś o swoich mężnych czynach?

— Bez konia i ze złamaną kością prawej nogi, podpierając się dzidą, zabiłem starego byka, przewodnika stada.

— To dobrze.

— Turlając się po ziemi z nożem w ręku zabiłem pumę, krwiożerczego kota z gór, chociaż jej pazury szarpały mi ciało.

— To bardzo dobrze. Ale czy opowiadałeś o mężnych czynach w walce z wrogami twojego szczepu?

— Nie opowiadałem.

Tak, to jest człowiek dziwny, różniący się od innych ludzi, wędrownik dążący do celu, ale bez możliwości osiągnięcia tego celu. Nie szuka sławy, chociaż każdy mężczyzna powinien jej szukać. Gdyby tu został, zgromadziłby wielkie bogactwa. Kobiety z mojego rodu szyłyby mu odzienie ze skór zabitych przez niego bizonów. Powinien wstąpić na ścieżkę wojenną i zdobywać konie. Na każdą rzecz przychodzi odpowiednia pora. Czemu on się tak śpieszy?... A przecież... Jest mężnym myśliwym. W wigwamie mam pod dostatkiem mięsa, więcej niż kiedykolwiek przedtem. Daje je z ochotą. I ma w sobie jakiś przyciągający spokój. Kiedy pali fajkę i podaje ją dalej, powstaje silna więź między mężczyzną i mężczyzną. Kobieta spoglądała na niego przychylnie. Cała wioska wie, tak jak wiedzą to wszystkie wioski, że cztery razy pociągał ją za suknię i że cztery razy ona zatrzymywała się na chwilę rozmowy. Może dziwnemu człowiekowi przydarzają się dziwne rzeczy?...

— Przyjacielu. Pójdę. Przemówię za ciebie.

Biały Wilk prowadził malowanego konika. W uschłej lewej ręce trzymał dzidę. Uwiązał konia przed wejściem do wigwamu Żółtego Księżyca. Wbił ostrze dzidy w ziemię i tak ją zostawił. Wszedł do wigwamu.

Żona Żółtego Księżyca stała u wejścia. Zawołała i przybiegły dzieci. Przemówiła do nich i dzieci rozbiegły się po innych wigwamach, a niektóre pognały za wioskę, żeby odszukać mężczyzn, których nie zastały w domu. Rozpaliła ognisko przed wejściem do wigwamu i zaczęła przygotowywać jedzenie.

Krewni Żółtego Księżyca i jego żona zebrali się w wigwamie. Jedli, rozmawiali, namyślali się i znowu rozmawiali. Przez całą resztę dnia jedli i rozmawiali, i namyślali się. W końcu Żółty Księżyc przemówił, a reszta słuchała.

Skończył. Ojciec jego żony wstał i wyszedł z wigwamu. Odwiązał malowanego konika. Wziął dzidę tkwiącą ostrym końcem w ziemi. Zaprowadził malowanego konika przed wigwam Białego Wilka. Położył dzidę na ziemi. Zawrócił i poszedł. Odpowiedź została udzielona. Nie będzie małżeństwa.

Ojciec żony Żółtego Księżyca przystanął i znowu zawrócił. Szedł przez wioskę jak człowiek, który pragnie odetchnąć wieczornym powietrzem Znalazł się niedaleko wigwamu Białego Wilka. Skręcił do wigwamu jak człowiek, który sobie nagle przypomniał, że tu mieszka jego przyjaciel. Wszedł do wigwamu i stanął na prawo od wejścia. Nie przekazywał teraz żadnych wiadomości Był gościem, który wstąpił do przyjaciela, żeby porozmawiać z nim o tym, co się dzieje w wiosce.

Biały Wilk siedział na posłaniu w głębi wigwamu. Niedźwiadek siedział na posłaniu po prawej, z głową tak nisko zwieszoną, że broda dotykała piersi. Teść Żółtego Księżyca nie spojrzał w jego stronę. Czekał, a potem usiadł na miejscu wskazanym przez Białego Wilka. A Biały Wilk nabił i zapalił fajkę, pociągnął z niej kilka razy i podał łajkę gościowi. Ten pociągał dym przez kilka chwil i wreszcie przemówił:

— Człowiek zwany Żółtym Księżycem, mąż mojej córki i brat dziewczyny zwanej Cętkowaną Turkawką, mówił dziś dużo w swoim wigwamie. Od śmierci swego ojca, który zmarł dwie wiosny temu, on sam jest odpowiedzialny za swoją siostrę. Nawet i wcześniej był odpowiedzialny za jej małżeństwo, bo ojciec zgodnie z obyczajem przekazał mu ją w nagrodę za pierwszą opowieść o mężnym czynie wojennym. Widział tego, którego zwą Niedźwiadkiem na łowach. Chyli czoło przed tak dzielnym myśliwym. Ale nie zhańbi swojej siostry oddając ją w małżeństwo bez złożonych podarków, aby mogli sobie z nich wybrać ci którzy są jej krewnymi i powinowatymi. — Gość ponownie zapalił fajkę i pykał z niej przez kilka chwil. Znowu przemówił. — To nie wszystko. Mężczyzna, który nie opowiadał jeszcze o swych walecznych czynach na wojnie z wrogami plemienia, nie jest mężczyzną. Jest jeszcze chłopcem i lata, które przeżył,

nic nie znaczą. Tak z dawien dawna mówią w naszym plemieniu. Mądrze mówią. Przyjaciel tego, którego zwą Niedźwiadkiem, niech mu powie, żeby wszedł na ścieżkę wojenną. Niech dokona wielu czynów i schwyta wiele koni, a stanie się mężczyzną...

Czy opowieści o zwycięstwach nad wrogami plemienia, nawet kiedy tych wrogów nie ma blisko i nikomu nie zagrażają, czynią chłopca mężczyzną? Czy zabieranie koni innym ludziom czyni chłopca wojownikiem zdolnym do posiadania własnego wigwamu i kobiety żyjącej w tym wigwamie? Czy człowiek musi popełniać czyny niezgodne z tym, co jest w jego sercu, żeby zdobyć tę inną rzecz, która też jest w jego sercu?

Siedział ze skrzyżowanymi nogami pośród wysokich traw i księżyc zaglądał mu w oczy. Jego myśli mocowały się ze sobą i uderzały o kości czoła. Był bardzo smutny. Wiatr szeleścił w trawach i szeptały Maijun tego miejsca. Niedźwiadek ich nie słyszał. Odezwały się głośniej i zmusiły go do słuchania.

— Mały bracie. Twoje oczy patrzyły na matkę Cętkowanej Turkawki, kiedy szła do lasu po drzewo. A przecież jej nie widziały...

— Mój przyjacielu. Czemu matka Cętkowanej Turkawki ma włosy krótko obcięte i chodzi boso po wsi? Ma wciąż nowe rany na nogach. Dwa razy minęły cztery pory roku, odkąd ojciec Cętkowanej Turkawki znalazł ścieżkę, na której wszystkie ślady wskazują w jednym kierunku, a ona wciąż go opłakuje.

— Opłakuje go, bo jego duch nie odnalazł ścieżki. Błądzi po dalekim kraju więziony przez kości, które leżą nie pochowane.

— Porwali go wrogowie?

— Nie. Umarłby wtedy śmiercią zaszczytną i Himmawihio wskazałby mu drogę. Zranili go wrogowie, ale porwały złe duchy. Poszedł na wyprawę wojenną do kraju Kruków. Zapuścili się daleko na ich ziemie i wzięli dużo koni. Ale wrogowie ich wytropili i było ich więcej w walce. Uratowali się tylko na tych koniach, na których przyjechali. Wróg odciął im drogę do naszego kraju. Uciekali na północ, a tamci ich ścigali. Zajechali w złe miejsce, gdzie teren jest nierówny i wznosi się ku górze, a skały mają dziwaczne kształty, które budzą strach w człowieku. Mieszkają tam złe duchy, bardziej niegodziwe od wszystkich znanych człowiekowi. Musieli iść i prowadzić konie. On miał strzałę w udzie i ciężko mu było iść. Złe duchy tego miejsca wybrały go sobie na ofiarę. Z ich woli potknął się, a one go porwały, zaciągnęły na brzeg przepaści i zrzuciły na skały w dole. Tamci go wołali, a on nie odpowiedział. Tylko złe duchy im urągały, a wróg był blisko. Uciekli. Zatoczyli duże koło, wyprowadzili tamtych daleko i wreszcie im się wymknęli. Teraz jego kości leżą nie pogrzebane, Nie było przy nim nikogo, kto wyprostowałby członki, położył ciało głową na wschód i przykrył je opończą. aby jego duch zaznał spokoju i odnalazł właściwą ścieżkę.

— Nikt nie poszedł po kości?

— Nikt nie poszedł.

— Żółty Księżyc jest mężnym wojownikiem. Żółty Księżyc nie poszedł?

— Nikt tam nie pójdzie. Nikt. Droga prowadzi przez kraj wielu wrogów. Kości leżą tam, gdzie złe duchy ich pilnują i nie pozwolą zabrać.

— Przyjacielu. Jak trafić do tego miejsca?

Wziął ze sobą dzidę, woreczek suszonego mięsa i pusty worek uszyty ze skór starego wigwamu. Szedł pieszo. Koń jest ciężki i ma ostre kopyta, a jego śladów nie da się ukryć, chyba że na twardej skale albo w łożysku strumienia, natomiast człowiek stąpa lekko i jego ślady znikają w sprężystej darni. Od trzech dni był na ziemi Kruków, posuwając się wciąż naprzód, a oni o tym nie wiedzieli. Trzymał się zagłębień między grzbietami falistych pagórków równiny, a kiedy musiał przebyć grzbiet wzgórza, posuwał się bardzo wolno i niekiedy jak wąż pełzł na brzuchu. Ilekroć dojrzał bizony, obchodził je z daleka, bo mogli być przy nich myśliwi. Dwa razy zataczał duże koło, żeby ominąć wioskę. Czwartego dnia zobaczył przed sobą wyrastające, z prerii, dziwacznie poskręcane, przerażające swoimi kształtami groźne skały — miejsce zamieszkałe przez złe duchy, bardziej niegodziwe od wszystkich innych znanych człowiekowi. I tego samego dnia dostrzegła go też wyprawa myśliwska Kruków.

Było ich dziewięciu, wszyscy na chyżych konikach. Jechali rozciągniętym szykiem, wypatrywali bizonów. Pierwszy z nich, znajdujący się najbliżej, dostrzegł Niedźwiadka na tle nieba, gdy ten zatrzymał się na ostatnim i najwyższym wzgórzu i jego oczy po raz pierwszy ujrzały złe miejsce. Stał zapatrzony, nie pamiętając o ostrożności. Tamten zawrócił konia i pogalopował, żeby zawiadomić swoich towarzyszy. Niedźwiadek usłyszał niesiony wiatrem tętent, więc schylił się i zaczął biec. Biegł prosto do złego miejsca, gdzie ludzie nie mogli ścigać go na koniach, on zaś mógł biec klucząc od jednej dziwacznie sterczącej z ziemi skały do drugiej i znaleźć wicie kryjówek w rozpadlinach.

Miał długą drogę do przebycia, prawie milę, ale myśliwi z plemienia Kruków byli bardzo ostrożni i nie śpieszyli się z pościgiem. Nie wiedzieli, czy nie jest przypadkiem zwiadowcą jakiejś śmiałej grupy wrogich wojowników. Nit wiedzieli, czy jest sam. Jechali bardzo wolno, gotowi w każdej chwili uciec lub zaatakować, jak im doradzi rozsądek, i bardzo uważnie badali wzrokiem okolicę. Kiedy dotarli do miejsca, na którym stał, był już dość daleko i oni go nie widzieli. Zeskoczył na dno wąskiego jaru, który wijąc się skręcał w prawo i dalej prosto do skał. Niedźwiadek biegł skulony, z głową pochyloną, a tamci przeszukiwali teren. Znaleźli jego ślady, bo w ucieczce nie patrzył, gdzie i jak stąpa, Tu i ówdzie między kępami trawy był odciśnięty niewyraźny ślad jego mokasyna. Szukali uważnie, ale nie znaleźli innych śladów. Ze szczytu wzgórza widzieli dobrze całą okolicę. Nie dostrzegli nigdzie innych wojowników. Były tylko ślady pozostawione przez jednego człowieka. Popędzili naprzód po niewyraźnych śladach jego mokasynów.

Stracili znowu sporo czasu przy jarze. Z rozpędu pogalopowali dalej, ich konie przesadziły jar jednym susem.

Zatrzymali się, ponownie przeszukiwali ziemię. Któryś zsiadł z konia i wskoczył do jaru, gdzie znalazł ślady odciśnięte w piachu na dnie.

Wrzeszcząc pogalopowali krętym brzegiem. Ale Niedźwiadek był już daleko. Wydostawszy się z jaru pełzł przez wysoką trawę w kierunku złego miejsca odległego teraz zaledwie o ćwierć mili Niesione wiatrem przypłynęły do niego ich okrzyki Pełzł jak wąż, a potem leżał bez ruchu, rozpłaszczony w trawie, kiedy tamci galopowali za jego plecami brzegiem rozpadliny. Zniknęli z oczu tam, gdzie teren nagle się obniżał, i Niedźwiadek zerwał się i zaczął pędzić przed siebie. Biegł skacząc, zbierał wszystkie siły i z trudem łapał powietrze. Był bardzo smutny, że ma tak krótkie nogi.

Skały były przed nim, prosto ku górze wspinały się ich dziwaczne i przerażające kształty. Za sobą Niedźwiadek znowu usłyszał okrzyki. Wojownicy z plemienia Kruków zawrócili, dojrzeli go i wiedzieli już teraz, że jest sam i że jest ich wrogiem. Grzmocili piętami boki koni i leżąc niemal na ich karkach galopowali z głośnym wrzaskiem. Pędzili za nim, a on umykał, skakał wytężając mięśnie krótkich nóg, aż wreszcie dopadł spiętrzonych skał i teraz biegł wspinając się i przeciskając między nimi, mając pod nogami plątaninę ich dziwacznych i przerażających cieni. Ale w końcu nie miał już siły wspinać się wyżej i stanął oparty plecami o wyrzeźbioną przez wichury i deszcze kamienną kolumnę. Czekał z dzidą gotową do walki, ale był sam wśród dziwacznych skał. Nikt nie wspinał się za nim, nie słyszał odgłosu pogoni. Był tylko głuchy, nigdy niemilknący szum wiatru nad prerią, nieustannie wżerającego się w skały.

Podpełzł ostrożnie na koniec sterczącego cypla i spojrzał w dół na drogę, którą przebył. Zobaczył ich. Byli na równinie, u podnóża skały. Zataczali małe koła siedząc na grzbietach koni, spoglądali w górę na dziwacznie uformowane, zawrotnie wysokie ściany i coś do siebie mówili. Zaniechali pościgu Nie zsiądą z koni i nie wejdą na to miejsce zamieszkałe przez złe duchy. Zawrócili i odjechali. Wspięli się na falisty grzbiet wzgórza, gdzie przedtem zauważyli Niedźwiadka. Zjechali stokiem na drugą stronę i zniknęli mu z oczu.

Długo wypatrywał ich ze swego wysokiego miejsca na zboczu, ale nie wrócili. Nie pokazali się więcej na równinie — ani oni, ani nikt inny, żadna żywa istota. Odjechali i przed Niedźwiadkiem rozpościerała się teraz bezkresna pusta przestrzeń, a za nim pięła się groźnie i dziwacznie poszarpana skała. Chyba bardzo złe duchy zamieszkiwały to miejsce, skoro nawet ci, na których ziemiach się znajdowało, lękali się do niego zbliżyć

Słońce zeszło nisko za horyzont, Niedźwiadek wiedział, że musi się śpieszyć, bo inaczej noc i owe bezimienne stwory zamieszkujące takie pustkowia dopadną go znienacka. Jest chyba niedaleko miejsca, którego szuka, bo ojciec Cętkowanej Turkawki i jego wojownicy przybywszy tu nie zapuścili się daleko między skały. Wspinał się powoli i nagle z lewej zobaczył dwie kolumny skalne, szerokie u podstawy, zwężające się ku górze i na czubkach lekko wygięte, jak rogi olbrzymiego bizona. Przysunął się bliżej i zobaczył za nimi zaokrągloną bryłę skalną, która przypominała garb tego samego olbrzymiego bizona. Tak mu to miejsce opisano. Właśnie tu, między rogami a garbem skalnym, złe duchy pochwyciły zranionego wojownika, zacisnęły go na krawędź przepaści i zepchnęły na głazy w dole.

Nietrudno było iść w ukośnych promieniach zachodzącego słońca, które kładły się na dziwacznie poszarpane skały i przecinały ich długie

cienie. Za kamiennymi rogami ścieżka, nierówna teraz, raptownie skręcała i kończyła się ogromnym żlebem opadającym pionowo w dół. Człowiek łatwo mógł się tu potknąć, a w mroku nie miał żadnej nadziei na obronę przed złymi duchami i śliskością, którą one zapewne wyczarowały mu pod stopami.

Podpełzł stromo opadającym zboczem do samej krawędzi kotlinki. Leżąc płasko na brzuchu, spojrzał w dół. Nie było tu głęboko, najwyżej trzydzieści stóp, a ściany były poszarpane i pełne małych półek i występów, które dawały stopom wygodne oparcie. W porównaniu z jego kanionem wydawało się to śmiesznie łatwe. I kotlinka nie była zamknięta ze wszystkich stron, jak jego kanion, ponieważ na jednym końcu łączyła się z inną i większą kotliną. Ale dno miała spękane i pocięte wieloma dziwacznie biegnącymi szczelinami, z których wyrastały małe krzaki i skarłowaciale drzewa. Niedźwiadek leżał bez ruchu i badał wzrokiem całą przestrzeń przed sobą. Nigdzie nie dostrzegł strzępów odzienia ani wybielonych słońcem kości. Zostawił dzidę i woreczek z suszonym mięsem na krawędzi przepaści i zszedł w dół zeskakując bez trudu z półki na półkę. W pośpiechu zaczął przeszukiwać dno, od szczeliny do szczeliny i między krzakami u podnóża ściany. Nic nie znalazł. W gęstniejącym mroku obszedł tak całe dno, a tymczasem słońce zniknęło za horyzontem i równinę objął zmierzch, ale tu, w tym groźnym i złym miejscu, noc zapadła nagłym, szybkim, otulającym wszystko całunem ciemności.

W pierwszej chwili Niedźwiadka ogarnęło przerażenie. Strach kazał mu wspiąć się z powrotem na skałę. Strach zatrzymał go w pól drogi, gdzie znalazł półkę dość szeroką, aby na niej bezpiecznie siedzieć, czy nawet się położyć. Wydawało mu się, że jest to najlepsze miejsce. Tutaj trudno byłoby komukolwiek lub czemukolwiek zaatakować go z góry czy z dołu. A złe duchy tego miejsca, wynurzające się ze swych kryjówek, by pić powietrze nocy, chyba go nie zauważą, gdy będzie siedział tak przycupnięty i przytulony do ściany skalnej. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na kamieniu, z plecami wpartymi w kamień i walczył ze strachem...

Wiatr nad równiną zawodził nieustannie, przybierał na sile. Wysyłał zwiadowcze podmuchy przez pęknięcia w wysokim skalnym obrzeżu i one to chichotały gawędząc między sobą głucho brzmiącymi głosami. Duchy tego miejsca wypłynęły jak mgła ze swoich kryjówek, i unosiły się w powietrzu pijąc jego zimny mrok, aż wreszcie zawładnęły wiatrem i frunęły na jego grzbiecie. Nie były to złe duchy. Były to Maijun i głosy miały podobne do głosów Maijun ze skalnych ścian jego kanionu. Wiedziały, że Niedźwiadek jest tutaj i znalazły go.

— Mały bracie — mówiły. — Znalazłeś kości wojownika, których szukasz? — Odpłynęły na grzbiecie wiatru, zatańczyły tajemniczy taniec i wróciły. — Mały bracie — wołały. — Zaczekaj, aż księżyc do ciebie przemówi.

Księżyc był złoty, ale blask miał srebrzysty. Wysrebrzył przeciwległą krawędź kotliny i zaczął pełznąć w dół. Jego łagodna świetlistość zsunęła

się delikatnie po ścianie i zajrzała do wgłębienia u jej podstawy. Było to wgłębienie niewidoczne z dna kotliny, ponieważ rosły przed nim gęste kępy krzaków. Było natomiast widoczne z półki sterczącej w połowie ściany, bo oświetlił je ukośnie padający blask księżyca. Była to kryjówka, do której wilk mógł zaciągnąć na ucztę ciało martwego wojownika. A zajrzawszy do środka księżyc zalśnił łagodnie na wyblakłej, nikłej bieli ludzkich kości...

Kiedy księżyc spłynął z nieba, Niedźwiadek, ten dziwny człowiek, tak różny od wszystkich innych ludzi, wspiął się po spiętrzonej skale i wyszedł na otwartą równinę. Niósł dzidę, woreczek z suszonym mięsem i worek zrobiony ze starych skór wigwamu. Woreczek z suszonym mięsem był prawie pusty, ale worek zrobiony ze starych skór był ciężki, bo mieściły się w nim kości Czejena, mężnego wojownika, który leżał niepochowany na ziemi Kruków. Niedźwiadek szedł ostrożnie, bo właśnie tutaj wypatrzyli go myśliwi, a wiadomo, że plemię Kruków to wrogowie zajadli i chytrzy. Przebył niewielką odległość i stanął. Nasłuchiwał. Cisza. Przeszedł kilkadziesiąt kroków, znowu stanął i znowu nasłuchiwał. Cisza. Podniósł kamień wielkości pięści, rzucił najdalej, jak umiał, i słyszał, jak padając uderza miękko o darń. Wytężył słuch. Usłyszał pohukiwanie równinnej sowy niedaleko miejsca, gdzie padł kamień, potem odpowiedziała jej inna po drugiej stronie, i jeszcze inna w sporej odległości, i jeszcze inna. Błyskawicznie wykonał zwrot i rzucił się do ucieczki. Umykał prosto ku spiętrzonym skałom, słyszał za sobą tupot nóg. Krukowie zbierali się ze wszystkich stron, by puścić się za nim w pogoń. Dopadł skał i zaczął się wspinać wytężając wszystkie siły, ale tym razem słyszał za sobą tupot wielu nóg na twardym gruncie. Byli tuż za nim. Tym razem na pewno nie pozwolą mu uciec. Worek był ciężki Niedźwiadek jęknął na myśl o swoich krótkich nogach, bo odległość między nim a pościgiem wyraźnie się zmniejszała. Bliski rozpaczy potknął się nagle i przewrócił, a wtedy worek wypadł mu z rąk, dzida potoczyła się w dół klekocząc na kamieniach, a on sam zaczął zjeżdżać ze stoku; zatrzymał się jednak i przeczołgał szybko w gęstszy cień między skałami.

Słyszał jak go szukają. Słyszał, jak dźgają dzidami ciemniejsze miejsca i są coraz bliżej. Wtedy przypomniał sobie. Czejen nie umiera jak pies na prerii, skulony ze strachu w swojej norze. Czejen umiera walcząc, a twarz ma zwróconą do wroga. I jeszcze coś sobie przypomniał. Zrobił to, co mu przykazał kiedyś ojciec. Nogi miał krótkie jak nogi borsuka, nie były one stworzone do szybkiego biegania. Ale w rękach miał siłę niedźwiedzia, wyrobioną w ciągu wielu tygodni, kiedy piął się po skale i kamieniem wyrąbywał nisze.

Byli tuż. Skoczył im na spotkanie. W rękach miał siłę olbrzymiego niedźwiedzia grizzly, a na wargach uśmiech swojego mężnego ojca.

— O, Maijun zamieszkujące te skały! — zawołał. — Walczmy!

Odtrącił dzidę pierwszego z wrogów, jakby to był patyk w rękach dziecka. Chwycił drugiego w ramiona, podniósł go i cisnął z ogromną siłą w tamtych, a oni się rozpierzchli. Wtedy skoczył między napastników, uderzył potężnymi ciosami jednego z lewej i jednego z prawej, i zaraz uskoczył na dawne miejsce. Czekał, aż się na niego rzucą.

Ale się nie rzucili.

W ciemności stracili orientację, ogarnął ich strach. Rozmawiali i ten strach słychać było w ich glosach.

— To jest taki — mówili, — co się śmieje, kiedy walczy sam przeciwko wielu. — Postąpili kilka kroków do tylu. — To jest taki — mówili, — co przywołuje duchy, żeby walczyły razem z nim. — Znowu się cofnęli i byli jeszcze bardziej przerażeni. — To jest zły duch — powiedzieli — który przybrał postać wroga, żeby zwabić nas w to miejsce i zadać nam śmierć.

Zawrócili i uciekli. Biegli, póki nie dopadli koni uwiązanych do kołków w zagłębieniach doliny. Dosiedli koni i szybko odjechali, a w czasie jazdy historia, którą mieli opowiedzieć, rozrastała się w ich głowach...

Niedźwiadek wszedł do wioski od zachodu. Za jego plecami słońce wisiało nad horyzontem. W członkach czuł zmęczenie, a worek był bardzo ciężki. Nie okrążył wioski, żeby wejść od wschodniej strony. Szedł prosto, między dwoma wigwamami i przez otwartą przestrzeń okrągłego placu. Nie patrzał ani w lewo, ani w prawo. Minął wigwam Żółtego Księżyca i nie odwrócił głowy, żeby spojrzeć na Cętkowaną Turkawkę, która stojąc u wejścia odprowadzała go wzrokiem. Przeszedł obok Świętych Wigwamów Czarodziejskich Strzał i Czapki ze Skóry Bizona. Zdążał prosto do wigwamu Białego Wilka.

Kiedy wszedł, panowała tam cisza. Powiesił dzidę na rzemiennej pętli przywiązanej do słupa. Położył worek na ziemi. Żona Białego Wilka wzięła swoje garnki i wyszła. Biały Wilk widział Niedźwiadka idącego przez wieś, więc fajka była już przygotowana. Siedli obok siebie na posłaniu Białego Wilka. Palili w milczeniu.

— Przyjacielu — odezwał się Niedźwiadek. — Czy zechcesz jeszcze raz za mną przemówić? Worek jest ciężki od moich podarków.

Głośny lament dobywał się z wigwamu Żółtego Księżyca. Matka Żółtego Księżyca i Cętkowanej Turkawki zawodziła nad kośćmi swojego męża, a wraz z nią zawodziły kobiety, które przyszły z innych wigwamów. Lamentując czyniły przygotowania do pogrzebu. Ułożyły kości we właściwym porządku na pięknej opończy ze skóry bizona. Przykryły kości najpiękniejszym odzieniem. Założyły brzegi opończy i ten podłużny tobół obwiązały sznurami. Wyniosły tobół z wigwamu i przymocowały do dwóch żerdzi, które ciągnął za sobą piękny koń.

Orszak wyruszył z wioski w przedwieczornym zmierzchu, a przyłączyli się do niego wszyscy, którzy mogli się utrzymać na nogach. Matka Żółtego Księżyca i Cętkowanej Turkawki prowadziła konia ciągnącego żerdzie. Żółty Księżyc szedł za koniem niosąc ulubione łuki i dzidy ojca. Cętkowana Turkawka szła obok niosąc fajki, które ojciec najchętniej palił i woreczek przedniego tytoniu zmieszanego z rozkruszoną na pył korą czerwonej wierzby. Za nimi podążali mieszkańcy wioski, a wśród nich starzec, który został wyznaczony do odśpiewania pieśni śmierci, już teraz przepowiadający w myślach jej słowa. Była to jedna ze starodawnych pieśni, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, a na starcu spoczywał obowiązek uzupełnienia jej specjalną wzmianką o człowieku, który miał być pochowany. Na samym końcu szedł Niedźwiadek. Trzymał się w pewnej odległości, jak to czynić powinien obcy przebywający w gościnie.

Szedł z wielką powagą i dzierżył dzidę grotem do góry, jak to czynić powinien wojownik odprowadzający na miejsce spoczynku mężnego wojownika.

Przez cały ranek i większą część popołudnia kobiety z wigwamu Żółtego Księżyca siedziały pochylone nad szyciem. Przez cały ranek i większą część popołudnia żona Białego Wilka i jej zamężna córka, a także zaprzyjaźnione kobiety, pracowały bez wytchnienia w wigwamie Białego Wilka. Spieszyły się, bo czasu było mało. Minęła już jedna noc, odkąd podarki, dziwne podarki od dziwnego człowieka, ale podarki, o których opowieść miała stać się i bezcenną własnością wioski, zostały przyjęte w wigwamie Żółtego Księżyca. Odpowiedź powinna być udzielona przed nastaniem następnej nocy, bo tak nakazywał obyczaj. Nie było wątpliwości co do tego, jaka będzie ta odpowiedź. Podarki zostały przyjęte.

Niedźwiadek i Biały Wilk siedzieli ze skrzyżowanymi nogami przed wigwamem i palili wspólną fajkę. W wiosce panował wielki ruch, ludzie chodzili tu i tam, prowadzono konie, słychać było okrzyki i śmiech, ale oni nic zwracali na to uwagi. Palili fajkę i byli połączeni uczuciem, jakie wiąże mężczyznę z mężczyzną.

Krzątanina w wiosce wzmagała się, okrzyki rozbrzmiewały głośniej, a potem nagle zapadła cisza. Przez otwartą przestrzeń okrągłego placu na środku wioski szedł orszak. Wyruszył sprzed wigwamu Żółtego Księżyca, gdzie Żółty Księżyc siedział sam na swoim posłaniu. Serce wypełniał mu błogi spokój, bo wiedział teraz, że duch jego ojca kroczy ścieżką, na której wszystkie ślady wskazują w jednym kierunku, ale rozpierała go też duma na myśl o tym, co zrobił dla swojej ukochanej siostry. Był to duży orszak. Na czele kroczył teść Żółtego Księżyca. Szedł z głową wzniesioną wysoko, bo za chwilę miał wypowiedzieć piękne słowa. Za nim jechała na koniu Cętkowana Turkawka, w nowych szatach ze skór jelenia, pięknie ozdobionych paciorkami utoczonymi z błyszczących kamieni, które znajdowano nad rzeką zwaną Niobrara, i kolcami jeżozwierza ubarwionymi na różne kolory. Rosłego konia prowadziła kobieta nie będąca jej krewną, bo tak nakazywał obyczaj. Za nią podążała gromada kobiet niosących naręcza wspaniałych opończy ze skóry bizona i wspaniałej broni. A za nimi szły kobiety prowadzące konie, piętnaście pięknych koni, gniadych i karych, i bułanych, i srokatych, wszystkie w uzdach z mocno splecionej skóry. Na końcu szli mieszkańcy wioski, których szeregi rozpostarły się na kształt wachlarza, kiedy orszak zatrzymał się przed Niedźwiadkiem i Białym Wilkiem.

Teść Żółtego Księżyca wystąpił naprzód. Nie przemawiał do Niedźwiadka. Zwracał się do Białego Wilka.

- To mówi Żółty Księżyc. Nie zdołałby się odwzajemnić za podarki, które otrzymał, nawet gdyby przysłał wszystkie konie hasające na preriach po sam kraniec świata czy tyle opończ i broni, żeby nimi wypełnić największy wigwam. Ale czyni to, co jest jego powinnością. Jutro o wschodzie słońca wzniesiony zostanie wigwam ze skór bizonich dla tego, co go zwą Niedźwiadkiem i kobiety, która jest jego żoną. Znajdzie się w nim wszystko, co potrzebne. Ona tu przybyła i będzie mu oddana. Z nią przybyły te opończe i te łuki, te dzidy i te konie. Żółty Księżyc powiedział.

Żona Białego Wilka i jej zamężna córka wyszły przed wigwam i rozłożyły na ziemi opończę. Zsadziły Cętkowaną Turkawkę z grzbietu pięknego konia i umieściły na samym środku opończy. Z tłumu wysunęli się teraz młodzieńcy. Przepychali się jeden przez drugiego, bo każdy chciał dostąpić zaszczytu uchwycenia opończy za brzegi. Podnieśli opończę wraz z siedzącą na niej Cętkowaną Turkawką i weszli z nią do wigwamu, a tam położyli ostrożnie na ziemi. Wyszli śmiejąc się i spoglądając na Niedźwiadka, i uczucie młodych mężczyzn dla innego młodego mężczyzny było w ich spojrzeniach. A żona Białego Wilka i jej zamężna córka wróciły do wigwamu; wzięły Cętkowaną Turkawkę za ręce, pomogły jej wstać i zaprowadziły w głąb wigwamu. Stała spokojnie, kiedy zdejmowały z niej szaty. Ubrały ją w nowy strój, który same przygotowały. Rozplotły jej włosy, wyszczotkowały i znowu zaplotły w warkocze. Włożyły na nią nowe ozdoby — pierścienie na palce i koła z paciorków na uszy.

Przed wigwamem młodzi mężczyźni podskakiwali i śmiali się, i żartowali. Starsi ludzie czekali zaciekawieni, co też Niedźwiadek zrobi z tymi wspaniałymi darami. A on podniósł się i wyprostowawszy ciało do pełnej wysokości stał na swych krótkich nogach, krótkich jak nogi borsuka. Tym, do którego się zwrócił, był Biały Wilk.

- Mój przyjacielu. Byłeś dla mnie jak ojciec. Twoja żona była jak matka. Twoja córka była jak siostra. Podarki należą do ciebie.

Wśród zgromadzonych rozległy się okrzyki. Niedźwiadek postąpił słusznie, bo Biały Wilk był dla niego niczym rodzony ojciec. Postąpił też wspaniałomyślnie, bo Biały Wilk nie był jego rodzonym ojcem. Teraz Biały Wilk przywołał z wigwamu żonę i córkę, i męża córki, który był w tłumie, a także rodziców męża córki i starca, który był jego krewnym. Powiedział im, żeby wybierali, a oni wedle obyczaju rozdzielili między sobą podarki. W wigwamie Cętkowana Turkawka słyszała to wszystko i radość wypełniła jej serce, bo jej mąż był równie szczodry jak mężny...

Przygotowane jadło czekało. Cętkowana Turkawka nadal siedziała w głębi wigwamu, a Niedźwiadek siedział przy niej. Żona Białego Wilka napełniła ich miski jedzeniem. Pokroiła mięso w misce Cętkowanej Turkawki na drobne kawałki, żeby jej oszczędzić wysiłku. Tego wieczoru Cętkowana Turkawka nie powinna się trudzić żadną pracą.

Przygotowano bardzo dużo jadła. Nie na darmo. Młodzi mężczyźni z wioski przychodzili w odwiedziny. Najpierw przyszedł jeden, potem drugi, potem znowu kilku, aż w końcu w wigwamie zrobiło się tłoczno. Młodzi mężczyźni jedli, śmiali się, żartowali, rozmawiali donośnymi głosami. Chcieli pokazać Niedźwiadkowi, że są jego przyjaciółmi i cieszą się jak przyjaciele, że otrzymał kobietę, której pragnął. Niektórzy z nich mogliby nawet zostać całą noc. Ale Białemu Wilkowi nie brakło doświadczenia, Kiedy potrawy zostały już zjedzone i rozmowy ścichły, wstał i przemówił.

— Przyjaciele. Smucę się, że mój wigwam jest tak mały. Nie ma w nim dla was dość posłań. — Jego twarz wyrażała smutek, ale oczy błyszczały i mrugały wesoło.

Młodzi mężczyźni zrozumieli. Mogli byli zostać i spać na ziemi, i doczekać się porannego posiłku, który będzie pierwszym posiłkiem przygotowanym przez Cętkowaną Turkawkę jako żonę Niedźwiadka — i

byłoby to wedle obyczaju. Ale zrozumieli. Wstali. Znowu wybuchł ich wesoły śmiech, poszturchiwali się łokciami, rzucali ukradkiem spojrzenia na Niedźwiadka i Cętkowaną Turkawkę. Opuścili wigwam wciąż się śmiejąc i poszturchując. Byli to dobrzy młodzieńcy. Byli to dobrzy przyjaciele.

Wtedy Biały Wilk przemówił do swojej żony.

— Kobieto — rzekł. — Dużo wody upłynęło w strumieniu, odkąd przechadzaliśmy się razem nocą i wspominali te czasy, kiedyśmy byli młodzi, a moja lewa ręka była jak ręka innych mężczyzn.

Podszedł do otworu wejściowego i obejrzał się. Wtedy Niedźwiadek wybuchnął:

— O, Biały Wilku. Będę teraz polował, żeby dostarczać jadło do wigwamu Żółtego Księżyca i do mojego wigwamu. Ale jedna ćwierć każdego upolowanego bizona będzie twoja.

Biały Wilk odparł:

— Niepotrzebne mi mięso. Zaszczyciłeś swoją obecnością mój wigwam.

Wyszedł w ciemną noc, a jego żona podążyła za nim, ale zatrzymała się na progu, żeby spojrzeć jeszcze raz za siebie i odczepić klapę, którą zsunęła i zasłoniła otwór wejściowy.

Niedźwiadek i Cętkowana Turkawka zostali sami w wigwamie.

Nigdy nie znano w wiosce takiego myśliwego. Śmiał się i krzyczał. Nigdy żaden mężczyzna w tej wiosce nie śmiał się tak ochoczo ani nie krzyczał tak głośno, jak robił to on z samej radości życia pulsującego w jego żyłach. Siłował się z innymi mężczyznami, a ponieważ stał mocno na swoich krótkich nogach i nie oszczędzał siły w potężnych ramionach, żaden mężczyzna nie mógł go zwyciężyć. Kiedy w wiosce urządzano zawody konne, dosiadał swego malowanego konika. Nigdy żaden mężczyzna nie galopował tak odważnie i nigdy żadnemu nie było tak obojętne, czy wygrywa, czy przegrywa, póki pęd wiatru owiewał mu twarz i jego kobieta przyglądała się zawodom. Polował, śmiał się, bawił się i kochał. Jak dobre było życie...

Ale życie nie składa się z samych tylko łowów i śmiechu, zabawy i kochania.

Stary obwoływać wykrzykiwał kolejno imiona. Było między nimi imię Niedźwiadka. O wyznaczonym czasie wkroczył do wigwamu Żółtego Księżyca. Miał na sobie piękną opończę, którą matka Żółtego Księżyca i zarazem jego teściowa zrobiła dla niego i którą przyjął podczas ceremonii oczyszczającego dymu słodkich traw. Nie było uśmiechu na jego wargach. Usiadł na wskazanym mu miejscu, to jest po lewej Żółtego Księżyca, na miejscu najzaszczytniejszym. Podano mu jedzenie i jadł, jak jedli wszyscy mężczyźni zgromadzeni w wigwamie. Skończył i oni skończyli, po czym wszyscy wytarli ręce.

Żółty Księżyc sięgnął po obrzędową fajkę. Napełnił ją tytoniem zmieszanym ze sproszkowaną korą czerwonej wierzby. Tytoń ubity w fajce

posypał odrobiną sproszkowanego łajna bizonów, bo taki był obyczaj jego rodu. Trzymał fajkę pionowo przed sobą, cybuchem do góry.

— Przyjaciele. Mój ojciec poniósł śmierć w kraju Kruków. Wyprawa, którą prowadził, wróciła bez koni. Myślę teraz, żeby poprowadzić wyprawę wojenną przeciwko Krukom i zabrać im dużo koni. Pytam, czy pójdziecie ze mną.

Żółty Księżyc wskazał cybuchem fajki na niebo, gdzie mieszka Himmawihio, a polem na ziemię, gdzie mieszkają Maijun, a potem na cztery strony świata. Zapalił fajkę i wciągnął dym w płuca. Podał fajkę Niedźwiadkowi siedzącemu na honorowym miejscu obok niego.

Niedźwiadek trzymał fajkę pionowo przed sobą, jak nakazuje obyczaj, Siedział nieruchomo, wpatrzony w ziemię. Nie podniósł oczu, odkąd Żółty Księżyc sięgnął po fajkę. Z piersi wyrwało mu się westchnienie. Oddał fajkę nie przytknąwszy jej do ust...

To człowiek dziwny, inny niż wszyscy ludzie i mnie się nie podoba ta jego dziwność i inność. Jest moim szwagrem, a ja żałuję tego, co zrobiłem dla mojej siostry. To z jego powodu mam teraz mało koni, a mój wigwam jest ogołocony z wielu potrzebnych rzeczy. Ale można by to zmienić. Jest dzielnym myśliwym. Jest mężnym wojownikiem. Potrafił się przemknąć przez kraj wroga jak niewidoczny cień. Kiedy trzeba, potrafi walczyć jak wielki niedźwiedź grizzly. Mógł zapalić fajkę i tamci by widzieli i paliliby fajkę za jego przykładem. A przecież oddał fajkę nie przytknąwszy jej do ust. Jest tylko połową mężczyzny. Nie wejdę już nigdy do jego wigwamu. Mamy mu wierzyć? Powiada, że przebył ziemię Kruków, że wspiął się na złe miejsce i że te kości są kośćmi ojca Żółtego Księżyca. Powiedział to Białemu Wilkowi i ta opowieść jest własnością Białego Wilka i Biały Wilk wielokroć nam ją opowiadał. Jest to piękna opowieść, która przynosi zaszczyt naszej wsi. Kiedy opowiadał ją Białemu Wilkowi, pocierał rękami fajkę. Wskazywał fajką na Wigwam Zaczarowanych Strzał. Mówił: „O, strzały, słuchajcie mnie. Tego wszystkiego dokonałem”. Człowiek, który to mówi, nie może kłamać. A przecież... A przecież oddaje fajkę nie przytknąwszy jej do ust...

— O borsuku, który mieszkasz w moim kanionie. Nie zapomniałem o tobie... O Maijun mieszkające w ścianach tej klatki, która jest dobrą klatką, wołacie do mnie ze wzgórz za ogromną prerią... O, młody bizonie, teraz już stary bizonie, skubiący soczystą trawę nad naszym strumieniem, spokój jest w tym miejscu, które jest naszym miejscem, i do którego nie trafi żaden człowiek...

— ...ale Żółty Księżyc jest moim bratem. Jest twoim szwagrem. Było między wami uczucie mężczyzny do mężczyzny i ty je zabiłeś.

— Moja kobieto, słyszałaś. Gotowałaś polewkę obok wigwamu starej niewiasty i słyszałaś, co mówiłem. Nic jest dobrze, by człowiek robił coś, co mu zabrania robić jego serce.

— Słyszałam, ale nie rozumiem. Dlaczego twoje serce każe ci się sprzeciwiać obyczajom plemienia? Niełatwo pójść na wyprawę wojenną, wiem, ale tylko w taki sposób mężczyzna zdobywa sławę dla siebie i swojej rodziny.

— To nie jest mój sposób. Serce mi mówi, ale ja sam nie umiem wytłumaczyć dlaczego. Jeden człowiek nie zmieni plemienia, nie zmieni nawet wioski. Opuszczę tę wioskę. Pójdę.

— Gdzie pójdziesz? Wszędzie są wioski. Wszędzie takie same. To jakieś czary. Księżyc za długo świecił ci w oczy i pomieszał myśli...

- Zamilcz, moja kobieto, smucę się, jak ty się smucisz. Ale pójdę do miejsca, które jest moje, do którego Starzec, który był twoim pradziadkiem, zaprowadził mnie, kiedy składałem ofiarę głodu. Jest tam dość pożywienia, na teraz i na zawsze. Jest wartki strumień, który nie wysycha w czas najgorszych upałów. Jest schronienie przed zimowymi burzami. Nie przyjdą tam wrogowie, żeby krzywdzić i zabierać to, co do nich nie należy. Jest to dobre miejsce. Jest to moje miejsce i pójdę tam. Ale w moim życiu nie będzie światła, jeśli ty ze mną nie pójdziesz.

— Czy to przywróci uśmiech ustom mojego męża?

— Przywróci im uśmiech.

— Czy jego oczy będą znów wesołe i błyszczące, kiedy spojrzy na mnie i na wszystko dokoła?

— Będą znów wesołe i błyszczące.

— Czy w nocy jego silne ramiona będą się zawsze wyciągały do mnie z ochotą?

— Będą.

— Pójdę...

V

Wyżynna kraina pogranicza trwa. Znosi cierpliwie skradające się powoli zmiany czasu geologicznego i bezładne, powierzchniowe zmiany czasu kalendarza ludzi. Spoczywa daleka w swoim nie zmąconym spokoju — kraina płaskowyżów i wysokich gór zasilających długie rzeki, które łącząc się wodami tworzą potężną Missouri. Tamtędy prowadził szlak wybrany przez Niedźwiadka — na zachód, wzdłuż rzeki Czejenów, potem raptowny skręt na północ i znów na zachód, brzegiem północnej odnogi zwanej La Belle Fourche. Potem ścieżka zatacza łuk na południe i brzegiem jednego z zasilających rzekę strumieni pnie się ku Czarnym Wzgórzom, które nie są czarne i nie są wzgórzami, tylko pasmem potężnych gór. Prowadzi prosto nad brzeg kanionu.

Kanion był wtedy dobrym miejscem. Jest dobrym miejscem teraz. Leży z dala od dróg przecinających wzgórza i z dala od miast przycupniętych niżej lub przylepionych do stoków. Mało się zmienił. Trwa w niezmąconym spokoju pod tym samym niebem, a cztery pory roku przewalają się nad nim w nie kończącym się cyklu.

Nie weszli do niego Siuksowie wraz ze swymi sprzymierzeńcami z innych plemion cofający się przed białym człowiekiem, który coraz głębiej wdzierał się w ich ziemie. Kanion stałby się dla nich pułapką — byliby uwięzieni na jego dnie i wystawieni na kule każdego wrogiego przybysza.

Nie naruszyli jego spokoju poszukiwacze złota wracający między te wzgórza. Nie widać tu straszliwych blizn po rozpruwaniu ziemi i wysadzaniu w powietrze skał, jakie ci ludzie pozostawiali za sobą. Nie znaleźli na dnie strumienia, łatwo dostępnego powyżej i poniżej kanionu, śladów złotego piasku, więc poszli dalej.

W kanionie nie ma teraz bizonów. Ostatnie padły dawno temu z ręki łowców skór, białych myśliwych, którzy wytrzebili nieprzeliczone stada na prerii tylko dla ich skór, pozostawiając ścierwa szakalom, a ścigając resztki zapędzili się na wzgórza i wybili te na dnie strzelając z krawędzi kanionu — dla samej przyjemności zabijania. Nie ściągnęli nawet skór, bo żeby się do nich dostać, musieliby zejść po stromych ścianach skalnych, a tego im się robić nie chciało, chociaż było ich wielu i mieli liny.

Kanion o kształcie długiego, spłaszczonego trójkąta trwa. Widać go najlepiej z krawędzi tej ściany, gdzie nisze wyrąbane w skale, których nie dostrzegli łowcy skór, prowadzą w dół — i w górę. Jest to dobre miejsce. Strumień spada kaskadą przez mieniący się barwami tęczy pył wodny, tworząc w dole rozlewisko, i płynie czysty i chłodny do szczeliny w dole kanionu. Kępy drzew rosną po stronie osłoniętej od wiatru wysokimi wzgórzami. Czarny bez pyszni się swą zielenią nad brzegami strumienia, ale jest tu też osika. Jagodowe krzewy powiewają długimi, kolczastymi pędami pośród sterczących z ziemi głazów. I wszędzie na otwartej przestrzeni rośnie soczysta trawa, Tak, jest to dobre miejsce dla człowieka o skromnych potrzebach, który jest jak jego współplemieńcy i zarazem różni się od nich, bo inaczej widzi cel owej przelotnej tajemnicy będącej życiem...

W tym miejscu zamieszkali Niedźwiadek i Cętkowana Turkawka.

Są tam teraz. Stoją na krawędzi skały, po której nisze prowadzą na dno kanionu. Puścili na wolność malowanego konika, będzie sobie hasał między wzgórzami i po prerii, która się rozpościera poza nimi. Przez wiele dni ciągnął dwie żerdzie z ich dobytkiem, cały szmat drogi z wioski do kanionu. Teraz robią ze swoich rzeczy tobół, owijają go w skóry wigwamu i przewiązują linką, dzięki czemu będzie go można spuszczać z jednej półki skalnej na drugą. Inną linką Niedźwiadek przewiązuje swoją kobietę w pasie, żeby mogła zejść w dół bezpieczna dzięki sile jego ramion...

Pomagał jej przy stawianiu wigwamu. Kobieta z plemienia Czejenów nie zajmie się niczym innym, dopóki jej dom nie jest przygotowany do pierwszego noclegu. Ociosał nowe żerdzie, mocne i długie, ponieważ ich wigwam był duży. Wbijali je głęboko w ziemię wznosząc stożkowaty szkielet, który nie przypominał właściwie stożka, bo żerdzie od strony zachodniej, naprzeciwko wejścia, byty zawsze mniej pochylone, przez co

wspierały się na pozostałych żerdziach i łatwiej wytrzymywały podmuchy wiatru z prerii, najzajadlejsze z tej właśnie strony. Rozpięli na nich skóry i mocno przywiązali je rzemieniami. Ale wszedłszy do środka Cętkowana Turkawka nie pozwoliła, żeby Niedźwiadek pomagał jej. Kobieta miała prawo tak rozmieścić rzeczy w wigwamie, jak sobie tego życzyła, naturalnie w zgodzie z obyczajami plemienia. Nie pozwoliła mu nawet rozniecić ognia. Kobieta miała prawo sama rozniecić ogień, na którym będzie się gotować strawę i który ogrzeje wigwam.

Spoglądał na swoją kobietę, kiedy się krzątała wychodząc z wigwamu i znowu do niego wracając, kiedy rozpinała miększe skóry wewnętrznych ścian, kiedy przystawała odymając wargi i zastanawiając się, gdzie położyć tę rzecz, gdzie zawiesić tamtą. Nie była piękna, ale na jej twarzy malowało się życzliwe ciepło i zrozumienie, a zresztą dla niego była piękna i bardzo kobieca. Spoglądał na nią przez kilka chwil, wciągając w płuca czyste powietrze kanionu, a potem odwrócił się i zaczął iść brzegiem strumienia. Tam, gdzie woda płynęła leniwie, tworząc głębsze rozlewiska, Niedźwiadek zobaczył ryby. Jeśli tylko nie będzie łowił zbyt chciwie, w jego strumieniu zawsze będą ryby.

Między krzakami obrastającymi rozlewisko, w którym pławiły się bizony, zobaczył mnóstwo ich śladów. A dalej, na soczystej trawie, były one same. Policzył je. Stary bryk, który nie tak dawno był młodym bykiem; młody byk, do niedawna roczniak, stare krowy, jedna młoda krowa, do niedawna jałówka, pięć cielaków, które podrosły i były teraz silnymi roczniakami, i cztery nowe cielaki, jeszcze małe, ale żwawe i napastujące swoje matki o mleko. Razem czternaście sztuk — wszystkie, które tu zostawił odchodząc, z wyjątkiem dwóch krów. Były bardzo stare. Nie przetrzymały długiej i ostrej zimy. A mimo to cztery małe cielaczki podskakiwały na sztywnych nogach i bodły się różkami. Jeden należał do młodej krowy. Był to jej pierwszy, dość drobny, ale następnym razem matka na pewno sprawi się lepiej. Drugi należał do starej krowy. A druga stara krowa miała dwa cielaki, ta sama, co przed rokiem. Była bardzo dzielną krową.

Stary byk, kiedyś młody byk w stadzie, bardzo urósł. Osiągnął pełną dojrzałość. Jego garb był potężnym garbem. Kark, przód ciała i częściowo przednie nogi porastała gęsta, długa sierść, prawie zupełnie przykrywająca blizny na jego łbie. Był to dobry przywódca dobrego stada. A młody byk, dorastający roczniak, też się rozrósł. Szybko nabierał siły dzięki soczystej trawie. Kiedyś w przyszłości, kiedy poczuje, że jest już dość silny, żeby wyzwać starego byka, dojdzie między nimi do walki. Przegra, ale wciąż i wciąż będzie ponawiał swoje wyzwania, aż któregoś dnia nie przegra walki. Może będzie lepiej, zanim nadejdzie ten dzień, przeznaczyć starego byka na mięso? Nic pozna wtedy, co to uczucie klęski zadanej przez starość i młodego byka. A mięso jest smaczniejsze, kiedy byk nie jest zbyt stary. Mężczyzna ze swoją kobietą będzie miał w bród pożywienia, jeżeli w ciągu czterech pór roku weźmie ze stada cztery, może pięć bizonów. A bizony zawsze będą w kanionie.

Wracał wzdłuż podnóża najbliższej ściany skalnej. Wszedł między jagodowe krzaki pośród sterczących z ziemi głazów. Odnalazł płaski kamień i usiadł przed nim na skrzyżowanych nogach.

— O, borsuku — przemówił. — Wróciłem do domu.

Czekał i nic się nie zdarzyło. Czekał i nagle, nie wiadomo skąd, pokazała się nad kamieniem ciemnobrązowa głowa z biegnącym przez środek białym pasem. Borsuk wspiął się na kamień. Spojrzał na Niedźwiadka, spojrzał gniewnie. Był bardzo chudy i bardzo zmęczony. Był to stary borsuk, a ciężkie jest życie starego borsuka zamkniętego w klatce kanionu, gdzie nie ma takich smakołyków jak tłuste i łatwe do upolowania susły, czy choćby dzikie psy. Musi długo polować na ciągle umykające myszy polne, czasem, ale rzadko, zdarzy mu się królik niemądrze ukryty w płytkiej jamie i jeszcze rzadziej wiewiórka skalna, która zeszła po stromej ścianie na dno kanionu. Bywa, że musi się zadowalać chrząszczami i innymi owadami, a nawet żuć korzenie i korę drzew. Patrzył na Niedźwiadka i jego spojrzenie wyrażało gniew. Na kamieniu nie było mięsa. Wykonał błyskawiczny nich płaskim, szerokim ciałem i zniknął. Ale Niedźwiadka rozpierała radość. Borsuk przebywa nadal w jego kanionie!

— O, borsuku — powiedział. — Będzie mięso. Co dzień będzie mięso. Zapomnisz o gniewie i znowu do mnie przemówisz.

Wstał. Zobaczył ponad krzakami, obok strumienia, słup dymu wzbijający się w niebo. Tam jest jego kobieta i jego wigwam. Kobieta gotuje jadło, które on dostarczył. A dokoła nich wznoszą się wysokie ściany, które są ich osłoną, ich bezpieczeństwem. Wypełniał go wielki spokój. Czyste powietrze kanionu niemal rozsadzało mu piersi.

Pośpieszył do miejsca, gdzie ułożył z kamieni stromą, nierówną ścieżkę wiodącą do pierwszej półki skalnej. Łączyła ona dno kanionu z pnącymi się w górę niszami. Umożliwiała wydostanie się z kanionu i zejście na jego dno. Zaczął od samej góry, podnosił kamienie i zrzucał je w dół, to na lewo, to na prawo. Podskakiwały i toczyły się we wszystkich kierunkach, a stroma ścieżka kurczyła się pod jego nogami. Za nim wyrastała gładka ściana pozbawiona nisz, od dna kanionu aż do pierwszego występu skalnego.

Usłyszał głos kobiety, przywoływała go. Kiedy jadło było gotowe, nie czekała, jak czeka większość kobiet, aż ich mężczyzna przyjdzie i zechce się posilić. Kiedy jadło było gotowe, wołała go, a on przychodził. Widział dym ognia, na którym gotowało się jadło i wiedział, że wkrótce będzie gotowe. Ale czekał, aż go zawoła. Z radością słuchał jej wołania. I z radością szedł do niej. A jak zjedzą, weźmie ją za rękę i oprowadzi po swojej klatce, która jest dobrą klatką.

— To w tym miejscu zabiłeś starego byka? Do tego drzewa przywiązałeś powróz zrobiony z kawałków koszuli i nagolenników? Nie... wolę, żebyś mi o tym dzisiaj nie mówił. Aż strach myśleć, że skakałeś tu na jednej nodze, z prawą nogą złamaną...

To w tym miejscu miody byk, który jest teraz starym bykiem, walczył z pumą przez całą noc aż do rana? To dzielny byk. Blizny na jego łbie to zaszczytne znaki odwagi. Nasz dzielny byk. Tylko nie mów, że ci było wstyd. Bałeś się, a przecież wybiegłeś na śnieg i łukiem i nożem, i nie przyszedłeś za późno...

— To jest ta chata, w której spałeś sam? Niczego lepszego nie można się spodziewać po mężczyźnie... mała i ciemna w środku, słońce do niej nie zagląda i nie ma żadnych sprzętów.

— To jest chata, w której spałem, ale nie byłem sam. Przychodziłaś do mnie we śnie.

— Niemądre słowa. Nie przychodziłam. Byłam daleko, w wiosce... Ale to dobre słowa i lubię ich słuchać. I chata też jest dobra, bo nawet w ciemności widzę, że oczy ci znów błyszczą i śmieją się do mnie.

Cichy mrok rozpostarł się nad kanionem. W wigwamie migotały płomyki dopalającego się ognia. Niedźwiadek leżał na posłaniu i przyglądał się swojej kobiecie. Już po raz trzeci przekładała z miejsca na miejsce ich sprzęty. Spojrzała na niego, odwróciła wzrok, na jej wargach był uśmiech. Podeszła i położyła się na posłaniu obok. Nocne wiatry zbudziły się na wzgórzach i wionęły nad płaskowyżem. Wysyłały swoje zwiadowcze jęzory przez pęknięcia w skalnym obrzeżu kanionu i chichotały gawędząc ze sobą głucho brzmiącymi głosami. Skalne Maijun wypłynęły z kryjówek jak mgła w nocnym powietrzu, wsiadły na grzbiet wiatrom i roześmiane mknęły wysoko w górze, a on je słyszał i wiórował im śmiechem cichym i głębokim, brzmiącym jak śmiech Maijun.

— O, Cętkowana Turkawko. Posłuchaj. Maijun rozmawiają.

— Słyszę tylko wiatr. Ale dobrze, że śmiech wrócił na usta mojego męża.

— Posłuchaj. Przemawiają do mnie.

— Słyszę jakby głosy, ale ich nie rozumiem. Co one mówią?

— Mówią: „Mały bracie, wróciłeś do domu. Przyprowadziłeś nam siostrzyczkę. To dobrze”.

I Maijun odpłynęły wraz z wiatrem w dół kanionu, tańczyły gdzieś wysoko w górze i zaraz przypłynęły i powrotem, śmiejąc się i gawędząc cicho.

— Znowu słyszę głosy, ale dalej ich nie rozumiem. Co one mówią teraz?

— Mówią: „Mały bracie, kobieta, która jest twoją kobietą, jest lepsza od najlepszej kobiety ze snu. Jest śliczna jak różowa światłość, która się wysuwa zza krańców ziemi o pierwszym brzasku. Jest ciepła jak słońce latem, kiedy wypływa wysoko na niebo. Daje pociechę jak mocny sen, który przychodzi nocą po całodziennych łowach”.

— To niemądre słowa. Nie mówiłyby takich rzeczy... Ale to dobre słowa. Powiedz mi więcej o tym, co mówisz, że one mówią...

Nadeszła jesień. Zebrał owoce dzikiej śliwy, a ona wyjęła pestki i wysuszyła je na zimę. Zebrał bardzo dużo rozmaitych jagód, które rosły tu w wielkiej obfitości, a ona utłukła je na wgłębionym kamieniu, uformowała z nich płaskie placki i wysuszyła na zimę. Zebrał dzikie winogrona, których było bardzo niewiele, a ona też je przygotowała na zimę. Te owoce uzupełniły zapas żywności w spiżarni, która mieściła już suszone mięso starej krowy, nie tej, co wydała na świat bliźniaki, i mięso roczniaka, młodego byczka, którego Niedźwiadek zabrał ze stada. Cętkowana

Turkawka wyprawiała skóry, co zgodnie z obyczajem jest pracą kobiety i czego ona teraz nie pozwoliła mu robić, a on wędrował po swoim kanionie i siadywał ze skrzyżowanymi nogami grzejąc się w słońcu i słuchając tego, co mówił mu borsuk. Któregoś dnia siedział cicho przed kamieniem, a ona przerwała pracę i przyszła do niego. Jeśli ruchy miała powolne, borsuk nie uciekał z kamienia, ale w jej obecności nigdy nie przemawiał do Niedźwiadka, Tego dnia szła bardzo wolno, a na wargach miała tajemniczy uśmiech.

— O, Niedźwiadku, mój mężu o silnych ramionach, musisz postarać się dla nas o cielaczka, jednego z tych bardzo młodych, wiosennych.

— Dlaczego żądasz, żebym to zrobił? Mamy mięsa pod dostatkiem. Jak minie kilka pór roku, cielak urośnie, będzie silniejszy, cięższy.

— Nie o to chodzi Muszę uszyć maleńką opończę z najdelikatniejszej skóry. Nareszcie jestem tego pewna. Jak zimowe śniegi stopnieją i na drzewach pokażą się pąki, będziemy mieli dziecko.

Stała wyprostowana i dumna, bo w jej wnętrzu dokonywało się coś, co jest przeznaczone tylko kobiecie, co czyni jej wkład w życie wigwamu nie mniej ważnym niż działanie mężczyzny.

Niedźwiadek zerwał się z ziemi, a borsuk obrócił gwałtownie szerokie, płaskie ciało, w powietrzu śmignęła szarobrązowa smuga — i już go nie było. Niedźwiadek wskoczył na płaski kamień. Zaśmiał się i zaczął wykrzykiwać:

— To będzie chłopiec! Będzie miał długie mocne nogi, jakby stworzone do szybkiego biegania! To będzie syn, ja będę ojcem, i będzie dużo radości w wigwamie. — Znieruchomiał na płaskim kamieniu, spojrzał na nią. — A może to będzie dziewczynka. Będzie smukła i delikatna jak młoda łania. Potem dorośnie i będzie ciepła i kobieca jak jej matka...

Zima była łagodna. Padał śnieg, topniał na ziemi, znowu padał. Nie było głębokich zasp pokrytych twardą skorupą, więc bizony mogły skubać trawę. Zamiecie śnieżne przewalały się wysoko nad ich głowami. Szalały pośród wzgórz, ale nie zaglądały do kanionu. W wigwamie było ciepło, bo z zewnątrz chronił go przed wiatrem odgarnięty śnieg, a w środku tlił się zawsze ogień. Kiedy śnieg topniał, Niedźwiadek zbierał łajno bizonów, kiedy ziemia niknęła pod śniegiem, zbierał opadłe z drzew gałęzie. Według obyczaju jest to praca kobiety, ale on zabronił jej to robić. Kiedy bywały gorsze dni, bo Cętkowana Turkawka nosiła swoje pierwsze dziecko, Niedźwiadek wyręczał ją w innych pracach kobiecych. Gotował, dusił mięso i robił pożywne zupy z zimowych zapasów w spiżarni. Mył miski po zjedzonym posiłku. Ale kiedy próbował odłożyć statki na miejsce i zamieść podłogę, śmiała się i wypędziwszy go z wigwamu zabierała się sama do roboty. Czasem w nocy nie mogła zasnąć i wtedy on podpierał się na łokciu i gładząc delikatnie jej czoło mówił, o czym szepczą Maijun wysoko w powietrzu nad ich głowami. A ona była z tego wszystkiego dumna, z tych złych chwil i dobrych chwil, bo one też stanowiły cząstkę tajemnicy, która się w niej dokonywała.

Ale kiedy zima zaczęła umierać, kiedy śnieg stopniał na ziemi i białe płatki nie padały już z nieba, a pierwsze ślady zieleni zarysowały się cienką kreską w pobliżu zarośli, Cętkowana Turkawka stała się nagle milcząca i bardzo cicha. Nadszedł czas, gdy powinna była prowadzić długie rozmowy ze starymi kobietami w wiosce, ale tu nie było starych kobiet, z którymi

mogłaby rozmawiać. Nadszedł czas, gdy powinna była prosić kilka wybranych młodych kobiet, żeby jej pomogły w połogu, ale tu nie było młodych kobiet, które mogłaby o to poprosić. Była cicha i czasem bardzo długo milczała, a kiedy się w końcu odezwała, mówiła głosem rozdrażnionym i ostrym. Czasem jej rysy nieruchomiały, a oczy patrzyły obojętnie, jak gdyby Niedźwiadka przy niej w ogóle nie było. Widział to i bardzo się martwił. Coraz częściej wyręczał ją w kobiecych pracach, co było niedobre, bo przypominało Cętkowanej Turkawce, że nie ma w pobliżu matki, teściowej czy kuzynki, która w takich chwilach wykonywałaby te prace w jej domu, a kiedy przemówiła, w jej głosie brzmiało jeszcze większe rozdrażnienie i zwracała się do niego jeszcze ostrzejszym tonem.

Zrobił kołyskę, wyścielił ją miękkim mchem i obił delikatną skórą. Spojrzała na nią i nie odezwała się słowem. Kołyska powinna być sporządzona przez kobietę, która rodziła już dzieci, przez krewną przyszłego ojca, a jeśli takiej nie ma, przez krewną matki.

Przygotował wszystkie potrzebne rzeczy i tak je rozmieścił, żeby były pod ręką: miskę, w której noworodek zostanie wykąpany i obok niej nóż do przecięcia pępowiny, małą, miękką opończę, w którą dziecko zostanie owinięte i woreczek roztartego puchu mlecza zebranego na prerii do posypywania delikatnej skóry nóg maleństwa, żeby się nie odparzyły. Patrzała, jak nieustannie układa i przekłada te przedmioty i nagle jej rysy złagodniały i uśmiechnęła się do niego; powiedziała mu, gdzie ma szukać specjalnej kory i jak przyrządzić z niej lekarstwo, które ułatwi poród. Gdy zrobił jak prosiła, rysy znowu jej się wyostrzyły, bo przypomniała sobie, że to lekarstwo przyrządzone przez mężczyznę nie jest tak skuteczne, jak przyrządzone przez kobietę, która rodziła już dzieci.

Ale kiedy przyszedł jej czas, to on był przestraszony, a ona go uspokajała łagodnymi słowami. Pot spływał mu po twarzy, jak gdyby to on cierpiał bóle i kobieta mówiła mu, co ma kolejno robić, a pierwszy krzyk dziecka tak go zdumiał, ze palce mu zesztywniały i nie mógł sobie poradzić z owinięciem go w miękką opończę. Wtedy ona kazała mu położyć dziecko obok siebie i sama je owinęła. Był to chłopczyk, drobny, ale bardzo kształtny, o nóżkach, które na pewno wyrosną długie i silne, żeby mógł na nich szybko biegać...

Wiosna nie była dla nich łaskawa, była zimna i wilgotna. Zaczął padać deszcz i ulewa trwała kilka dni. Strumień wezbrał, ziemia nasiąkła wilgocią. Niedźwiadek wykopał dokoła wigwamu rów i tylko dzięki temu woda nie zamoczyła podłogi ze skór. Kiedy deszcz ustawał, mgła staczała się nocą ze zboczy gór do kanionu i rano długo walczyła ze słońcem. Dym ogniska w wigwamie nie wydostawał się jak powinien przez otwór dymny.

Cętkowana Turkawka wieszała ich odzienie na powrozach tuż nad ogniskiem, bo tylko w ten sposób mogła je wysuszyć. I nagle ich maleństwo, ich śliczna kruszynka, ich Lisek, zaczął kasłać. Kaszel nie ustawał. Cętkowana Turkawka dawała mu po kilka kropli naparu z łosiowej mięty, która jest podobno dobra na płuca zmęczone częstym kaszlem. Nie pomogło. Przeszukała spiesznie cały kanion i w końcu znalazła czerwone lecznicze ziele. Starła jego liście na proszek i gotowała w wodzie przez wiele godzin, aż powstał rzadki syrop, który podobno leczy i łagodzi długotrwały kaszel. Dawała mu po kilka kropli tego syropu, ale też nie pomogło. Nie wiedziała, co robić i Niedźwiadek też nie wiedział. Trzymała

dziecko w cieple i karmiła je, kiedy chciało jeść, ale jadło bardzo mało i po jakimś czasie w ogóle przestało ssać Było bardzo słabe i bardzo chore.

Nie rozstawała się z maleństwem ani na chwilę Trzymała je w ramionach, kołysała, pochylała nad nim głowę, ale nic nie uciszało kaszlu. Był to cichy dźwięk, pozbawiony siły, lecz wypełniał wigwam ogromnym strachem rozsadzającym Niedźwiadkowi uszy. Niedźwiadek robił, co tylko mógł. Dokładał drzewa do ognia, dmuchał na płonące polana, zmuszał je, żeby paliły się lepiej i dawały więcej ciepła. Ugotował zupę, pożywną i smaczną, nalał trochę do miski i podał Cętkowanej Turkawce. Nie chciała jeść. Wziął trochę zupy do ust, była dobra, lecz smak miała gorzki, więc też nie mógł jeść. Kaszel był teraz bardzo cichutki, ale nadal rozsadzał Niedźwiadkowi uszy, więc wyszedł z wigwamu. Chmury zakryły rożek księżyca i noc była bardzo ciemna. Przez chwilę wpatrywał się w ciemność, a potem zaczął chodzić. Chodził tam i z powrotem przed wejściem do wigwamu i czarne myśli kłębiły mu się w głowie. Gdyby widział tę chorobę, mógłby z nią walczyć. Pozwoliłby, żeby szarpała ciało kaszlem boleśniejszym niż szarpiące pazury wielkiej pumy, bo wtedy miałby ją tuż obok i mógłby wbić nóż w jej nikczemne serce. Jak człowiek może walczyć z czymś, czego nie widzi? Chodził tam i z powrotem i czarne myśli kłębiły mu się w głowie.

Przystanął. Nie słychać było żadnych dźwięków. Wszedł do wigwamu. W mętnym blasku przygasającego ogniska zobaczył Cętkowaną Turkawkę. Siedziała jak przedtem, ale nie kołysała małego zawiniątka w ramionach. Nie usłyszał kasłania, małe gardziołko nie walczyło o oddech. Była cisza.

Chciał przemówić, ale nie mógł. Nie było w nim słów. Podszedł do niej i usiadł obok, a wtedy ona wstała, z małym zawiniątkiem w ramionach, przeszła na drugą stronę wigwamu i tam usiadła. Nie poszedł za nią. Siedział bez ruchu. Był pusty w środku, brakło mu słów i mogło się wydawać, że nie ma już w nim żadnych uczuć. Siedział z opuszczoną głową, tak jak siedziała ona; oboje zastygli w bezruchu, a ogień przygasł i został tylko żar, potem żar sczerniał i w wigwamie zapadła noc tak ciemna jak na dworze...

O pierwszym brzasku podniósł głowę. Kark miał zdrętwiały, ale nie zauważył tego, bo w głowie snuły mu się odrętwiałe myśli, bolesne myśli Po drugiej stronie wigwamu Cętkowana Turkawka siedziała nieruchomo, ale głowę miała też uniesioną i patrzyła na niego. Jej twarz znowu była przed nim zamknięta. Była maską, za którą ukryła się Cętkowana Turkawka. Odwróciła wzrok. Przyklękła, ułożyła małe zawiniątko przed sobą na ziemi i zaczęła je przygotowywać do pogrzebu. Zachowywała się tak, jak gdyby Niedźwiadka nie było z nią w wigwamie. Podszedł do niej i chciał jej pomóc, ale odwróciła się i teraz mógł już tylko stać i patrzeć.

Kiedy skończyła i stała wyprostowana z małym zawiniątkiem w ramionach, gotowa do drogi, nadal mogło się zdawać, że jest sama w wigwamie. Podszedł i stanął przed nią.

— Jestem ojcem — powiedział.

Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć, ale spojrzała na niego i podała mu zawiniątko. Czekał, aż pozbiera rzeczy przygotowane dla dziecka i pierwszy wyszedł z wigwamu. Stanął przed wejściem, ona stanęła obok, i

rozejrzał się. Badał wzrokiem swój kanion i w końcu wybrał miejsce. Po drugiej stronie kanionu, na oddalonej ścianie skalnej, znajdowała się na wysokości głowy człowieka mała półka, a za nią wgłębienie, płytka jama. Było to dobre miejsce, odpowiedniej wielkości. Skierował tam kroki, ona szła za nim. Umieścił zawiniątko na półce, wewnątrz jamy, Pamiętał, żeby je ułożyć twarzą na wschód, ku wstającemu słońcu. Wziął od niej rzeczy przygotowane dla maleństwa, położył je na zawiniątku. I ogarnęła go nowa fala smutku. Nie było malowanego konika, którego powinien zabić przy grobie, żeby duch dziecka mógł dosiąść jego ducha i przebyć jak najśpieszniej ścieżkę, na której wszystkie ślady wskazują w jednym kierunku. Nie było starego człowieka z ich plemienia, który odśpiewałby pieśń śmierci, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, i pocieszał nią małego ducha na ścieżce. Był tylko bolejący ojciec, który nie mógł dobyć głosu, i za nim — ale nie z nim — bolejąca matka, która nie mogła dobyć głosu...

Siedział ze skrzyżowanymi nogami przed wigwamem i palił fajkę, ale nie przywróciła mu ona spokoju. Jego żal był wielki i Niedźwiadek nie znajdował dla niego słów. Cętkowana Turkawka była w wigwamie, z twarzą przed nim zamkniętą i on nie mógł być przy niej. Słyszał, jak się krząta. Wyszła i przeszła obok niego, jak gdyby go nie zauważyła. Szukała czegoś. Znalazła — jego kamienny toporek z mocną drewnianą rękojeścią, leżący tam, gdzie go zostawił rąbiąc gałęzie na ognisko. Minęła go niosąc toporek i weszła do wigwamu. I nowy smutek ogarnął Niedźwiadka, bo wiedział, co jego kobieta zrobi a nie mógł jej powstrzymać. Mógł jej odebrać toporek, ale ona znalazłaby inny sposób i czekałaby, aż go przy niej nie będzie. I nie powinien jej powstrzymywać, bo było to w zgodzie z obyczajem.

Czekał, słyszał głuchy odgłos toporka spadającego na kamień, tnącego, uderzającego o kamień. Czekał, bo nie chciała, żeby był przy niej. Nie mógł znieść dłużej tego czekania. Stanął przy wejściu do wigwamu. Zatamowała krew i owijała teraz kikut środkowego palca lewej ręki, z uciętym jednym członem Boleść i różnorakie smutki rozsadzały mu pierś, ale jej twarz była maską zamkniętą przed nim, więc nie mógł do niej podejść. Mężczyzna pragnący dać wyraz swojej boleści nie powinien odrąbywać sobie palca. Mężczyźnie potrzebne są silne ręce — do łowów i walki. Rozerwał koszulę. Prawą ręką wyszarpnął nóż z pochwy umocowanej na udzie. Przeciągnął ostrzeni po piersi raz, potem drugi raz, przecinając skórę i tnąc ciało. Jasna krew popłynęła w dół strużkami.

Zobaczyła jasne strużki krwi płynące po jego pieni. Jej twarz nagle się do niego otworzyła.

Mógł mówić. Nie wyrażał swojej boleści. O tym mówiła spływająca po nim krew. Przemówiła przez niego gorycz nagromadzona w piersi.

— Gdyby tu były kobiety, wiedziałyby, co robić. — W jego głosie brzmiała gorycz i smutek. — Gdyby tu był starzec znający się na leczniczych ziołach, wiedziałby, co robić.

Niedźwiadek, ten człowiek dziwny, inny niż wszyscy ludzie, obchodził swój kanion. Szedł brzegiem strumienia i widział ryby w płytkim rozlewisku. Były to jego ryby. Zobaczył stado bizonów skubiących soczystą

trawę. Były to jego bizony. Widział dokoła maszerujące wraz z nim wysokie, chroniące przed światem skalne ściany swojego kanionu.

— Moje myśli żyły u długo w blasku księżyca na nocnym niebie. Niech żyją teraz w słonecznym blasku białego dnia...

Mężczyzna przychodzi do kanionu i bierze go w posiadanie. Przebiegłością myśli i odwagą serca bierze go w posiadanie. Poruszając się na jednej nodze prawdziwej i jednej nodze z drzewa zabija potężnego bizona i ma wszystko, co mu potrzebne do życia — żywność, odzienie, dach nad głową. Utrzymuje kanion w swym posiadaniu, kiedy zabija złą bestię, która przyszła go splądrować, krwiożerczą pumę z gór. Kanion jest jego własnością i on go nią uczynił. Ale nie zdobył kanionu sam. Posiada nóż wytworzony w dalekiej krainie przez innego człowieka, nóż, który otrzymał od wielkiego Starca. Posiada różnoraką wiedzę — wie, jak rozpalić ogień, jak sporządzić broń, uszyć odzienie, zdobyć żywność i dach nad głową. Jest to wiedza przekazana przez tych, z których brał przykład żyjąc między nimi Sam jest niczym, Tylko odwaga należy wyłącznie do niego. Tamci są z nim nawet tutaj, w tym kanionie i nigdy nie zdoła się od nich uwolnić, bo to, co mu dali, jest z nim i jest jego cząstką — bez nich nie wziąłby kanionu w posiadanie.

Mężczyzna przyprowadza do kanionu kobietę. To dobrze. Dzięki niej kanion staje się dla niego miejscem tym piękniejszym. Ona tęskni do rozmów z innymi kobietami, do ploteczek wioskowych, do tańców młodych chłopców i młodych dziewcząt, do opowieści i rad starszych osób, do towarzystwa krewnych, którzy są bliscy jej sercu. Dla niego godzi się na tęsknotę. Nie wspomni o niej ani słowem i postara się, żeby on niczego się nie domyślił. Ale tęskni. Potem jest dziecko. Wydaje je na świat mając do pomocy tylko mężczyznę o niezdarnych rękach. Dziecko choruje. Nie ma opieki, jaką mogłyby mu dać stare doświadczone kobiety czy starzec znający się na ziołach leczniczych. Dziecko umiera. Może taki był zamysł Himmawihio, Mędrca Wysoko w Górze, i nic by dziecka nie zdołało uratować Ale jak można być tego pewnym?.. Może przyjść na świat drugie dziecko. Może będzie żyć i chować się zdrowo.

Jest to chłopiec, Kto mu przekłuje uszy i uhonoruje go opowieścią o wielkich czynach? Ma długie i silne nogi, jakby stworzone do szybkiego biegania. Gdzie są starcy, którzy opowiedzą mu o dawnych czasach i przodkach jego plemienia, nauczą go, jak postępować? Będzie rósł i do duszy zakradnie mu się niepokój. Gdzie jest starzec, wielki i mądry starzec, który przeprowadzi go przez próbę głodu? Będzie rósł i odezwie się w nim tęsknota mężczyzny. Gdzie jest młoda dziewczyna, która spojrzy na niego łaskawie, kiedy będzie czekał na nią o zmierzchu i pociągnie ją za brzeg sukni?...

Jest to dziewczynka. Gdzie jest babka, czy jakaś inna stara kobieta zastępująca babkę, która nauczy ją tego wszystkiego, czego mała dziewczynka nauczyć się powinna? Gdzie są inne dziewczynki, z którymi będzie się bawić i prowadzić niekończące się dziewczęce rozmowy, z którymi będzie się wprawiała w zdobieniu mokasynów, naszywaniu

paciorków i piór? Gdzie jest młodzieniec, na którego spojrzy łaskawie i dla którego będzie siedziała cicho, bez jednego słowa sprzeciwu, kiedy jej ojciec zacznie oglądać podarki przysłane przez młodzieńca i zastanawiać się, co jest, a co nie jest dobre dla córki, tak bliskiej jego sercu...

Co Wielki Starzec miał na myśli wypowiadając swoje słowa? Człowiek musi być pewien, że jego serce mówi mu prawdę. Jeden człowiek nie zmieni plemienia. Ale jeden człowiek może żyć wśród swego plemienia i może nie dopuścić, by go ono za bardzo zmieniło.

I Niedźwiadek, ten dziwny człowiek, inny niż wszyscy ludzie, syn roześmianego ojca i matki o łagodnym głosie, kiedyś mały tłuścioszek o krótkich nóżkach, z uszami przekłutymi przez Stojącego Całą Noc, ruszył prosto przed siebie, na drugi koniec kanionu, do miejsca, gdzie kamienie ułożone jeden na drugim i tworzące pochyle wejście, zostały rozrzucone na boki, a ściana skalna wznosiła się gładka i stroma, nie poznaczona niszami, od dna kanionu aż do pierwszej półki. Schylił się i zaczął układać kamienie jeden na drugim.

Cętkowana Turkawka, prawnuczka Stojącego Całą Noc, siostra Żółtego Księżyca i żona Niedźwiadka, stanęła w otworze wigwamu i zobaczyła go z daleka. Poszła do niego.

— Dlaczego to robisz?

— Wracamy do naszego plemienia.

Szczęście, jakie odczula na dźwięk tych słów, rozpromieniło jej twarz i roziskrzyło oczy, a on te spostrzegł i miał już pewność, że jego serce powiedziało prawdę, Jednakże smutek, który go wypełniał, był wielkim smutkiem. Obrócił się i poszedł między wysokie jagodowe krzaki, tam gdzie głazy sterczą z ziemi, i zniknął między nimi, a ona została i odprowadzała go wzrokiem.

Borsuka nie było na płaskim kamieniu. Przez kilka ostatnich dni Niedźwiadek nie wykładał mięsa. Borsuk polował szukając żeru w sobie tylko wiadomy sposób. To nie miało teraz znaczenia. Niedźwiadek przemówił do otaczających go skał.

— O, borsuku, żegnaj. Nowa boleść sprawiła, że krew spływa mi po piersi i tylko ja ją widzę.

Ale ona szła już do niego przez krzaki.

- O, mój mężu. Jest ciężko. Ale jestem młoda. Będę miała drugie dziecko. Będę miała więcej dzieci Nie pozwolę im umrzeć. — Była bardzo zmęczona, twarz miała ściągniętą bólem po stracie maleństwa i bólem zranionego palca. A przecież dla niego była piękna. — O, mój mężu, Nie jestem głupią kobietą, która chciałaby słyszeć dokoła trajkotanie innych kobiet. Wystarczy mi, że ty tu jesteś. Nie zabiorę cię z tego miejsca, które jest twoim miejscem.

Niedźwiadek przemówił głosem szorstkim, chrapliwym. Był to głos mężczyzny, pana wigwamu, który wypowiada swoje zdanie i nie pozwoli, żeby mu się sprzeciwiano.

— Nie zabierasz mnie stąd. To ja idę i zabieram moją kobietę tam, gdzie jest nasze miejsce. Tak powinien postąpić mężczyzna.

Zostawił ją. Wrócił do stosu kamieni przy bliższej ścianie. Zaczął układać jeden kamień na drugim budując strome, ukośne podejście do

półki i drabiny nisz powyżej. Wyszła spośród krzaków i stała patrząc na niego. Na jej twarzy była ciepła mądrość i zrozumienie. Zbliżyła się i zaczęła mu pomagać.

KONIEC